











JANUSZ RABSKI



Wielce szanowny Panu  
Profesorowi

Janusz Michalskiemu,  
który dla Swoich uczniów był  
szafarskim bogactw ze skarbca  
swojej wiedzy i udostępnił  
im drogę do tajemnicy jej piękna,  
mnie niezapomnianego  
Mistrza,

Jako stronnym doniósł najgłębszej  
wiedzy ciosowi —  
ofiarując.

Janusz Michalski

28/IV. 1937r.





*Współtowarzyszom prac i walk  
w życiu akademickim  
— poświęcam.*

*AUTOR.*



# ALMA MATER

POWIEŚĆ



JANUSZ RABSKI

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

<http://rcin.org.pl>



2823

---

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha S. z o. o.,  
w Poznaniu. — Tłoczono na papierze z własnej fabryki papieru „Malta“

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A  
N A U K A , P O L I T Y K A I M I Ł O Ś Ć



„Vivat Academia! Vivant professores”  
(Z pieśni „Gaudeamus”)

I.

Był koniec marca...

Na ulicach stolicy panował ożywiony ruch. W powietrzu czuć było zbliżającą się wiosnę. Słońce pierwszy raz po zimowym odpoczynku przygrzewało mocniej.

Gdyby kto jednak spojrzął zgóry na miasto, z ła-twością zauważyłby, że szczególnie rojno było na ulicach, których wyloty są skierowane w stronę Uniwersytetu. Przeważali studenci. Białe rogatywki uniwersyteckie z czerwoną wypustką... Można powiedzieć, że tylko formalnie białe, bo jesienne szarugi i śnieg sprawiły, że nawet czapki pierwszorzoczników były zrudziałe.

Wszyscy studenci podążali w stronę uczelni. Przed okratowaną bramą Uniwersytetu snuły się gromadki żywo rozprawiające, a poza kratami, chodnikiem po prawej stronie dziedzińca ciągnął, zda się, nieprzerwany sznur studentów.

Niejeden przypadkowy przechodzień zatrzymywał się na chwilę, by popatrzeć na rozgwar młodego życia. Niejednemu przewinęła się myśl:

„Szczęśliwi. Doczekali polskich wyższych uczelni i polskich profesorów”.

U szczytu bramy łni w słońcu srebrny orzeł, zdobny po bokach skrzydeł w złote gwiazdy — godło ALMAE MATRIS VARSOVIENSIS — dumnej i niezawistej.

Przy wejściu na dziedziniec czuwała kontrola. Kilku studentów, tworząc szpaler, sprawdzało kilkakrotnie dowody akademickie wchodzących kolegów. Nie był to bowiem w życiu studentów dzień zwyczajny. Odbywały się wybory do Rady Nadzorczej Tow. „Bratnia Pomoc” Studentów Uniwersytetu Warszawskiego — to też wstęp na dziedziniec mieli jedynie ci, którzy byli związani z uczelnią. Tydzień temu odbyły się na walnem zebraniu wybory Zarządu „Bratniej Pomocy”. Teraz w tajnym i proporcjonalnem głosowaniu wybierano kandydatów do Rady Nadzorczej T-wa. Toteż każdy student, którego przepuścił sznur „kontrolerów” wejściowych, napotykał zaraz za bramą licznych kolegów, wyciągających ręce z wyborczemi odezwaniami i listami zgłaszanych kandydatów. Na chodniku dziedzińca leżały dziesiątkami ulotki i numerki wyborcze poszczególnych list.

Wśród agitujących akademików gęsto przewijały się różnobarwne dekle korporacyjne. Nic dziwnego. Z właściwym sobie uporem i wytrwałością postanowili w dniu dzisiejszym przeprowadzić do końca uzyskane zwycięstwo. Oto korporant Andrzej Zarucki, członek korporacji „Gdynja”, kandydat „Związku Narodowców” i Koła Korporacyjnego, zwyciężył tydzień temu przygniatającą większością. Jest dzisiaj prezesem „Bratniaka”, a zatem pierwszym wśród studentów obywatel akademickim Wszechnicy. Było jasne, że miałby pracę niełatwą, gdyby w wyborach do Rady zwyciężyła większość nieprzychylna. A zatem naprzód do zwycięskiego zakończenia walki wyborczej! To haśło rozpałało wszystkich „zarucczaków”, jak nazywano zwolenników obecnego prezesa „Bratniej Pomocy”.

Lokal „Bratniej Pomocy” zajmuje kilka pokoi w prawnym pawilonie Uniwersytetu. W jednym z nich



u otwartego okna, wychodzącego na dziedziniec, stała wielka urna, pilnowana przez kilku studentów, delegowanych przez poszczególne „listy wyborcze”. Sypią się do urny jedna za drugą kartki z numerkami, składane kolejno przez długi wąż studentów, ciągnący się kilkakrotnym zakrętem, jak górską serpentyną. Jest tu względnie cicho, bo w odległości trzydziestu kroków od lokalu „Bratniaka” wszelka agitacja wzbroniona. Zdaleka tylko dochodzą głosy: „Głosujcie na listę N. 31” „Głosujcie na listę demokratów!”

Na dziedzińcu uniwersyteckim wrzało.

Wpobliżu gmachu Biblioteki stała gromadka „starszyzny” akademickiej. Wodził wśród niej rej — Andrzej Zarucki. Było kilku członków Korporacji „Gdynja”, wybranych z Zaruckim do Zarządu „Bratniaka”. Także kilka koleżanek, pracujących w biurach „Bratniej Pomocy”. Wśród nich najbardziej gadatliwa, — rozeźmiana, o krótkich blond włosach Haneczka Czesławowiczówna, której na chwilę nie odstępował młodziutki fuksik korporacji „Sokolja” — Władek Delfi. Flirt nawet w najgorętszych chwilach życia akademickiego nie jest instytucją zabronioną.

Do rozprawiającej grupy zbliżył się przystojny grubasek z odznaką studenta medycyny.

— Ciołek, jak się masz! — rozległy się wesole okrzyki.

— Ho! Ho! Uspołeczniamy się. Nawet zapracowany „doktorek” przybył z trupiarni głosować.

Nazwany „Ciołkiem” witał się z Zaruckim, a potem z resztą.

— Psiakrew, jak od ciebie zalatuje „władzą” — odezwał się do Andrzeja.

— A od ciebie trupiszonami.

Musieli być jednak w dobrych stosunkach, bo wziął Ciołka pod rękę i klepiąc po wystającym brzuszku, spytał:

— Kiedy ślub?

— Od dziś za miesiąc, braciszku.

Przerwali rozmowę, gdyż do Andrzeja, dając znaki, zbliżał się wysoki, o pociągłej twarzy akademik, ogólnie znany przywódca „Narodowców”.

— Jak się masz „papież”? — witał go Andrzej. — Zdaje się, koledzy się nie znają. Kolega redaktor Reliński — kolega Ciołek.

Przedstawieni podali sobie ręce. Reliński w gronie kolegów był przezywany „papieżem”, ponieważ był jednym z założycieli „Związku Narodowców” i jednym z teoretyków tego ugrupowania studenckiego. Już się wybijał jako dzielny publicysta. Otaczał go szczerzy szacunek. W stosunku Relińskiego do kolegów było coś ojcowskiego. Wielu, rozmawiając z nim, odczuwało, jakby ich pobłażliwie „klepał” po ramieniu. Nie zdarzało się to jednak nigdy w jego stosunkach z Zaruckim. Było widoczne, że „papież” widzi w nim „kogoś”. Obaj cieszyli się dużym autorytetem w gronie akademickim, które, jak żadne inne, ma poczucie hierarchji. Zdawali sobie jednak sami dokładnie sprawę, że te „autorytety” są różne. Relińskiego otaczała powaga „wychowawcy”. O Zaruckim mówili przede wszystkim, że ma „zdolność do rozkazu”. „Lecią” od niego władzą, jak mówił Ciołek.

Gdy Reliński podszedł do Zaruckiego, pozostałe grono studentów się odłączyło.

— Niech gadają wodzowie — powiedział Ciołek.

W tejże chwili silniejszy rozgwar dobiegł od strony ulicy. Przez otwartą narozcież bramę Uniwersytetu wjechał jednokonny powóz. Siedział w nim siwiejący pan w binoklach o niezwykle sympatycznym wejrzeniu. Gdy przejeżdżał, chyliły się czapki uniwersyteckie. On odpowiadał miłym, szczerym uśmiechem.

Rozległ się okrzyk spośród licznej gromady zebranej przy urnie wyborczej.

— Niech żyje pan Rektor!

Wyleciały w górę czapki studenckie, jak rój białych ptaków. Był to rektor Jan Czesławowicz, ogólnie lu-

biany przez studentów za swe oddanie sprawom młodzieży.

Gdy powóz zajechał przed główny pawilon, wysiadający rektor ujrzał stojących Zaruckiego i Relińskiego. Przywitał ich uściskiem ręki i rzekł, zwracając się do Zaruckiego:

— A zatem, panie prezesie, zgodnie z naszą umową, oczekuję panów jutro o 1-szej w gabinecie rektorskim.

— Tak jest, Magnificencjo.

— Cóż za konferencję masz z rektorem? — spytał Reliński, gdy drzwi zamknęły się za prof. Czesławowiczem.

— Zgodnie ze zwyczajem nowe władze „Bratniaka” prezentują się rektorowi.

— Bardzo się cieszę z twego wyboru. To bardzo ważne nasze zwycięstwo. A co się tyczy specjalnie ciebie, spotkał cię największy zaszczyt, jaki może spotkać działacza: twoje nazwisko było sztandarem.

Dwaj koledzy związani ze sobą na śmierć i życie służbą wspólnej idei zwarli w uścisku swoje dłonie.

Dziedziniec Uniwersytetu powoli pustoszał. Było po godzinie pierwszej popołudniu. Zbliżała się pora obiadowa. Tylko studenci, dyżurujący przy urnie wyborczej, pozostawali na stanowiskach. Wybory miały trwać do godz. 9-ej wieczór.

Przed Uniwersytetem Zarucki rozstał się z Relińskim. Skierował swe kroki do znanej w Warszawie kawiarni „Rolniczej”, bo wiedział, że tam spotka napewno liczne grono korporacyjnych przyjaciół. Na ulicy Traugutta mignęła mu zdaleka sylwetka Haneczki Czesławowiczówny w towarzystwie nieodstępного fuksika.

## II.

W kawiarni „Rolniczej” było rojno i gwarno. Godz. 1 pp. to czas największego tłoku w tym przybytku plotek wielkomiejskich. Wchodzącego Andrzeja odźwierny

powitał gestem, przeznaczonym dla „dobrych” znajomych — stałych bywalców kawiarni.

Andrzej rozglądał się, szukając kolegów. Wobec tego, że nie tylko wszystkie stoliki, ale i wszystkie przejścia były zapelnione — nie było to rzeczą łatwą.

Przy stoliku obok wejścia siedział „widoczny” dla całej sali znakomity pisarz Stefan Nieromski o dużej, niezwykle charakterystycznej głowie. Rozmawiał z nim z szacunkiem kilku młodych adeptów literatury. Opośdalał obrato sobie miejsce liczne grono żydofilskiej literackiej grupy „Kameleon”. Rozmawiali trochę krzykliwie, niejednokrotnie kierując się do sąsiedniego stolika, przy którym siedziała urocza artystka dramatyczna Rydzeńska i zbierający zasłużone triumfy aktor Stefan Haracz. Właśnie przysiadł się do nich popularny, wiecznie „młody” piosenkarz o głośnym w świecie naukowym nazwisku. Przy stoliku „dyplomatycznym”, zaopatrzoną chorągiewką z napisem „zajęty od 12 do 3 pp. i od 4 do 9 wiecz.”, wodził rej znany, o twarzy zdrowego szlagona pułkownik Kurzawa. Jego tubalny głos huczał co chwila na całą salę.

Obecny był również oczywiście stały gość — znany przyrodnik profesor Zaniewicz w czarnym surducie i białym krawacie. Nazywano go profesorem, choć nie wykładał na żadnej wyższej uczelni. Miał dziś wyjątkowo roześmianą twarz. Zarucki domyślił się przyczyny: oto prof. Z. wydał właśnie list otwarty do kierujących mężów stanu całego świata w sprawie pacyfikacji stosunków międzynarodowych. Wreszcie, kończąc przegląd sali, ujrzał Andrzej pod oknem przy połączonych dwóch stolikach swoją „paczkę” korporacyjną. Oni spostrzegli go również i podniesionymi rękami dawali znaki niczem zwycięscy Indjanie tomahawkami.

Po chwili, przedartszy się formalnie przez rzędy stolików, Andrzej witał się z kolegami. Byli wszyscy,

których spodziewał się zastać. A zatem według korporacyjnej hierarchji: obecny prezes korporacji „Gdynja” Kazik Szreniawita — w gronie kolegów-korporantów przezywany „dyplomata”, gdyż we wszystkich zawilszych sprawach starał się o osiągnięcie pożytecznego kompromisu. Podobnym z typu do Szreniawity o równie jak ten pociągłej twarzy, równym wzroście i pomyślnie prosperującym brzuszku był Zygmunt Błoński. Poza nieodstępnem pince-nez mrużyły się powieki — niewątpliwie oznaka krótkowidza. Obok Błońskiego siedział, popijając mleczko (zawsze w kawiarni pijał mleko) studjujący historję i marzący o katedrze Mścisław Wyrwidąb-Likowski, wielki flirciarz, o którym mówiono, że „lata za dziewczynami kiej wściekły”. Miał na głowie dekiel prosto z igły — był bowiem świeżoupieczonym barwiarzem. Resztę kompanji stanowili: znakomity działacz sportowy o wielkiej grzywie i twarzy Kościuszki — Stefan Brodzki i fuksik Jerzy Lando.

Wszyscy byli członkami „Gdynji”. Mieli dekle trój-kolorowe o barwach ciemnobłękitnej i biało-czerwonej, co miało oznaczać barwę morza wplecioną do barw narodowych. Jednem bowiem z naczelnych hasel „Gdynji” miała być propaganda polskiego morza. Na kamizelkach mieli także trójkolorowe wstążeczki, przewieszzone z prawego ramienia na lewy bok. Jeden tylko Lando jako że marny fuks miał jednobarwną ciemnobłękitną czapczkę i także wstążeczkę przez piersi — z umieszczonym pośrodku „cyrklem” korporacyjnym t. j. monogramem z liter V. C. F. G.I., co oznaczało „VIVAT, CRESCAT, FLOREAT GDYNJA”. Wykrzyknik — oznaczał, że członkowie „Gdynji” dają satysfakcję honorową z bronią w ręku.

Ledwo Andrzej zajął miejsce, zaofiarowane mu z najwyższą uprzejmością przez fuksa, — zjawił się kelner, sympatyczny blondyn, z serwetką w ręku:

— Dla pana prezesa, jak zwykle, czekolada i napoleonka z żółtym kremem? — spytał z lekkim uśmiechem.

— Proszę tylko nie zapominać, żeby była bez koruszka — cedzona — pośpieszył dodać, szyderczo się uśmiechając Likowski.

Mścił się w ten sposób za pokpiwanie z jego nieśmiertelnego „mleczka”.

— Przestań kpić, historyku — rzekł Andrzej. — Chcę się właśnie zasilić u źródła twojej historycznej wiedzy.

— O cóż chodzi? — spytał obciążając z namaszczaniem klapy marynarki i przybierając minę rzeczoznawcy.

— Mój drogi — czy nie wiesz, jak jest z domu babcia Napoleona?

Odpowiedzi nie było żadnej, tylko wszyscy, nie wyłączonego historyka, wybuchnęli śmiechem.

— Jakże przebieg wyborów? — spytał „dyplomata”, gdy się wszyscy uciszyli.

— Frekwencja duża. Możemy być pewni zwycięstwa. Twoja kandydatura jest mur — rzekł Andrzej, zwracając się do Błońskiego, który kandydował do Rady Nadzorczej Bratniaka. Ale patrzcie! Oto nadchodzi nasz „bóg mody”.

Wszyscy spojrzeli ku wejściu, skąd przeciskał się między rzędami krzesel szczypty, tysiący blondyn o bystrych biegających szybko oczkach. Był to Leszek Pliszka. Koledzy go przezywali „bóg mody”, gdyż ubierał się zawsze z wyszukaną elegancją. W wierszyku, który napisał jeden z korporacyjnych „poetów”, powiedziano o nim:

Nasz bóg mody — w fraku nowym,  
Wyciętym jak z żurnala mód;  
Gdy w ferworze jest balowym,  
Drzyjcie panny — on wasz „wróg”!

— Wracając do wyborów — rzekł Andrzej, gdy Pliszka się witał — jeśli chcecie jeszcze dzisiaj dowiedzieć się o wyniku, to przyjdźcie o 11-ej wieczorem do „Bratniaka”.

— Ja przyjdę — odezwał się Błoński. — Jestem ciekaw, w jakim gronie trzeba będzie przez cały rok pracować.

— Patrz, Andrzej — zwrócił uwagę Likowski. — Ktoś ci daje sygnały.

Andrzej podniósł się. W przejściu stał znany mu działacz jednego z ugrupowań centrowych, syn właściciela wielkiej firmy budowlanej Rajecki.

— Ja do was, kolego, w pewnej sprawie, a przepraszam, że tu ją poruszę — mówił Rajecki — chciałem prosić kolegę do nas na wieczór 20 kwietnia. Jako że to zielony karnawał, więc potańczymy. Ponieważ wiem, że jesteście teraz bardzo zapracowani, więc korzystam ze sposobności, by już teraz prosić was o zarezerwowanie sobie wieczoru.

— Dziękuję bardzo, kolego. Bądźcie łaskawi załączyć moje podziękowanie rodzicom i siostrze.

Gdy Andrzej wrócił do stolika, zastał wszystkich roześmianych projektem Leszka Pliszki. Pliszka miał się udać do stolika profesora Zaniewicza i oświadczyć, że grono jego kolegów poruszonych głębią odezwy profesora do polityków całego świata — uważałoby za wielki zaszczyt, gdyby pozwolił się im zaprezentować. Projekt przyjęto z aplauzem.

— Tylko panowie! obowiązuje zupełna powaga — oświadczył „bóg mody”.

Po chwili zobaczyli, jak Pliszka z miłym uśmiechem składał głęboki ukłon przed profesorem. Niebawem powrócił. Profesor powiedział, że będzie mu niezwykle miło poznać grono studentów.

Gdy zbliżyli się do stolika profesora Zaniewicza — po prezentacji — profesor gestem ręki zaprosił ich, by zajęli miejsca.

— Jesteśmy wszyscy głęboko poruszeni odezwą szanownego pana profesora do naczelników wszystkich państw — mówił Pliszka. — Czyż naprawdę sytuacja międzynarodowa jest tak niepokojąca?

— O tak, proszę pana. Rozwój wypadków jest zatrważający. Sprawy, które poruszyłem w swem piśmie, są jednak tak skomplikowane, że wydaje mi się trudnym objawić je panom w krótkiej pogawędce. Kolega panów mi mówił, że moja odezwa bardzo panów zajęła. Ponieważ mam przy sobie szereg egzemplarzy, pozwolę je sobie panom zaofiarować.

To mówiąc, profesor Zaniewicz wręczył każdemu ze studentów swoją odezwę w formie wielkiego arkusza do plakatowania na ulicach.

— Szczęśliwe jest nasze społeczeństwo — ciągnął z kamiennym spokojem Pliszka — mając tak znakomitego i głębokiego znawcę przedmiotu, jak pan profesor.

W tym momencie Zarucki, który z trudem powstrzymywał się od uśmiechu, zastonił się od strony profesora arkuszem odezwy. Za jego przykładem poszła reszta gości znakomitego przyrodnika. Profesor promieniał z zadowolenia.

Andrzej, widząc, że poważny nastrój nie da się utrzymać, dał sygnał do odejścia.

— Każdy z nas w domu głęboko się zastanowi nad przestankami pana profesora — powiedział profesorowi na pożegnanie nieubłagany Pliszka.

Wkrótce byli już na ulicy, która cała kąpała się w słońcu.

— Wiosna tuż — tuż — zagabnął Likowski. — Trzeba się będzie niedługo zabierać do pracy. Za niecałe trzy miesiące egzaminy.

— Szczęśliwcy — powiedział Andrzej, smutniąc. — Dla mnie to zdaje się niemożliwe. Prezesura „Bratniej Pomocy” to rok dla nauki stracony.



Zamilkli na chwilę, bo myśli ich skierowały się do egzaminacyjnych kłopotów. Wszyscy w tym gronie z wyjątkiem Likowskiego byli na wydziale prawnym. Toteż każdego z nich czekało odbycie 7 — 8 ciężkich egzaminów jednego dnia.

Dochodzili do placu Napoleona, gdy Błoński przewał milczenie.

— Mamy dzisiaj szczęście do oryginałów. Patrzcie, kto idzie.

Naprzeciw nim szedł ryżawy pan, lat około 50-ciu, w żakiecie i meloniku.

— Któż to taki? — spytał Lando.

Błoński złożył głęboki ukłon ryżawemu panu.

— Uszanowanie Waszej Królewskiej Mości!

Nazwany „Królewską Mością” bynajmniej nie okazał zdziwienia. Machając melonikiem, odpowiedział:

— Uszanowanie! Uszanowanie!

— To nie byle kto. „Król” Władysław V-ty. Jego specjalnością jest korespondencja z Prezydentem, Kardynałami i Prezesem Ministrów — objaśnił fuksa Błoński. — Większość uważa go za warjata a ja myślę, że on tylko symuluje „fijotka”, by mieć możliwość bezkarnego ogłaszania rozmaitych publikacyj. Bardzo się interesuje losem swoich „poddanych”. Bywa na wszystkich większych procesach sądowych.

Na gmachu poczty zegar wskazywał 2½ pp. Koledzy rozstawali się; każdy pośpieszał do domu.

### III.

Andrzej Zarucki mieszkał wraz z rodzicami w dużym nowoczesnym gmachu przy zbiegu ulic Alei Jeruzolimskiej i Brackiej. Ojciec jego pan Stanisław Zarucki był wziętym lekarzem. Dobiegał już sześćdziesiątki. Całe życie upłynęło mu w wyętej pracy. Młodość miał, jak się to mówi, „po grudzie”. O własnych siłach ukończył ostatnie klasy gimnazjum i Uni-

wersytet. Sam zawsze zapracowany niecierpiał niedo-  
tęgów. Wymówił dom jednemu ze swoich siostrzeń-  
ców, który był od kilku lat bez posady. Przedtem mu  
jednak wyrobił dobre stanowisko. Gdy zacny siostrze-  
niec po tygodniu zajęć zakomunikował wujowi, że nie  
może posady zajmować, gdyż jest dlań nie do zniesie-  
nia słuchanie poleceń p. dyrektora Krętasa, podczas  
gdy jego przodkowie są od setek lat szlachtą —  
dr. Zarucki oświadczył mu, że dla niego są szlachtą  
ludzie pracy a arystokracją — ludzie wielkiej osobistej  
dla kraju zasługi i poprosił siostrzeńca, by ten był ła-  
skaw zapomnieć o łączącym ich pokrewieństwie. Oj-  
ciec Andrzeja pierwsze kroki jako lekarz stawiał na  
prowincji. Choć mu już środki pozwalały urządzić się  
inaczej, osiadł w niewielkiem miasteczku. Z przekonania  
poszedł w lud. Położył wielkie zasługi w tajnej  
pracy oświatowej. Z dawnych lat łączyły go związki  
przyjaźni z szeregiem ludzi, którzy posiadali swoją  
„kartę” w życiu polskiem. Tam gdzie rozpoczynał swą  
pracę, znalazł również doktor żonę. Wtajemniczeni  
jednak mówili, że małżeństwo nie było zbyt szczęśliwe.  
Pani Amelja młodsza od swego męża blisko o dwadzie-  
ścia lat — nie miała zrozumienia dla jego pracy pu-  
blicznej. Jako uboga panna wyszła zamąż pod presją  
rodziny, która widziała w tem małżeństwie znakomitą  
dla niej partję. On — żenił się powodowany szczerem  
uczuciem i mówiąc prawdę, również niezwykłą urodą  
dziewczyny. Urodę tą przekazała następnie pani Ame-  
lja swej córce Izie — jedynej siostrze Andrzeja. Iza,  
młodsza o pięć lat od brata, miała w tym roku zdawać  
maturę.

Pani Amelja była właściwie gościem w domu. Miała  
dwie manje: jedną było organizowanie wszelkiego ro-  
dzaju bali, rautów, wieczorków — i gdyby nie niejed-  
nokrotny sprzeciw męża — obojętnie na jaki cel. Jej  
zasadą było „Carpe Diem”. Póki jeszcze można: ba-  
wić się. Drugą jej manją — była gra w karty. Mogła

nie spać i nie jeść. Grunt mieć piątkę do pokera. Zamówienia pani domu znalazły wyraz w przezwisku danem ulubionemu pieskowi z rasy wilczków. Wabił się „Passe-Parole”.

W tych warunkach jedyną porą, podczas której skupiała się cała rodzina, był obiad.

Gdy Andrzej przyszedł do domu, właśnie zasiadano do stołu. Uściskał tylko siostrę, gdyż z racji bardzo wczesnego wstawania do szkoły — nie widział jej jeszcze.

— Co tam słysząc u pana prezesa? — spytał doktor.

Był dumny z syna.

Teraz, gdy siedzieli obok siebie, rzuciło się w oczy, jak „dalece” Andrzej jest synem swojego ojca. Nic nie przyjął z subtelnej urody matki. Miał to samo, co ojciec, jasne spojrzenie i zlekka orli nos. Nie możnaby było uznać go za przystojnego; ale niktby również nie powiedział, że jest brzydki.

Andrzej pokrótce opowiedział przebieg wydarzeń na Uniwersytecie.

— Ale — rzekł doktor — spotkałem sekretarza Uniwersytetu. Był tydzień temu na waszem walnym zebraniu. Mówił mi, żeś się szalenie złośliwie obszedł z organizacją, jeśli się nie mylę „Pożoga”. Co to było?

— Jeśli cię interesuje — to opowiem (Andrzej z ojcem był na „ty”; do matki zawsze mówił „mamo”). Jest u nas kanapowa grupka „Pożoga”, rodzaj ugrupowania centrowego. Gdy pytałem się jednego z członków o szczegóły ideologii — powiedział, że trudno mu je sprecyzować, ale natomiast organizacja ta może w każdej chwili wystawić kilkunastu dorodnych młodzieńców we frakach. Coś dla ciebie, Izol

— Przykry jesteś, braciszku.

— W takim razie cofam. Nie interesujesz się przystojnymi chłopcami. Otóż na walnym zebraniu miałem wyjątkową okazję, by sprawdzić liczebność „Pożogi”.

Były wybory do Sądu koleżeńskiego, które wymagają dla ważności bezwzględnej większości głosów. Przedstawiciel „Pożogi” przed głosowaniem miał nieostrożność oświadczyć, że jego organizacja wstrzymuje się od głosowania. Zabrałem głos i powiedziałem, że ponieważ statut dla wyborów wymaga bezwzględnej większości, więc zachodzi obawa, że wobec powstrzymania się od głosu członków „Pożogi” kandydatury na członków sądu nie zdobędą wyznaczonej większości. Poprosiłem przewodniczącego, aby wezwał członków „Pożogi” do powstania z miejsc. Tak się stało. No i zgadnijcie, jaki był rezultat: wstały trzy osoby; oczywiście „Pożoga” została wykończona.

— No widzę, żeś ty naprawdę złośliwa bestja.

Gdy obiad się skończył, doktor wstał. Musiał przed godzinami przyjąć odbyć zwykłą drzemkę. Andrzej zabrał swą filiżankę czarnej kawy i udał się do pokoju siostry. Nie było zwyczajem w tym domu dziękować po obiedzie.

W przeciwieństwie do stosunków, jakie się ułożyły między rodzicami — stosunki, łączące rodzeństwo, były niezwykle serdeczne.

Andrzej usiadł w kąciku na głębokim bujającym się fotelu.

— Wolno ci siedzieć, ale nie wolno mówić — zapowiedziała Iza. — Muszę jeszcze dzisiaj zrobić trzy zadania trygonometryczne.

— Ani mru mru.

Andrzej zagłębił się w fotelu. Patrzył na profil siostry, wyraźnie oświetlony promieniami krwawego słońca. Była śliczna urodą rozkwitającej młodości. Błękitne oczy, w których grał słoneczny blask, wyglądały spod wąskich, lecz wyraziście zarysowanych brwi. Blond włosy, niezwykle w tej chwili jasne, jak nakażywała potężna pani moda, krótko przycięte, — okalały jakby aureolą jej twarzączkę.

— Niegdyś musiała być taką mama — myślał Andrzej.

Po chwili przyszła mu na myśl ostatnia „czarna kawa” korporacji „Gdynja”, na której była też i Iza — za specjalnem zezwoleniem ojca. Bardzo dużo tańczył z nią wtedy Jerzy Lando. Andrzej chciał podrażnić siostrę.

— Izuchna, jedno słowo. Przyznaj — podoba ci się Jerzy?

— Jaki znów Jerzy?

— Nie udawaj, że się nie domyślasz. Twój, że tak powiem „tancerz” — Lando.

— Głupi jesteś. Wynoś się. Zdawałoby się, żeś inteligentny, a myślisz, że przed maturą może mnie interesować jakiś tam Jerzy.

— Już mnie niema. Tylko żebym nie zapomniał. Zapisz sobie: od dziś za miesiąc ślub naszego kolegi Ciołka. Pewnie ciebie zaciekawi ceremonjał korporacyjny.

Ostatnie słowa powiedział już na korytarzu, który łączył ich pokoje.

Pokój Andrzeja był niewielki. Rzuciło się w oczy duże biurko i tapczan, pokryty wzorzystą materją. Był to pokój, w którym bystry obserwator mógł łatwo rozpoznać cechy zasadnicze jego mieszkańca. Na ścianach wisiał szereg fotografii z licznych uroczystości akademickich i zjazdów. Pośrodku duża fotografia wielkiego nauczyciela Narodu, który zaprowadził Polskę do stołu zwycięzców w Wersalu. Na środku biurka stał maleńki krzyżyk — ciosany z wielickiej soli. Nad tapczanem, na dywanie skrzyżowane rapiry i zniszczony dekiel o barwach korporacji „Gdynja”.

Andrzeja oczekiwała nudna praca. Miał do podpisania sto legitymacyj członkowskich „Bratniaka”.

Gdy wykonał już połowę pracy, do pokoju weszła służąca.

— Telefon do pana; już przełączony.

Andrzej podniósł słuchawkę. Mówił Reliński. Prosił o przybycie za trzy dni na zebranie sekcji ideowej „Związku Narodowców”. Andrzej przejrzał kalendarz terminowy bieżącego tygodnia. Teraz po wpisaniu tego terminu pozostawał mu w całym tygodniu tylko jeden wieczór wolny od posiedzeń. Z zadowoleniem stwierdził, że jest to dzień jubileuszu chluby aktorstwa polskiego. Oddawna bowiem już sobie obiecywał, że weźmie udział w tej uroczystości; teraz, gdy był oficjalnym przywódcą młodzieży, stawało się to poniekąd obowiązkiem.

#### IV.

Rektor Jan Czesławowicz pracował w swym gabinecie.

Gabinet tchnął powagą. Naokoło pięknie rzeźbionego biurka stały półkolem krzesła stylowe, kryte czerwonym aksamitem; kilka foteli stało po rogach pokoju. Na środku ściany naprzeciw biurka wisiał wielki olejny portret pierwszego rektora\*) odrodzonej wszechnicy. Gabinet był bardzo widny. Promienie słoneczne grały blaskiem na lśniącej posadzce i na rzeźbach mebli.

Zlekka zastukano do drzwi wejściowych.

Wszedł wysoki, dość tęgi, nienagannie ubrany pan.

— Kilka papierów do podpisu, panie rektorze.

Był to sekretarz Uniwersytetu.

— Nie wie pan przypadkiem, panie sekretarzu, jaki jest wynik wczorajszych wyborów akademickich?

— Związek Narodowców zdobył  $\frac{3}{4}$  mandatów.

— Dziś o godz. 1 pp. przychodzą panowie członkowie zarządu „Bratniej Pomocy” — mówił rektor, podpisując papiery. — Co się tyczy prezesa Zaruckiego, to będę go zawsze przyjmował poza kolejką

---

\*) Pierwszym rektorem był ś. p. Józef Brudziński.

interesantów, bez uprzedniego meldowania; taksamo, jak jego poprzednika.

Sekretarz opuścił pokój.

Rektor zamyślił się. Co ma powiedzieć w tej krótkiej rozmowie przedstawicielom młodzieży? Podniósł głowę znad biurka i wzrok jego padł na portret poprzednika, który zwykł był mawiać o studentach: „orleża moje”. Czestawowicz rozumiał, że stanowisko jego jest trudniejsze, niż w okresie pierwszego rektora. Wtedy Uniwersytet dopiero się tworzył — w atmosferze entuzjazmu. Był entuzjazm pierwszych dni odrodzonej wszechnicy. Od tego czasu minął szereg lat.

Tocząca się w społeczeństwie walka ideowa pomiędzy ugrupowaniami umiarkowanymi a napoty poufnym „Związkiem życzliwych braci” nie omijała bram Uniwersytetu. Znalazła ona silny oddźwięk wśród organizacji studenckich, a trochę tuszowane echo w gronie wykładowców.

Ale i wśród profesorów zdarzały się jaskrawsze wystąpienia w życiu uczelni. Niedawno wywołał duże poruszenie fakt usunięcia w jednej z sal seminaryjnych krzyża przez prowadzącego seminarjum — prof. Maciejewicza, co do którego wieść głosiła, że był jednym z filarów „życzliwych braci”. To wszystko sprawiało, że rola rektora nie była łatwa. Dzięki jednak taktowi jego wszystkie tryby wielkiej maszyny uczelnianej funkcjonowały bez zarzutu.

Stylowy zegar wydzwaniał godzinę pierwszą, gdy sekretarz zameldował, że zarząd „Bratniej Pomocy” przyszedł się zaprezentować rektorowi.

Zarucki kolejno przedstawiał Magnificencji kolegów.

Rektor szerokim gestem wskazał studentom fotele.

— Wszyscy panowie zapewne prawnicy. To już tak się dzieje, że przeważnie z wydziału prawa rekrutują się działacze samopomocowi. Wiem doskonale, jaka panów czeka praca i jak odpowiedzialna. Sami pano-

wie rozumieją, że okres wyborów studenckich trochę wpływa na normalny bieg życia uczelni. No, ale już jest to poza wami. Mam bardzo miłe wspomnienie z pracy z poprzednim zarządem „Bratniej Pomocy”. Wierzę, że taksamo ułożą się stosunki z panami.

Zarucki zrozumiał, iż jest to chwila, w której musi zabrać głos w imieniu kolegów. Odczuwał lekką treść.

— Mogę zapewnić Magnificencję, że ja i moi koledzy dołożymy wszelkich starań, aby zwykle towarzysząca wyborom pewna atmosfera podniecenia umysłów rychło minęła. Co do nas, tu obecnych, to rozumiemy, że mamy przed sobą jedynie pracę dla poprawienia bytu szerokich rzesz kolegów. Wszelka polityka zakończyła się wraz z wyborami.

— Otóż to, otóż to — przytaknął rektor.

— Pragnę jeszcze poprosić pana Rektora w imieniu walnego zebrania „Bratniej Pomocy” o przyjęcie godności honorowego opiekuna naszego Towarzystwa.

— Przyjmuję i dziękuję. Oczywiście na czas rektoratu.

Postuchanie było skończone.

Wszyscy koledzy udali się do lokalu „Bratniaka”.

„Bratnia Pomoc” zajmowała szereg dość widnych pokojów, w których mieściły się agendy T-wa. Stosunkowo największy pokój, przedzielony balustradą, oddzielającą pracujących kolegów od interesantów, zajmował sekretarjat generalny. Obwieszczał o tem szeroki plakat, zawieszony pod sufitem. Ściany były obwieszane komunikatami, ogłaszającymi nazwiska nowoprzyjętych członków, dyżury, rezultaty załatwionych podań i t. d.

Rządził tutaj niepodzielnie szczupły blondyn o wysoko zaczesanych włosach i zlekka zaczerwienionych oczach, Zygmunt Łukocz, z racji piastowanej godności, przezywany przez kolegów „generalnym”. Od chwili objęcia urzędowania siedział kamieniem w lokalu i, o ile nie załatwiał interesantów, wystukiwał na maszynie



nie. Nie przeszkadzało mu to we flircie, a jak głośna fama, nawet ułatwiało. Jak nasze praprababki, przędząc przy kołowrotkach i mając „oparcie” dla oczu, wiodły dysputy z młodymi — tak „generalny”, pisząc na maszynie, flirtował z koleżankami...

I teraz, przyszedłszy do swego biura, odrazu zaczął „stukać”.

W następnych pokojach mieściły się: sekcja wydawnicza, kasa, sekcja kwalifikacyjna i biuro pośrednictwa pracy. Na końcu amfilady znajdował się niewielki pokój z napisem na drzwiach: „Prezydjum T-wa”. Tu było miejsce pracy Andrzeja.

Ponad prostym dębowym biurkiem wisiał duży litograficzny wizerunek Prezydenta Rzeczypospolitej. Na ścianach obok siebie fotografie wszystkich dotychczasowych zarządów „Bratniaka”. W głębi, pod ścianą, pianino, na którym stała oparta spora fotografia pierwszego rektora. Obok pianina — otomana.

Pierwsze dni pracy przekonały Andrzeja, jak wielką przyjął na siebie odpowiedzialność. Nie była mu pierwszą pracą publiczną. Ale żadnego z jego dotychczasowych stanowisk w życiu akademickim nie można było porównać z przewodnictwem nad wielką pięciotysięczną organizacją.

Andrzej czuł się w swoim żywiole, nie znosił bowiem pracy nieodpowiedzialnej. Po raz pierwszy jednak dopiero tutaj poczęto przemawiać do niego życie ze wszystkimi swymi niedolami. Nigdy przedtem nie przypuszczał, że aż taka jest bieda w życiu akademickim. Widział troskę, malującą się na twarzach kolegów, którzy zapisywali się do długiej kolejki kandydatów na posady, bądź prosili o pożyczkę, bądź z drzeniem oczekiwali kwalifikacji na prawo zamieszkania w domu akademickim.

Była wśród studenterji wielka bieda, a również wielkie poczucie godności osobistej.

Andrzej zaprzysiągł sobie w duszy wierną służbę kolegom. Sam dość zamożny, uważał za rzecz słuszną płacić publiczną pracą daninę swemu społeczeństwu.

Zastanawiał się właśnie nad najwłaściwszym podziałem agend Towarzystwa, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Błoński. Równocześnie dobiegł go głośny śmiech z sekretariatu.

— Cóż to tam się dzieje? — spytał Błońskiego.

— Nic specjalnego. Dwie koleżanki przyszły zapisać się na członkinie. No, i jak się już domyślasz, „generalny” się rozgadał. Ale muszę ci powiedzieć, że jedna z nich — to naprawdę wysoka klasa. Jak się widzi takie członkinie, to się dopiero zyskuje szacunek dla pana prezesa Zaruckiego — pokpiwał.

— Ponieważ urzędowanie już zakończone, więc, o ile masz ochotę, to sobie trochę pobrzdkaj na pianinie. Ja zaraz wrócę. Pójdę „na inspekcję” do sekretariatu. Zaostrzyłeś moją ciekawość.

Głosy lekko ścichły, gdy Andrzej wszedł do pokoju. Obok balustrady stały dwie studentki. Ale on od pierwszej chwili widział tylko jedną — wysoką, radosną dziewczynę o ślicznej karnacji. Miała na sobie czapkę z białym sznurkiem — oznaką wydziału lekarskiego. Od chwili, gdy ją zobaczył, on, który nie odczuwał tremy, przemawiając na akademickich zjazdach, stracił pewność siebie. Trochę niezgrabnie podszedł do stołu, gdzie stała kartoteka członkowska i zaczął ją przeglądać.

Po chwili odezwał się:

— Słyszałem, że państwo rozmawiali. Przykro mi, że moje zjawienie się zgasiło humory. Słuchaj, „generalny”. Jeżeli ci to nie przeszkadza w urzędowaniu, a panie pozwolą, to może zechcesz mnie przedstawić.

— Panie pozwolą — rzekł, wstając łukocz. — Kolega prezes Zarucki.

— Lachowiczówna — przedstawiła się, wyraźnie wymawiając nazwisko piękna medyczka.

— ...rożkiewiczówna — usłyszał Andrzej od drugiej koleżanki, na którą dopiero teraz był zmuszony zwrócić uwagę. Była niska i gruba o podługowatej głowie.

— „Zupełne jajo” — pomyślał Andrzej.

Nierówno wyposażyła natura te dziewczęta. Lachowiczówna była uosobieniem dziewczęcego czaru, o czym zdawała się wiedzieć. Ta druga przy niej nie istniała. Nie było jej.

Pomimo to pierwsze słowa zwrócił Andrzej właśnie do niej.

— Panią mam zaszczyt dawno znać z widzenia. Ale pani koleżanka jest chyba tutaj po raz pierwszy?

Trochę się przeląkł, czy nie odezwał się zbyt naiwnie. Wyraźnie przecież dawał tej ślicznej dziewczynie do zrozumienia, że gdyby widział „taką” jak ona, to musiałby o tem pamiętać.

— Nie mylicie się, kolego. To moja zasługa, że sprowadziłam Zochę. Tłumaczyłam, że nie wolno nie należeć do „Bratniaka”. No, i dopięłam swego. Należy mi się podziękowanie? — spytała.

— Wielkie moje podziękowanie — odparł z ukłonem Andrzej i z wdzięcznością spojrział na niepozorne „jajo”.

Równocześnie zrobiło mu się trochę przykro.

Lecz gdy ogarnął spojrzeniem Lachowiczównę, jej wspaniałe oczy jak i prześlicznie rzeźbione rysy, poczuł się pod nieprzewartą mocą jej uroku.

Olbrzymiała w nim świadomość:

— To przecież musi być moja dziewczyna!

Było mu dziwnie nieswojo. Rozumiał, że w tej chwili nie jest panem własnej woli. Bojąc się, że może zrobić złe wrażenie, złożył paniom ukłon, może zbyt głęboki, i wrócił do swego pokoju.

— No i cóż, stary grzeszniku? — spytał Błoński.

Andrzej zamknął drzwi.

— Słuchaj, Zygmunt, trudno mi powiedzieć, co się stało. Ale zrozum: w i e m, że stała się wielka rzecz... Ta wiadomość tylko dla ciebie: spotkałem kogoś, kogo zdaje się oddawna szukałem. Słuchaj, stary. Jestem chińskim mandarynem, jeśli nie zawrócę głowy tej dziewczynie.

Te ostatnie słowa powiedział już ze zwykłym sobie, znanym wszystkim kolegom uśmiechem.

## V.

To, co Andrzej powiedział Błońskiemu, że stała się „wielka rzecz”, było dokładnem odbiciem prawdy. Od-tąd najważniejszą dla niego sprawą osobistą było, kiedy znowu ujrzy Lachowicównę. Kiedy mu się to uda? Miał głowę pełną pierwszego ich „spotkania”.

Andrzej miał dwadzieścia trzy lata i można rzec, że nie spotkał dotąd żadnej dziewczyny, któraby go zainteresowała głębiej. Miał szereg przelotnych flirtów, bo któryż student ich nie ma. Był wprawdzie jeden wyjątek. Jeszcze jako ośmioklasista poznał młodszą pensjonarkę Halszkę Erwin, córkę znakomitego malarza, śliczną jak róża, które z artyzmem malował jej ojciec. Był to jednak najczystszy sztubacki „platon”, jak sam Andrzej później to określał. Rozmawiali bowiem ze sobą dwa, czy trzy razy i tyleż razy widział ją następnie zdaleka na ulicy. Kochał się wtedy tak, jak tylko uczeń kochać się potrafi. Potem pochłonęła go matura, a Halszka, jak się dowiedział, opuściła Warszawę i przeniósła się do innego miasta. Minęły lata i czas zatął wspomnienia.

Od tego czasu nie było „nic”. A w najtajniejszych myślach Andrzeja męczyły go te przydługie „wakacje”. I wreszcie teraz spotkał dziewczynę, z którą pierwsza rozmowa zrobiła na nim takie samo wrażenie, jak ongiś pierwsza rozmowa z Halszką. Tylko tyle, że dawniej był przecież jeszcze dzieciakiem, teraz już jest doj-

rzałym młodzieńcem. No, i nie ma już przed sobą matury. Znajdzie czas...

Jasną było dla niego rzeczą, że jeśli Lachowiczówna istotnie uczęszcza na Uniwersytet — to wcześniej, czy później ją spotka. I los mu sprzyjał.

W dwa dni później po wykładzie ekonomji (na którą zawsze uczęszczał, pociągany świetną polszczyzną profesora) wstąpił do uniwersyteckiego bufetu, mieszczącego się na parterze w głównym gmachu.

Bufet ten grał nie byle jaką rolę w życiu akademickim. Czynni działacze akademicy często odbywali tutaj swoje narady. Tutaj zawierano „sojusze” i „kompromisy”. Niejedna prezesura akademicka wpływała... z bufetu. Dookoła, rzędem obok siebie, wisiały kwadratowe czarne tablice rozlicznych organizacji akademickich z komunikatami, ogłaszającymi skład prezydjiów, zmiany personalne, nazwiska nowych członków, tytuły referatów, wygłaszanych na zebraniach — istna kopalnia wiadomości.

Kotłowało się tu również od plotek. Nadobne koleżanki z zapałem nicowały swoich kolegów i siebie nawzajem.

W godzinie przedpołudniowej było tu zawsze tłoczno.

Andrzej był zbyt popularny, żeby jego pojawienie się nie wywołało uwag.

— Pi... Taki szczipły. Wcale nie wygląda na prezesa — szczebiotata jakaś koleżanka o obfitych kształtach.

Za ladą bufetu urzędowały dwie sympatyczne panie Porajskie. Andrzej przywitał się z niemi. Bufet podlegał sekcji gospodarczej „Bratniaka”, i Andrzej po wyborze przedstawił się paniom Porajskim. Przywitały go uśmiechem.

— Dzieńdobry panu prezesowi. Czem możemy służyć? Mamy świetne paszteciki.



Andrzej wziął szklanekę herbaty i usiadł przy stole. W rogu sali pod oknem zobaczył Haneczkę Czestawowiczównę z Władkiem Delfi. Kiedy indziejby się do nich przysiadł. Dziś był wyrozumiały. Nie należy im przeszkadzać. „Są młodzi — niech się Kochają” — myślał z uśmiechem. Wziął do ręki jeden z dzienników. Zaczynał właśnie czytać „Nowy proces króla Władysława V-go” — gdy weszła do bufetu Lachowiczówna.

Zerwał się z miejsca, jakgdyby ujrzał conajmniej rektora.

— Jak to dobrze, że pan jest. Szukam pana — witała się.

Andrzej osłupiał.

— Co za szczęście — wyrwało mu się.

Obtók różowy ukazał się na twarzy Zochy.

— Niech pan sobie wyobrazi, chcę jutro wyjechać do mojej ciotki na święta. Przyszłam do sekretariatu, żeby dostać zniżkę kolejową. Ale przed okienkiem jest taki ogonek, że mowy niema. Pomyślałam sobie wtedy o panu. Może mi pan coś pomoże...

Postała mu najmiłszy ze swoich uśmiechów.

— A ma pani legitymację studencką?

— Oto jest.

— Zechce pani chwilkę zaczekać. Postaram się sprawę załatwić.

Odszedł, wrócił jednak od wejścia.

— Jedno słówko. Proszę mi wybaczyć. Jeśli pomyślnie załatwię — będzie mi wolno prosić o nagrodę?

— O cóż chodzi? — spytała zaintrygowana.

— O pozwolenie odprowadzenia pani do domu.

Zmieszała się. Musiała w jego oczach dojrzeć słońce.

— Okropny z pana człowiek. Ale cóż robić, muszę się zgodzić.

Na korytarzu Andrzej otworzył legitymację Lachowiczówny.

Spojrzała na niego z fotografii jej śliczna twarzyczka. Załopotało mu serce.

W pokoju sekretarjatu tłok... Ogonek sprzed okienka „zakręcał” się aż na korytarz. Andrzej zastukał do matowych drzwi. Po chwili otworzono je. Udał się prosto do zastępcy sekretarza, wiedząc, że ten obdarza go sympatją.

— Panie sekretarzu, łaski. Królestwo za przysługę!

— Niech prezes siada. O co chodzi?

Andrzej wyłuszczył swoją prośbę. Sekretarz wziął do ręki legitymację Lachowiczówny. Spojrzał na fotografię. Uśmiechnął się jak satyr.

— Rozumiem. Niechno prezes chwilkę zaczeka.

Po pięciu minutach wrócił, niosąc dokument, za który Andrzej ofiarowywał królestwo.

— Serdeczne dzięki panu sekretarzowi.

Andrzej, wchodząc do bufetu, zwycięsko powiewał kartką.

— Już jest? Jaki pan dobry. Ale śpieszę się do domu. Jeśli pan więc chce tej... nagrody, to musi pan już ze mną iść.

Andrzej zapłacił, pozostawiając niedopitą herbatę.

Gdy weszli do szatni i ubierał się, Zocha patrzyła na niego spod oka. Uśmieшек igrał w kąci-  
kach jej ust. Miała już tyle ofiar... Ale musiała przyznać, że ten chłopak zaciekał ją.

— Interesujący — myślała.

Wychodzili na dziedziniec Uniwersytetu.

— Pozwoli pani — mówił Andrzej — że pójdziemy koło „Bratniej Pomocy”. Muszę wstąpić na chwilę. Zaczeka pani niedłuziej jak pół minuty. Dobrze?

Andrzej wstąpił do biura, by udzielić wskazówek Łukoczowi co do załatwienia dwóch interesantów.

— Jak tam pani medycyna? — rzekł, wróciwszy, aby zacząć rozmowę.

— Niby jestem studentką, a faktycznie nie jestem.

— To znaczy, że pani ma legitymację, ale jest leniuszkiem.

— Niezupelnie. Widzi pan, było wszystko dobrze do pierwszej sekcji. W czasie sekcji dostałam ataku nerwowego, potem nie mogłam spać przez kilka nocy. Miałam okropne wizje. Brr! — wzdrygnęła się. — Na przyszły rok zapiszę się na literaturę.

Milczał.

— Trochę podziwiam pana, ale nie zazdrozczę. Tyle pracy, co pan ma teraz — zwalić sobie na barki! Pan chyba nie ma czasu na żadne rozrywki? A przecież życie takie jest krótkie!

— Stąd wniosek, że trzeba je spędzić rozsądnie. A mojem zdaniem pełne życie męskie powinno mieć dwa oblicza. Jedno — do spraw poważnych, drugie — do zabawy. Żeby pani wiedziała, jak ja się bawić potrafię. Tańczyłbym, och, jakbym tańczył! Zapominam wtedy o wszystkim. Łudzę się, że mi pani kiedy ofiaruje jakiegoś bostona, blues'a lub tango?

— Nic innego pan nie tańczy?

— Jeśli mam mówić prawdę — to nie.

— No to pod tym względem mamy wspólny gust. Niecierpię tych wszystkich afrykańskich trzęsionek.

Przez chwilę szli oboje, milcząc. On cieszył się prosto jej obecnością. Mógłby tak iść godzinami. Z przyjemnością zauważył, że przykuwała wzrok wielu przechodzących mężczyzn. Miała urodę, zwracającą uwagę, ale nie „krzykliwą”.

Andrzej zastanawiał się, czy nie należy poprosić o pozwolenie złożenia jej wizyty. Doszedł jednak do wniosku, że byłoby to przedwczesne.

Błysła mu myśl.

— Wobec tego, że nie ma pani żadnych zajęć na Uniwersytecie, to jakby pani przyjęła propozycję pracownia u nas w „Bratniaku”?



Widyaliby się wtedy codziennie... Jaka pyszna idea...

— Nie uda się to panu prezesowi. Tego rodzaju zajęcie mnie nie zajmuje. Poza tem przypomina mi się historia jednej mojej koleżanki.

— Cóż takiego?

— Opowiem panu. Pracowała w „Bratniaku” za urzędowania pańskiego poprzednika — jeśli się nie mylę, w biurze pośrednictwa pracy. Nagle otrzymuje pismo — podpisane przez prezesa, w którym było napisane mniejwięcej tak: „wobec reorganizacji agendy, w której pracuje Sz. Koleżanka i związanych z tem zmian personalnych uprzejmie komunikujemy, że nie będziemy nadal korzystać z jej usług”. Podziwiałam spokój, z jakim to przyjęła.

— A czy nie zna pani powodów istotnych, które wywołały ten list?

— Mogę panu powiedzieć. Parę razy się spóźniła ponad pięć minut. Dlatego mówię „pięć minut”, ponieważ był zwyczaj, że w pięć minut po godzinie wyznaczonej na początku urzędowania — sekretarz zabierał listę obecności — no i parę razy zabrakło nazwiska mojej koleżanki. Mogłoby mnie spotkać to samo. Nie chcę. A nie wiem, czy pan wie, że przez ten krótki czas od swego wyboru — zdobył pan już sobie opinię bardzo srogiego.

— A to ciekawe.

Postanowił zmienić temat.

Wyjeżdżała. Chciał zdobyć informacje — gdzie ją będzie można spotkać po świątach.

— Nie ma pani już czego przypadkiem na uwadze w karnawale zielonym?

Przechodzili jednak w tej chwili przez jezdnię i nie dostał odpowiedzi, bo znaleźli się odrazu przed bramą domu, gdzie mieszkała.

— Tu mieszkam — rzekła. — Niezbyt daleka była droga.

— Istotnie — bąknął trochę zaskoczony niespodziewanem rozstaniem, gdyż chciał jeszcze o wiele rzeczy spytać. Mieszkała stanowczo za blisko.

— Dziękuję za protekcję i dowidzenia.

Wyciągnęła rękę... On ujął jej rasową dłoń i ucałował. Poczut, że lekko zadrżała.

— Jutro pani już wyjeżdża. A zatem — szczęśliwej podróży i wesołych świąt.

— Dla pana też.

Po chwili znikła w bramie. Odprowadził spojrzeniem jej smukłą sylwetkę.

Wolnym krokiem wracał do domu.

Przyszedł mu na myśl refren ze znanej sztuki teatralnej Katerwy:

— „Nic niema dziwniejszego w życiu nad spotkanie; niema rzeczy ważniejszej, a zarazem bardziej nieprzewidzianej...”

Z mroków nieznanego wychodziła mu naprzeciw jego pierwsza miłość.

## VI.

Reliński pracował w redakcji.

Korzystając z nieobecności redaktora naczelnego, zamknął się w jego gabinecie, poleciwszy przedtem, aby mu nikt nie przeszkadzał.

Wyłączył również kontakt telefoniczny. Chciał mieć zupełny spokój, żeby dokładnie rozplanować materiał swego referatu, który miał dziś wygłosić na zebraniu sekcji ideowej „Związku Narodowców”. Dzielito go jeszcze kilka godzin od zebrania, a był gruntownym znawcą kwestji, o której miał mówić. Przemawiał niezbyt często i wystąpienia jego publiczne stanowiły wśród poważnie myślącego odłamu studentów pewnego rodzaju „wydarzenie”. Teraz miał mówić o kwestji żydowskiej wogóle i o jej znaczeniu dla polityki polskiej.

Zagłębił się w fotelu. Objął myślą wydarzenia ostatnich lat. Należał do pierwszego pokolenia, które wstąpiło na odrodzony Uniwersytet. Ileż głębokich przeszło zmian od tamtych czasów! Uniwersytet rozpoczął działalność za okupacji niemieckiej. Generał-gubernator von Beseler, zdobywca Antwerpii, mieszkał na zamku polskich królów. Wśród studentów ogromna większość wyznawała wtedy poglądy lewicowe. Pamiętał dokładnie wielkie zebranie\*) w auli Uniwersytetu, po akcie „5 listopada”, proklamującym niepodległość małej Polski z łaski państw centralnych. Zaprotestował wtedy przeciwko wysyłaniu delegacji akademickiej do Beselera. Myślących tak jak on było wtedy tylko kilkunastu kolegów. Oświadczyli, że Polska jako państwo, zdolne do życia naprawdę niepodległego, Polska z Krakowem, Poznaniem i dostępem do morza — może powstać tylko na gruzach potęgi Niemiec. Zaś akt 5 listopada jest tylko surogatem niepodległości — ochłapem rzuconym przez odwiecznego wroga Polski — Niemca, zmuszonego do pozornych ustępstw rozwojem wypadków politycznych i wojennych.

Obecnie grupka kilkunastu studentów, którzy ongiś manifestowali przeciw Beselerowi, wzrosła w potężną organizację, która niepodzielnie zapanowała nad życiem akademickim w Polsce. Ideologia „Związku Narodowców” objęła rząd dusz wśród ogromnej większości młodzieży akademickiej. Jej zwarty i wyraźny program obejmował zwycięsko coraz szersze kręgi. „Związek Narodowców” rozporządzał bezwzględną większością na wszystkich zjazdach.

Kwestją, która od pierwszych chwil była wysunięta przez „Związek Narodowców”, była sprawa żydowska. Narzucał ją z całą bezwzględnością układ stosunków polskich. Stąd organizacja ta, czując bezpośredni związek ze wszystkim, co dotyczyło najistotniejszych spraw

---

\*) autentyczne.

Narodu — musiała podnieść sprawę żydowską i wysunąć ją na jedno z pierwszych miejsc w swych rozważaniach programowych. Działalność „Związku Narodowców” dała wyniki, głęboko sięgające w życie akademickie. Z biegiem lat żydzi zostali usunięci poza nawias polskich organizacyj akademickich. Zostali zmuszeni do stworzenia oddzielnych zrzeszeń żydowskich.

Osiągnięto w ten sposób pierwszy postulat, przewidujący dla żydów na wyższych uczelniach rodzaj ghetta.

Drugim postulatem, który wysuwał obecnie „Związek Narodowców”, było sprowadzenie liczebności owego „ghetta” do cyfry, odpowiadającej procentowo ilości żydów w państwie. Określano to krótko słowami „numerus clausus”.

Reliński należał do grona ludzi, którzy dokładnie oceniali rzeczywistość. Wiedział, że byłoby absurdem wymagać od żydów, aby pracowali dla wielkości Polski. Rozumiał posunięcia polityczne żydostwa, głośno przyznającego się, że prowadzi w Polsce własną politykę narodową. Ponieważ nie miał nic w sobie z idącego dobrodusznie na rzeź barana, stawił sobie za cel szerzenie wśród ogółu akademickiego tej prawdy, że rozwój wypadków zmusza społeczeństwo polskie do samoobrony przed zupełnym opanowaniem życia polskiego przez żydostwo. To było tematem dzisiejszego referatu. Dał mu tytuł: „Sprawa najważniejsza”.

Był cały pogrążony w swoich rozważaniach, gdy dobiegł go hałas z ulicy. Otworzył okno. Do pokoju wpadł strumień świeżego, orzeźwiającego powietrza. Dopiero teraz Reliński przekonał się, jak było duszno w gabinecie redakcyjnym. U wylotu ulicy dojrzał przychylną hałas. Dwóch policjantów prowadziło pod rękę wrywającego im się „rycerza ulicy”. Otaczała ich liczna gawiedź.

Poczuł lekki głód. Postanowił posilić się w pobliskiej kawiarni, a następnie podczas spaceru ustalić wytyczne swego przemówienia. Często stosował ten

„system” i uważał, że daje dobre wyniki. Napił się tedy kawy w pobliskiej kawiarni „Ela” i poszedł w kierunku Alei Ujazdowskiej.

Zapadał mrok. Na ulicach płonęły lampy. Lekki podmuch wiatru wydawał się Relińskiemu czemś rozkosznym po zadymionym gabinecie redaktora. Im bliżej, tem rojniejsze wydawały się ulice. Pogoda zachęcała do przechadzki. W Alejach przeważali sztubacy i młode dziewczęta. W drugim rzędzie ławek majaczyły sylwetki przytulonych par.

— Istna „promenada miłości” — myślał Reliński.

Niespełna po kwadransie znalazł się u wejścia do łazienek. Zachęcony myślą, że będzie mógł tutaj równie spokojnie myśleć, jak w lokalu redakcyjnym, — wszedł do parku, gdzie wybrał sobie ustronną ławeczkę. Znajdowała się na podwyższeniu. Za nią, za przegrodą z krzaków rozciągał się obszerny placyk, w słoneczne południe zawsze pełen gwaru dziecięcego. Teraz był pusty. Reliński spędził tutaj z pół godziny.

Było już zupełnie ciemno. Poczut chłód. Miał już wstawać, gdy usłyszał za sobą kilka głosów. Jakaś siła przykuła go do miejsca. Zdaleka równocześnie zabrzmiała trąbka stróża parkowego. Na placyku, za plecami Relińskiego rozmawiało kilku mężczyzn. Zdawało mu się, że głos jednego z nich jest mu znajomy.

— Siadajcie. O tej porze wyrzucają już wszystkich z parku. Nikt nie będzie nam tutaj przeszkadzał. Możemy spokojnie rozmawiać.

— Licho nas skusiło, żeby tutaj przychodzić. Mogłeś nas, „piskorz”, zaprosić do siebie.

— Stało się. Im prędzej ustalimy to, co wam opowiem, tem wcześniej wyjdziemy. A więc słuchajcie...

Zapanowała cisza. Poczem ten sam głos mówił:

— Ostatnie wybory uniwersyteckie wykazały dobitnie, że nasz stan posiadania na terenie najważniej-

szej uczelni — możemy określić słowem: nędza. Władze organizacyjne poleciły mi, że mamy wyczerpać wszystkie środki, aby zmienić obecny stan rzeczy. Musimy za wszelką cenę wyjść z impasu. Doskonale wiem, co każdy z was w tej chwili myśli...

— Że nasze postulaty ideowe muszą być wyraźnie sprecyzowane. Dopóki nasza ideologia będzie mętna, nie ruszymy z miejsca — dokończył głos inny.

— Otóż to — ciągnął poprzedni głos „piskorza”. — Niestety, pod tym względem nie mogę wam powiedzieć nic pomyślnego. Czynniki decydujące nie pozwoliły jeszcze postanowień! Skoro jednak nie możemy myśleć o wzroście naszych sił bezpośrednio, musimy starać się zbliżyć do postawionego nam celu przez osłabienie sił przeciwnika. Teraz wam wyjaśnię dzisiejszą naszą konferencję.

Debata nieznanych panów stawała się dla Relińskiego coraz bardziej interesującą.

— Opracowałem plan akcji dywersyjnej, który kierownictwo zatwierdziło — mówił ten sam mówca, widocznie zwierzchnik rozmawiających. — Wobec tego podam go wam pokrótce do wiadomości.

— Zamieniam się cały w słuch — powiedział ten sam, w którego głosie brzmiała uprzednio nuta krytycyzmu.

— A zatem postanowiono uderzyć w korporacje. Ciekawa rzecz, że nasi przeciwnicy nie doceniają tego, jaką rolę w rozwoju ich ruchu odegrały korporacje. My o tem jednak wiemy dobrze. Aby cel osiągnąć, musimy w korporacjach wywołać ferment ideowy, przytem taki, któryby miał szanse wywołania rozłamu w bloku korporacyjnym. W niektórych korporacjach mamy swoich ludzi. Otrzymają oni polecenie forsovania idei monarchicznej jako zasadniczego założenia programowego. Nastąpi to równocześnie w kilku korporacjach. Jest to akcja obliczona na dalszą metę. Na-

razie chodzi o zrobienie wyłomu. Gdy kilka korporacji określi się jako monarchiczne, wyłoni się kwestja ich secesji, a następnie już sprawą naszego sprytu będzie zaszczerpienie noworodkowi naszych soków ideowych; okaże się, że monarchiczne idee i tak zwany nacjonalizm integralny — to mogą być rzeczy zupełnie różne. Z natury rzeczy przynajmniej jedna z korporacji, będących przedmiotem naszego eksperymentu, musi być organizacją otoczoną autorytetem. Im będzie większy jej autorytet, tem większy wynik da nasza akcja. Ustalono, że tą korporacją będzie „Gdynja”.

— No, no. Wspaniały plan, tylko, zdaje się, niewykonalny.

— Tylko, drodzy, bez pesymizmu. Mam tam kogoś, kto, zdaje się, dorósł do roli. A jak zatrzęszczy organizacja, w której jest taki „fisz” jak Andrzej Zarrucki, to dopiero będzie huczek. Kogo mam w „Gdynji” — nie powiem. Dowiedzie się o tem — już po wszystkim. Dziś was zapoznałem w ogólnych zarysach z planem akcji. Każdy z was zechce pomyśleć, czy nie ma jakiego „naszego” studenta, któregooby można wprowadzić do „Gdynji”. Potrzeba kilku. Osoba, o której wam mówiłem, postara się o podpisy członków wprowadzających. Wszystko już obmyśliłem. Najdalej za tydzień oczekuję od was sprawozdań. Musimy już wychodzić.

A teraz rozległ się głos uprzedniego krytyka.

— Skoro już nie jesteś władzą — tylko zwyczajnym „piskorzem”, to dodam, że trzeba było naprawdę upaść na głowę, żeby nas tu oprowadzać.

Reliński usłyszał oddalające się kroki. Po chwili sam opuścił swoją ławeczkę. W świetle lampy zobaczył, że jest już za kwadrans ósma, a zebranie było naznaczone na ósmą.

Musiał się śpieszyć.

## VII.

Jurek Lando stał przed stołem w swym niewielkim pokoiku i obracał w rękach kartkę... Kilkakrotnie przeczytał jej treść, która brzmiała:

„Związek Narodowców — stowarzyszenie młodzieży akademickiej zaprasza Sz. Kolegę na zebranie, na którym kol. Jan Reliński wygłosi referat p. t. „Sprawa najważniejsza”.

Pójść czy nie pójść?

Jurek był na pierwszym roku. Obiło mu się już nieraz o uszy nazwisko Relińskiego. Ale cóż to za tytuł „Sprawa najważniejsza”? Pomyślał, że dla niego było obecnie najważniejszą sprawą podobać się dziewczętom. Specjalnie jednej...

I myśli jego pobiegły do Izy Zaruckiej...

Co robi teraz ta śliczna rusalka?

Nazywał ją w myślach „moja piosenka”. Od czasu, jak ją poznał, minęło już parę miesięcy. Poznanie zawdzięczał okoliczności, że Andrzej nowoprzyjętych do korporacji zwykł był wprowadzać do swego domu.

Trochę się wahał Jerzy — przed złożeniem podania o przyjęcie do korporacji. A to z kilku przyczyn.

Gdy wstąpił na Uniwersytet, miał uczucie zdobywcy świata. Matura, ten „papiererek” niezbędny w obecnych czasach, była już zdobyta. Na wykładach — żadnej kontroli, może więc na nie chodzić, lub nie. Otrzymał na pięknym pergaminie zaświadczenie, że „został przyjęty w poczet obywateli akademickich”.

Nie minął jednak tydzień, gdy Jerzy poczuł się na Uniwersytecie sam. Zupełnie sam. Koledzy szkolni gdzieś utonęli w tem akademickim „morzu”. Wtedy przedewszystkiem jego uwagę zwróciły barwne czapki korporacyjne. O korporacjach dochodziły go już liczne wieści, gdy był w szkole. Zazdrościł młodzieńcom ich



barwnych wstążeczek. Myślał, jakie muszą mieć powodzenie u panien. Szczęśliwi.

W korporacji „Gdynja” miał Jerzy starszego od siebie o kilka lat kolegę szkolnego Pokojskiego. Poprosił go o wprowadzenie do korporacji. Pokojski powiedział mu wówczas:

— Nie pójdzie to tak prędko, jak myślisz. Musisz przez dwa miesiące „pogościć”. Jak ci się wszyscy przyjrzą, — dowiesz się od oldermana\*), czy można złożyć podanie o przyjęcie. Tak, braciszku. Nie odrazu Kraków zbudowano. Pamiętam, że byłeś w szkole strasznie „żółty”. Ale jak cię nasz olderman weźmie w obroty, to kto wie...

Jerzy poczuł się tem dotknięty. To dopiero po dwóch miesiącach dowie się, czy „może” złożyć podanie! On, Jerzy Lando, któremu ciotka mówiła, że gdyby w papierach poszukać — to okazałoby się, że Landowie mają prawo do tytułu. Ale cóż zrobić, jeśli inaczej nie można.

I pewnego wieczoru Pokojski wprowadził Jerzego na kwaterę „Gdynji”. Przyjęto go miło, nawet serdecznie.

Spotkał się jednak odrazu z szeregiem niespodzianek. Pierwsza wiadomość była najboleśniej; dowiedział się mianowicie, że w korporacji istnieje t. zw. kontrola studjów. Będą sprawdzać, czy zdaje w terminie egzaminy. A zatem coś, jakgdyby dalszy ciąg szkoły.

Największe jednak na nim wrażenie zrobiło co innego.

W czasie jednej z „kwater” w „komunikatach prezydjum” usłyszał, że do prezydjum wpłynęło „samooskarżenie” kolegi X, które prezydjum przekazuje trybunałowi sądowemu. A zatem, jeśli popełni jakieś uchybienie, ma się sam zaskarżyć! Ma sam być dla

---

\*) Olderman — wychowawca „fuksov”.

siebie prokuratorem! To było zupełnie coś nowego, o czym przedtem nigdy nie słyszał.

Pociągnęła go do korporacji jej strona zewnętrzna. Tymczasem spoza korporacyjnej „barwności” wyjrzała doń głęboka treść duchowa.

Jerzy wyczuł, że w korporacji jest widziany dobrze. Zawdzięczał to przedewszystkiem wyniesionej z domu kulturze. Jego — pociągało to koleżeńskie grono swoim życiem, ale również ogarniał go pewien lęk. Dotychczas żył sobie, trochę jak nieokiełzany żrebak. Jeśli się zdecyduje — to „żrebakowi” nałożą mocną uzdę. Pomimo że instynkt mu mówił, że będzie to dla niego z korzyścią — wahał się.

Nikt nie wiedział o tem, co ostatecznie wpłynęło na jego postanowienie. Oto, będąc na uroczystości otwarcia roku akademickiego, zobaczył wśród obecnych Iżę Zarucką.

Był jeszcze sztubakiem, gdy o nim mówiono, że „co na drodze, to nieprzyjaciel”. Dowiedział się, że ten „nieprzyjaciel” jest siostrą Andrzeja — tego samego, który w korporacji zaskarbił sobie ogólny szacunek. Może przez Andrzeja uda mu się do niej zbliżyć...

Na gruncie korporacji poczuł odrazu „bratnią” duszę w osobie Likowskiego — tego, o którym mówiono, że „lata za dziewczuchami kiej wściekły”. Odrazu do siebie przylgnęli. Iża bowiem, choć bardzo zainteresowała Jerzego, nie przesłoniła mu bynajmniej istnienie innych... Pewne zbliżenie z Iżą dopiero nastąpiło na ostatniej „czarnej kawie” „Gdynji”. Dużo ze sobą tańczyli. Jerzy poczuł wtedy, że ta dziewczyna działa na niego „inaczej”, niż wszystkie dotychczas spotykane. W tem „inaczej” tkwił wielki, nieznanym mu urok. Nazwał ją wtedy w myślach „moja piosenka”.

I teraz, mając w ręku zaproszenie na zebranie „Związku Narodowców”, z tematem „Sprawa najważ-

niejsza" skojarzył... Iżę. Domyślał się, że na odczycie Relińskiego będzie Andrzej Zarucki. Jeśli go Andrzej tam zobaczy — to prawdopodobnie zyska w jego oczach, — w oczach „jej” brata. Postanowił pójść na zebranie.

Nie wiedział, że to właśnie bratu Izy zawdzięczał zaproszenie. Andrzej bowiem chciał zainteresować kolegę sprawami, które dla każdego Polaka powinny być najistotniejsze.

## VIII.

Andrzej przybył na zebranie ze znacznym opóźnieniem. Był to ostatni przedświąteczny dzień normalnych dyżurów „Bratniej Pomocy”, — zgłosiło się więc wielu interesantów, którzy chcieli się rozmówić bezpośrednio z prezesem. Załatwianie spraw zatrzymało Andrzeja do pół do dziewiątej wieczorem. Andrzej był niezadowolony. Podobne uczucia przeżywał z nim jeszcze ktoś inny, mianowicie chłopiec na posyłki, a zarazem woźny, młody wyrostek Walek. Walek uważał, że musi być ostatnim, który opuszcza lokal „Bratniaka”, i poczytałby sobie za ujmę, gdyby za „panem prezesem” nie zamknął drzwi i sam osobiście nie pogasił światła we wszystkich pokojach.

„Związek Narodowców” urządzał zebrania w sali bibliotecznej „Klubu Obywatelskiego”. Z gęsto obwieszonych paltami szatni Andrzej zorientował się, że musi być tłoczno.

Istotnie zebrało się już sto kilkadziesiąt osób — frekwencja stosunkowo duża. Powietrze było gęste od dymu tytoniowego. Wchodzącego Andrzeja nikt nie zauważył z wyjątkiem Jurka Lando, który ustąpił mu swego miejsca. Andrzej spostrzegł kilku działaczy z „Młodzieży Katolickiej”, organizacji o kryterjum wyznaniowym — ideowo bliskiej „Związkowi Narodowców”. Przewodniczył zebraniu kol. Łodzewicz, jeden

z gromadki, która przed laty manifestowała w auli Uniwersytetu przeciw Beselerowi. Za stołem prezydium zasiedli: senator Kazanowski i redaktor Walewski, weterani w pracy politycznej.

Na ścianie ponad stołem prezydium wisiał szeroki transparent z napisem:

„Państwo — narzędziem Narodu”.

Od pierwszej chwili Andrzej wyczuł, że Reliński „panował” nad słuchaczami. Była zupełna cisza. Reliński miał zwyczaj, że pod koniec swego referatu podawał zawsze jeszcze raz jego resumé. Miało to dwa cele: aby główne wytyczne dobrze utkwiły w pamięci słuchaczy, tudzież, żeby spóźnieni mogli objąć całość. Tak było i tym razem.

— Teraz, proszę kolegów — mówił Reliński — przejdę do ujęcia tego, co mówiłem, w pewne punkty. Wyjściem do rozważań nad sprawą żydowską jest fakt, że w Polsce jest największe skupienie żydów w Europie, jak zaznaczyłem, ponad 3 miliony. To sprawia, że warunki bytowania tej gromady żydów, a co za tem idzie, i rozwój stosunków politycznych w Polsce, stanowią ważne zagadnienie dla polityki żydostwa światowego. Badania statystyczne wykazały, że ilość żydów-ortodoksów na świecie ulega znacznej niższe. Żydzi w całym szeregu krajów szybko się asymilują, osłabia się ich poczucie łączności z żydami innych krajów. Również obojętniej religijnie, co posiada znaczenie specjalne, gdyż religja odegrała u nich olbrzymią rolę, jako czynnik jednoczący wszystkich żydów w rozproszeniu. Te względy sprawiają, że dla światowego żydostwa jest kwestją o kapitalnem znaczeniu posiadanie „rezerwoaru”, skąd możnaby czerpać żydów o większem poczuciu „żydowskości”, skądby inni słowy żydzi czerpali soki odżywcze, podtrzymujące egzystencję światowej żydowskiej zbiorowości. W przeciwnym razie mogłoby grozić żydom rozplątanie się w morzu chrześcijańskim. Rolę „rezerwoaru”,

o którym mówiłem, ma spełniać żydostwo w Polsce. „Rezerwoar” ten otoczony jest pieczołowitą opieką międzynarodowych organizacyj żydowskich, które przysyłają środki finansowe na podtrzymanie warstwy drobnych żydków, stanowiących masę ortodoksyjną. W Polsce działa ponad 500 bezprocentowych kas pożyczkowych t. zw. „Gemilut Chasedim”, które mają za cel wspomaganie drobnego żydowskiego kupca i rzemieślnika.

— Jest rzeczą oczywistą, że ogromna, ponad 3-miljonowa masa żydów może się w Polsce dobrze rozwijać jedynie kosztem społeczeństwa rdzennego. W okresie zwiększającego się bezrobocia, dużej podaży rąk do pracy i małego na nie popytu — musi być jasno stwierdzone, że Polskę nie stać na posiadanie 3 milionów żydów, gdyż w Polsce prawo do egzystencji mają przed innymi Polacy. My, akademicy, wysuwamy hasło, że elementem, przeznaczonym w Polsce na wywóz, winni być żydzi. Zmniejszenie się ilości żydów powiększy liczbę miejsc do pracy dla Polaków. W tym stanie rzeczy, w interesie żydów jest, żeby Polska była państwem słabem, by nie miała swobody ruchów w urzędzeniu swych stosunków wewnętrznych i aby była rządzona przez ludzi o słabem poczuciu interesu narodowego. Gdyby zaś miało nastąpić objęcie władzy przez ludzi dobrze rozumiejących interes narodowy polski — to nakazem polityki żydowskiej jest — za wszelką cenę do takich rządów nie dopuścić. To, że Polska winna być państwem słabem — to jest dogmat polityki żydowskiej, na który zgadzają się wszystkie organizacje żydostwa światowego. Rozumiejąc to założenie zasadnicze polityki żydowskiej w sprawach polskich, — możemy dopiero zrozumieć, dlaczego na konferencji pokojowej w Paryżu użyto wszystkich wpływów w celu osłabienia powstającego Państwa Polskiego. Zrozumiałem się również dla nas staje, że celem politycznym penetracji ży-

dowskiej w życie polskie — jest osłabiać wszystko, co stanowi czynnik siły Narodu polskiego, a zatem przede wszystkim wszelkie więzy moralne i religijne. Najogólniej mówiąc — celem polityki żydowskiej w Polsce jest godzić w to wszystko, co wiąże nasz Naród z cywilizacją rzymską. Tu uwidoczni się przed nami w całej pełni olbrzymia rola inteligencji w życiu Narodu. Inteligencja spełnia funkcję mózgu. Ma rolę kierowniczą. Toteż naszym postulatem, od którego nigdy nie odstępimy, jest „*numerus clausus*” dla żydów na wyższych uczelniach. Uważamy, że prawo powinno zagwarantować czysto polski charakter olbrzymiej większości inteligencji w naszym kraju. Jest to bowiem warunek niezbędny dla zrealizowania naszej naczelnej zasady programowej, że gospodarzami w Polsce są Polacy.

Każdy, kto rozumie kwestję żydowską, musi przyjąć, że wskazania polityki żydowskiej w Polsce i wskazania polityki polskiej, zatem polityki, mającej na celu istotną potęgę Państwa Polskiego, są biegunowo sprzeczne. Kwestja żydowska, stawiana tak, jak my ją stawiamy, nie jest żadnym „żydożerczym antysemityzmem”, jak usiłują to nazywać żydzi; jest jedynie i wyłącznie nakazem instynktu samozachowawczego Narodu, który musi usuwać przeszkody, stojące na drodze do jego wielkości. Chcąc uczynić nasz Naród wielkim, musimy unicestwić wpływy żydowskie na nasze życie duchowe.

Ponieważ interesy polityki żydowskiej i polskiej są sprzeczne i zatem od żydów trudno wymagać, by pracowali dla celów politycznych polskich — winniśmy przeprowadzić pozbawienie żydów praw politycznych. To uniemożliwi im wpływ na bieg spraw polskich. Cel ten — wbrew wszelkim przeszkodom, osiągniemy.

— Po tem wszystkim, co powiedziałem, myślę, że koledzy uznają za słuszne, że dałem swemu referatowi tytuł „Sprawa najważniejsza”. Skończyłem.

Rozległy się gromkie oklaski, ruszono z miejsc. Było rzeczą widoczną, że wywody prelegenta zrobiły duże wrażenie. Andrzej podszedł do stołu prezydium i witał się. Reliński powitał go z wyraźnym zadowoleniem.

— Dobrze, że jesteś. Mam do ciebie bardzo ważną sprawę. Najlepiej byłoby, byśmy razem wyszli.

— Będę czekał w hallu.

Andrzej miał teraz możliwość swobodnie rozejrzeć się po sali. Większość znał bądź z widzenia, bądź osobiście. Był to zespół osób, który stale spotykał na wszystkich poważniejszych zebraniach. Spośród „najmłodszych” byli tylko Lando i Władek Delfi. Ten ostatni tym razem bez swej nieodstępnej Haneczki. Andrzej przyjaźnie skinął im ręką.

— Witam kolegę — rzekł do Władka Delfiego. — Jak widzę — dzisiaj kolega samotny. Bez „dalszego ciągu”.

Fuksik się lekko zarumienił.

— Oj, prezesie kochany, ufam, że i na was przyjdzie „kryśka”. A wtedy wybije godzina mojej „zemsty”.

— Czyżby już coś spostrzegli? — przebiegło przez myśl Andrzejowi.

Skierował się do wyjścia. W hallu zastał już ubranego Relińskiego. Gdy wychodzili, minął ich śpiesznie Jurek Lando. Chciał jeszcze zdążyć do kina na ostatni program ze swą ulubioną gwiazdą ekranu.

## IX.

Nadeszły święta. Z korporacyjnej „paczki” tylko jeden Leszek Pliszka wyfrunął. Inni zostawali w Warszawie, nie wyłączając Jurka Lando, którego ciotka hr. Przemska z reguły zapraszała do siebie na wszystkie ferje.

W mieszkaniu doktorostwa Zaruckich był ruch ożywiony. Na obiad byli zaproszeni senator Kazanowski,

przyjaciel pana domu z lat dawnych, tudzież Zygmunt Błoński, którego zaproszenie udało się Andrzejowi wywalczyć wbrew niechęci pani Amelji. Całą winę Zygmunta w oczach doktorowej stanowiło, że był niezamożny i mieszkał w domu akademickim. Pani Amelja pochodziła z zubożałego, a niegdyś zamożnego środowiska. Nosiła w sobie wielki szacunek dla pieniądza i każdego człowieka przedewszystkiem obliczała na gotówkę. Obawiała się, żeby Iza nie zajęła się którym z biednych kolegów Andrzeja, i widziała najlepszą asekurację w zapraszaniu jedynie zamożnych. Jeśli ustąpiła ostatecznie na prośby Andrzeja, to tylko dlatego, że zdawała się spostrzegać u Izy zainteresowanie Jurkiem Lando, który miał opinię zamożnego. Zbliżenie się z Zygmuntem Błońskim, którego wyrazem miało być zaproszenie na świąteczny obiad, nie wydawało jej się aktualnie groźne. Ostatecznie mogła tylko powiedzieć, że nie lubi go, a to było za mało, aby nie zaprosić najbliższego przyjaciela syna, jak go zwykł zwać Andrzej.

Obiad dla pani Amelji zapowiadał się niezbyt interesująco. Zato później mieli przyjść inni koledzy Andrzeja, których „uznawała”, tudzież kilka koleżanek Izy... Atmosfera będzie weselsza. Wreszcie wieczorem zapowiedzieli swą bytność na partyjkę pokera mecenasowa Hetmańska, redaktorowa Żebrowiczowa i młody adwokat Koziółcki, mile widziany w kołach graczy, gdyż grał jak „noga”. Przegrywał z kamiennym spokojem i ulubionym jego przysłowiem było mawiać:

— „Moi klienci złodzieje — mi zwrócą”.

Pani Amelja obliczała, że jak dobrze pójdzie — to przyjęcie nic nie będzie kosztowało. Właśnie oceniała wygląd stołu, nakrytego do obiadu (niczem wódz pole, na którym ma się rozegrać bitwa), gdy rozległ się dzwonek u drzwi frontowych i naszczekiwanie „Passe parole”.



Po chwili do salonu doktor wprowadzał senatora Kazanowskiego. Senator witał po przyjacielsku swą ulubienicę Izę, która wyglądała przemiło w bladoróżowej sukience. Panowie nie zdążyli jeszcze usiąść, gdy wszedł Andrzej z Błońskim; jak okazało się „ukrywał” go do tej chwili w swoim pokoju.

— Bardzo się cieszę z poznania pana — mówił senator Kazanowski przy prezentacji z Błońskim. — Dużo o panu słyszałem.

— Bardzo pan łaskaw — rzekł z niskim ukłonem Zygmunt. Było mu przyjemnie, że słowa te słyszała Iza.

Po chwili był przy niej.

— Pani matura się zbliża. Za niecałe dwa miesiące będzie pani święcić swój triumf. Ośmielam się zaprosić na tę uroczystość. Myślę, że znając moje związki przyjaźni z Andrzejem — wybacza mi pani. A za pół roku będę mógł mówić do pani inaczej niż dzisiaj.

— Jakto? Nie rozumiem.

— To takie proste. Będę mówić do pani: koleżanko.

— Zabawny pan.

— Nie wiem; ale wolałbym, żeby pani naprzykład powiedziała, że jestem nieznośny. Może kiedyś — oczywiście jedynie przez wzgląd na Andrzeja — troszkę mnie pani polubi i wtedy spotka mnie ten awans.

— Już teraz pana awansuję — powiedziała, bo wyczuła w jego ironji, że mu zrobiła przykrość. Choć niebardzo wiedziała czem.

— Ale muszę zrobić jedną uwagę — dodała. — Zmienił się pan.

— Na dobre, czy na złe?

— Przedtem był pan taki poważny. Chciało się niemal mówić do pana — „panie profesorze”. A teraz... Zygmunt się śmiał.

— To znaczy, że jakby odmłodziłem? Nareszcie dobra wiadomość! Ale kto wie, może pani jest bliższa prawdy, niż przypuszcza — rzekł półżartem, półserjo.

Przerwali rozmowę, bo do salonu weszła doktorowa Zarucka, i Błoński się witał.

Przy obiedzie Błońskiego posadzono między rodzeństwem.

Obiad, jak przewidywała pani Amelja, był nudny. Rozmowa, której ośrodkiem był senator Kazanowski, toczyła się o polityce. Zato pani Amelja musiała podać poniekąd rewizji swoje poglądy o mieszkańcach domu akademickiego. Stwierdziła przedewszystkiem, że Błoński „umie” jeść. Myślała, że chociaż sól będzie nabierał z solniczki palcami, ale i tu spotkał ją zawód. Parę razy zauważyła, jak podawał Izie oddalone talerze z przysmakami i jak rozmawiał z nią z całą swobodą. Musiała przyznać, że odbijałby również korzystnie wśród szeregu znanych jej młodych ludzi z „jej” sfery. Gdy obiad się kończył, Błoński awansował w oczach pani Amelji do miana zupełnie kulturalnego człowieka, którego można przyjmować!

Co się tyczy Izy — była zupełnie zadowolona ze swego towarzysza przy stole. Pierwszy raz miała możliwość z nim dłużej rozmawiać.

— Musi być dobrym chłopcem — myślała. — Ale Jurek — ładniejszy.

Porównywała go w myślach z Jerzym Lando.

A Zygmunt myślał, że ta śliczna dziewczyna, którą ma tak blisko, jest od niego bardzo, bardzo oddalona.

...Popołudniu przyjdzie tu szereg kolegów i koleżanek Izy. Będą z nią tańczyć. Jemu wypadnie prawdopodobnie grać w „bridge'a”. Wszystko przez to, że nie tańczy. Chociaż maturę zdał z odznaczeniem i miał już za sobą szereg świetnie zdanych egzaminów prawniczych — miał teraz uczucie zasadniczego braku w swej edukacji.

Przerwał jego rozważania senator Kazanowski.

— Panie Zygmuncie, słyszałem, że z pana dobry brydżysta. Prawda? Jeden z moich przyjaciół powiedziałby, że niepotrzebnie się pytam. A wiedzą państwo dlaczego? Pani domu — rzekł, chyląc głowę w stronę pani Amelji — pozwoli, że opowiem. Otóż przyjaciel mój kiedyś zasięgał u mnie opinii o jednym młodym człowieku. Kiedy powiedziałem wszystko, co mi było wiadome, on mówi: „a czy dobrze gra w bridge'a? Bo jeśli źle, to znaczy, że nie jest inteligentny”. Co na to powie pani domu, znany wróg brydżystów?

— Są gusty i...

— ...guściki — dokończył senator. — Innymi słowy „De gustibus” i t. d. A czy pani wie, kto pierwszy powiedział to przysłowie? Według Henryka Sienkiewicza słowa te należy przypisać rzymskiemu cesarzowi Tyberjuszowi. Gdy mu powiedziano, że żydzi są narodem wybranym — cesarz rzekł z całym spokojem: „De gustibus non est disputandum”, co miało oznaczać, że jego królewska moc Jowisz czy Zeus posiada... guścik.

Wstawano od stołu.

Panowie na czarną kawę i papierosy przeszli do gabinetu doktora.

Senator lubił dobrze zjeść. Ze znanstwem pił czarną kawę z likierem. Dobrze się tu czuł z przyjacielem dawnych lat i młodymi; trzeba dodać, w nieobecności doktorowej. Nie lubił jej.

— No cóż, panowie spychacze? — mówił do Andrzeja i Zygmunta, zagłębiając się w fotelu. — Myślę, że to jest najlepsza nazwa dla was w stosunku do nas starych. Jesteście naszymi spychaczami. Ale muszę przyznać, że znając was, z dużą dozą otuchy spoglądam w przyszłość.

— Od pana senatora słyszę dzisiaj same miłe dla nas rzeczy — rzekł Zygmunt.

— Bo nie mogę, drogi panie, mówić inaczej. Gdybym nie znał waszego poczucia rzeczywistości i dodam — odpowiedzialności, może, mógłbym się o was obawiać, że po waszych powodzeniach, które mi szczerze imponują, — spoczniecie na laurach. Ale wiem, że to wam nie grozi. Powiem wam jeszcze więcej, że patrząc na wyniki waszej działalności, ma się wiarę w jutro. My starzy, — patrząc na was, czerpiemy siły. Jesteście źródłem naszej nieraz zamierającej energii. Ja tam pozwalam sobie otwarcie stwierdzić, że nasza starość nie może podążyć za waszą młodością. Ale wierzcie mi — nie dlatego, żeby jej nie rozumiała, jeno poprostu dlatego, że nie może. I tu tkwi źródło niektórych nieporozumień. Spodziewano się bowiem nieraz więcej, — niż w rezultacie damy.

— Stawiając kropkę nad i — zauważył Andrzej — wynika z wywodów pana senatora, że to, cobym nazwał zmianą w stosunkach polskich — nie nastąpi zdaniem pana za sprawą pańskiej generacji.

— Dotknął pan, panie Andrzeju, niezwykle doniosłej, — powiem, że najdonioślejszej sprawy. Odpowiem panu zwięźle. Tak. Ma pan słuszność. To znaczy, że oceniając spokojnie rozwój stosunków, nie widzimy możliwości głębszych zmian aż do chwili, w której wasze pokolenie dojdzie do lat, kiedy będzie miało kwalifikacje do rządzenia. My starzy, uważam — będziemy mieli jedną wielką pociechę. Że jest ścisła łączność u nas między dawnymi i nowymi laty. Wy wyrosliście z nas. Z Bożą pomocą będziecie zbierać wielki plon. Nie zapominajcie jednak, że pierwsze ziarno rzucali tacy, jak nasz drogi doktor Stanisław i inni. Będziemy żyć w was. I to, mówiąc słowami poety, będzie nasze za grobem zwycięstwo.

Andrzej odwrócił głowę. Choć właściwie nie spodziewał się usłyszeć czego innego — to jednak słowa Kazanowskiego, w których brzmiała rezygnacja ludzi, uważających, że już nic więcej istotnego nie zrobią,

i mających za jedyną pociechę, że byli „pierwszymi siewcami” — zrobili na nim wrażenie. Spojrzał na Zygmunta Błońskiego i wyczuł na jego przeoranem rysą czoła te same myśli.

Zapanowała chwila ciszy, którą przerywało tylko tykanie zegara, dającego znać, że... czas płynie. Przerwał ją doktor Zarucki, który myślał jak młodzi.

— Do grobów jeszcze daleko. Jeszcze niejedna praca nas czeka. Napełnijcie, panowie, kieliszki — to wzniosę toast. A ty mój drogi — rzekł, zwracając się do senatora, — zrób to dla mnie i wstań do tego toastu.

— Ciekawa rzecz co za toast, dla którego ruszasz moje stare kości?

— Za nasze — za życia zwycięstw!

— Brawo, panie doktorze! — zawołał Zygmunt.

Stuknęli się kieliszkami. W oczach Zygmunta doktor wyczytał, że wzniesiony przez niego toast — był toastem młodych.

## X.

Salon doktorostwa Zaruckich był pełen młodych gości. Z kolegów Andrzeja przyszli Szreniawita, Likowski i Lando, który stawił się pierwszy. Były również trzy przyjaciółki Izy, podobnie jak ona, będące w przededniu matury.

Przez uchylone drzwi widać było w gabinecie doktora grających w „bridge'a”. Nikt im nie przeszkadzał. Odważył się na to wprawdzie Szreniawita, ale drogo za to zapłacił. Ledwo przysiadł się do grających, senator spojrzął na niego jak na swego osobistego wroga. Kazik był początkującym brydżystą. Patrzył z zaciekawieniem, jak Błoński rozgrywa. W pewnym momencie — gdy Zygmunt się zastanawiał jak wyjść — uderzył palcem w jedną z kart.

— Jabył tak zagrał.

Senator, dla którego gra w „bridge'a” była pewnego rodzaju obrzędem, a gracze kapłanami, spojrzął na Kazika z uśmiechem.

— Czy szanowny pan zna film pod tytułem „Na gła śmierć kibica”?

Oczywiście Kazik poszedł jak zmyty i ostrzegł resztę towarzystwa, żeby nie wchodziła do „świątyni”.

Andrzej był całkowicie zajęty grą, na którą patrzył jak na pewnego rodzaju sport umysłowy. Nic go do salonu nie ciągnęło. Nie było tam przecież Zochy Lachowiczówny.

Zało spojrzenie Zygmunta często biegło wślad za krokami panny w różowej sukience. Irytowało go, że chodzi za nią jak cień Lando.

Istotnie Jerzy nie odstępował Izy.

— Cóż, panno Izo? Będę mógł z panią zatańczyć? — szeptał do niej, stojąc przy fortepianie i przerzucając nuty.

— Wie pan dobrze, że tak. Mama nam potem zagra, choć dobrze wiem, że samaby z przyjemnością zatańczyła. Bardzo jeszcze lubi taniec.

Do fortepianu podszedł Likowski, o którym wiadano, że dobrze gra. Wziął próbne akordy. Po chwili spod jego palców wybiegła tęskna nuta bostona.

Kazik Szreniawita złożył głęboki ukłon przed panią domu. Niedarmo mu wrócono karierę w dyplomacji. Dobrze wiedział, jak się należy znaleźć. Po chwili przekonał się, że jego postępek nie był wielką ofiarą. Pani Amelja tańczyła dobrze, zupełnie nie ciężąc tancerzowi. W tej chwili robiła wrażenie starszej siostry swej córki.

Jerzy tańczył z Izą.

— Wie pani — mówił — jak patrzę na pani mamę, to myślę, że pani będzie tak wyglądała za dwadzieścia lat. I pani nie będą się imać lata.

Sunęli wolno po wielkim salonie. Przez Izę przechodziło lekkie drżenie. Tak jak Jerzy, będąc przy niej, widział tylko „ją” — tak ona w tańcu była pod zupełną „władzą” tego chłopca.

— Wolę ciebie — myślała, przypominając sobie czynione w czasie obiadu porównania.

Po chwili boston zamilkł. Potoczyła się ogólna rozmowa. Mówiono o stosunkach uniwersyteckich. Panny słuchały z zaciekawieniem. Wszystkie po otrzymaniu matury miały kształcić się dalej na wyższych uczelniach. Rozmowa z natury rzeczy zeszła przede wszystkim na tory zbliżających się egzaminów.

— Najbiedniejszy z nas wszystkich — mówił Szreniawita — jest Jerzy...

Iza spojrzała z zainteresowaniem.

— ...czeka go bowiem przeprawa z „Cezarem”. „Cezar” to profesor, wykładający prawo rzymskie. Ten egzamin to prawdziwa selekcja. Połowa się ścina. Podobne uczucia „rozkoszy” przeżywa się po raz drugi dopiero na czwartym roku na egzaminie z prawa cywilnego. Jeśli panie chcą — to opowiem kilka historii egzaminacyjnych z „Cezarem”.

— Niech pan mówi...

— Zdawał raz pewien oficer. Przyszedł udekorowany orderami, okazało się jednak, że nic nie umiał. „Cezar” go pyta: „Niech mi pan powie, co to jest „pignus”? On nic. Drugie pytanie: „A może pan słyszał, co to takiego było „nexum”? Też niema odpowiedzi... „Cezar” popatrzył na niego i mówi: „Mój drogi panie! I pocóż się pan tak udekorował orderami? To, że pan jest odważny — to mi jest i tak dobrze wiadome, przyszedł pan na egzamin, nie mając o niczem pojęcia”. Nasz kolega wtedy prosi: „Może pan profesor zechce mi zadać jeszcze trzecie pytanie. Ja się naprawdę uczyłem”. Na to „Cezar”: „No dobrze! Niech mi pan wobec tego powie, jaka różnica za-

chodziła pomiędzy „pignus” i „nexum”? Na tem się skończył egzamin. Dla informacji pań „pignus” i „nexum” to były instytucje zastawu w prawie rzymskiem.

Na twarzach słuchaczek malowało się szczere zainteresowanie, połączone z wesołością.

— Ale to wszystko nie jest takie straszne — dodał Kazik. — „Cezar”, o ile się uczyć, nie jest wcale taki groźny. Pozatem wiadomo, że ma złote serce. Kto się wykuje dobrze jego skryptów, ten ma egzamin w kieszeni.

— Niech nam pan jeszcze coś powie o tym „Cezarze” — prosiła jedna.

— Opowiem paniom coś specjalnie dla pań. „Cezar” jest wielkim estetą. Pewno panie wiedzą, że pod koniec każdego semestru trzeba się zgłosić u profesora z indeksem dla poświadczenia, że się uczęszczało na wykłady. Otóż przychodzi raz do „Cezara” bardzo przystojna koleżanka i daje mu indeks. On popatrzył na źle wykonaną fotografię i mówi: „No, trzeba przyznać, że w naturze wygląda pani o wiele lepiej...” Nie trzeba dodawać, że koleżanka spiekła raka. — A teraz opowiem paniom, jak jeden z naszych znakomitych profesorów oświadczył się o rękę studentce. Przecież coś analogicznego może spotkać którą z pań. Studentka ta zdawała egzamin, który wypadł świetnie. Zdała celująco. Profesor był oczarowany. Po egzaminie powiedział do niej krótko: „Proszę pani. Doskonale pani zdała egzamin. Muszę pani powiedzieć, że bardzo mi się pani podoba. Co do mnie — wiadomo pani, że jestem prof. dr. Karolewicz, znakomity znawca prawa, prezes Międzynarodowego Towarzystwa Studiów Prawnych. Oświadczam się o pani rękę. Odpowiedź, czy chce pani zostać moją żoną — zechce pani złożyć w Sekretarjacie, w okienku No. 3 u panny Szmańskiej”.

Dalsze opowieści Szreniawity przerwały melodyjne dźwięki nieśmiertelnego walca „Nad modrym, błę-



kitnym Dunajem". Grała pani Amelja — na prośby Izy.

Tym razem przy Izie znalazł się Likowski. Jerzy Lando usunął się w róg salonu. Doskonale rozumiał, że nie może tańczyć tylko z Izą, toteż udając, że z zainteresowaniem ogląda obrazy, których sporo było w salonie, śledził ruchy taneczne „piosenki”... Jego „piosenki”. Wyczuwał, że ta jasna dziewczyna patrzy na niego przychylnem okiem. I po raz pierwszy się zdarzyło, że ogarnęło go coś w rodzaju niechęci do Likowskiego, pod którego przewodem nieraz się bawił..

---

Tymczasem w gabinecie doktora szedł rober za robrem. Zygmunt Błoński, który początkowo grał z zainteresowaniem, miał uczucie odrabianej pańszczyzny. Skorzystał wreszcie, że senator Kazanowski, z którym grał na vis à vis, utrzymał się przy swoim atu i po rozłożeniu kart — wstał na chwilę od stołu. Stał w drzwiach salonu.

Szreniawita, Likowski i Lando tańczyli. Jerzy oczywiście z Izą. Spod palców pani Amelji biegły dźwięki łkającego blues'a. Zygmuntowi się zdawało, że widzi, jak głowa Jerzego zbliża się bardzo do skroni Izy i muska jej włosy... Miał uczucie, że ktoś maleńką igielką przekłuwa mu naprzestrzał serce. Była to jego serdeczna tajemnica, o której nikt nie miał wiedzieć. Już dawno marzył on, którego koledzy zwali sensatem, że może kiedyś taki cud się stanie, że będzie mógł powiedzieć tej dziewczynie słowami sienkiewiczowskiego Ketlinga: „Wolę cię niżli scepter, niżli zdrowie, niżli długi wiek i życie...”

Iza z Jerzym tańczyli tuż przed nim. Dobiegły go słowa nuconej przez Jurka tanecznej pieśni:

„Twój blues — twój blues do serca mi się wkradł”...

— Do serca mi się wkradł...

„Twój blues — twój blues — przestonił mi ten świat”.

Do Zygmunta podszedł Szreniawita.

— Widzę, że obserwujesz tańczących. Ciekawe, czy myślisz to samo co ja. Prawda, że stworzeni jak dla siebie — rzekł, wskazując na Jerzego i Izę.

Zygmunt nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili odezwał się od stołu grających senator Kazanowski:

— Panie Zygmuncie, prosimy. Teraz na pana kolej rozdawania kart. Niech mi pan powinszuje: zrobiliśmy szlemika.

## XI.

Andrzejowi zbiegł okres feryj wielkanocnych prędko. Uczył się. Postanowił zrobić próbę. Rozumiał, że egzamin w jego warunkach to to samo, co bieg w klasycznej gonitwie dla konia z ogromną nadwagą. Może jednak się uda. Toteż nie udzielał się w towarzystwie prawie wcale.

O treści rozmowy, zastyszanej w Łazienkach przez Relińskiego — Andrzej postanowił nie mówić nikomu; uznał natomiast za konieczne zwrócić baczną uwagę na najbliższy poświęteczny okres w korporacji. Od czasu objęcia prezesury w „Bratniaku” — był zwolniony z obowiązku bywania na „kwaterach”. Wierząc w jego najlepszą wolę i chęci, prezydum korporacji pozostawiło tę sprawę jego uznaniu i możliwości.

Zebrania „Gdynji” odbywały się dwa razy w tygodniu w środy i soboty. Ogólny charakter miały jednak tylko zebrania sobotnie. W środy pod przewodnictwem oldermana zbierał się „cetus” fuksów.

Na pierwszą „sobotę” poświęteczną naznaczono zebranie z referatem Likowskiego. „Historyk” miał mówić „o istocie faszyzmu”. Andrzej postanowił odwiedzić kwaterę po odbytych już referacie. Jedynie bowiem taka bytność w korporacji odpowiadała jego najbliższemu celowi.

Korporacja „Gdynja” zajmowała dwa pokoje w gmachu „Resursy sportowej”. W szatni natknął się Andrzej na Pokojskiego, który go powitał serdecznym uściskiem.

— Jak się masz, kochanie. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Jest dobra wiadomość.

— Cóż takiego?

— Mamy kilku nowych gości. Ciekawa rzecz, że wszyscy są już na trzecim roku.

Andrzej uśmiechnął się. Stanowczo dobrze zrobił, przychodząc na „kwaterę”.

— Widocznie uważają, że lepiej późno, niż wcale. A czy nie wiesz — kto ich wprowadza?

— Nie wiem. Kiedy przyszedłem, zaczęło się już zebranie naukowe. A po referacie naszego Wyrwi-dąbka nastąpiła tylko krótka przerwa.

Przez zamknięte drzwi od sali zebrań dobiegł ich śpiew chóralny. Gdy weszli na salę, zastali wszystkich kolegów, stojących dookoła połączonych długich stołów i zwróconych w kierunku ściany, z której zwisał majestatycznie ciemnobłękitno-biało-czerwony sztandar „Gdynji”. Na polu błękitnem widniały dwa skrzyżowane „szczerbce” Chrobrego. Śpiewano „pieśń do barw”<sup>\*)</sup>):

Trójkolorowy nasz sztandarze,  
Przy tobie stajemy złączeni,  
Zwyciężym siły wraże  
Dla triumfu naszych idei.

Błękit, biel oraz czerwień  
I znaki Chrobrego mieczy  
To hasła naszej pracy  
Dla Pospolitej-Rzeczy.

---

<sup>\*)</sup> Swoją „pieśń do barw” posiada każda korporacja.

Błękit jest barwą morza,  
Hej! Sny o potędze się śniął  
Tam Wielkiej Polski zorza,  
Gdzie fale Bałtyku się skrzą.

Biel — też jest barwą naszą,  
Wskazał nam honoru drogi,  
Gdzie nic nas nie ustraszy —  
Nasz ksiązę Józef bez trwogi.

W tym momencie wszyscy podali sobie ręce. Andrzej z Pokojkim włączyli się do ogólnego łańcucha.

...I brzmiała pieśń:

Zewrzyjmy bratnie dłonie!  
W naszej jedności siła!  
Ta czerwień niech nam płonie  
Jak moc, co nas złączyła.

Trójkolorowy nasz sztandarze,  
Przy tobie stajemy złączeni,  
Zwyciężym siły wraże  
Dla triumfu naszych idei.

Błękit, biel oraz czerwień  
I znaki Chrobrego mieczy  
To hasła naszej pracy  
Dla Pospolitej-Rzeczy!

Gdy wszyscy usiedli, prezydujący na „kwaterze” Kazik Szreniawita ogłosił:

— Przed zamknięciem części oficjalnej pragnę kolegom zakomunikować treść niektórych pism, które wpłynęły. Nadeszło pismo od pana Rektora Uniwersytetu z podziękowaniem za, jak się wyraża, wzorowe pełnienie obowiązków „straży honorowej” na uroczy-

stości nadania doktoratów honorowych. Ponadto otrzymaliśmy zaproszenie do wzięcia udziału w zbiorze na Dar Narodowy 3 maja. Na zakończenie przypominam kolegom, że za tydzień odbędzie się ślub kolegi Ciołka — pierwszy ślub w naszej korporacji. Szczegółowe zarządzenia wyda kol. olderman, który sprawdzi, czy wszyscy koledzy będą mogli wziąć udział w uroczystości kościelnej. Zamykam część oficjalną.

Rozległo się trzykrotne uderzenie rapirem w stół.

Andrzej z łatwością dostrzegł nowych „gości”. Było ich pięciu. Odcinali się od reszty uczestników brakiem deklów. Postanowił skorzystać z tego, że olderman miał chwilę swobodną, i zagadnął:

— Słuchaj, Witold, możesz mi udzielić audjencji?

Szczupły blondyn, o zaczesanych w górę włosach, przysiadł się do niego. Był to olderman „Gdynji” Witold Żabiński, władca fuksów.

— O co chodzi, kochanie?

— Jak wiesz, interesuje mnie zawsze nowy „narybek”. Kto zacz są nasi dzisiejsi goście?

— Czterech prawników i jeden filozof.

Wymienił ich nazwiska.

— A na którym roku studjów i kto ich wprowadza?

— Ten młodziutki blondyn Jan Skrzycki, na pierwszym roku prawa. Bardzo go poleca Błoński. Pozostali czterej są wszyscy na trzecim roku. Wprowadza ich Gudul — „Jego książęca mość”. No, ale muszę już iść do fuksów.

Andrzej wiedział już wszystko. Uśmiechał się. Gudul pochodził z wielkoziemiańskiej rodziny, mającej prawo do mity.

— A zatem to ten paniczyk ma misję rozwalenia korporacji...

Fuksy ustawiali na stole szklanki do piwa i talerze z tartinkami. Do Andrzeja zbliżył się Pokojski.

— Słuchaj, de la Chambre — rzekł Andrzej (tak żartobliwie przezywano Pokojskiego) — mamy do za-

wdzięczenia Gudułtowi czterech nowych gości, którzy w trzecim roku studjów zainteresowali się korporacją. Ten piąty — to pierwszorocznik.

— Co powiesz? Jeśli tak, to jestem mile zdziwiony Gudułtem. Nie przypuszczałem, że będziemy mieli z niego taką pociechę. Coraz bardziej interesuje się korporacją. Naogół nasi polscy hrabiowie i książęta, to pod względem społecznym — zero. Wyjątki możesz zliczyć na palcach.

Po chwili dodał:

— Ponieważ już dotknąłem tej kwestji, to ci jeszcze coś powiem na ten temat. Niedawno doznałem szczególnego wrażenia, czytając w nekrologu wielkie historyczne nazwisko, o którego zmarłym piastunie nic nie słyszałem. O tem, że żył — dowiedziałem się z wiadomości o jego śmierci. Pomyślałem sobie, ile każdy z nas mógłby dobrego dokonać, gdyby miał jego fortunę. Czyż to nie symptom, że dzisiejsza arystokracja to już właściwie — tylko tułające się w życiu salonowym nikłe echo po wielkim dźwięku, który ongiś nadał ton życiu dawnej Rzeczypospolitej?

— Powiedziałeś to jak urodzony mówca żałobny. No, ale kończ swoje myśli.

— Bo jest, mój drogi, w tem, co mówię, nuta żałoby po czemś, co minęło a było niegdyś wielkie. Czy można dostrzec u młodych przedstawicieli naszej arystokracji chęć, by „czemś” byli w życiu polskiem? Jakąś w tym kierunku ambicję? Bynajmniej. Dlatego przyznam ci, że nie lubię, jak mnie nazywacie „margrabia de la Chambre”. Nie uważam się, braciszku, za zero.

Andrzej poklepał Pokojskiego po świecącej tysince.

— Wiesz, że cię wszyscy bardzo kochamy. I nikomu nie przyszłoby na myśl, by twoje przezwisko miało oznaczać zero. Ale powiem ci, że mam ochotę podyskutować z „książęcą mością”.

Przechodził obok nich Gudult.

— Napij się z nami piwka — zaprosił go Andrzej. — Ale à propos, czytałem komunikat stowarzyszenia „Korona”. Piękny ukłon dla pana vice-prezesa. Cóż tam porabiają twoi monarchiści?

— Dziękuję ci. Mają się dobrze. Ale trzeba przyznać, że jak się pytasz, to nigdy nie wiem, czy na żarty, czy na serjo.

— Przyznam ze swej strony, nie gniewaj się za to, co powiem, że gdy się przyglądam waszym poczynaniom, to przypominają mi się t. zw. „częstochowskie wiersze”.

— Przykry jesteś.

— No, w takim razie powiem ci mniej żartobliwie i z innej beczki. „Wiadomo, że dzwonią, ale niewiadomo w jakim kościele”.

— Powiadasz „niewiadomo w jakim kościele”. Niebardzo rozumiem, o co ci chodzi?

Przez chwilę chciał Andrzej rąbnąć: „w kościele życzliwych braci”, ale po zastanowieniu postanowił nie dać poznać, że cała sprawa jest dla niego przejrzysta.

— Jesteś inteligentny chłop — to chyba rozumiesz, że sama sprawa ustroju nie wyczerpuje programu. Może być naprzykład antysemitcko nastawiana republika ze wszystkimi tego konsekwencjami, godzącymi w utarte komunały o „postępie” i „demokracji”; może być również współpracująca z żydami monarchja. Pomijam już tutaj wiadomy ci mój pogląd, że uważam współdziałanie polityczne z żydami za dowód, że pojęciem najbardziej odpowiadającym nieskończoności jest głupota. No i za zaprzeczenie prymitywnej narodowej uczciwości.

— Masz jak zawsze zwykły sobie, ostry sposób wyrażania poglądów.

— Wszystko dobrze — rzekł Andrzej — ale głośny jestem. Fuks, dawaj tartinkil — zawołał.

Nadbiegł Lando z tacą pełną drobno krajanych kromek chleba.

— Służę kolegom.

Przysiadł się do Andrzeja.

— Dowiedziałem się z przyjemnością, że się spotkamy w tygodniu na balu. Myślę o przyjęciu u państwa Rajeckich:

— Dobrze, żeś mi przypomniał. Zupełnie zapomniałem.

Istotnie przyjęcie u Rajeckich wyszło mu z głowy. Cóż go obchodziła zabawa, wobec okoliczności, że dawno nie widział Zochy Lachowiczówny.

Rozległ się głos oldermana Żabińskiego.

— Fuksy! Zaśpiewamy. Niech „cantor” prowadzi. Proponuję „Noego”<sup>\*)</sup>.

Po chwili zabrzmiała, podjęta przez wszystkich, niefrasobliwa piosenka:

Nasz praszczur Noe świętym był  
I chadzał wciąż przed Panem,  
A wody się jak ognia bał  
I wino pijał dzbanem.

Wesoły nastrój pokolei udzielał się wszystkim. Panowała przecież na tej sali niepodzielnie młodość.

## XII.

Andrzej pracował w pokoju prezydium „Bratniej Pomocy”, gdy wszedł Walek.

— Panie prezesie. Przyszła właśnie ta pani, co to była w ostatni dzień przed świętami, co to panu prezesowi mówiłem, że w sprawie alimentów.

— Poproś!

Po chwili weszła do pokoju młoda, dość wysoka kobieta. Robiła wrażenie dwudziestopięcioletniej.

---

<sup>\*)</sup> Jedną z piosenek śpiewanych przez korporacje polskie.



Twarz miała bardzo zmęczoną i zmizerowaną o oznakach przedwcześnie zgasłej urody.

— Zechce pani spocząć. Czem mogę służyć?

Przybyła usiadła. W rękę kurczowo ścisnęła chusteczkę.

— Ja, proszę pana, w bardzo ciężkiej i drażliwej dla mnie sprawie.

Jakby zbierając siły, mówiła po krótkiej przerwie dalej.

— Może pana zdziwi, że tu przychodzę, ale naprawdę, naprawdę już nie wiem, co mam począć... Widać było, że mówi z wielką trudnością.

— Chodzi, proszę pana, o jednego studenta Uniwersytetu. Poznaliśmy się trzy lata temu. On był wtedy uczniakiem. Zawrócił mi głowę — jak to głupiej, młodej dziewczynie. Bo... ja, proszę pana, jestem o wiele młodsza, niż wyglądam teraz. Ja mam wszystkiego 19 lat. Wtedy, gdy poznaliśmy się, miałam szesnaście. Byłam taka naiwna, że sobie wyobrażałam, że on się kiedyś ze mną ożeni, — ze mną — biedną dziewczyną. Bo ja go kochałam — Jerzego...

Zaniosła się płaczem.

— Niech się pani uspokoi. Proszę powiedzieć, w jakim celu mi to pani opowiada?

— Dzisiaj już nie mam co prawdy ukrywać, choć bardzo, bardzo mi ciężko to wszystko mówić. Robiłam — co chciał. No i przyszło dziecko. Za późno się zorientowałam, że byłam tylko dla niego zabawką. Mój dzisiejszy wygląd to jego dzieło. Mam fotografię swoją sprzed trzech lat. Niech pan zobaczy, jaka byłam, a co on ze mnie zrobił.

Andrzej powstrzymał ją ruchem ręki.

— Wierzę pani bez fotografii. Ale proszę mi powiedzieć o co chodzi?

— Bo ja i dziecko nie mamy z czego żyć. Zwracałam się do niego listownie, by dał na życie dla swego dziecka. Nawet nie odpowiedział. Przyszłam

się tu spytać, czy panowie nie mogliby się do niego zwrócić i powiedzieć, że tak nie postępuje człowiek. Może to co pomoże.

— Niestety, wymaga pani rzeczy, które przekraczają mój zakres możliwości. Z tego, co pani opowiada — widzę, że ten pani Jerzy jest zgruntu złym człowiekiem. Z pewnością powiedziałby mi: kto dał panu tytuł do zwracania się do mnie w moich sprawach najbardziej osobistych. I wyśmianoby mnie.

— W takim razie pozostaje mi jeszcze tylko jedno: pójść do pana rektora.

— Uważam za swój obowiązek zwrócić pani uwagę na całą bezcelowość takiego kroku. O ile, oczywiście, ten „Jerzy” jest kuzynem rektora — to może to pani zrobić. Rektor mógłby tu działać tylko jako jego wuj, stryj... ale jako rektor — zapewniam panią, że nie ma żadnego prawa wkraczania w sprawy tego rodzaju. Sama pani powiedziała, że ponosi pani skutki swojej naiwności. A zatem wszystko, co się działo, — działo się z pani wolą. Idąc do rektora, naraziłaby się pani tylko na śmieszność, najgorszą ze wszystkich, bo upokarzającą. Któż to jest ten Jerzy?

Popatrzyła na niego przez oczy pełne łez.

— Nie powiem panu. Bo poco — skoro pan nic nie może pomóc. Niech już przy mnie zostanie tajemnica tego, który jest dzisiaj przyczyną mojej rozpacz, a był mojem... szczęściem.

Andrzej spojrział na nią z szacunkiem.

— Mogę pani pomóc inaczej — odezwał się po chwili. — Mogę panią skierować do jednej z organizacji opiekuńczych.

— Dobrze, proszę pana.

Po chwili wyszła, zaopatrzona w bilet polecający Andrzeja.

Andrzej zamyślił się:

...Jakiś „Jerzy”. Dobry numer. Miał wielu kolegów tego imienia, ale do żadnego nie pasował taki po-

stępek. Przez chwilę pomyślał o Likowskim. Ale ten przecież nie „Jerzy”... no, i nie dałby umierać z głodu swojemu dziecku...

Andrzej wstrząsnął się ze wstrętem. Przecież ten „Jerzy” to jego „kolega”.

---

Uchyliły się drzwi i wszedł Walek z biletem wizytowym w rękę. Andrzej przeczytał: Bolesław Tumaszewski. Walek uważał za właściwe dodać informację:

— To już bardzo stary pan.

Wszedł prostym, zwawym krokiem schludnie ubrany pan lat około siedemdziesięciu.

— Jestem Tumaszewski. Bardzo miło mi poznać pana prezesa. Powiem panu krótko, — jak to już w moim zwyczaju, treść mego interesu.

— Do usług szanownego pana.

— Otóż widzi pan, jestem już stary człowiek. Nie mam żadnych bliskich krewnych. Mam pieniędzy więcej, niż mi potrzeba. Nadwyżkę postanowiłem oddać studentom; panowie studenci, to przecież przyszłość naszego Narodu. Uważałem, że będzie najlepiej, gdy się pana spytam — jak mam to zrobić.

— Los mi pana zsyła — rzekł Andrzej. — Nie wiem, jak mam panu dziękować w imieniu „Bratniej Pomocy”.

— Niema za co, proszę pana. To przecież tylko obowiązek. Nie mam dzieci. A o moich dalszych krewnych lepiej wogóle nie mówić. Gdzieś w kodeksie cywilnym jest przepis, że ulega wyłączeniu od dziedziczenia t. zw. „indignus” to jest „niegodny”. Ja to pojęcie traktuję w sposób rozszerzający i uważam za niegodnego do dziedziczenia po mnie rezultatów mojej pracy — każdego próżniaka. Toteż to, czem mogę rozporządzić, chcę dać zacnym panom studen-

tom. To najlepsza lokata kapitału. Procenty będzie czerpać Naród — wtedy, kiedy ja już będę tam...

To mówiąc, wskazał palcem na ziemię.

— ...i to będzie, proszę pana, moja nieśmiertelność.

Taka powaga szła z tych słów, że Andrzej pochylił głowę.

— Ale teraz, gdy już pan zna pobudki, które mną kierują, przystąpmy do sprawy. Co mi pan radzi?

— Ideą, którą chciałbym zrealizować — rzekł Andrzej — jest oparcie akademickich instytucyj samopomocowych na przedsiębiorstwach, utworzonych na zdrowych podstawach. Niema przedsiębiorstwa bez ryzyka, co mogłoby szanownemu panu nie dogadzać. Najprostsze byłoby oczywiście utworzenie fundacji, z której odsetki szłyby na cel wyznaczony przez pana, np. na wydawanie bezpłatnych obiadów, lub na coś podobnego.

— A czy można wiedzieć, o jakim przedsiębiorstwie pan myślał?

— Gdyby nie panu, to komużbym mógł powiedzieć! Chciałbym, proszę pana, założyć kinematograf. Nazywałby się „Akademik”. Znając sympatię społeczeństwa dla młodzieży akademickiej, przypuszczam, że w niedługim czasie stałoby się modne chodzenie do „Akademika”. Krótkie wyjaśnienie — dlaczego kinematograf? Mieliśmy u nas rozmaite okresy. Najpierw powstawały wszędzie kawiarnie; potem w lokalach kawiarnianych zakładano banki. Przyszła fala powrotna: w dawnych bankach powstały kawiarnie lub bary. Natomiast nie słychać, by likwidowano kinematografy i jest ich raczej coraz więcej — co jest najlepszym dowodem, że się opłacają. Pozatem przypuszczam, że ojcowie miasta zwolniliby kino „Akademik” ze wszelkich opłat podatkowych, co dałoby mu sytuację uprzywilejowaną.

— Przekonał mnie pan. Zakładajmy „Akademika”.

Był to niewątpliwie jeden z najpomysłniejszych dni w pracy Andrzeja.

— Zatem — mówił dalej pan Tumaszewski — poszuka pan odpowiedniej sali, zorientuje się co do kosztorysu i potem pogadamy.

— Jestem na pańskie rozkazy. Sercem panu dziękuję

Odprowadził swego niezwykłego gościa do wyjściowych drzwi. Gdy wracał, stukający jak zwykle przy maszynie Łukocz odezwał się:

— Co się stało? Masz taką minę, jakbyś wygrał na loterii.

— Niewiele się omyliłeś. Z tą różnicą, że nie ja, lecz „Bratnia Pomoc”. Zreferuję to na najbliższym „zarządzie”. A teraz umieraj z ciekawości.

— Kolega zapomina — rzekł poważnie Łukocz — że jako sekretarz generalny podpisuję z nim porządek dzienny zebrania. Muszę wiedzieć, co mam napisać. Czy nie?

— No, to dowiedz się. Napisz na porządku obrad: sprawa przedsiębiorstwa dochodowego. Ale witam panią — rzekł Andrzej, widząc stojącą na uboczu znajomą koleżankę.

Było to... „jajo”.

Stał mu przed oczami ten dzień, gdy w tym samym pokoju poznał Zochę Lachowiczównę.

— Cóż pani porabia i co się dzieje z panną Lachowiczówną?

— Ja się zakuwam; przecież za dwa niespełna miesiące egzamina. A Zocha — jak to ona, bawi się. Toteż nie widziałam jej od świąt ani razu. Spotkałam ją w dzień jej wyjazdu. Mówiła, że pomógł jej pan w uzyskaniu zniżki kolejowej. Jak widzę, szerzy pan ducha protekcjonizmu.

Śmiała się...

— A pamiętam, jak pan mówił uroczyście na walnym zebraniu po swym wyborze: „Będę zwalczał wszelki protekcjonizm”.

— Pocieszam się, że do przyszłego walnego zebrania pani o tem zapomni.

Musiał się pożegnać, bo czekali na niego nowi interesanci.

### XIII.

Andrzej wybierał się na przyjęcie do państwa Rajeckich. Chociaż lubił bawić się — myśl o zabawie nie cieszyła go. Rozumiał jednak, że wobec faktu, iż młody RajECKI prosił go na miesiąc zgóry — niepójście byłoby niegrzecznością. Nałożył frak i przez gors przewiesił ciemnobłękitno-biało-czerwoną wążiutką wstążeczkę „Gdynji”. Szacował swój wygląd przed lustrem, gdy weszła Iza.

— Pokaż się. Nim cię obejrzą inne kobiety, niech cię zlustruje rodzona siostra.

Wzięła go za rękę i wykręciła dookoła.

— Niema co mówić. Szyk braciszek.

— Mam dla ciebie, Iza, ukłony. Nie domyślisz się od kogo.

— Nie domyślę się? Wobec tego Likowski.

— Nic podobnego.

— Jerzy Lando?

— Gdzież tam. Zresztą pomyśl tak chwileczkę na serjo. Gdyby chodziło o Jerzego, czyżbym powiedział, że nie domyślisz się. Przecież twój brat musiałby być ślepy, a chyba mu tego nie życzysz.

Iza usiadła na biurku i splótła ręce na kolanach. Z lekkim uśmieszkiem wyglądała jak urwis.

— Wobec tego nie wiem.

— Zygmunt Błoński. Powiedział tak: „a nie zapomnij się pokłonić pannie Izie, bardzo cię o to proszę”. Pierwszy raz mu to się zdarzyło, a przyjaźnimy się tak dawno.

Na czole Izy ukazał się lekki mars.

— Czemu się marszczysz, Iza?

— Nic specjalnego. Przypomniało mi się tylko jego jedno zdanie, jak był u nas w święta. Odbiegało od jego dotychczasowego „genre'u”.

— Cóż takiego?

— Powiedział do mnie mniejwięcej tak: „Jak wszystko dobrze pójdzie, to za pół roku będę mówił pani inaczej”. Spojrzałam na niego szczerze zdziwiona.

— Coś mniejwięcej tak, jakby ci miał zaproponować bruderschafta. Czuję, że mama odchorowałaby to.

— A wiesz, co powiedział? Powiedział: „Będę mówił do pani „koleżanko”, to znaczy, że ja wstąpię na uniwersytet i t. d.

— Tak powiedział? To tak wygląda, jakby maleńka nutka flirtu. Jak na Zygmunta to dla mnie nowina. Wychodził.

— Dowidzenia, Izuchna.

— Baw się wesoło. Ale jeszcze słówko. Wiesz, tak sobie dzisiaj myślałam, kiedy poznam moją przyszłą bratową. Bo przecież twoja przyszła żona niewątpliwie już żyje i gdzieś sobie buja po świecie.

— Też masz myślątkę! Dowidzenia.

Niewątpliwie, że jego przyszła żona już żyje; przytem zdaje mu się, że mógłby nawet dokładnie określić jej rysy.

Gdy znalazł się na ulicy, ogarnęło go ciepłe powietrze wiosenne. Wiosna panowała już wszechwładnie. Niektóre drzewa były dobrze zazielenione. Skwery uliczne pokrywały się świeżą trawą.

Na rogu ulicy zbliżyła się do niego drobna, wynędzniała dziewczynka.

— Fiołki, proszę pana, fiołki.

Rzucił jej drobną monetę, nie przyjmując kwiatków. Zwiędłyby przed jego powrotem do domu.

Po dziesięciominutowej jeździe tramwajem znalazł się w Alei Róż, gdzie mieszkali Rajecy. Na pierwszym piętrze mieszkanie ich błyszczało łuną zapalo-

nych światła. Przez częściowo uchylone okna dobiegały na ulicę melodyjne dźwięki taneczne.

Wchodzącego Andrzeja powitał ubrany w smoking młody Rajecki.

— Witam was, kolego. Rozbierajcie się. Zaraz was wszystkim przedstawię.

Do hallu wszedł starszy pan o miłej jowialnej twarzy w trochę niemodnym fraku. Był to stary Rajecki.

— Ojciec, zdaje się, zna kolegę Zaruckiego.

— A jakże! Witamy prezesa, witamy! Jak pana panny zmęczą, to obiecuję sobie z panem pogawędkę.

— Będzie mi bardzo miło — odpowiedział Andrzej.

Po chwili młody Rajecki wprowadzał go do salonu. Było tu już około piętnastu osób. Na środku kręciły się dwie pary. Z mocno piegowatą panną Rajecką tańczył Jerzy Lando. Wymienili ukłony z Andrzejem.

Spojrząwszy w koniec salonu, Andrzej drgnął. Na kanapce pod wielką palmą siedziała Zocha Lachowiczówna. Obok niej stał strojny w adjutanckie sznury oficer, trzymając przewieszzonego na ręku białego „lisa”. Andrzej, prezentowany przez Rajeckiego, składał automatycznie ukłony.

Jest Zocha. Tyle czasu nie mógł jej nigdzie znaleźć.

Gdy podchodzili do niej, Andrzej rzekł do Rajeckiego:

— Panią mam zaszczyt znać.

— Kolega prezes, jak słyszę, — już pani znany — mówił Rajecki.

Podążyła Andrzejowi przyjaźnie dłoń. Kapitan i Andrzej wymienili ukłony.

— Zarucki jestem.

— Kapitan Rogala, do usług.

Rajecki prowadził Andrzeja dalej. Gdy prezentacja była ukończona i Andrzej miał ochotę wrócić do



kanapki pod palmę, Lachowiczówna tańczyła z kapitanem. Tylko „lis” rzucony niedbale wskazywał, że obrąta sobie to miejsce na wypoczynek w przerwach między tańcami. Andrzej usiadł na sąsiednim taborecie. Szedł spojrzeniem za Zochą. Co za radość!... Wszyscy ludzie w tym wielkim salonie wydawali mu się sympatyczni. Tylko ten kapitan... Co zasz? Nie można zaprzeczyć, że ma wygląd rasowy. Ponieważ kilka panien siedziało, nie tańcząc — i nie wypadało w tych warunkach być długo „obserwatorem”, Andrzej przeszedł do sąsiadującego z salonem gabinetu pana Rajeckiego. Nie miał ochoty tańczyć z nikim przed tańcem z Zochą. Przy niej zatrzymywał się tutaj i kończył krąg jego zainteresowań.

Tymczasem postanowił się rozejrzeć w... „terenie”. W gabinecie pana domu, w którym główne miejsce zajmowało olbrzymich rozmiarów biurko, stały naszykowane dwa stoliki do kart; na każdym z nich była już umieszczona kartka z nazwiskami partnerów. Wśród nazwisk, jak należało się spodziewać, nie było kapitań Rogali.

Przez uchylone drzwi gabinetu zobaczył Andrzej przygotowania w sąsiedniej jadalni. Rozstawiono tu szereg małych stolików, każdy na 4 osoby. Andrzej już wiedział, co mu należy czynić.

Poczęstował się papierosem z pełnego pudła, stojącego na biurku. Patrzył na salon... Grało dwóch skrzypków i pianista. Nie przerywając, zmienili takt.

Zocha wraz z kapitanem tańczyli dalej.

Do gabinetu wszedł młody Rajecki.

— Czemuz to nie tańczycie? Do „roboty”, przeze sie — rzekł tonem przyjaznej poufałości.

— Zaraz zacznę pracować. Mam do was prośbę.

— Już spełniona.

— Zróbcie, kolego tak, jeśli to możliwe, bym przy kolacji miał miejsce przy stoliku panny Lachowiczówny.

— Tędy wiedli prezesa. Zrobi się.

Muzyka przestała grać. Po chwili Andrzej znalazł się przy Lachowiczównie. Wachlowała się, zmęczona tańcem.

— Czy można się u pani zapisać do najbliższego tanga?

— Z miłą chęcią. Ale narazie jestem zmęczona. Niech pan z nami siada, panie Andrzeju.

Zaprosiła go ruchem ręki.

— Jak pani spędziła święta? — spytał, czując całą banalność tego pytania.

— Doskonale. Bardzo dobrze bawiłam się u ciotki. Było duże towarzystwo. A pan? Nie wyjeżdżał pan na święta?

— Uczyłem się cały czas w Warszawie.

— Uczył się pan! Przy tych swoich posiedzeniach i nawale zajęć! No, to pan niezwykły człowiek.

— Niestety, nie — odparł Andrzej, obserwując kapitana, który uśmiechał się bez wyrazu. — Teraz po ferjach, gdy zaczęły się znów dyżury w „Bratniej Pomocy”, przekonałem się, że tych dwóch prac połączyć nie można. Innymi słowy, to, co zrobiłem w czasie świąt, pójdzie na marne — bo zapomnę. Zatem jak pani widzi, panno Zosiu, zupełnie zwyczajny, bardzo zwyczajny człowieczek.

Na sali rozbrzmiały marzące dźwięki tanga. Andrzej skłonił się.

Po chwili tańczył z nią... jedyną na świecie. Tańczyli, milcząc. Andrzej naogół nie lubił w tańcu mówić. Chociaż pozbawiony „słuchu” muzycznego — „rozumiał” taniec. Melodja taneczna brała go zawsze w niepodzielne panowanie.

Teraz — gdy tańczył — nie muzyka, lecz tancerka nim władała. Nigdy w swem życiu nie tańczył z tak śliczną dziewczyną. Gdyby to nie była sala taneczna, to czuł, że porwałby ją na ręce. A potem niech się dzieje co chce... Miał uczucie, że w powietrzu unosi

się zapach fiołków. Jak przez mgłę przypomniały mu się słowa, zastyszane na ulicy:

— Fiołki, proszę pana, fiołki!

A ona, świadoma swego wpływu, postanowiła być szczególnie chłodną dla tego chłopca, do którego pchała ją moc tajemnicza.

Lekko wysunęła się z jego uścisku.

— Trzeba przyznać, że prezes tańczy doskonale.

— To pani tańczy jak bogini, panno Zosieńko...

Przyznam się pani — szeptał dalej — że mógłbym tańczyć cały wieczór. Wolno jeszcze będzie panią dzisiaj prosić ?

— Tak. Ale dajmy już spokój. Niech pan spojry: muzyka gra tylko dla nas...

Istotnie prócz nich nie tańczyła żadna para.

Odprowadził ją na miejsce pod palmę i po złożeniu ukłonu oddalił się.

Czuł, że musi być sam. Wszedł do gabinetu pana domu. Grano przy obydwóch stolikach. Andrzej z zadowolaniem spostrzegł napót uchylone drzwi — na obszerny balkon. Skorzystał z tego.

Było dość ciepło. Mała, zaciszna ulica — zupełnie pusta. Na niebie poprzez płynące chmury co chwila ukazywał się księżyc. Andrzej cały drżał wewnątrz.

— ...Zimna jak marmur... — myślał. — Ale ja już w tym marmurze pożar rozniecę...

Ocknęły go po chwili jego własne słowa.

— Andrzej, co się z tobą dzieje? Trzymaj się, chłopie...

#### XIV.

Kolacja minęła w miłym nastroju. Zocha nie była bynajmniej zaskoczona tem, że przy stoliku siedziała z Andrzejem. Po przetańczonych z nim tańcach wiedziała, że się on o to postara. W czasie tańca nie był natrętny. Tańczył także z innymi pannami. Czuła je-

dnak jego spojrzenie, ścigające ją na sali, zwłaszcza, gdy tańczyła z kapitanem. Zauważyła raz wtedy u Andrzeja lekki uśmieszek ironiczny, który zdawał się mówić: „nie istnieją dla mnie przeszkody”.

Rogala, widząc, że Andrzej zbyt nie narzuca swego towarzystwa, przestał patrzeć niechętnie.

Pod koniec kolacji, przy deserze, Andrzej wzniosł „zdrowie” gospodarzy, a toast wypito z aplauzem. Znajdujący się wśród gości młodzieńki tenor zaśpiewał wówczas toast ze „Straszego Dworu”:

„A gdy nam się chwila zdarza, chwila zdarza...  
Pijmy zdrowie gospodarza...”

Nagrodzono go gromkim oklaskiem.

Po chwili zbliżył się do stołu Lachowiczówny stary Rajeki.

— Dziękuję bardzo prezesowi za miłe słowa — rzekł, zwracając się do Andrzeja, poczem, kierując się do reszty towarzystwa, dodał:

— Chciałbym zabrać państwu na chwilę pana Zaruckiego.

Poprowadził Andrzeja do dalszych pokojów. Na twarzy igrał mu uśmiech.

— Ponieważ znam pańskie poglądy, chcę panu coś u siebie pokazać.

— Będzie mi bardzo miło.

Znaleźli się w sypialni pana domu. Po chwili siedzieli w wygodnych fotelach obok małego stoliczka, na którym znajdowało się wszystko, czego mogła zapragnąć dusza palacza.

Andrzej zauważył na ścianie duży portret znanego generała, członka grupy politycznej, ostro zwalczającej „Związek Narodowców”. Pomyślał, że pan domu jest niepozbawiony jowialności, jeśli mając na uwadze poglądy polityczne swego gościa, chciał mu pokazać ten portret.

Rajecki, pochyliwszy się nieco na fotelu, w chęci zbliżenia się do Andrzeja, zapytał:

— Cóż pan powie na ten portret?

— Cóż mogę powiedzieć; ilustruje on pańskie przekonania.

Rajecki wykonał gest, jakby chciał usłyszeć coś więcej.

— Chyba pan nie zaprzeczy, że w tem, co powiedziałem, zawarłem w słowach najkrótszych naszą rzeczywistość, nawiasem mówiąc, dość odległą od tej, jakąbym chciał widzieć.

— Zaczyna mnie pan zaciekawiać. A można wiedzieć, jakąby pan pragnął widzieć rzeczywistość?

— Nie stanowi to, proszę pana, tajemnicy. Chciałbym, aby u nas, posiadanie w mieszkaniu portretu wybitnego wojskowego nie świadczyło o takich, czy innych przekonaniach politycznych gospodarza, tylko, żeby mówiło, że gospodarz kocha armję polską — jednym słowem, żeby świadczyło wyłącznie o patriotyzmie gospodarza.

Przez twarz Rajeckiego przebiegł skurcz. Był trochę zaskoczony charakterem odpowiedzi swego młodego gościa. Co innego spodziewał się usłyszeć.

— Rozumiem pana — rzekł po chwili krótkiego milczenia. — Wydaje mi się, że upraszcza pan sobie szereg zagadnień, ale trudno nie słuchać pana z sympatją.

— Bardzo panu dziękuję. Wydaje mi się, że ła-two uzasadnić pański stosunek do tego, co mówię. Szczytnem powołaniem wybitnych wojskowych jest być jak soczewka, w której skupiają się uczucia całego Narodu. Do tego oczywiście potrzebne jest spełnienie jednego elementarnego warunku: muszą być tylko żołnierzami, gorąco miłującymi swoje żołnierskie „rzemiosło”. W słowach „obrońca ojczyzny” jest taka po-żądna treść, że wszystko i n n e ją pomniejsza.

Pan domu był otoczony kłębamii dymu tytoniowego i Andrzej nie mógł widzieć gry rysów jego twarzy.

Rajecki chwilę milczał, potem odsapnął z zadowoleniem.

— A co pan powie, panie Andrzeju, o układzie stosunków w Japonji? Jak panu wiadomo, wojsko ma tam wpływ na tworzenie rządu. A przyzna pan chyba, że Japończycy pełni są ducha patriotyzmu i cnót rycerskich.

— Rozumiem, o czem pan myśli. Chodzi panu o to, że w Japonji każdorazowego ministra spraw wojskowych wyznacza kolegium jenerałów, innemi słowy może się teoretycznie zdarzyć, że kolegium to nie wyznaczy ministra wojny — a zatem desygnowany przez cesarza szef rządu nie spełni swej misji.

— O tem właśnie myślałem. Ale niechno prezes poczęstuje się papierosem.

Otworzył porte-cigare.

— Śmiem twierdzić — mówił Andrzej, zapalając — że tu istnieje tylko teoretyczna obawa wpływu na rządy. Natomiast, co mnie uderza, to to, że polityka nie ma wpływu na obsadzenie ministerstwa wojny. Robi to kolegium jenerałów. Zatem, panowie politycy, precz z łapami od wojska! Inna rzecz, że to co ma miejsce formalnie, będzie istniało faktycznie tylko wtedy, gdy w gronie jenerałów-elektorów nie będą działały poufne organizacje polityczne.

— A teraz, panie Andrzeju, wracając z tej dalekiej japońskiej podróży, niech mi pan powie, jak się pan zapatruje na rozwój stosunków u nas. Może pana dziwi, że takie pytanie panu zadaję, ale jest pan przecież przywódcą młodzieży, a wiem, jakim autorytetem otacza młodzież akademicka swoich kierowników.

— Stawia mnie pan w kłopotliwym położeniu — rzekł Andrzej. Zamyślił się.

— Powiem panu tak: uważam, że pójdzie u nas wszystko drogą normalną, o ile duże ugrupowania, mające wpływ na opinię, zajmą wspólne stanowisko w sprawie żydowskiej. To jest nasze wewnętrzne zagadnienie główne. Żydzi, w których interesie jest ogłupianie Polaków, wysuwanie kwestji żydowskiej nazywają „dosiadaniem żydowskiego konia” i mówią o „zoologicznym antysemityzmie”. Jeśli to porozumienie, o którym mówiłem, nie nastąpi, to jestem przekonany, że czekają nas duże wstrząśnienia. Żydzi zrobią oczywiście wszystko, żeby do tego porozumienia nie dopuścić. Co do mnie, to mam, śmiem stwierdzić, uzasadnioną wiarę, że trawestując smutne przysłowie, — Polacy okażą się mądrzy przed szkodą i że nie spełni się żydowskie marzenie, aby słowo „Polska” stało się pustym dźwiękiem geograficznym. Tak jak, dzięki Bogu, niema Polaków, którzyby dla międzynarodowego „Treuga Dei” zgodzili się zrezygnować ze Śląska, Pomorza lub Wilna, tak niezadługo zabraknie Polaków, którzyby ze spokojem „pocziwych” głuptasków zgadzali się na zalew żydowski w imię... „pokoju Bożego” w stosunkach wewnętrznych.

Zdaleka poprzez rząd pokojów dobiegły dźwięki muzyki tanecznej.

— No, nie będę już pana zatrzymywał; napewno ma pan ochotę potańczyć. Z zajęciem pana słuchałem.

Andrzej wstał.

— Pozwoli pan, że teraz ja mu zadam jedno pytanie — spytał — czy pan, w którego pokoju wisi ten portret...

Rajecki się uśmiechnął.

— ... wierzy w patryjotyzm polski u żydów?

— Nie, proszę pana.

— Tylko to chciałem wiedzieć.

Zbliżali się do salonu, gdy stary Rajecki powiedział:  
— Muszę panu na zakończenie powiedzieć, że naprawdę z pana właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Andrzej ukłonił się:

— To największa pochwała, jaką kiedykolwiek usłyszałem od... przeciwnika.

---

Gdy Andrzej wszedł do salonu, tańczyło tylko kilka par. Skorzystał, że córka gospodarstwa była „wolna” i poprosił ją do tańca. Tańczyła dobrze, należała do rzędu tych, o których się mówi, że zbliżka zyskują.

— Zna się pani dawno z panną Lachowiczówną? — spytał Andrzej.

— Kończyłyśmy tę samą pensję.

— A ten kapitan — czy to jej narzeczony?

Nieodrazu otrzymał odpowiedź, bo towarzyszka jego obserwowała jedną z tańczących par. On silił się na zachowanie obojętności.

— Pyta pan o kapitana Rogalę? To kuzyn Zochy. Wiem, że ostatnio jej trochę asystuje, zaręczeni jednak nie są. Gdyby tak było, to myślę, że pierwsza wiedziałabym o tem. Zocha miała zawsze ogromne powodzenie. Coś mi się wydaje, że doświadcza pan tego sam na sobie.

W oczach jej zaigrał „djabełek”.

— Widzę, że z pani prawdziwy sędzia śledczy. Jeśli chodzi o mnie, to ośmieliłem się pytać panią o koleżankę — bo, mówiąc prosto, uważam, że trudno nie zwrócić na nią uwagi.

Muzyka umilkła. Oboje skierowali się do jadalni, gdzie właśnie zgromadziła się większość towarzystwa.

Rogala, jakgdyby pseudogospodarz, zaprosił Andrzeja gestem do powrotu na dawne miejsce.



— W czasie pana nieobecności mieliśmy występ literacki. Na prośbę gospodyni — jeden z panów czytał fragmenty ze zbioru poezyj, które niebawem mają wyjść drukiem. Przeważnie erotyki. Zdaje się, że jeszcze coś usłyszymy.

Istotnie młody poeta, siedzący przy stoliku gospodarstwa, rzekł, zwracając się do wszystkich gości:

— Na zakończenie krótki wiersz p. t. „Wody szklaneczka”.

— Słuchamy — rozległo się kilka głosów.

Kiedy się uciszyło, zaczął mówić:

„Raz mi mówiła dziewczeczka,  
Że krew jej żyłami nie płynie,  
Że tylko wody szklaneczka  
Wypełnia ją; tem ona słynie.

I dalej mi jeszcze mówiła,  
Że ust swych nikomu nie dała,  
Że nimby to kiedy zrobiła,  
Toby się mamy spytała.

Że boi się piekielnych szlaków,  
Że chce koniecznie być w niebie,  
Że musi niedobrych chłopaków  
Zdaleka trzymać od siebie.

Jam patrzył na dumne usteczka  
I tak jej szepnąłem na uszko:  
„Bajeczka, cacana bajeczka,  
Nabierasz mnie, moja dziewczuszko”.

Pragnąłem uwięzić jej dłonie,  
Lecz je z przestraczem wyrwała;  
Mój atak był równy obronie,  
Więc wreszcie paluszek podała.

Paluszek drżał w mojej dłoni,  
Jak serce schwytanej ptaszyny,  
A obłok różowy — od skroni  
Przebiegał przez liczko dziewczyny.

I chciałem już spytać dziewczkę,  
Czy „wody” jest taka wymowa,  
A ona przybladła troszyczkę  
I rzekła do mnie w te słowa:

„Chyba pan wie ze słyszenia,  
Że woda się nieraz gotuje,  
Że zdarza się czasem stan „wrzenia”,  
Czyż fizyki pan nie studjuje?”

Jam chłonał jej usta jak grona,  
Razporaz oczami tęsknemi,  
Lecz ona pierzchnęła zląkniona,  
Bo bała się nieba... na ziemi”.

— Oł, cały wierszyk.

— Brawo, poeto — klaskała w dłonie panna Ra-  
jecka.

Powstano z miejsc. Z salonu dochodziły dźwięki  
blues'a. Andrzej poprosił Zochę.

— Wie pani, tak sobie myślę, że ten ostatni wiersz,  
to prawdopodobnie pisany dla pani.

— Cóż pan mówi? Dziś dopiero poznałam tego  
wierszopisa.

Odwróciła głowę. Nie mogła się powstrzymać od  
śmiechu. A zatem dobrze „grała” swą rolę.

Gdy ramieniem ją obejmował, czuła jakby leciutką  
tremę. Jakby małeńki straszek kładł swe dłonie na jej  
sercu. Ten chłopak przecież „jedzie w sto koni”.

Jeszcze przy pierwszym „pas” usta jej wciąż  
drżały ze śmiechu. Wkrótce jednak i jej udzielił się  
nastrój tańca. Blues — to swego rodzaju piosenka na

czeństwo młodości. A Andrzej umiał ją dobrze „śpiewać”.  
Tańczyli...

— Czy pani zna słowa do tej melodji? — spytał.

— Nie przypominam sobie.

— „Twój blues przesłonił mi ten świat”.

Nie odpowiedziała mu nic. Miała tylko uczucie, że pada zaporą, sztucznie przez nią wznoszona między nią a tym chłopcem. Już teraz wie, że Andrzej Zarrucki nie będzie zwykłym przechodniem w jej życiu. Dobrze, że nie kto inny, tylko właśnie on — prowadzi ją teraz w rytmie tanecznym. Myślom jej zawtórował głos Andrzeja.

— Kiedy będę mógł pani złożyć wizytę, panno Zosiu?

— Kiedy pan zechce.

— Zatem pozwalam?

Nie orjentował się, że mówił do niej w pierwszej osobie.

— Tak.

— Wobec tego — dziś.

— Nie rozumiem.

— Przecież już jest po północy. Przyjdę popołudniu. Tylko mam jedną prośbę. Niech mi pani dziś u siebie zaoszczędzi widoku kapitana.

— Widzę, że kapitan nie cieszy się u pana zglądami. Ale dobrze.

Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie dodać:

— Wiem, że kapitan się do nas wybiera, ale będzie w innych godzinach.

W takiej atmosferze czuła się najlepiej — w atmosferze walki o nią.

— — — — —  
Świtało już, gdy Andrzej wrócił do domu. Długo nie mógł zasnąć. A potem śnił, że jest w wielkim,

pełnym słońca ogrodzie, z którego wychodzi młodziutka dziewczyna o rysach Zochy.

A wokół uderzający zapach fiołków.  
Tylko fiołki...

## XV.

W dwa dni później, — po wykładach, Andrzej, ulegając nawykowi, wstąpił do bufetu uniwersyteckiego. Było pusto. Tylko za ladą urzędowały siostry Porajskie, którym złożył zdaleka ukłon. Przez otwarte naościęz okna ujrzał pokryte świeżą zielonością drzewa uniwersyteckiego ogrodu.

Przed dyżurem w „Bratniaku” postanowił się tam spacerować. Wszędzie się zieleniło. Wiał ciepły wiatr, niosąc odświeżające podmuchy od niezbyt odległej Wisły.

Andrzej usiadł na małej ławeczce w pobliżu pamiętkowego działka. Przypominało ono mu zawsze odległą a niezapomnianą chwilę.

Było to późną jesienią 1920 roku — po zakończonej wojnie z bolszewikami i zwolnieniu studentów ze służby wojskowej. Na placu Saskim przy udziale olbrzymiej rzeszy studenckiej odbywała się msza polowa. Dookoła placu stały szeregi wojsk. Po nabożeństwie stanął przed nimi, byłymi żołnierzami generał, wiceminister wojny\*). Powiedział, że Armja daje w darze Uniwersytetowi zdobyte działko, aby na zawsze świadczyło, że wychowankowie Almae Matris złożyli obficie daninę krwi.

Na zakończenie generał wznosił okrzyk:

— Niech żyje polska młodzież akademicka!

Drgnęły czworoboki wojskowe. Oddziały prezentowały broń. Orkiestra grała „Jeszcze Polska nie zginęła!” A potem studenci sami potoczyli działko do

---

\*) Autentyczne. Przemawiał generał de Henning-Michaelis.

ogrodu przed gmach uczelni. Wpobliżu tej wojskowej pamiątki z niedawnej przeszłości widnieje wmurowana w ścianę tablica ku czci Wielkiego Naczelnika:

„W tych murach — w Szkole Rycerskiej — kształcił się Tadeusz Kościuszko”.

W tej chwili pusto było w uniwersyteckim ogrodzie. Jakiś student siedział na występie muru i obkuwał skrypta. Po schodkach, prowadzących wdół ogrodu, widział Andrzej schodzącą studencką parkę. Pamiątkową armatę obsiadły gromadą wróble, wiodąc wrzaskliwy rozhovor. Przez parterowe okna mignęła Andrzejowi sylwetka zastępcy sekretarza. Przypomnił sobie swoją bytność u niego w sprawie Zochy. Tak ją w myślach nazywał. Był u niej wczoraj z wizytą. Z pierwszą wizytą u tej, o której już zaczynał myśleć jako o swej przyszłej żonie. Czyż bowiem może być inaczej? Mówił przecież nieraz o sobie, że należy do ludzi, którzy stwarzają sobie takie zdarzenia, jakie chcą mieć. A on wie, czego chce. I jak dziś jest ślub Ciołka — tak może kiedyś... Najpierw jednak skończy Uniwersytet...

Zocha nie miała ojca. Sporemi interesami zarządzała pani Lachowiczowa — zapewne dobrze, gdyż w domu był widoczny dostatek. Gdy Andrzej przyszedł, zastał panią Lachowiczową i młodszą siostrę Zochy Krysię, które zrobiły na nim miłe wrażenie. Zocha słowa dotrzymała: kapitana Rogali nie było. Z rozmowy, jak zawsze na pierwszej wizycie, banalnej, nie mógł wywnioskować, czy w istocie ma tego dnia być kapitan. Nazwiska Rogali ani razu nie wspomniano. Natomiast w czasie bytności Andrzeja przyszła pani Marja Rajnerowa, jak się dowiedział, rozwiedziona z pierwszym mężem i zamężna po raz drugi z możnym przemysłowcem. Zachowywała się jak przyjaciółka Zochy, co zrobiło Andrzejowi przykrość,

gdyż, gdyby go zapytano, co sądzi o Rajnerowej, — powiedziała by tout court — „kokotka”. Malowała się i używała drażniących perfum.

Wizyta Andrzeja trwała niewiele więcej ponad pół godziny. Złe wrażenie, wywołane obecnością Rajnerowej, zatarła pani Lachowiczowa, mówiąc do niego na dowidzenia: „Prosimy o nas pamiętać. Przyjmujemy w każdą niedzielę”.

Stąd wniosek, że jest mile widziany. Czegoż więcej potrzeba?

Rozmyślania Andrzeja przerwały głośne śmiechy sporej gromadki studentów. Usłyszał uwagę jednego z nich.

— Patrz, „piskorz” — o wilku mowa, a wilk...

Spostrzegł pośród nich Gudułta. Był nie w dekle, lecz w zwykłym kapeluszu. Wymienili z Andrzejem ukłony. Gdy przeszli, Andrzej opuścił swe miejsce i udał się do „Bratniaka”. Powitał go Łukocz.

— Był do ciebie telefon od pułkownikowej Żabiewiczowej. Zapisalem go ci na biurku w notatniku. Prosiła, żebyś zatelefonował.

Po przyjeździe do pokoju prezydium Andrzej połączył się z zapisanym numerem. Odrazu poznał głos pułkownikowej:

— Witam prezesa. Chciałam panu zakomunikować, że pana protegowana, która była u mnie z pana biletem, jakże to ona się nazywa, Irena Bielska — dostała u nas zajęcie. Odniosłam wrażenie, że jest zadowolona.

— Dziękuję bardzo pani pułkownikowej.

Przypomniała mu się spłakana twarz interesantki, która była u niego bezpośrednio przed pamiętną wizytą pana Tumaszewskiego.

Znalazła opiekę. To dobrze.

---

Iza nie przyznałaby się nigdy Andrzejowi, że zapisała sobie datę ślubu Ciołka. Już przedtem słyszała, że się odbędzie z udziałem całej korporacji.

Przy obiedzie Andrzej wspomniał, że w godzinach południowych prezydjum „Gdynji” złożyło wizytę narzeczonej Ciołka, ofiarując jej bukiet kwiatów ze wstęgami o barwach „Gdynji”. Tak będą witali każdą przyszłą filistrową korporacji. Może przyjdzie taki dzień, że powitają w ten sposób Izę...

Ślub był naznaczony na godzinę siódmą wieczorem. Iza stawiała się jednak w kościele na kwadrans przed wyznaczonym terminem. Chciała mieć miejsce tuż przy samym ołtarzu.

Gdy przyszła, w kościele było jeszcze ciemnawo. Paliła się tylko część świateł. Służba kościelna rozwijała w pośpiechu olbrzymiej długości dywan. Ołtarz był pięknie przybrany kwieciami.

Bezpośrednio przed godziną siódmą przy wejściu do kościoła stanęło dwóch fuksów. Trzymali rapiry opuszczone nadół: znak „smutku” korporacji, że kolega idzie „w niewolę”. Odtąd pochłoną go więcej sprawy czysto osobiste i siłą rzeczy rzadziej bywać będzie w gronie korporacyjnych przyjaciół.

Po chwili z zakrystji wysunął się prowadzony przez oldermana Żabińskiego długi szereg korporantów. Wszyscy byli w smokingach lub we frakach. W rękach trzymali rapiry, przepasane u rękojęści białą wstążeczką. Utworzyli szpaler w pobliżu ołtarza. Przy wejściu do prezbiterjum — przepasane wielkimi szarfami ustawiono się prezydjum korporacji ze Szreniawitą na czele. Mieli w rękach „szlagiery”<sup>\*)</sup>.

Kościół się powoli zapełniał. Jak słusznie przewidywała Iza, wszystkie miejsca przy taśmach, oddzielających przejścia dla orszaku od zaproszonych gości, —

---

\*) Szlagier-rapir, z rękojęścią zdobną w barwy korporacyjne.

były zajęte. Szukała wzrokiem Jerzego Landó, ale nigdzie nie mogła go zauważyć. Andrzeja zobaczyła w szpalerze tuż przy ołtarzu. Powitał ją uśmiechem.

Obok Izy usadowiła się grupa medyków, widocznie kolegów Ciołka. Dobiegły do niej słowa:

— I pomyśleć, że Ciołkowi przyszło na taki marny koniec.

— Nie żałuj go, i ciebie spotka to samo. Ale, prawdę powiedziawszy, mógłby nam nie kazać tak długo ziębnąć w kościele.

Istotnie, pomimo że był to koniec kwietnia — w kościele panował przejmujący chłód.

Jakby w odpowiedzi na te słowa dobiegł ich rumor od drzwi wejściowych. Równocześnie w kościele zapłonęły wszystkie światła i odezwały się przeciągłym dźwiękiem organy.

Szedł orszak. Korporacyjny szpaler sprężył się w postawie na „baczność”. Stojący przy taśmach zaczęli tłoczyć się i wychylać poza taśmy. Z grupy medyków dobiegły ją słowa:

— Wiecie, że to mi przypomina końcową chwilę gonitwy na wyścigach. Gdy konie wychodzą na linię prostą, publiczka taksamo wyciąga szyje.

— Uspokój się — odezwał się drugi.

Orszak zbliżał się do ołtarza. Na czele szedł fuks-major\*), trzymając ofiarowany pannie młodej bukiet o korporacyjnych wstęgach. Tuż za nim dwóch fuksów. Iza uśmiechnęła się. Jednym z nich był Jerzy Lando.

Jest Jurek! Myśli jej jednak zaraz zabrała panna młoda. Jej niezbyt ładna twarzyczka była w tej chwili pełna wdzięku. Którejż bowiem dziewczynie nie jest dobrze w ślubnym welonie? Ksiądz już czekał przed ołtarzem i ceremonia się zaczęła. Iza widziała klęczących państwa młodych. W tej chwili myśli jej pobiegły

---

\*) Starszy fuks — kierownik kandydatów.



w jej własną przyszłość... Czy i kiedy przyjdzie taka chwila w jej życiu?... Przyznawała się przed sobą, że chciałyby, aby klęczącym przy niej był Jerzy... W tej chwili spotkała się wzrokiem z Andrzejem... I przybiegła natrętna, niedająca się odeprzeć myśl: czy będzie taki jak Andrzej? Bo chciałyby, żeby był właśnie taki.

Ksiądz przed ołtarzem wiązał stulą ręce państwa młodych. Myśli Izy przerwał głos z grupy studentów:

— Już Ciołek wykończony. A w niebie mały „cioletczek” tupie już nóżkami i woła: „Aby na ziemię! Aby na ziemię!”

Iza nie wiedziała, czy ma się uśmiechnąć...

...No, tak, to przecież naturalna kolej rzeczy...

Ślub był skończony. Szpaler korporantów skrzyżował rapiry, tworząc jakby dach nad głowami państwa młodych. Korporacja oddawała honory swojej filistrowej...

Iza skierowała się przed boczny ołtarz i przyklęła na chwilę. Na ulicę — przez wyjściowe drzwi wylewał się tymczasem tłum uczestników uroczystości ślubnej.

Gdy Iza wyszła z kościoła, zobaczyła Jurka. Czekał na nią, by ją odprowadzić do domu.

Był piękny, ciepły wieczór, toteż chętnie przyjęła propozycję wspólnej przechadzki. Nie zauważyła, że po drugiej stronie ulicy stał Zygmunt Błoński, który widząc, że Iza wita się z Jerzym, szybko odszedł.

I Jerzemu było z nią dobrze. Gdy był w towarzystwie Izy, przeżywał zawsze dziwne uczucie. Wydawał się sobie — jakby jakimś lepszym... Lecz równocześnie dziwnie szybko mijał w nim ten „nastrój”.

Pomimo wieczornej pory wydawało się jej, że ulica ma jakby radosny wygląd. Patrzyła na ładny profil Jurka i było jej dobrze, że są razem. Stanowili niewątpliwie piękną parę.

Podbiegł do niej mały chłopiec z pękiem narcyzów.

— Hrabino, niech hrabina weźmie.

— Odejdź!

— Hrabio! Niech hrabia kupi dla hrabiny. Mój hrabio — nalegał mały sprzedawca.

— Jeśli pani nie chce, panno Izo, to wezmę dla siebie — rzekł Jerzy i rzucił pieniądz malcowi, który pobiegł uradowany. Nieco dalej kupił Jerzy program wyścigowy. Zaczął się już sezon wiosenny.

— Jak pani widzi — mówił — interesuję się wyścigami. Trochę z własnego upodobania, a trochę spowodu ciotki. Moja ciotka Przemska utrzymuje w swoim majątku niewielką stajnię i kilka jej koni będzie biegało w tym sezonie. Główną jej nadzieją jest trzyletni „Cezar”.

— Jeśli rzeczywiście tak imponująco biega, jak się nazywa, to musi być dobry konik. Nie znam się jednak na tych sprawach. Nigdy nie byłam na wyścigach.

Jerzy ożywił się:

— Panno Izo, mam myśl. Chodźmy kiedy z Andrzejem. Wszystko pani objaśnię. Ja trochę pomagam ciotce w sprawach stajni. Najciekawszy będzie dzień „Derby”. Muszę być, ponieważ startować będzie „Cezar”.

— Chętnie.

Ogarnęła go radość, że zobaczą go wszyscy z taką śliczną dziewczyną.

Nie spostrzegli się, gdy trzeba się było pożegnać. Ponowił prośbę małego sprzedawcy kwiatów. Nie odmówiła i wzięła narcyze.

Gdy Lando wrócił do domu, zastał w swym pokoju na stole małą, szarą, trochę zmiętą kopertę. Była w niej karteczka, a w niej tylko kilka słów. Przeczytał:

„Chcę, żebyś wiedział, że znalazłam opiekę u dobrych ludzi. Niech Ci Pan Bóg wybaczy moje krzywdy. Ja Ci przebaczyć nie mogę. — Irena”.

Andrzej był pochłonięty przygotowaniem do zrealizowania projektu, ustalonego pomiędzy nim a panem Tumaszewskim. Zarząd „Bratniej Pomocy”, otrzymawszy wiadomość o ofercie p. Tumaszewskiego, zaaprobował z entuzjazmem myśl swego prezesa. Andrzejowi i kierownikowi sekcji gospodarczej, energicznemu koledze Zaharowskiemu, powierzono załatwienie czynności przedwstępnych. Przy zapewnionej pomocy finansowej uważali, że realizacja sprawy jest wyłącznie w ich rękach i zależy tylko od ich energii.

Rektor Czesławowicz — gdy mu Andrzej na jednej z pierwszych audjencyj opowiedział o bytności p. Tumaszewskiego w „Bratniej Pomocy” — był szczerze poruszony.

— No, no — mówił — gdybym nie słyszał tego od pana, to powiedziałbym, że to bajka. Niech mnie pan zawiadomi, kiedy panowie będą ostatecznie omawiali z panem T. szczegóły imprezy. Przyjdę na posiedzenie. W tych czasach warto takiego człowieka zobaczyć, no, i trzeba uczcić.

Przewodnią myślą Andrzeja było postawienie spraw „Bratniej Pomocy” w ten sposób, by się mogła obywać bez filantropji publicznej, bez wszelkich zbiorów. Dla osiągnięcia tego celu potrzebne było współdziałanie takich ludzi jak Tumaszewski. Andrzej rozumiał, że ma jedyną w swoim rodzaju sposobność dla ucieleśnienia swych planów. Narazie jednak uważał, że nie wolno mu zaniedbywać dotychczas używanych źródeł dochodu. Toteż, otrzymawszy wiadomość o przybyciu do Warszawy znakomitego polskiego śpiewaka, który przyjeżdżał po odbytem tournée w Europie, — postanowił zwrócić się doń z prośbą o danie koncertu na cele „Bratniej Pomocy”. Poszli razem z Łukoczem dla zachowania charakteru delegacji. Ku niemałemu swemu zdziwieniu dowiedzieli się od

maître d'hôtel, że przyjmie ich „sekretarz” śpiewaka, bo taki jest ustalony przez znakomitego artystę ceremonjał przyjmowania interesantów. Sekretarz, gdy się u niego zjawili i wyłuszczyli cel swego pobytu, zrobił kwaśną minę:

— Mistrz, proszę panów, jest tak zajęty i ma tyle propozycji, że naprawdę nie wiem, czy mogę mówić mu o bytności panów. Proszę mnie źle nie rozumieć. Ja wiem, że „Bratnia Pomoc” to instytucja, mająca bardzo zacny cel. Mistrz jest jednak przepracowany, nie rokuje więc panom wielkiej nadziei.

Kiedy wyszli, Łukocz się odezwał:

— Z naszych starań będzie guzik. Zgóry można przewidzieć, że „mistrz” będzie wyczerpany.

Działo się to w porze poobiedniej, w niedzielę. Andrzej postanowił skorzystać z zaproszenia pani Lachowiczowej i odwiedzić panie. Marzył o tem, żeby się kiedyś móc stale spotykać z Zochą. Trzeba to jednak „wypracować”. Pocieszał się, że nie odrazu Kraków zbudowano. Gdy przyszedł do Lachowiczów, okazało się, że jest pierwszym z gości. Powitały go Zocha z Krysią, która już rozmawiała z nim, jak z dobrym znajomym.

— Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że pan przyszedł.

— Wielka to przyjemność dla mnie, panno Krysiu!

— Ale, bo pan nie wie dlaczego? Założyłam się o pół kilo wedlowskich czekoladek z Zochą, że pan dzisiaj przyjdzie.

Klaskała w ręce.

Zocha ją lekko skarciła.

— Jesteś już w czwartej klasie, a zachowujesz się jak małe dziecko.

— Albo jak mój... przyjaciel — odezwał się Andrzej.

Krysią dygnęła.

— Dziękuję, panie obrońco!

— Ponieważ już pan odbył ceremoniał pierwszej wizyty, to zaprowadzę pana do swego sanktuarjum.

To mówiąc, Zocha zaprowadziła Andrzeja do swego pokoju. Był niewielki. Rzuciła się w oczy przedewszystkiem duża otomana, pokryta stosem poduszek. Na jednej z nich w figlarnej pozie siedział mały pierrot. Bokiem do okna stało damskie biureczko. Gdy weszli do pokoju, spod biurka wysunęła się piękna rasowa wyżlica. Zocha dotknęła pieszczotliwie jej łba.

— Zapoznaję pana z moją wielką przyjaciółką. Nazywa się „Moja”. „Moja”! Przywitaj pana!

Pies stanął na tylnych łapach, opierając się przedniemi na piersiach Andrzeja.

— Przyzna pan, że miły jest mój piesek. Krysia! — zawołała na siostrę. — Na chwilkę zostawiam pana samego. Zaraz wrócę.

— Już jestem — zawołała Krysia. — Nie wypada, żeby gość był osamotniony. Zocha musi zarządzić pewne sprawy domowego gospodarstwa. Są to rzeczy panom zupełnie nieznanne.

Andrzej patrzył ze szczerą sympatją na Krysię. Była w tym wieku, o którym można powiedzieć: półkobieta — półdziecko. Miała dużą swobodę obejścia, rzadko spotykaną u dziewczynek w jej wieku. Łatwo się było domyślić, że bierze udział w niedzielnych fiwe'ach. Chciało się też o niej powiedzieć: „mały zawadjaka”. Narzucała mu się wizja tej dziewczyny, hasającej na koniu.

— Gdy patrzę na panią — mówił Andrzej — to wydaje mi się, że dla określenia pani najlepiej odpowiada słowo „kozaczek”.

— Bardzo miło to pan powiedział. Jeśli ułoży się tak wszystko, jak sobie obmyśliłam, to pozwolę się panu tak nazywać.

Stała przed lustrem, jakby chcąc sprawdzić, ile prawdy jest w nazwie, danej jej przez Andrzeja.

— Martwię się trochę, że nie jestem tak ładna jak Zocha. Ale i tak dam sobie radę.

— Murowane. Taki dzielny kozaczek nie dałby sobie rady!

Pomyślał, że rozmawia z nią tak, jakby się już znali dawno. Przeczuwał, że będzie miał z niej w tym domu sojusznika.

— Czy pani lubi tenis, panno Krysiu?

— Bardzo. Sama gram. Ale dlaczego pan pyta?

— Bo chcę prosić, żeby pani namówiła siostrę i żeby panie poszły ze mną w tym tygodniu na match. Zaczynają się rozgrywki Davis coup'owe.

— Gdyby chodziło tylko o mnie, to odrazu powiedziałabym, że skorzystam z zaproszenia, o ile oczywiście, mama pozwoli. Ale z Zochą, chociaż się mamy nie potrzebuje pytać, to nic niewiadomo.

Zamyśliła się:

— Sądzę jednak, że po pewnych ceregielach zgodzi się.

Weszła Zocha.

— Przejdźmy do salonu. Może zaraz kto przyjdź, a ja nie lubię, gdy palą w moim pokoju.

„Kozaczek” uważał za właściwe się wtrącić.

— Pan Andrzej chce ci wyluszczyć swoją prośbę. To rzekłszy, zostawiła ich samych.

— Widzę, że pan z moją Krysią zawarł pakt przyjaźni. O cóż chodzi?

— Ośmielam się zaproponować pani i siostrze, żeby się panie wybrały ze mną na Puchar Davisa.

Z niepokojem patrzył w jej oczy. Była to przecież pierwsza z jego strony propozycja spotkania.

Nie odmówiła mu wprost.

— Nie wiem, czy to da się zrobić, bo jestem na ten dzień proszona do Rajnerów. Chyba nie.

— Ja ze swej strony proponuję pani tak. Przyjadę przed dom państwa samochodem. W odstępie 3-minutowym szofer da dwukrotny sygnał trąbką. O ile

po drugim sygnale pani nie wyjdzie, to oczywiście odjadę.

— Trzeba przyznać, że to trochę niezwykle. Nie-skory pan do rezygnowania ze swoich projektów.

W salonie zastali panią Lachowiczową. Na małym stoliczku na kótkach stały przybory do czarnej kawy.

Andrzej opowiedział paniom przebieg wizyty u znakomitego śpiewaka. Kończył mówić, gdy rozległ się dzwonek u drzwi i po chwili weszła Rajnerowa z mężem, a tuż po nich kapitan Rogala.

Rajnerowa podała Andrzejowi rękę. Równocześnie uderzył go zapach ostrych perfum.

— Powitać pana. Już drugi raz się tutaj spotykamy.

W oczach Andrzeja wyglądała dzisiaj trochę lepiej. Od przypudrowanej twarzy usta odcinały się nie tak jaskrawo-krwawą plamą. Przyszło mu na myśl, że prawdopodobnie „zjadła” je w trakcie obiadu.

Potoczyła się ogólna rozmowa, podczas której Andrzej obserwował z zaciekawieniem Rajnera. Kapitan, choć postarał się o miejsce obok Zochy, nie budził w nim zainteresowania.

Rajner robił wrażenie czterdziestokilkuletniego mężczyzny. W zestawieniu ze swą żoną wyglądał korzystnie. Nie miał miny „nowobogackiego” — chociaż monokl, który nerwowym ruchem twarzy czasami wyrzucał z oka, zdawał się być zbytecznym akcesorium. Rajner, który zaczął swą karierę jako zwykły subjekt, był dzisiaj bardzo zamożnym człowiekiem, właścicielem wielkiej firmy hurtowej: „Rajner i S-ka”. Wprawdzie mówiono o nim, że ma pewne nieporozumienia z władzami skarbowymi w związku z ukrywaniem dochodów, ale były to wszystko, jak dotąd, niesprawdzone pogłoski.

Rajner przysłuchiwał się właśnie wywodom Rogali, którego słowa skupiły uwagę całego towarzystwa.

Mówił o poruszającej wszystkie umysły sprawie sądowej porucznika K., znanego w szerokich kołach towarzyskich. Porucznik był posądzony o akcję szpiegowską na korzyść ościennego państwa.

— Dla nas, oficerów — mówił Rogala — taka sprawa jest niezwykle bolesna. Porucznik miał przytem bardzo dobrą opinię. Okazało się jednak, że był tylko dobrym komedjantem.

— Przyznam panu kapitanowi — wtrącił Andrzej — że sprawa ta słusznie może być uznana za wręcz tragiczną, bo dotyczy występku oficera, to jest człowieka, który musi być honorowy. Niestety, ogólnie biorąc, jest to w ostatnich czasach jedna z wielu spraw tego typu haniebnego, że zdrady wobec państwa polskiego dopuszczają się Polacy. Taksamo szanuję ludzi, pracujących w wywiadzie dla dobra własnej ojczyzny, jak każdego innego pracownika dla dobra państwa. Natomiast zdrada własnego kraju jest dla mnie czemś tak ohydny, że nie widzę kary, któraby była dostateczną dla przestępcy. Toteż rozumiałem niedawno na procesie tego samego rodzaju, jak prokurator zawołał, „że za mała jest w tej sprawie kara śmierci“. Wykorzystała to obrona oskarżonego, mówiąc, że prokurator widocznie nie zna kodeksu, ponieważ kodeks nie przewiduje kwalifikowanej kary śmierci. Może się kapitan uśmiechnie na to, co powiem, ale ja w stosunku do zbrodniarzy-zdrajców kraju zastosowałbym przed powieszeniem karę średniowiecznego pręgierza. Zechcą mi państwo wybaczyć, że się troszkę uniosłem, ale nie mogę o tych rzeczach mówić spokojnie.

Zocha słuchała Andrzeja z zaciekawieniem. To mówił przecież ten jej... „tancerz“. Przypomniały się jej słowa, które do niej wypowiedział przed jej odjazdem na święta wielkanocne: „Pełne życie męskie powinno mieć dwa oblicza“.

Rozmowa przerwała się, gdyż przybyli nowi goście. Andrzej z zadowoleniem powitał dwóch członków kor-



poracji „Sokolja”. Jednym z nich był fuksik Władek Delfi, drugim barwiarz Zbyszewski.

Towarzystwo podzieliło się na kilka grup. Andrzej skorzystał z tego i podszedł do Zochy.

— Cóż, panno Zosiu, jak pani myśli? Co będzie z moją prośbą à propos puharu Davisa?

Uśmiechnęła się.

— Zobaczymy. Powiem panu coś przyjemnego. Było panu bardzo do twarzy z rumieńcem, gdy pan mówił o tych szpiegach.

— Przyznam się, że mnie bardziej interesuje, czy pani myśli o tych rzeczach tak, jak ja.

— Naturalnie, że taksamo. Ale to ciekawe, że pana zajmują moje myśli.

— Jeśli mam mówić szczerze, to nawet bardzo.

Dojrzała w jego oczach ten sam — dobrze jej znany blask. Uczuła zadowolenie, że w pobliżu znalazła się Krysia.

— Mam ochotę z panem pogawędzić — rzekła Krysia. — Czy można?

— Jestem na pani usługi, panno Krysiu.

Oczami poszedł za Zochą, która się przysiadła do Rajnerów.

Usiedli z Krysią na fotelach w pobliżu pianina. Tuż obok stał kapitan Rogala wraz z Delfim, Zbyszewskim i jakimś nieznanym Andrzejowi panem. Dobięły go urywki ich wesołej rozmowy.

— Niech pan się przyjrzy panu Rajnerowi — odezwała się Krysia — to panu coś powiem. Przypomina mi on pewną reklamę. Widziałam niedawno w jakimś piśmie główkę dziewczyny i obok głowę pana w monoklu. A pod tem napis: „Poślubiłem biedną dziewczynę — mówi milioner, ponieważ zachwyciłem się jej piękną cerą”. Była to reklama jakiegoś kremu. Otóż Rajner dziwnie przypomina tego „milionera” z ogłoszenia. Powiem panu, że niebardzo ich lubię. Tylko proszę mnie nie wydać.

W tej chwili Andrzej zwrócił uwagę na rozmowę w sąsiedztwie, gdyż stawała się coraz głośniejszą.

— Fuksik! — mówił, śmiejąc się, Zbyszewski do Delfiego. — Daj mi ognia. Widzi pan, kapitanie, pan jako nie korporant nie ma takich udogodnień.

Delfi zapalił papierosa Zbyszewskiemu. Na twarzy jego nie było najmniejszego zakłopotania lub przykrości.

Kapitan Rogala odpowiedział:

— Dlaczego nie? Może i mnie fuks zechce podać ognia? — rzekł, zwracając się do Delfiego.

Delfi podał kapitanowi zapalnik:

— Może zechce sam sobie zapalić...

Na twarzy kapitana wystąpiły płomienie. Skłonił się. Obaj panowie wymienili bilety. Wszystko się odbyło niewidocznie dla reszty towarzystwa.

Po chwili kapitan zęgnął się z panią domu.

— Cóż to kapitan dzisiaj tak krótko? — pytała pani Lachowiczowa.

— Tak się składa, że mam dzisiaj jeszcze szereg spraw do załatwienia.

Po wyjściu Rogali towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Andrzej wyszedł wraz ze Zbyszewskim i Delfim.

Na schodach zwrócił się do nich:

— Byłem, zdaje się, jedynym, który zauważył fakt wymiany biletów kolegi Władka z kapitanem. Słyszałem również rozmowę, która to wywołała.

— Powiedzcie nam, prezesie, co o tem myślicie? — spytał Zbyszewski.

— Powiem wam, kolego, tak. Kapitan popełnił wielki nietakt; bardzo mu się dziwię. Co zaś do odezwania się kolegi Władka, to powiem wam prawdę, że wolałbym, żeby reakcja nastąpiła z waszej strony, jako obecnego barwiarza tej samej korporacji. Możliwe byłoby bowiem traktować wtedy jako rodzaj kpin z korporacyjnych zwyczajów. I w razie waszego wystąpienia mogłoby dojść do dyskusji, czy niema sprawy

pomiędzy kapitanem a całą korporacją „Sokolja”. Wobec tego zaś, że kol. Władek sam sobie wymierzył na miejscu satysfakcję, sprawa jego ma wyłącznie osobisty charakter. Uważam, że zatarg jest tak bagatelny, że powinien się zakończyć wzajemnem przeproszeniem, oczywiście, dalej idącym ze strony kapitana, ponieważ wywołał zajście. Zaofiarowałbym koledze swoje zastępstwo, gdyby nie ta okoliczność, że to utrudniłoby moje bywanie u państwa Lachowiczów. Jeśli chodzi o radę, zawsze nią służę, o ile przydać się może — rzekł, zwracając się do Delfiego.

Andrzej wchodził już do siebie na schody, gdy mu się przypomniała pewna sprawa. Zawrócił więc i wstąpił do pobliskiej cukierni. Tam wybrał pudełko czekoladek, małą kopertę zaadresował do Krysi Lachowiczówny, a na bilecie napisał:

„Jako uzupełnienie wygranego przez Panią (dzięki mnie) zakładu — ośmiela się prześłać A. Zarucki”.

Odesłał paczkę przez posłańca.

Tegoż wieczoru, gdy Zocha układała się już do snu, wbiegła do niej Krysia:

— Coś ci muszę, Zochna, powiedzieć. Ten twój pan Andrzej jest bardzo miły — bardzo go lubię.

— Krysia! Cóż to za sposób wyrażania się? Dlaczego mówisz „twój” pan Andrzej?

— Zochna, chwilami nie wiem, która z nas jest większem dzieckiem. Przecież to takie jasne, że pan Andrzej nie przysłałby dla mnie czekoladek, gdyby nie myślał o tobie.

Takie było rozumowanie „kozaczka”.

## XVII.

Nadszedł dzień Święta Narodowego 3 Maja. Dzień szumny marszem idących wojsk, łopotem sztandarów i pełen tłumów ulicznych. I trzeba dodać: dzień rozjaśniony blaskami wiosennego słońca, bo choćby było

chmurno przed i po trzecim maja — to w dniu Święta Narodowego chmury jakby na rozkaz pierzchają i ukazują się słońce.

Tradycyjnym zwyczajem odbywa się wczesnym rankiem w Ogrodzie Botanicznym msza akademicka. Odprawia ją ksiądz-dziekan wydziału teologicznego. Stawili się rektorzy, profesorowie i ogromna rzesza studencka. Wpobliżu ołtarza stały szerokim półkolem akademickie sztandary.

Andrzej stał przy sztandarze „Bratniej Pomocy”, który zarazem był sztandarem Uniwersytetu. Wierzchołek drzewca, zamiast zwykłego u innych sztandarów zakończenia, zdobny był w srebrnego orła, ten zaś po brzegach skrzydeł — w złote gwiazdy — mające symbolizować poszczególne wydziały Uniwersytetu.

Korporacyjne sztandary zajmowały miejsca wedle kolejności starszeństwa\*). Zatem pierwsza „Arkonja”, za nią kolejno „Welecja”, Lechicja”, „Sarmacja”, „Jagiellonja”, „Patria” i inne. W kolejności starszeństwa zajmował miejsce sztandar „Gdynji”.

Panowała cisza uroczysta, którą przerywał chwilami silniejszy szum drzew i dzwonki ministrantów... W czasie Podniesienia pochyliły się głowy, jak pod podmuchem wiatru ścielący się łan. Pokłoniły się w obliczu Wielkiej Ofiary akademickie sztandary. Zalsniły blaszkami słonecznym skrzyżowane na sztandarowych drzewcach rapiry korporacyjne. Nakoniec kapłan błogostawił, czyniąc znak krzyża nad tą młodą gromadą, która obecnie jest „jutrem” — ale przyjdzie dzień, że będzie stanowić „dzisiaj” Polski... „Dzisiaj”, którego nadejścia żaden wrogi wysiłek nie powstrzyma. Bo takie jest prawo życia i śmierci.

---

\*) „Starszeństwo” korporacyjne określa się według terminów założenia korporacji.

Po skończonem nabożeństwie, gdy rzesza akademicka zaczęła się rozchodzić, Andrzej rozglądał się bacznie dookoła. Szukał Lachowiczówny. Powiedziała mu, że przyjdzie. Wreszcie dostrzegł ją. Dał radosny znak ręką. Okoliczność, że byli wspólnie na nabożeństwie, sprawiała, że Zocha wydawała mu się o wiele bliższą.

Wogóle ostatnie dni w jego pojęciu zbliżyły ich. Kiedy w porze umówionej zajechał przed dom Lachowiczów, wyszła Zocha z Krysią i pojechali na rozgrywki tenisowe; spędzili wspólnie kilka godzin. Przemysłny „kozaczek” starał się możliwie im nie przeszkadzać.

Teraz tu przyszła.

— Nie uwierzy pani, jak jestem wdzięczny, że pani przyszła.

Ucałował jej rękę.

— Możebyśmy się troszkę przeszli? Cóż, zgadzam się?

— Jak widzę, zaczyna pan już do mnie mówić w pierwszej osobie.

Zamiast odpowiedzi, skierowała się w głąb ogrodu.

— Uważam, że może pani już wiedzieć, iż myślę jeszcze śmieiej.

— Mianowicie?

— „Tykam” panią, panno Zosiu. I myślę sobie o pani tak poprostu: „Zochna”. — A ponieważ to jest dziedzina moich myśli, więc cieszę się, że mi nikt nie może tego zabronić.

Drżała wewnątrz. Były to przecież jakby oświadczenia. Pomimo że czuła, jak ten chłopak zbliża się do niej w błyskawicznym tempie, nie spodziewała się takiego przebiegu rozmowy. Przez chwilę milczała, niewidocznie patrząc na niego przez zmrużone od słońca powieki.

— Nie gniewa się pani, że pozwalam sobie tak myśleć? — spytał.

— Trudno mi to określić. Trochę mnie pan zaskoczył tem powiedzeniem.

— Użyła pani słowa „trochę”. Cieszy mnie to.

— Panie Andrzeju! Dlaczego pan mnie łapie za słowa?

— Bo widzi pani, są rozmowy, które trwają w pamięci całe życie i każde słowo trwa, jak wyryte rylcem rzeźbiarza.

Zrozumiała, że nie chciał, by miała jakieś wątpliwości co do intencji jego słów. Rozumiała, że tylko od niej zależy, by zakończyli ten spacer jako narzeczeni. Instykt jej mówił, że inny układ jego stosunków z nią nie mieścił się w jego charakterze.

Szkoda... Z przyjemnością wytargałaby go za tę jasną, bujną czuprynę. Podobał się jej... Gdyby nie świadomość, że narzeczeństwo pociągnie za sobą krępujące ją więzy — powiedziała by „tak”. Nie chciała się sama krępować, ale nie chciała również stracić tego chłopca. Powzięła decyzję. Troszkę się od niego odsunęła, bo szli tak, że chwilami dotykały się ich ramiona.

— Z tego, co pan powiedział, widzę, że pan chciałby, byśmy byli ze sobą na „ty”. Na to — ja się nie mogę zgodzić.

— Dlaczego, panno Zochno?

Gdy to powiedział, pomyślał sobie, że pytanie było przecież bez sensu. Widocznie jest jej obojętny.

— Panie Andrzeju. Powiem panu otwarcie to, co myślę. Mówienie sobie „ty” pociąga za sobą bardzo duże zbliżenie. Uważałby pan z pewnością, że daje to panu wiele praw. Naprzykład wiem, że chciałby pan, aby moje stosunki z Rajnerową się oziębily...

— Myli się pani, panno Zochno. Jabyem chciał, żeby one ustały.

— Jeszcze lepiej. A dla mnie, chcę, żeby pan o tem wiedział, Rajnerowa jest bardzo sympatyczna, bardzo ją lubię. Dzielą nas, jak pan widzi, pewne róż-

nice. Pan lubi mnie, a nie znosi Rajnerowej. A ja lubię zarówno ją jak i pana.

— Nareszcie usłyszałem jedno dobre słowo, że mnie pani lubi, choć proszę się na mnie nie gniewać, ale wolałbym usłyszeć to o sobie w zestawieniu z kim innym.

Wydęła usta.

— Czy powiedzmy, wolałby pan usłyszeć o sobie w zestawieniu z kapitanem Rogalą?

— Niedobra jest pani, panno Zochno, dla mnie... Ale ponieważ chcę, żeby mnie pani dokładnie rozumiała, więc odpowiem na to pytanie. Ma pani słuszność: wolałbym.

Spojrzała na niego z odcieniem niedowierzania. Wydawał się jej niezrozumiały.

— ...I powiem pani dlaczego — bo dla kapitana mam szacunek, a przynajmniej dla munduru, który nosi...

— A Rajnerowa?

— ...szacunku we mnie nie wzbudza.

Zatrzymała się.

— Jak pan może mówić w ten sposób? Daje mi pan do zrozumienia, że mnie pan bardzo lubi, i robi mi pan równocześnie taką przykrość.

Wziął ją leciutko za rękę.

— W słowach, które pani powiedziała, panno Zochno, mieści się odpowiedź na postawiony mi zarzut. Cóżby mnie bowiem obchodziła osoba pani przyjaciółki, gdybym, jak się pani wyraziła, bardzo pani nie lubił?

Milczała. Trudno się było na niego gniewać. Postanowiła go nie pytać o przyczynę niechęci do Rajnerowej. Mogłyby paść słowa, po których należałoby się obrazić.

Kończuszki jej palców drżały lekko w jego dłoni.

— Panie Andrzeju. Jeśli pan mi nie chce robić przykrości, to zostawmy w spokoju Rajnerową. Dobrze?

— Cóż mam robić? Dobrze. Powiem pani tylko jedno, że sama pani R., gdyby słyszała naszą rozmowę, byłaby zdziwiona, że poświęcono jej tyle uwagi. A teraz koniec z nią. Punctum.

— Bardzo dobrze. Tak właśnie chcę. Ale muszę już wracać do domu. Zaszliśmy w sam koniec ogrodu. Nim wyjdziemy na ulicę, minie jeszcze dobra chwila.

W ogrodzie było niemal pusto. Spotkali tylko kilku spacerowiczów. Na ławeczce koło wyjścia spostrzegł Andrzej Błońskiego z gazetą w ręku. Na twarzy Zygmunta ujrzał uśmiech. Widać było, że cieszył się ze schwytania Andrzeja na randce. Gdy przechodzili koło niego, pochylił się w przesadnym ukłonie.

— Uszanowanie dla kolegi prezesa!  
Andrzej za plecami pogroził mu ręką.

— To mój serdeczny przyjaciel — poinformował Zochę, — Zygmunt Błoński. Jemu właśnie zawdzięczam poznanie pani.

— W jaki sposób?

— Gdy pani przyszła do „Bratniej Pomocy” wykupić legitymację członkowską, on mi o tem powiedział. Jeśli się nie mylę, wyraził się tak: „Wiesz, jak się widzi takie członkinie „Bratniaka”, to się dopiero zyskuje szacunek dla pana prezesa”. Rozumie pani, panno Zochno, że musiałem pójść sprawdzić, komu mam do zawdzięczenia ten szacunek.

W oczach jego ujrzała znowu znajomy jej blask.

Doszli do przystanku tramwajowego. Wsiadła już do tramwaju, gdy powiedziała:

— Proszę o nas pamiętać. Będzie nam miło pana widzieć nie tylko w niedzielę.

Powiedziała mu to w ostatniej chwili, niby tak odniechcenia, a to przecież taka cenna wiadomość!

Gdy wracał do domu, ważył szczegóły rozmowy. Powiedziała, że go lubi i upoważnia do częstszego



bywania. Z drugiej strony — nie zgodziła się na „tykanie”. Wygląda to na sprzeczność. Kobieta to wieczna zagadka.

Przyszedłszy do siebie, znalazł Andrzej na biurku zrobioną przez ojca notatkę, z której wynikało, że kolega Zbyszewski telefonował z prośbą, by Andrzej po przyjeździe do domu do niego zadzwonił. Okazało się, że Zbyszewski wraz z Delfim i Kazikiem Szreniawitą, pełniącym funkcję sekundanta w sprawie Delfiego z Rogalą, — pragną z Andrzejem pomówić. Wszyscy byli w mieszkaniu Zbyszewskiego i, uzyskawszy aprobatę Andrzeja, zapowiedzieli jaknajprędzsze swoje przybycie.

Wkrótce przyszli. Gdy rozsiedli się w pokoju, Szreniawita wyjaśnił cel ich przybycia.

— Słuchaj, Andrzeju, wczoraj było wspólne zebranie zastępców w sprawie kolegi Władka z kapitanem Rogalą. Ze strony kolegi Władka był kolega Zbyszewski i ja; ze strony kapitana — dwóch majorów. Zdziwi cię zapewne wiadomość, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie pojedynek.

— Rzecz niemożliwa!

— Właśnie, że możliwa. Jutro zapadną decyzje. Powiem ci, o co chodzi. Gdy spotkaliśmy się z zastępcami kapitana, pierwszą kwestją, którą rozpatrywaliśmy, a która zakończyła się porozumieniem, było ustalenie poglądu stron obu, że sprawa nadaje się do pokojowego załatwienia.

— Skąd zatem groźba pojedynku?

— Zaraz się dowiesz. Ponieważ stroną, która spowodowała zatarg, był kapitan, a rola kolegi Władka ograniczyła się do dania mu odpowiedzi w formie równie niewłaściwej, — wysunęliśmy jako zasadę, że sprawa winna się zakończyć obustronnem przeproszeniem, z tem, że kapitan, jako strona, która spowodowała zajście, — winien wyrazić bądź ubolewanie —

bądź formuła jego przeproszenia winna być dalej idąca.

— A cóż strona przeciwna?

— Zastępcy kapitana oświadczyli, że motywacja naszego stanowiska jest tylko pozornie słuszna, gdyż oni uważają za właściwe podkreślić, że klient ich jest oficerem, który tem samem zasługuje na specjalne względy i ponieważ zwrot przezeń uczyniony był w formie dobroduszej, skierowany do człowieka bardzo młodego, który rok temu był jeszcze uczniem, — zatem nie powinno to było wywołać obraźliwej dla kapitana reakcji; skoro zaś ta reakcja nastąpiła, to uważają, że sprawa może być zakończona pokojowo, jedynie pod warunkiem, że przeproszenie ze strony p. Delfiego będzie dalej idące.

— Jednym słowem wylazło stare zagadnienie konfliktów honorowych między wojskowymi a cywilnymi — zauważył Andrzej — cóż dalej?

— Wtedy zabrał głos kolega Zbyszewski, który mojem zdaniem bardzo słusznie zauważył, że sposób podejścia do sprawy, podobny do tego, jak czyni strona przeciwna, — byłby słuszny, gdyby na miejscu kapitana 28-letniego — postawiono 60-letniego pułkownika. Tylko, że wtedy nie byłoby sprawy honorowej, bo kolega Władek potraktowałby odezwanie się starszego człowieka z humorem i nie poczułby się niem dotknięty. Nie byłoby z jego strony żadnej reakcji spowodu szacunku, który ma każdy młody człowiek, dobrze wychowany — dla siwizny. Kolega jeszcze dodał, że w sprawach, w których w grę wchodzi kwestja honoru, ogół ludzi honorowych musi być jednakowo traktowany. Jeśli zaś druga strona z uporem wysuwa zagadnienie specjalnego szacunku dla munduru, — to my ze swej strony wysuwamy kwestję szacunku dla obywatela akademickiego i ponieważ kolega Władek odezwał się równie „dobrodusznie” jak kapitan, konflikt honorowy — stojąc na gruncie obu-

stronnej dobroduszości — nie istniałby. Zaznaczamy jednak, że p. Delfi nie uważał swego zwrotu za dobroduszny, tylko za rozmyślną reakcję na obrażające go słowa kapitana Rogali. Wobec niedojścia do porozumienia, zebranie zostało odłożone, i o ile na jutrzyszem posiedzeniu porozumienia nie będzie, — pozostanie ustalić warunki spotkania. Przyszliśmy ci zadać pytanie, co tybyś zrobił, gdybyś był jednym z zastępców kol. Delfiego?

— Na to, co jabym zrobił, to w tej chwili jest za późno.

— Dlaczego? — spytał Delfi.

— Zaraz to kolegom wyłuszcę. Po deklaracji, wyjaśniającej stanowisko zastępców kapitana, powiedziałbym tak: „Przyznaję panom, że pomiędzy stanowiskiem oficera a nie-oficera jest jedna poważna różnica. Mianowicie oficer musi być honorowy, a nie-oficer powinien być honorowy. Skoro zaś obie strony nie kwestjonują swej honorowości, to pomiędzy nimi nie ma żadnej różnicy, bo honor jest jeden. Pogląd panów, że oficer zasługuje na specjalne względy, prowadzi w konsekwencji do uznania, że honor oficera jest natury szczególnej, jest inny, niż nie-oficera. Schodzimy w ten sposób z płaszczyzny równości pomiędzy dwiema honorowemi stronami. Pogląd panów obraża nas, zastępców p. Delfiego, ponieważ obaj jesteśmy akademikami i absolutnie nie uważamy, ażebyśmy mieli mniejsze poczucie honoru od panów. Jeśli więc panowie nie poddają rewizji swego stanowiska, to, niestety, sprawa pomiędzy naszymi klientami musi ulec przerwie, gdyż będziemy zmuszeni złożyć nasze mandaty...

— Jest rzeczą jasną, że na takie oświadczenie z naszej strony jest już za późno — odezwał się Zbyszewski.

— W tym stanie rzeczy jaki jest — mówił Andrzej — przewiduję, że prawdopodobnie sprawa zakończy się

spotkaniem. Powinno być oczywiście na najłżejszych warunkach. Niestety kwestje tego typu będą zachodziły dotąd, dopóki instancja, uznana przez wszystkich, nie ureguluje sprawy konfliktów honorowych pomiędzy wojskowymi a cywilnymi. Nie należy jednak zapominać, że choć w związku ze sprawą kolegi Władka wypłynęła kwestja natury ogólnej, to samo zajście było drobne. Pojedynek na skutek drobiazgu nie dodaje przeciwnikom powagi. Dlatego osobiście radziłbym kolegom starać się o zakończenie sprawy obustronnem równem przeproszeniem. Jeśliby doszło w tych warunkach do pojedynku, to nikt nie będzie mógł powiedzieć, że korporanci szukają okazji do spotkań. Wiemy zaś wszyscy, że sporo ludzi wygłasza takie zdania, bądź z nieświadomości istotnego stanu rzeczy, bądź ze złej woli.

Andrzej odprowadził kolegów do drzwi. Wracając do swego pokoju, zajrzał, co robi Iza. Uczyta się. Nie odwróciła nawet głowy. Za tydzień zaczynają się egzamina maturalne. Toteż nie wiedziała o otaczającym ją świecie.

## XVIII.

Na Uniwersytecie panowała atmosfera senna. Frekwencja na wykładach spadła do krańcowego minimum. Zrzadka po korytarzach błakali się studenci. Tylko przed szafkami, zawierającymi ogłoszenia poszczególnych wydziałów, często zbierały się rozprawiające gromadki. Nad wszystkim ciążyło jedno słowo: egzaminy. Wywieszzone już były listy dopuszczonych do egzaminów. Niejeden wszczynął zawiać akcję dyplomatyczną, zmierzającą do przesunięcia egzaminu na ostatni możliwie termin. W okresie końcowym, gdy uczący się przypomina warjata, ma bowiem prefensję, że doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, każdy dzień zyskany uważany jest za ułatwienie osiągnięcia

pomyślnego wyniku. Są tacy, którzy w tym okresie nie opuszczają mieszkania, nie golą się, wyłączają telefon, a na drzwiach zawieszają kartkę, że w domu... ciężka choroba.

Jest to okres, kiedy studenci, których nazwiska zaczynają się od początkowych liter alfabetu, ztorzeczą losowi i na szczęśliwców, których nazwiska zaczynają się na „T”, „U”, „W”, „Z”, patrzą jak na wyjątkowych wybrańców fortuny.

Nastrój przedegzaminacyjny nie dotyczył tylko siedziby „Bratniej Pomocy”. Szczęśliwców, którzy szykowali się do egzaminu, można było wśród pracowników „Bratniaka” wyliczyć na palcach jednej ręki. W „Bratniaku” szła praca normalna.

Na czoło prac zarządu wysuwała się kwestja zbliżającej się do pomyślnego końca realizacji kina „Akademik”. Był upatrzony już lokal i zapewniona aparatura. Ponieważ część rozrządzalna majątku p. Tumaszewskiego odpowiadała wartości posiadanej przez niego nieruchomości — ustalono, że p. Tumaszewski sporządzi akt darowizny na rzecz „Bratniej Pomocy”. Hipotecznie miał mieć zagwarantowane dożywocie, które zgodnie z jego oświadczeniem miało być tylko na papierze i jedynie wchodziło w grę, o ileby stracił resztę posiadanego majątku. Drugim aktem miano zaciągnąć pożyczkę na hipotekę otrzymanej nieruchomości i tą drogą zdobyć środki potrzebne na uruchomienie kina.

Oba akty miały być podpisane na drugi dzień rano, toteż w pokoju prezydium panował nastrój podniecenia. Byli tu teraz prócz Andrzeja — Łukocz, Pliszka i Zaharowski, kierownik sekcji gospodarczej, który w ostatnich dniach dwoił się i troił, by jaknajprędzej wszystko pomyślnie zakończyć. Teraz radośnie zacierał ręce.

— No cóż, „premjerze” (tak nazywał Andrzeja)? Dobijamy do mety. Jutro o tej porze będziemy już

bogaci. A najdalej za trzy tygodnie dajemy ogłoszenia: Otwarcie kina „Akademik”.

— Proponuję — rzekł Andrzej — aby przedtem zwołać walne zebranie i nadać Tumaszewskiemu godność członka honorowego naszego Towarzystwa.

— Słusznie. Wręczymy mu dyplom na uroczystości otwarcia „Akademika”. Dał mi wprawdzie do zrozumienia — mówił Zaharowski — że chce pozostać w cieniu, ale uważam, że nie możemy się na to zgodzić. Będziemy mu mogli powiedzieć, że chodzi o to, by jego czyn znalazł naśladowców.

— Mogą być koledzy spokojni — wtrącił się do rozmowy Pliszka — że pod tym względem owczy pęd nie nastąpi. W dzisiejszych czasach kultu gotówki, wcale nie byłbym zaskoczony wiadomością, że rodzina p. T. po otrzymaniu wiadomości, co zrobił, wystąpiła do Sądu o uznanie go za niebezpiecznego dla otoczenia i zamknięcie w zakładzie dla nerwowo chorych. Powiedzcież sami, czyż nie okazał się „niebezpiecznym” dla swoich krewnych?

— Wiesz, Pliszka — odezwał się zza biurka Andrzej. — Czasami, jak słyszę twoje „pogadajki”, to mi przychodzą na myśl słowa „Cezara”, wypowiedziane do jednego ze studentów na egzaminie. Tu Andrzej udał głos profesora:

— Phoszę pana, pan stanowczo marnuje czas na naszym Uniwersytecie. Szkoda pańskich zdolności...

Zaharowski trącił w ramię Pliszkę.

— Uważam, że powinniście się, kolego, na naszego „premjera” obrazić. Niejednokrotnie słyszałem od was, że w każdym dowcipie jest część prawdy.

— Ja? Obrazić się na Andrzeja? To niemożliwe. Cóżby robił bez takiej podpory moralnej jak ja. Zgiąłby chłopak z kretesem.

— Mam, panowie, propozycję — odezwał się Łukocz. — Czy nie byłoby dobrze jutro, po podpisaniu

aktów, zaprosić Tumaszewskiego na skromną rybkę i napić się trochę wódeczności?

Spoza jego grubych rozchylonych uśmiechem ust wyrzał sznur zębów jak perełki. Wiadomo było, że Bachus miał w nim wielbiciela.

Uchyliły się drzwi i wszedł bez pukania Zygmunt Błoński. W jego wyglądzie było coś takiego, co zgasiło wszystkie uśmiechy.

— Jak się masz. Cóż tak wyglądasz jak Piotrowin? — spytał Andrzej.

— Nic jeszcze nie wiecie?

— Nie. Co się stało? Gadaj prędzej.

— Dzisiaj rano zmarł nagle Tumaszewski.

Wiadomość uderzyła obuchem wszystkich. Andrzej zastął w bezruchu za biurkiem. Pierwszy odezwał się Pliszka.

— Skąd masz tę wiadomość?

— Przyniosłem wam wieczorne wydanie „Kurjera”. Czytajcie.

Wszyscy się nachylili nad pismem, z którego razit ich żałobny napis: ś. p. Bolesław Tumaszewski.

Mieli uczucie, że maleńkie mróweczki chodzą im po mózgu. Andrzej złożył dziennik.

— No tak, zatem wszystkie nasze plany zostają pogrzebane.

Pod oknem stał oparty o framugę Zaharowski. Wszystkie jego wysiłki, które już jutro miały być zrealizowane, poszły na marne. Patrzył na dziedziniec Uniwersytetu, na którym drżały krwawe blaski zachodzącego słońca.

Przez dłuższą chwilę panowała w pokoju cisza.

— I pomyśleć — odezwał się Andrzej — że jeszcze wczoraj był razem z nami. Taki radosny, że przeprowadza swój piękny czyn. Dziś już go niema, a po jego czynie zostanie tylko pomiędzy nami wspomnienie. C'est la vie.

Starł się całym wysiłkiem opanować rozigrane nerwy. Zwrócił się do Łukocza.

— Słuchaj, Zygmunt. Napisz zaraz do wszystkich członków zarządu kurendę, że o godz. 7-ej wieczorem zaraz po skończonem urzędowaniu odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie. Sam obejdz wszystkich, żeby podpisali.

W pokoju zostali Błoński i Zaharowski.

— Straszne jest, gdy przed samem dojściem do celu wszystko się tak wali — odezwał się Andrzej. — Czego chcesz? — spytał wchodzącego Walka.

Walek podał mu kartę wizytową.

— Ten pan chce się widzieć z panem prezesem.

— Powiedz, że dzisiaj nikogo nie mogę przyjąć.

Ciężyło na nim jeszcze całą siłą pierwsze wrażenie. Równocześnie spojrzął na bilet i wyczytał nazwisko głośnego śpiewaka, u którego byli niedawno z Łukoczem.

— Stój! — zawołał do odchodzącego Walka. — Powiedz, że przyjmę. Muszę was na chwilę przeprosić — zwrócił się do Błońskiego i Zaharowskiego.

Gdy wyszli, miał przez chwilę uczucie, że się znajduje w jakimś kołowrocie. Bo rzeczywiście prawdziwym kołowrotem była ta jego praca. Po chwili drzwi się uchyliły i wszedł przystojny młodzieniec. Andrzej powitał go tak, jak mógł się na to zdobyć w tej chwili.

— Uprzejmie witam. Zechce pan spocząć.

Śpiewak usiadł niedbale na fotelu, zakładając nogę na nogę.

— Mój sekretarz mówił mi o wizycie panów. Uważałem, że na bytność przedstawicieli „Bratniej Pomocy” winienem odpowiedzieć.

— Bardzo pan łaskaw, dziękuję panu.

— Sekretarz mówił mi dokładnie o celu panów wizyty. Przychodzę powiedzieć, że zgadzam się dać koncert na „Bratnią Pomoc”. Ceny biletów będą mogły być naturalnie wyższe, niż zwykle. Przypuszczam,



że będą panowie mieli czystego dochodu około dwudziestu pięciu tysięcy.

— Bardzo panu dziękuję — odparł Andrzej, któremu w głowie szumiało.

Śpiewak był dotknięty, że nie postyszał w głosie Andrzeja nuty entuzjastycznej radości.

Andrzej to spostrzegł.

— Zapewne pana to dziwi, że się zachowuję nie tak, jak należałoby. Proszę mi to wybaczyć, ale otrzymałem na chwilę przed pańskim przybyciem bardzo ciężką dla mnie wiadomość i trudno mi przejść od jednego nastroju do drugiego. Oczywiście szanowny pan nam powie, jaki termin na koncert mu dogadza.

— Ja jeszcze nie wyłuszczyłem do końca swej propozycji...

— Słucham szanownego pana.

— Chodzi o taką rzecz. Naturalnie nie mam najmniejszej pretensji do brania udziału w zyskach z koncertu. Chciałbym, żeby mi się panowie zrewanżowali w inny sposób.

Poruszył się niespokojnie na fotelu.

— Jest jasne, że podziękujemy panu tak, jak się należy.

— Otóż widzi pan, ja mam pod tym względem określone pragnienie i chciałbym je przedstawić.

Andrzejowi przypomniał się słuchany niedawno wykład o zasadach kupna i sprzedaży.

— Słucham pana...

— Otóż chodzi o to, żeby panowie, to jest „Bratnia Pomoc”, wystąpili do pana rektora Uniwersytetu z wnioskiem o nadanie mi za zasługi na polu artystycznym doktoratu honorowego.

Andrzejowi zdawało się, że się przestyszał.

— ...tak, doktoratu honorowego — powtórzył śpiewak.

Andrzej milczał.

— No, cóż na to prezes?

— Stawiając kropkę nad i, czy sprawę doktoratu traktuje pan nierozłącznie ze sprawą koncertu?

— Tak.

— Wszystko jest to niezwykle. Jak panu mówiłem, przed pana przybyciem otrzymałem smutną wiadomość. Mianowicie umarł człowiek, który chciał dać „Bratniej Pomocy” większą część swego majątku i którego pragnieniem było pozostać w cieniu... Umarł w przeddzień podpisania aktu darowizny... Teraz oferta pana...

— Nie rozumiem, dlaczego mi pan to mówi. Czyżby się pan obawiał, że ja mogę umrzeć przed koncertem?

Andrzej wstał i podał rękę śpiewakowi.

— Propozycje pańskie przedstawię zarządowi. Są naprawdę niecodzienne.

Gdy śpiewak wyszedł, Andrzej pomyślał sobie, że u tego człowieka zachodzi przerażająca dysproporcja pomiędzy głosem a rozumem.

Po skończonem urzędowaniu odbyło się krótkie posiedzenie zarządu. Wszyscy już przedtem dowiedzieli się od Łukocza, co się stało. Pamięć Tumażewskiego uczczono przez powstanie. Pozatem członkowie zarządu postanowili się opodatkować na wieniec. Ustalono, że na biało-amarantowych wstęgach będzie widnieć napis: „Człowiekowi wielkiego serca — młodzież akademicka”.

Posiedzenie trwało wszystkiego pięć minut, poczem ku zadowoleniu Walka lokal szybko opustoszał.

Nad wszystkimi ciążyła smutna wieść.

Przyszedłszy do domu, Andrzej z trudem porządkował swoje myśli. Chciał być sam, a niestety przy kolacji spotkał stałych gości pokerowych. Był oczywiście również adwokat Koziółcki.

— Jak dzisiaj poszło panu mecenasowi? — spytał Andrzej, czując, że trzeba coś powiedzieć.

— Jak zawsze, przegrałem. Ale to bagatela. Moi klienci, złodzieje, zapłacą.

Andrzej szybko zjadł kolację i wymówił się przed towarzystwem pilną pracą. Trudno mu było dyskutować teraz o banałach. Wiedząc, że sen każe na siebie długo czekać, wziął do ręki niedawno wydaną powieść. Na pierwszej stronie przeczytał zdanie zacytowane przez autora z Chestertona: „Bajki to fakty niezwykle, widziane przez zwykłych ludzi”. Powieść mu nie szła jednak do głowy, toteż po przeczytaniu kilku kartek książkę odłożył.

Z gabinetu ojca, gdzie grano w karty, dochodziły go echa licytacji pokerowej.

— I dla mnie, mecenasiku, dziesięć — dobiegał głos redaktorowej Żebrowiczowej.

— Dodałem.

— Tylko? Należało przebić. U mnie fulik na asach.

— Niestety, dobry.

Andrzej przymknął drzwi. Upewniwszy się, że ma na dłużej spokój, wyjął z biurka fotografię gabinetową Lachowiczówny i oparł ją o ozdobny kałamarz. „Skonfiskował” tę fotografię w czasie ostatniej bytności...

Korzystał obecnie w pełni z przyzwolenia na częstsze bywanie; kapitan Rogala, którego sprawa z Delfim zakończyła się pokojowo, — ostatnio u Lachowiczów bywał rzadziej. Andrzej domyślał się, że wszyscy znajomi Lachowiczów widzą już w nim zdecydowanego epuzera Zochy. Jego tymczasem zaczynał już drażnić stosunek na „pan” i „pani”. W towarzystwie osób trzecich, — to jeszcze pół biedy. Ale jaki cel to miało, gdy byli sami? Rozmowa w Ogrodzie Botanicznym — nałożyła mu rodzaj uzdeczki. Przynajmniej on tak to odczuwał. Wyobrażał sobie, że wszystko potoczy się w jasny, prosty sposób. Tymczasem wypadki nie posuwały się tak, jakby to jemu dogadzało. Chwilami wobec Zochy odczuwał nieśmiałość. Cieszył się, że

pozwała mu się często widzieć, że są razem. Coraz bardziej jednak odczuwał, że to wszystko jest dla niego mało. Czuł, że jakby powstrzymany został proces ich zbliżenia. Może Zocha się waha? Ale dlaczego w takim razie mile go zawsze wita? Widują się niemal co drugi dzień. Gdy go przez kilka dni nie było u Lachowiczów, pani Lachowiczowa przyjęła go słowami: „cóż to tak dawno pana nie widziałyśmy?” Czyżby matka pragnęła ich zbliżenia, a córka miała jeszcze jakieś wątpliwości?

Oczami pytał fotografii:

— A może moja osoba wydaje ci się rezygnacją ze świetnych marzeń?

Długo ciągnęła się ta niema rozmowa Andrzeja z „Zochą”.

## XIX.

Myślą, górującą w Andrzeju, gdy opuszczał lokal „Bratniej Pomocy” po żądnym posiedzeniu zarządu, było: „spełniono zbrodnię”. Myśl ta nie dawała mu spokoju. Czyż nie wskazuje na to okoliczność, że Tumaszewski żyć przestał w wigilję podpisania aktu darowizny? Czyżby istotnie zachodził tak tragiczny zbieg okoliczności? Przecież Tumaszewski mówił, że jego krewni są tacy, „że mówić o nich nie warto”. A zatem?

Te przesłanki sprawiły, że na drugi dzień po odwołaniu w kancelarji notarialnej aktu Andrzej z gmachu hipoteki udał się do kancelarji Prokuratury w Sądzie Okręgowym. Woźny z bakobrodami à la Franciszek Józef i dużym, srebrnym medalem na piersiach, zupełny „rodzony brat” dozorczy więzienia z „Zemsty Nietoperza” — przyjął od niego bilet, na którym Andrzej dopisał pod nazwiskiem „prezes Bratniej Pomocy”. Wizyta u prokuratora była stosunkowo krótka. Andrzej napisał własnoręcznie zeznanie. Prokurator zwrócił specjalną uwagę na ustęp rozmowy z Tuma-

szewskim, w czasie pierwszej jego bytności w „Bratniej Pomocy”, w którym Tumaszewski wyrażał swoją opinię o krewnych. Gdy zeznanie było już podpisane, prokurator zakomunikował Andrzejowi, że przed po- grzebem będzie zarządzona sekcja zwłok i że poda mu do wiadomości wynik sekcji w drodze telefonicznej.

Z Sądu udał się Andrzej do Uniwersytetu. Uważał za właściwe zawiadomić rektora osobiście o zaszłym fakcie, tak brzemieniowym w skutkach dla „Bratniej Pomocy”. Rektor, o czym Andrzej nie pomyślał, wiedział już o wszystkim z nekrologów zamieszczonych w prasie, niemniej przybycie Andrzeja uważał za naturalne. Niejednokrotnie na Senacie podkreślano wzorowy stosunek Zaruckiego jako przedstawiciela młodzieży do władz akademickich. Wyciągnął do Andrzeja rękę na powitanie.

— Bardzo serdecznie panu współczuję i proszę złożyć moje kondolencje zarządowi „Bratniej Pomocy”. Krzyżuje to plany panów.

— Mówiąc otwarcie, odkłada te plany ad calendae graecas.

Andrzej powiadomił jeszcze rektora, że zarząd „Bratniaka” opodatkował się osobiście na wieniec. O bytności u prokuratora, co uczynił wyłącznie na własną rękę, zamilczał.

— Znając pana — rzekł Czesławowicz — domyślałem się, że panowie tak postąpią.

Andrzej już miał wychodzić, gdy przypomniał sobie ofertę śpiewaka.

— Panie Rektorze, mam jeszcze jedną sprawę, którą z obowiązku muszę zreferować.

Tu powtórzył najściślej przebieg rozmowy z artystą.

— Cóż mu pan powiedział na tę propozycję?

— Ograniczyłem się do stwierdzenia, że uważam ją za niezwykłą. Pierwszy wstałem, dając mu do zro-

zumienia, że rozmowę uważam za zakończoną. Byłem pod dużym wrażeniem moralnej dysproporcji pomiędzy tem, czego chciał dokonać dla nas ś. p. Tumaszewski, i propozycją tego pana.

— Czyli właściwie dał mu już pan poniekąd odpowiedź. Trzeba przyznać, że mu niebrak tupetu. Dobry głos to wielki dar Boży, ale to jeszcze nie tytuł do otrzymania doktoratu honorowego. Muszą się jeszcze dotączyć do tego wielkie obywatelskie zasługi. Jeśli pan ma ochotę, to może mu pan dać odpowiedź. Ja to, co usłyszałem, powtórzę jedynie prywatnie panom profesorom, członkom Senatu. Uważam, że taki absurd nie powinien być w protokóle posiedzenia.

Gdy Andrzej wychodził z Rektoratu, skończyły się właśnie wykłady i zaludniły się korytarze. Licząc na to, że kogoś może spotka, wstąpił do bufetu. Było tylko kilka osób. Sezon „ogórkowy” w całej pełni. Był szczerze zadowolony, spostrzegłszy Błońskiego. Nie ukrywał jednak zdziwienia, że go widzi, przecież bliski był dzień jego egzaminu.

— Jak się masz, Zygmunt. Przyznam ci się, że nie spodziewałem się ciebie tu zastać. Mówiono mi, że się zakuwasz jak kowal, czyli innemi słowy jak dziki osioł.

— Siadaj. Mam z tobą do pogadania. Dziś przyszedłem wybadać, u kogo będę zdawał cywilne. Jeślibym się dostał w ręce Kłonicy, to pomimo mego zakuwania się, wynik może być odwrotnie proporcjonalny do czasu, poświęconego nauce. Okazuje się, że dzielą delikwentów na dwie grupy dopiero w dzień egzaminu. A zatem będę miał emocję do ostatniej chwili. To prawo cywilne to jest prawdziwa cholera. Im człowiek się więcej uczy, tem więcej widzi, jak mało umie. Prawdziwy ocean. Ale przechodząc do innej materji, czy otrzymałeś już zawiadomienie o najbliższej ogólnej „kwaterze”? Mnie przynieśli dzisiaj rano.

— Jeszcze nie otrzymałem.

— No to sobie przeczytaj na tablicy. Potem ci powiem, co myślę.

Andrzej zaciekawiony wstał. Na czarnej tablicy z napisem u góry „Korporacja Gdynja” — przeczytał co następuje:

„Komunikat wewnętrzny.

Podaję niniejszem do wiadomości kolegów, że na najbliższej sobotniej kwaterze po uroczystości przyjęcia nowych członków odbędzie się zebranie Sekcji Naukowej, na którym kol. Gudułt wygłosi referat p. t. „Republika czy monarchja”. Przewodniczący Sekcji Naukowej (—) Żabiński”.

— Ach, więc zaczyna się na całego! — pomyślał.

— No, a teraz zgodnie z zapowiedzią, powiedz, co myślisz? — rzekł Andrzej, zajmując spowrotem miejsce.

Zygmunt przysunął bliżej swoje krzesło.

— Gudułt, mój drogi, bardzo się ostatnio ekspoznował w monarchizmie. Wybrali go do władz. Otóż mojem zdaniem, pragnieniem jego — jest wciągnąć większość członków „Gdynji” do swego wózczyka. Ja osobiście ten cały jego monarchizm uważam za humbug, wymyślony dla specjalnych celów i w wiadomym interesie. Przypuszczam, że chodzi o naruszenie jednolitego ideowego kręgosłupa korporacji. Gdyby się akcja Gudułtowi udała, (jestem przekonany, że chodzi tu o akcję w ścisłym tego słowa znaczeniu), to tacy, jak ty, ja i szereg innych, musielibyśmy sobie odejść. Dostalibyśmy faktycznego kopniaka. A potem wiadomo: korporacja ze szkoły wychowania narodowego zamieniłaby się w rodzaj klubu, który następnie rozwiązałby się po pewnym czasie. Bo organizacja bez wyraźnego ideowego kośćca jest skazana na śmierć. No, powiedz mi, co o tem wszystkim myślisz?

Dla Andrzeja słowa Zygmunta stanowiły pewnego rodzaju odkrycie. Dotychczas przywykł w nim widzieć

raczej naukowca; dziś dostrzegał znacznie więcej. Zygmunt widział, jak „trawa rośnie”.

— Powiem ci krótko — rzekł Andrzej po chwili — wydaje mi się, że jesteś bliski prawdy. Proponuję: zapłać rachunek i chodźmy na pogawędkę do ogródka.

Zygmunt zapłacił i wyszli.

Ogród uniwersytecki był w całej krasie zieleni. Lekki podmuch wiatru kołysał wierzchołkami drzew. Małe, białe motyle, pospolite polskie „kapustniki” unosiły się nad krzewami, wybierając ostłoneczne miejsca. Zastali kilku studentów, siedzących na obmurowaniu i obkuwających skrypta. Było cicho. Zbliżające się egzamina kładły palec na usta wszystkim. Każdy z obecnych w ogrodzie zajęty był wyłącznie sobą.

Andrzej i Zygmunt, nie chcąc nikomu przeszkadzać, zeszli po schodkach na niższy poziom ogrodu i usiedli na ustronnej ławeczce. Poręcz jej była zdobna w rozmaite inicjały, wyryte serca i tym podobne akcesorja.

— Tak, wydaje mi się, że masz rację — powtórzył Andrzej. — Ale powiedz mi, czy nie wiesz, kto będzie do korporacji przyjmowany? Było tam, jeśli się nie mylę, czterech kandydatów Gudułta.

— Byłoby dobrze, żebyś przyszedł na uroczystość przyjęcia. Wiesz, jaki masz autorytet. Twoja obecność zrobiłaby dobre wrażenie. Co do nowoprzyjętych, to mogę ci udzielić następujących informacji. Jednego z nich ja wprowadzam: nazywa się Janek Skrzycki. Bardzo zacne chłopię. Dawałem mu „korki” i dobrze go stąd znam. Z głębokim przekonaniem podpisałem mu deklarację. Co się tyczy gości rekomendowanych przez Gudułta, to zapewne nie wiesz, że dwom powiedziano, by podań o przyjęcie nie składali. W rozmowie z Żabińskim „wysnęło” im się, że jedyną rzeczą, którąby skorygowali w korporacji, jest, jak się wyrazili, denerwująca „atmosfera narodowa”. Za-



biński omawiał z nimi statut korporacyjny i wtedy to wylazło. Ponieważ rzeczą korporacji nie jest działać ujemnie na system nerwowy, więc Żabiński im to odpowiednio wyjaśnił. Pozostali dwaj z ramienia Gudułta Szczerbski i Lenta robią bardzo dobre wrażenie. O ile się znam na ludziach, to będą z nich dzielne korporanty. Ale przechodząc do innej materji, powiedz mi, jak tam matura panny Izy?

— Iza, to taki sam „kował” jak ty. Bardzo mało ją widywałem w ostatnich dniach. O ile się orjentuję, to już lada dzień dobija do mety. Z „kwaterą” korporacji, mój drogi, mam tę trudność, że tego samego dnia o dziewiątej wieczorem jest pierwsze zebranie Rady Nadzorczej, na którym będę składał sprawozdanie. Ale na przyjęciu będę mógł być. Uważam, że byłoby dobrze, gdybyś w razie czego zabrał głos w dyskusji po referacie Gudułta. Na Radzie nie jesteś niezbędny.

— Przyznam ci się, że mam ten zamiar. Uprzednio porozmawiam z naszym „historykiem” Likowskim. Tak sobie ułożyłem, że powiem, iż dla nas zagadnienie ustrojowe jest kwestją wtórną. Dobro narodu jest naszym naczelnym wskazaniem. Toteż gdyby zaszła taka konjunktura, w której monarchizm uznalibyśmy za najlepszy środek dla zrealizowania narodowych interesów, moglibyśmy się z nim liczyć. Likowskiemu chcę zaś zaproponować, aby mówił na temat: monarchizm a nacjonalizm integralny.

— Bardzo fajno, żeś to wszystko wykombinował — rzekł Andrzej. — Jeśliby się nasze przewidywania co do zamierzeń Gudułta sprawdziły, to ja również nie będę się temu przypatrywał obojętnie. Zębami będę bronił naszego dzieła, za jakie uważam „Gdynię”. Obecnie nie mamy jeszcze podstaw do akcji „contra”, chociaż powtarzam, uważam twoje supozycje za słuszne: w każdym bądź razie musimy bacznie czuwać.

Błoński przetarł binokle.

— Patrzno, Andrzeju, kto idzie. Jeśli się nie mylę, to twoja siostra.

— Rzeczywiście Iza.

Schodziła po schodkach nadół roześmiana.

— No, uściskaj siostrzyczkę — odezwała się do Andrzeja. — Już jestem „dojrzała”.

— Jakto — po maturze?

— Tak to — po maturze. Ukrywałam w tajemnicy prawdziwy termin. Już telefonowałam do domu. Pomyslałam sobie potem, że teren Uniwersytetu jest już dla mnie dostępny i przyszłam, by ucieszyć braciszka. Ale czy nie przerwałam panom jakiej ważnej narady?

— Bynajmniej, koleżanko in spe — powiedział Zygmunt, składając gratulacje.

— To dobrze, kolego in spe — ukłoniła mu się głęboko. — Nie miałabym co z sobą robić. Chciałabym zobaczyć waszego „Bratniaka”, o ile pan prezes pozwoli — zwróciła się do Andrzeja.

Widoczne było, że w tej chwili jej nie brakuje do szczęścia. W każdym jej słowie brzmiała nuta radosna. Zygmunt patrzył na nią z zachwytem, co nie uszło uwagi Andrzeja.

— Pan prezes pozwala. Chodźcie.

Po drodze Andrzej ułożył sobie pewien plan.

— Ponieważ mam teraz dużo roboty, więc Zygmunt pokaże ci naszą siedzibę. Zygmunt, dobrze?

— Z miłą chęcią.

Gdy wchodzili do „Bratniaka”, zwrócił się Andrzej do Izy i Zygmunta:

— Oczekuję was w pokoju prezydium. Będziemy mogli razem wyjść.

Dnia tego agendy „Bratniej Pomocy” w porze południowej nie były czynne. Toteż lokal stał pustką. Jedynie w sekretarjacie stukał na maszynie Łukocz.

Gdy Andrzej znalazł się w miejscu swej pracy, opadła z niego radość, wywołana wiadomością o pomyślnym wyniku egzaminów Izy. Z całą wyrazistością

stał mu przed oczami Tumaszewski, wszelkie rozmowy z nim odbyte, wspólne projekty.

— Już go niema...

I z jego odejściem rozwiały się wszystkie plany jak domki z piasku.

— — — — —

W porze obiadowej otrzymał Andrzej mały liścik, przyniesiony przez Marysię, służącą u p. p. Lachowiczów. Wręczyła mu kopertę z domyślnym uśmiechem.

— Od panienki — dla pana. Mam przynieść odpowiedź.

Andrzej z zaciekawieniem czytał drobne literki Zochy:

„Panie Andrzeju. Proszę koniecznie do nas przyjść dziś wieczorem. Zocha.”

— Proszę powiedzieć panie Zofji, że przyjdę.

Długo ważył w ręku małą karteczkę, zawierającą tylko dziesięć słów. Pierwszy list od „niej”. Będzie go chował jak wielką pamiątkę. A najcenniejszy to podpis „Zocha”. Tylko „Zocha”. Jego jasna dziewczyna.

Zastanowiło go, dlaczego napisała, kiedy mogła telefonować. Postanowił telefonicznie potwierdzić, że przyjdzie. Podniósł słuchawkę, ale napróżno czekał. Stacja się nie odzywała. Telefon był zepsuty. Otrzymał wyjaśnienie listu. I pierwszy raz mu się zdarzyło, że nie złożył telefonu.

Gdy przyszedł do Lachowiczów, powitała go Zocha.

— Jest pan, to dobrze. Napisałam do pana karteczkę, bo mama ma do pana interes.

Po chwili wyszła do niego pani Lachowiczowa.

— Przygotuj nam, Zochna, kolację, a ja przez ten czas załatwię swoją sprawę z panem.

— Jestem do usług pani — powiedział Andrzej, gdy zostali sami.

— Ponieważ znam już pana dość, pozwalam sobie prosić w następującej sprawie. Mam siostrzeń-

ca — młodego człowieka, lat dwudziestu, którym się trochę opiekuję. Trafia mu się posada. Ale niestety, brak mu odpowiednich rekomendacyj. Nazywa się Janek Rzęsa. Wie od Zochy, że pan u nas bywa. Otóż był u nas dzisiaj przed południem i powiedział, że jeśliby dostał od pana bilet polecający, to otrzymałby posadę. Czy pan będzie mógł mu dać rekomendację?

— Przyznam się pani, że jest dla mnie miłą nowiną, iż moja rekomendacja może mieć takie znaczenie. Czy pani wiadomo, o jaką to chodzi posadę?

— Mówił mi nazwę instytucji, ale zapomniałam.

— Będzie najlepiej, gdy pani poprosi pana Rzęsę, aby mnie w domu odwiedził. Przypuszczam, że będę mógł sprawę po myśli pani załatwić.

— Bylibyśmy wszyscy panu bardzo wdzięczni.

W trakcie kolacji Andrzej powiadomił panie o Tomaszewskim, o planach, które układali, i o jego niespodziewanej śmierci.

— Przyznam się paniom, że jestem ciągle pod wrażeniem tego wszystkiego. I nie kryję się, że zaproszenie do państwa przyjąłem z zadowoleniem.

— Innemi słowy — odezwała się Zocha — daje nam pan do zrozumienia, że spełnimy dobry uczynek, o ile pomożemy panu „otrząsnąć się”.

Pomyślała sobie, że przyszłoby to jej z wielką łatwością.

— I pomyśleć — wtrąciła się do rozmowy przysłuchująca się z zainteresowaniem Krysia — że taka nie wporę śmierć, uniemożliwia panu zrobienie tylu dobrych i pożytecznych rzeczy. Bardzo panu współczuję.

Zadzwoił ścienny telefon. Podeszła Krysia.

— Mamusiu, to do ciebie. Dzwoni pani Rajnerowa.

Rajnerowa telefonowała, że przez najbliższe dni nie będzie mogła być u Lachowiczów spowodu nagłej żałoby w jej rodzinie.

— Umarł jej wuj — informowała pani Lachowiczowa. — Miała bardzo zmieniony głos.

— Czy pani Rajnerowa nie mówiła — spytał Andrzej — kiedy umarł jej wuj?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Przyszło mi do głowy, czy jej wuj i ś. p. Tumaszewski, to nie jedna i ta sama osoba. Byłby dziwny zbieg okoliczności.

Zamilczał o przyczynie, która nasunęła mu tę myśl. Przypomniały mu się mianowicie słowa Tumaszewskiego o jego krewnych.

Po kolacji stało się jakoś, że pani Lachowiczowa miała dużo pracy, a Krysia musiała kończyć przygotowanie lekcyj, toteż Zocha zabrała Andrzeja do swego pokoju.

Usadowiła się na poręczu głębokiego fotela.

— No cóż, panie Andrzeju, nic nie wiem, czy moja mama w swoim interesie porozumiała się z panem?

Andrzej chwilkę milczał.

— Myślę, że tak; porozumienie się z pani mamą nie jest trudne.

Wyszła z ukrycia „Moja” i oparła się łapami na piersiach Andrzeja, który pogłaskał jej łeb.

Zocha zwróciła głowę w stronę okna.

W pokoju zaczęło panować trochę kłopotliwe milczenie...

— Dlaczego pan nic do mnie nie mówi?

— To dziwne, ale mnie się naturalniej rozmawia, gdy nie jesteśmy sami. Wtedy mówienie „panno Zochno” nie sprawia mi wrażenia takiego, jak wówczas, kiedy jesteśmy sami...

Usiadł na jej fotelu i wziął ją za rękę...

— To, że nie mówimy sobie „ty”, to jest przecież bez sensu...

Nic nie odpowiedziała, ale nie broniła mu ręki.

— Wiesz przecież, Zochna, że ciebie kocham.

Spojrzała mu w oczy. Pierwszy raz mówił do niej tak prosto.

Ale on w tym momencie pochylił głowę i oparł czoło na jej drżącej dłoni.

— Bo jeśli ci jestem obojętny, to lepiej, żebym się dowiedział o tem wcześniej. To wtedy sobie pójdę...

Położyła mu rękę na ramieniu i nie bronila się, gdy ją obejmował. Zsunęła się z poręczy fotela na jego kolana.

— Bardzo kochasz Zochnę?

Jego bujna czupryna znalazła się w jej dłoni.

— Bardzo.

Usta ich znalazły się już same...

Po chwili patrzyła w głąb jego oczu, które płonęły dobrym, znanym jej blaskiem.

— Widzisz, mówiłeś, że jestem jak ta dziewczyna z bajeczki u Rajeckich. A ja się nie boję nieba na ziemi...

Zarzuciła mu ręce na szyję.

A on czuł się jak wędrowiec, który znajduje się przy życiodajnym źródle oazy, po długim, wielkim czekaniu, kiedy, zdawało się, że był już u kresu sił.

## XX.

Prokurator zatelefonował do Andrzeja, że sekcja nie dała wyniku w spodziewanym kierunku. Tumaszewski umarł naturalną śmiercią na serce. A zatem tak chciał los.

Trudno było Andrzejowi przed samym sobą zaprzeczyć, że bardzo silne wrażenie, które spowodowała katastrofa jego planów — przycichło. Zostało stuszowane przez ten świat przeżyć, który odkrywała przed nim teraz Zocha Lachowiczówna.

Jest jego i jego będzie...

Nie rozumiał tylko, dlaczego prosiła, by to, co się stało, pozostało narazie ich tajemnicą. On zaś chciałby rozgłosić o tem całemu światu. Czy to jednak nie jest drobiazgiem wobec tego i ch wielkiego święta?

Uprzednio zapowiedziawszy się przez telefon, zjawił się u Andrzeja siostrzeniec pani Lachowiczowej, Janek Rzęsa. Andrzej widział już w nim przyszłego... kuzyna, toteż przyjął go prawie serdecznie. Robił wrażenie zdrowego, wysportowanego chłopca. Okazało się, że wcześniej, zostawszy sierotą, skończył kursa buchalteryjne i pchał się przez życie o własnych siłach. Najlepszą legitymacją dla Andrzeja było to, że Rzęsa pracował bezinteresownie w kołach robotniczych w duchu narodowym. Polecił mu ponownie przyjść za tydzień. Postanowił zasięgnąć opinii o Rzęsie na terenie jego społeczeństwa pracy.

— A jeżeli panu będzie potrzeba na jakim zebraniu prelegenta, to proszę się do mnie zwrócić — powiedział mu na dowidzenia.

— Dziękuję. Niewątpliwie skorzystamy — odparł Rzęsa.

Tak się złożyło, że bezpośrednio po rozmowie z Rzęsą pojechał Andrzej na cmentarz, gdzie z kaplicy pogrzebowej miało się odbyć wyprowadzenie ś. p. Tumaszewskiego. Przed kaplicą zebrała się spora gromadka ludzi. Andrzej po przybyciu zajął miejsce w grupie członków zarządu „Bratniej Pomocy”. Był również Zygmunt Błoński i Leszek Pliszka. Ceremonja pogrzebowa odbyła się prędko. Gdy orszak doszedł do grobu, reprezentacja „Bratniaka” stanęła na uboczu. Ksiądz odmówił modlitwy i posypał się grudki ziemi. Andrzej już miał odchodzić, gdy jedna z pań w krepie żałobnej odwróciła się twarzą w jego stronę. Była to Rajnerowa. Odpowiedziała mu na ukłon lekkim skinieniem głowy. Przypomniał sobie swoje przypuszczenie, wyrażone u Lachowiczów... Tak się już plecie na tym świecie...

Wracali tramwajem wspólnie z Błońskim.

— Ponieważ należałem do rzędu tych, co wiedzieli o planach Tumaszewskiego, więc uważałem, że powinienem przyjść — objaśniał Zygmunt swoją bytność na pogrzebie.

Tramwaj wioził ich szybko z miasta umarłych w pełne zgiełku ulice. Gdy ruszał od cmentarza, panowała w nim niemal cisza. Obecnie był pełen rozgwaru, w którym przeważał żydowski szwargot.

— Nasza kochana mniejszość — zauważył Andrzej — jest tu większością.

Na jednym z przystanków wsiadł do tramwaju stary weteran w mundurze granatowym, z gwiazdką podporucznika na czapce. Dochodził do wolnego miejsca, gdy nagle wyminął go młody żydziak i zajął z triumfem miejsce. Stary pan zatrzymał się i oparł się z trudem o poręcz. Zauważył to Zygmunt Błoński. Zbliżył się do semickiego „gentlemana”.

— Zechce pan dać miejsce starszemu panu. To, że pan szybko biegnie, nie daje jeszcze prawa do pierwszeństwa.

— Ny, co pan chce. Tu niema miejsc numerowanych.

Zygmunt był silny. Ścisnął swego oponenta za ramię i unióś z miejsca, które zajął weteran.

— Ny, czy to w szkole tego uczą? — denerwował się żydziak.

— Tak, w szkole i w domu — odparł Zygmunt, wróciwszy na miejsce obok Andrzeja.

— Dafeś mu dobrą nauczkę. Jak się temu przyglądałem, to pomyślałem sobie, że mieliśmy w skrócie to, co odróżnia żydów od innych i co powoduje, że wcześniej, czy później stają się w każdym środowisku znieprawieni.

Andrzej miał szczerą ochotę wtajemniczyć Zygmunta w swoje najserdeczniejsze sprawy; uważał, że



ten wyjątek należy się staremu przyjacielowi. Postanowił to jednak odłożyć na inną chwilę. Coś go powstrzymało od mówienia o tem w drodze powrotnej z... pogrzebu. Koło Uniwersytetu rozstali się. Andrzej szedł do „Bratniaka”. Zygmunt pojechał dalej do domu.

Błoński zajmował mały pokój w Domu Akademickim. Należał do rzędu poniekąd uprzywilejowanych, ponieważ zajmował pokój sam. W większości studenci mieszkali po dwóch.

Na stoliczku pod oknem leżały stosy książek i notatek. Większość odnosiła się do dziedziny, którą Zygmunt nazwał w rozmowie z Andrzejem mianem „cholera” — to jest do prawa cywilnego. Przyszędłszy do domu, odrazu zaczął się grzebać w tem „morz”. Dziś mu jednak wyjątkowo nauka nie szła do głowy.

Spotkanie w Uniwersytecie z Izą i następnie długa rozmowa z nią stanowiły głęboko poruszające go „intermezzo” w długim szeregu szarych dni, gdy niemal wcale nie opuszczał mieszkania. Pierwszy raz rozmawiali z sobą tak długo sami. Odżyła w nim z całą siłą tęsknota za tą dziewczyną, a równocześnie zrozumienie, jak mu jest daleka i niedostępna.

Mój Boże! Gdyby mu była przychylna, — umiałby pokonać wszelkie przeszkody — z panią Amelją na czele. Wiedział, że miałby wielkiego sojusznika w Andrzeju, który z pewnością nie byłby przeciwny wzmocnieniu ich więzów przez powinowactwo. Po jego stronie byłby również z pewnością doktor, o którym dobrze wiedział, że nie „przelicza” ludzi na pieniądze. Kiedyś przyszło mu do głowy, że stosunek jego zamożności do środków materialnych Izy jest taki jak zapałki do... pomnika Mickiewicza. Nie zwracałby jednak na to uwagi. Nacóż jednak te wszystkie rozważania, skoro jest rzeczą oczywistą, że jest zajęta Jerzym Lando. Żeby jeszcze kim innym!

Zygmunt uważał, że Izy szkoda dla Jerzego. I nie dlatego, żeby myślał przede wszystkim o sobie. Ale dlatego, że poprostu nie ważył sobie wysoko Jurka Lando. Zawsze wydawał mu się płytki. Nie spostrzegał u niego żadnych głębszych, poważniejszych zainteresowań. Poprostu miły chłopiec, jakich są tuziny. Byłby z pewnością w poważnym kłopotcie, gdyby mu ktoś zadał pytanie, jaki ma cel w życiu — poco żyje na świecie. Zygmunt był głęboko przekonany, że dla Jerzego ideologia korporacji istnieje tylko na papierze. I właśnie ironja chciała, że taki Jerzy zdobywa właśnie względy Izy. Jak to oni ze sobą tańczyli na świątecznym przyjęciu u Zaruckich. Te jasne loki Izy, których dotykała skroń Jerzego... A poczciwy senator Kazanowski kazał mu wtedy składać sobie gratulacje powodu wygranego szlemika. Jeszcze dzisiaj przypomniatł sobie Zygmunt najwyraźniej tę chwilę, gdy, jakby igielką przekłuwano mu serce. Trudno. Muru głową nie przebije, choć przyznać musi, że bardzo chciałby ten... mur przebić.

Otworzył szufladę stołu, by sobie zrobić papierosa. Obok skrzynki z gilzami stało ozdobne pudełeczko do biżuterji. Zygmunt wziął je do ręki, zapominając, że przecież chciał palić. Po naciśnięciu ukrytej sprężyny odskoczyło wieczko. Na aksamitnem, wypłóciwiałem podłożu leżał pierścionek z brylantem i spory staroświeckiej roboty złoty zegarek. Pierścionek ten otrzymała niegdyś matka Zygmunta od jego ojca. Był to pierścionek zaręczynowy. W myślach przeznaczal go Zygmunt dla swojej przyszłej pani. Nie miał bowiem cenniejszej pamiątki. Przedmiotem, który skłonił go jednak do otwarcia pudełka, był zegarek. Dostał go kiedyś od jednej ze swoich ciotek, która go bardzo kochała. Zygmunt nosił się z zamiarem sprzedaży tego zegarka. Chciałby tego uniknąć, ale cóż robić — gdy zmusza konieczność. Mając do składania ostatnie egzamina, od dwóch miesięcy przerwał dawanie

lekcyj, wyczerpując swoje oszczędności. Zaczynał zalegać z opłatą komornego w Domu Akademickim. Odczuwał również coraz bardziej brak ubrania wieczorowego, co mu utrudniało bywanie u ludzi. Sprzedaż zegarka uwalniała go od tych wszystkich trudności. Jubiler, u którego był przed kilku dniami, powiedział, że zegarek jest niezwykle cennej roboty i dawał tysiąc złotych. Tysiąc złotych — to kawał grosza. Starczy na pokrycie wszystkich potrzeb i zostanie mu jeszcze na przetrwanie trzech, czterech miesięcy. Zygmunt liczył na to, że po zdaniu egzaminów — jako aplikant sądowy dostanie płatny etat i będzie się piąć dalej aż do adwokatury.

Jego rozmyślania przerwało mu pukanie do drzwi.

— Kto tam? — spytał.

— To ja, Siwicki.

Był to administrator domu. Niewątpliwie przychodził po zaległe komorne.

— — — — —

Zygmunt uczył się do zmięzchu. Na godzinę ósmą wieczorem było naznaczone rozpoczęcie „kwatery” i uroczystość przyjęcia nowych członków do „Gdynji”. Postanowił się przedtem posilić. Udał się do kawiarni „Senackiej”, gdzie wiedział, że o tej porze może zastać kolegów.

Kawiarnia „Senacka” zajmowała dwa maleńkie pokoiki. Słynęła z czystości i dobrej, zdrowej kuchni. W godzinach wieczorowych stale tutaj „urzędował” wielki przyjaciel „Gdynji” pan Lech Kazimirski. Niedgdyś był to bogaty pan kresowy, dużo jeździł po świecie i dużo widział. Rewolucja bolszewicka zabrała mu całą fortunę, tak, że obecnie gonił ostatkami. Był niewyczerpaną kopalnią rozmaitych przypowieści i mniej lub bardziej możliwych historyj. Przy jego stoliku skupiało się zawsze kilku korporantów. Kazimirski bardzo się szczyił posiadaniem honorowego filiste-

rjatu „Gdynji”. Przeważnie go jednak nazywano „szambelanem”, jako że od jednego z papieży otrzymał ten tytuł. Zarówno z Błońskim, jak i z Zaruckim wypił w swoim czasie „bruderschafta”. Powiedział im wówczas:

— Jestem Lech. Mów do mnie: Lechu.

Obaj jednak, ze względu na wielką różnicę wieku, uważali to za niestosowne. Kazimirski musiał się zgodzić na to, że mówił do nich po imieniu, a oni do niego „filistrze” lub „szambelanie”.

Zygmunt, wchodząc do „Senackiej”, już zdaleka zobaczył świecącą tysinę szambelana. Przy stoliku zastał również Zaruckiego, Szreniawitę i Pokojkiego.

— Jak się masz, mój drogi — ścisnął go Kazimirski. — Siadaj z nami. Oczywiście, idziesz potem razem z nami na „kwatere”. Panno Wisiu! — zawołał na usługującą dziewczynę. — Proszę tu do pana mecenasa.

— Trochę za wczesnie stosuje do mnie filister ten tytuł.

— Zobaczysz, czas ci zleci jak z bicza trzask. Egzamin magisterski masz już w kieszeni.

— No, niebardzo.

— No, a ja ci mówię, że masz. A potem, to się nawet nie obejrzyś, jak będziesz mecenasem. I to nie byle jakim. A ja nazywam już tak ciebie teraz, bo niewiadomo, czy będę mógł potem. Boli mnie na wątpiach i w sercu pika.

Kazimirski był bardzo tęgi i jego serce niebardzo dawało sobie radę z tłuszczem swego pana.

— Co tam filister nam opowiada? — odezwał się Andrzej. — Wygląda filister jak łania i niejednego z nas przeżyje.

— Dziękuję ci, żeś ze mnie zrobił jelenią kobitę. Ale muszę wam powiedzieć jedną przykrą dla mnie wiadomość.

— Cóż takiego?

— Byłem dzisiaj na spacerze i wystawcie sobie, jedna znajoma, piękna pani, pierwsza mi się ukloniła. Gdy mężczyźni kobiety się pierwsze kłaniają, to marny znak. Jak to się mówi: mortus.

Wszyscy już byli po kolacji, tylko jeden Błoński się posilał.

— Dopóki Zygmunt nie skończy tych jajek na maśle — odezwał się Kazimirski — opowiem wam jedną rozmowę, która niedawno się tutaj toczyła. Był taskaw mnie tutaj odwiedzić Likowski, no i spotkał się przy moim stoliku z Grunem, tym znanym lekkoatletą. Że Likowski lata za dziewczynami jak opętany, o tem wróble świergoczą na dachach. Dość, że Grunowi wydał się postacią znaną ze słyszenia. W pewnej chwili Grun odzywa się do naszego „historyka”: — „Jak pan może takie życie prowadzić? Przecież jak tak dalej pójdzie, to dostanie pan rozmiękczenia.” A na to Wy-rwidąb: „Widzi pan, między nami jest taka różnica: gdybyśmy teraz obaj umarli, to jabym mógł powiedzieć, że żyłem, a pan mógłby tylko powiedzieć, że biegał pan naokoło Agrykoli”. Mówię wam, boki zrywać, jaka to była rozmówka.

Szambelan ciągnąłby swoje opowiadania w nieskończoność, gdyby nie odezwanie się Szreniawity.

— Proszę panów. Zbliża się ósma godzina. Jak chcecie, to możecie zostać, ale ja już muszę iść, bo nie mogę się spóźnić.

— Idziemy wszyscy — odezwał się Kazimirski i zaczął nakładać palto. Za nim ruszyli inni.

Gdy wyszli na ulicę, musieli szybko zdążyć, bo szambelan stawiał wielkie kroki. Wyglądał z nimi jak gąsior, prowadzący swe gąsięta.

Przed wejściem na kwaterę Kazimirski schował miękki kapelusz do kieszeni palta, a na głowę włożył trójbarwny dekiel „Gdynji”.

Na kwaterze zastali już poczynione przygotowania do uroczystości. Na środku sali połączone stoły na-

kryte były wielkimi flagami o barwach „Gdyni”. Przed miejscem prezydjalnem leżały trzy dekle fuksowskie ciemnobłękitne i także wstążeczki z przyszytymi cyrkłami. Będą wręczone nowym członkom korporacji. Długim półkołem ustawiono krzesła dla barwiarzy. Sala zebrań była w kilku punktach przybrana trójbarwnymi tarczami.

Dziesięć minut po ósmej olderman Żabiński sprawdził, że wszyscy są obecni. Na jego znak kandydaci przeszli do sąsiedniego pokoju. Żabiński i członkowie prezydjum włożyli wielkie wstęgi prezydjalne. Wszyscy zajęli miejsca. Na miejscu przewodniczącego — Szreniawita, mając po prawej ręce szambelana Kazimirskiego. Olderman stanął przed stołem.

Szreniawita trzykrotnie uderzył szlagierem w stół. Zapanowała cisza.

— Otwieram nadzwyczajne koło dla przyjęcia nowych członków do korporacji. Zostaną przyjęci koledzy Lenta, Skrzycki i Szczerbki. Kolega olderman ze chce ich wprowadzić.

Po chwili weszli. Na twarzy Skrzyckiego malowało się wzruszenie.

Wśród ciszy padły słowa Żabińskiego:

— Na 60-tym posiedzeniu koła zostali koledzy przyjęci w poczet członków korporacji „Gdynja”. Otwieram ceremoniał przyjęcia.

Wstał Szreniawita. Było w zwyczaju, że prezes w tym momencie zabierał głos.

— Moim obowiązkiem jest tutaj jeszcze raz podkreślić, że korporacja stanowi rodzaj szerszej rodziny dla korporanta. Wstępując do niej, zawierają koledzy związki na całe życie. Jak wy w nas, tak my w was zdobyć mamy przyjaciół na dobrą i złą dolę. Wiem, że ta chwila pozostanie w waszej pamięci na zawsze. Życzę wam, byście ją zawsze ze wzruszeniem wspo-

minali i byście w korporacji znaleźli to, czego szukacie. Koledzy złożą kolejno ślubowanie.

Szreniawita uderzył trzykrotnie szlagierem w stół.

— Przystępuję do odbioru uroczystego ślubowania.

Wszyscy barwiarze wstali. Półkole ich sprężyło się w postawie na baczność. Zdjęli dekle.

— Pierwszy złoży ślubowanie kolega Lenta.

Szreniawita i Żabiński skrzyżowali szlagierzy. Na skrzyżowaniu Lenta położył dwa palce prawej ręki.

— Proszę za mną powtarzać — mówił Szreniawita — ślubuję uroczystość...

— ...statutów i regulaminów korporacyjnych przestrzegać, w każdym korporancie widzieć brata, czujnie stać na straży honoru swego i korporacji; za najwyższą życia dewizę uznać: wszystko dla ojczyzny.

Szreniawita uderzył szlagierem w stół. Wszyscy usiedli. Tylko olderman Żabiński nakładał na Lentę dekiel fuksowski i przepasywał go wstążeczką przez pierś.

Następnie podobnie złożyli ślubowanie Skrzycki i Szczerbski.

Szreniawita znowu uderzył trzykrotnie szlagierem.

— Zamykam nadzwyczajne koło. Po przerwie odbędzie się zebranie sekcji naukowej z referatem kolegi Gudulfa.

Chociaż była zarządzona przerwa, większość pozostała na swych miejscach. Oczekiwano na dodatkową uroczystość.

Na salę zebrania weszli wszyscy fuksi i witali uściskiem nowych kolegów.

Wniesiono wielki róg wypełniony winem. Ujął go oburącz Żabiński i zwrócił się do nowoprzyjętych:

— Będę pił z kolegami braterstwo w imieniu całej korporacji. Od tej chwili z całą korporacją będą koledzy na „ty”. Fuksy, zaśpiewać!

Zabrzmiała piosenka\*), podjęta przez wszystkich obecnych:

Bratajmy się, bratajmy się!  
Pijemy z jednej szklanki.  
A że jesteś moim bratem,  
Dajmy sobie pyska za tem.  
Bratajmy się, bratajmy się!  
Pijemy obaj wraz.

Stary szambelan Kazimirski targał nerwowo sumiąstego węża. Był wzruszony i zdawało mu się, że pije eliksir młodości.

## XXI.

Gdy nadszedł dzień egzaminu, Zygmunt miał uczucie, że zrobił wszystko, co było w zakresie jego możliwości. Egzamin był naznaczony na dziesiątą rano.

Wstał o godzinie piątej po prawie niespanej nocy. W głowie mu się męciło i przez cały czas pótsnu jak w nieustannym kołowrocie snuły mu się przez myśl rozmaite pojęcia prawne. Jedno za drugim, jedno za drugim... bez końca. Przez krótką chwilę jakby się sprzeczał z profesorem Kłonicą, który mu dowodził, że nie ma pojęcia o stosunkach majątkowych pomiędzy małżonkami. Potem głowa profesora rozwiła się w przestrzeni, a na jej miejscu ukazała się Iza i przy niej Jerzy. Zaczęli ze sobą tańczyć, bliźiutko, skroń przy skroni. Wtedy Zygmunt obudził się, a właściwie zerwał się na łóżku z uczuciem duszności.

Ubrał się i po śniadaniu, składajacem się z wczorajszej zimnej kawy — zabrał się po raz ostatni do pracy.

Oczywiście wertował kodeks cywilny. Szybko przerzucał kartki, mając przed sobą mały zegarek-budzik. Przypomniała mu się senna rozmowa z prof. Kłonicą, toteż większą uwagę zwrócił na dział umów przed-

---

\*) Piosenka śpiewana przez ogół korporacji.



ślubnych. Na zegarku szybko posuwały się wskazówki naprzód...

Wreszcie Zygmunt odrzucił kodeks z uczuciem ulgi. Podszedł pod kran i oblał sobie głowę wodą. Zrobiło mu to dobrze i czuł się prawie rześki, gdy opuszczał mieszkanie.

Był piękny, słoneczny dzień. Ale dla niego było to w tej chwili zupełnie obojętne. Taksamo psychicznie reagowałby na strumienie deszczu. Wstąpił na modlitwę do kościoła. Przy bocznym ołtarzu przed obrazem Matki Boskiej jarzył się rząd świec. Jakaś postać kobieca leżała krzyżem, powierzając swój ból Najświętszej Pani. Zygmunt zauważył również dwóch studentów, których znał z widzenia. Po krótkiej chwili pośpieszył do Uniwersytetu.

Zbliżała się godzina dziesiąta. Gdy przechodził obok dużego zegara nad sklepem zegarmistrza, jak na złość duża wskazówka poruszyła się raptownie o trzy minuty, wskazując punkt dziesiątą.

W Uniwersytecie na korytarzach skupiły się gromadki studentów. Wyczuwała się atmosfera zdenerwowania. Prócz zdających było sporo studentów, którzy zdawali w dniach następnych, a przyszli zasięgnąć informacji co do pytań stawianych przez profesorów.

Zygmunt udał się do sekretarki, panny Szamańskiej.

— Niech pan chwilę poczeka. Zaraz ogłoszę podział zdających z prawa cywilnego na dwie grupy — powiedziała po powitaniu.

Oparł się o framugę koło „okienka”.

Zatem za chwilę zapadnie wstępna decyzja, czy będzie zdawał u profesora Ciepłowicza, czy u Kłonicy.

Po kilku minutach mały pokój sekretariatu wydziałowego wypełnił się studentami. Było ich około dwudziestu pięciu. Z okienka wychyliła się wreszcie głowa panny Szamańskiej.



ruszka o jasnych, jak len włosach, który miał swoją ulubioną ławeczkę, gdzie czytał gazety. Pan ten, widząc ich nadchodzących, odkładał zawsze pismo, zdejmował powoli okulary i witał ich miłym, jowjalnym uśmiechem, który zdawał się mówić:

— Acha, to zaraz się zaczną pocałunki.

Odprowadzał ich spojrzeniem aż do altany, potem pogrążał się w czytaniu.

Andrzej i Zocha wspólnie czytali powieść, dostarczoną przez Zoche. Skąd się ta książka u niej znalazła — było wyjaśnione na pierwszej stronie. Pod tytułem „Spragniona” widniała dedykacja: „Kochanej Zochnie — w dowód przyjaźni od Mary”. Był to upominek od Rajnerowej. Książka ta tchnęła od pierwszej do ostatniej strony erotyzmem. Przedstawiała typ kobiety, będącej jednym kłębkim zmysłów, o psychice niewolnicy, dla której posiadanie „pana” jest koniecznością.

Siedzieli właśnie w „swojej” altance i czytali, gdy Zocha odłożyła z niechęcią książkę, zwalniając swe dłonie z uścisku Andrzeja.

— Wiesz, Andrzej, że ta książka mnie chwilami irytuje.

— Ja tego nie mogę z takim przekonaniem powiedzieć, Zochna, bo bardzo mało zwracam na treść uwagi. Mam inną „książkę”, która mnie bez porównania więcej zajmuje.

Aby nie było wątpliwości, co to za „książka”, ucałował pokolei wszystkie jej paluszki.

— Ale to nie przeszkadza — dodał — abyś mi wyjaśniła, co cię w książce irytuje. Wiesz, jak mnie zajmuje wszystko, co się dzieje w tej główce.

Objął ją ramieniem i przytulił skroń do jej włosów.

— Kobieta nie powinna być niewolnicą, tylko... królowną.

Małą laseczką rysowała fantastyczne znaki na piasku.

— ...mającą niewolników — uzupełnił jej słowa. Zagłębiła rękę w jego włosach i spojrzała w oczy, ocienione długimi, jak u kobiety, rzęsami, w których tkwił dla niej jego największy urok.

— No powiedz, czyż Zochna nie jest twoją królewską?

— Wiadomo, że jest moją jedyną najjaśniejszą panią.

Dyskusja ta zakończyła się tak, jakby to przewidiał znany im z ogrodu stary pan...

— Wobec tego jednak, że niebardzo zważasz na to, co czytamy, nie wiem, czy mogę cię na to dalej skazywać? — spytała z uśmiechem.

— Przecież wierny poddany się dotąd nie skarżył.

Czas schodził im zawsze tak prędko, że nie orjentowali się nieraz, że trzeba już wracać. Tak było i teraz.

Gdy Andrzej przyszedł do domu, obiad już podano. Był trochę spóźniony, bo czekali na niego.

— Ta twoja praca w „Bratniej Pomocy” — zauważyła pani Amelja — psuje nam coraz częściej porządek domowy. Wiesz przecież, że ojciec nie lubi, gdy kogoś z was brak przy stole.

— Bardzo przepraszam, ale rzeczywiście tak się dzisiaj złożyło.

— Daj mu spokój — wtrącił się doktor — lepiej, że się zajmuje „Bratniakiem”, niż czem innym. Ale muszę ci powiedzieć — zwrócił się do syna — że telefonował, pytając się o ciebie, pan Zygmunt.

— Zygmunt? A nic nie mówił?

— Nie. Pozwoliłem sobie go zaprosić na kawę po obiedzie. Powinien niezadługo być.

— Zdawał dzisiaj egzamin — objaśnił Andrzej.

— To bardzo się cieszę, że go zaprosiłem. Do wiemy się o wyniku.

Gdy rozległ się dzwonek u drzwi frontowych, Andrzej wybiegł na korytarz.

— No jakże?

— Dobrze — odparł Zygmunt — możesz powitać magistra praw.

Po wejściu do pokoju otrzymał kolejno od wszystkich życzenia.

— Bardzo się wszyscy cieszymy z pana sukcesu — powiedział doktor — niech nam pan coś opowie.

— Przedewszystkiem jak cywilne? — pytał Andrzej.

— Miałem trochę szczęścia. Zdawałem u Ciepłowicza. Więc jakoś poszło. Muszę jednak przyznać, że przed ogłoszeniem, w jakiej grupie zdaję, drżałem jak listeczek.

— Niebardzo to sobie wyobrażam — odezwała się Iza.

— Jednak, że strach mój był cokolwiek uzasadniony, to przekonałem się na egzaminie z procedury. Gdy przyszedłem, nasz pocziwy staruszek spytał mnie przedewszystkiem: „A u kogo pan zdawał cywilne?”

— Ciekawe...

— Gdy mu powiedziałem, że u prof. Ciepłowicza — rzekł: „To bardzo się cieszę, bo prof. Kłonica zadaje kazuistyczne pytania”. Odrazu mnie tem sympatycznie dla siebie usposobił. Wogóle najmiłszy, pozostawiający najmiłsze wspomnienia egzamin był u tego staruszka. Spytał się mnie pod koniec, czemu się zamierzam poświęcić. Gdy powiedziałem, że adwokaturze, złożył mi bardzo serdeczne życzenia. Jeszcze teraz słyszę jego słowa: „Życzę panu, by pan należał do tych, co wysoko będą nieść sztandar polskiej palestry. Będzie miał pan wdzięczne pole do pracy”.

— No, a niech mi pan powie — spytał doktor — czy zdawało dużo od „naszych”?

— Myślę, że więcej, niż połowa. Utkwiły mi specjalnie w pamięci dwa nazwiska, które były przede

mną na liście: panna Aczkolwiekówna i pan Bajgieles, jeśli się nie mylę Aroncio.

— Wiem, że to samo, o ile nie gorzej, jest na wydziale lekarskim. Mówił mi to na zebraniu Izby jeden z waszych profesorów-medyków. Nie pchają się tylko tam, gdzie się wybiera Iza, na filozofję. Bo po wydziale filozoficznym pozostaje, jak mówią, „Titel ohne Mittel”. O ile nie będzie numerus clausus, to będzie, moi drodzy, coraz weselej.

Gdy doktor dał sygnał do wstania od stołu, udając się do swego gabinetu, Andrzej zabrał Zygmunta do siebie. Ulokowali się obaj na tapczanie.

Po poczęstowaniu przyjaciela papierosem Andrzej odezwał się:

— Mam dla ciebie, mój drogi, bardzo ciekawą i interesującą wiadomość. Tylko musisz przyrzec, że zachowasz sekret. Słowo?

— Słowo.

— Muszę jeszcze sprawdzić, czy jesteś dobrze umieszczony na tapczanie. Myślę, że dobrze. A zatem dowiedz się kochanie, że jestem, jak to się mówi, „po słowie” z panną Zofją Lachowiczówną. No cóż, nie spadłeś?

— Jak widzisz, spokojnie sobie leżę. No daj pyśka. Życzę ci, wiesz, jaknajlepiej. Wart jesteś, żeby ci było dobrze.

— Dziękuję ci, kochany.

— Trochę się domyślałem, że się coś „kleci” od tego czasu, jak was raz spotkałem w Botanicznym. Ale nie przypuszczałem, że pójdzie to tak prędko. Poznaliście się przecież jakieś dwa miesiące temu. Przypominam to sobie doskonale. W „Bratniaku”.

— Mówiłem Zochnie, że to twoja zaśluga, iż ją poznałem, boś mi powiedział o jej przyjsciu. Byłem wtedy od pierwszego wejrzenia „trup”.

— Czy wie o tem już kto u ciebie w rodzinie?

— Nie. Ty wiesz wogóle pierwszy poza tymi, co się tego domyślają u niej w domu. Jest jej życzeniem, aby to zachować w sekrecie. Powiedziała mi: „niech to będzie nasza tajemnica”. Ponieważ sprawy nie będą mogły być posunięte naprzód przed skończeniem przeze mnie uniwerku, więc się niebardzo temu sprzeciwiam.

Założył ręce na tył głowy.

— Wiesz, Zygmunt. Nieraz sobie myślę teraz, czy nie za wiele szczęścia jest moim udziałem. I chwilami się boję, żeby mi się coś nie zważyło na głowę. Bo widzisz, ja uważam, że pewne „prawo statyki” wymaga, by radość się przeplatała smutkiem.

— Zapominasz, że przecież niedawno odprowadziliśmy ś. p. Tumaszewskiego. Pamiętam, jakie to zrobiło na tobie wrażenie.

— Użyłeś bardzo słusznie słowa „zapominasz”. Wstyd mi się przyznać, ale spowodu Zochy, to wszystko mi strasznie zbladło. Otwarcie ci mówię, że chwilami się czuję poprostu oszołomiony. Wtedy niemal gadam sam ze sobą. I mam jakby uczucie obawy, by mi z rąk nie wypadły... stery. Bym, powiedzmy, nie zaniedbał jakich obowiązków w „Bratniaku”.

— Rozumiem cię, mój drogi, przyszło to na ciebie jak burza. Ale nie można zaprzeczyć, że masz, chłopie, szczęście. W czepku się rodziłeś. A co się tyczy twych obaw, to wybacz mi, ale w nie nie wierzę. Byłeś wśród nas zawsze „najmocniejszym” człowiekiem. Muszę ci powiedzieć, że poznałem pana Rajeckiego, ojca naszego kolegi. Zgadało się o tobie. Powiedział mniejwięcej tak: „pan Andrzej Zarucki zrobił na mnie wrażenie człowieka zupełnie wykończonego. Myślę, że to wasz prawdziwy „książę niezłomny”.

— No, no. Tylko powiem ci otwarcie, że nie wiem, czy to jest dydaktycznie powtarzać taką opinię osobie, której dotyczy.

— W pewnych wypadkach niewątpliwie nie. Można się bowiem przyczynić do „narodzin” megalomana. W twojej sytuacji, uważam, że to, co ci powiedziałem, może być tylko pożyteczne...

— ...jako swego rodzaju przypomnienie — dokończył Andrzej.

— Niech będzie tak.

Długo jeszcze rozmawiali o swoich najbliższych planach. Zygmunt miał już wychodzić, gdy przypomniał sobie sprawę, wymagającą omówienia.

— Słuchaj, Andrzej. Spowodu tych egzaminów zapomniałem zupełnie, że nie widzieliśmy się od „kwatery”, na której mówił Gudułt. Czy miałeś już może od kogo informacje?

— Bardzo ogólnikowe. Chciałbym usłyszeć od ciebie coś więcej.

— Powiem ci najkrócej, bo muszę już zmykać. Teza Gudułta była następująca: najszcześniejszym dla Polski byłby ustrój federacyjny przy daleko posuniętej autonomii poszczególnych części. Zaś taki ustrój jest najłatwiej przeprowadzić przy istnieniu monarchji i t. d.

— Jednym słowem monarchja, jako droga do osłabienia państwa przez decentralizację. Łatwo sobie wyobrazić, coby wygadywali Ukraińcy na sejmie dzielnicowym we Lwowie. No, a jak przyjęto te wywody?

— Była duża dyskusja. Mam wrażenie, że wykazałem dość dobitnie, iż pora już skończyć z takimi poronionymi pomysłami. Bardzo dobrze mówił Pokojski. Powiedział, że z referatu odnosi wrażenie, że dla prelegenta jest zupełnie niewidoczny rozwój prądów narodowych w Europie i budowa państw w oparciu o naród-gospodarza. Zaznaczył, że oczekuje, iż prelegent zgłosi referat o „Paneuropie”, a gdy Gudułt go się spytał dlaczego, odpowiedział, że dlatego, ponieważ to byłby taki sam nonsens, zapoznający zupełnie drogi, na które wkraczają narody Europy. Wkońcu dodał, że uważa założenia, z których



wychodzi prelegent, za sprzeczne z założeniami ideowymi „Gdynji”. Uważam, że dobrze się stało, że te słowa padły.

— Z tego co mówisz, wnioskuję, że referat „jego książęcej mości” zrobił klapę.

— Niewątpliwie tak, ale czuwać należy. Najbliższa przyszłość wykaże, czy koło Gudulfa nie zaczną się zbierać „satelici”.

— Śmiem wątpić.

Po chwili razem wyszli. Andrzej bowiem śpieszył się na dyżur w „Bratniej Pomocy”.

## XXII.

Jurek Lando zdał egzamin na pierwszym roku studiów. Udało mu się. Jak to mówią, „prześlizgnął” się na egzaminie z prawa rzymskiego u otoczonego legendą „Cezara”, będącego postrachem pierwszoroczników. „Cezar” nie powstrzymał się wprawdzie na egzaminie od uwagi w rodzaju: „Niebardzo się pan wysilił”, ale ostatecznie go przepuścił.

Po egzaminie Jerzy został pochłonięty sprawą innego „Cezara”, mianowicie czołowego trzylatka stajni hr. Przemskiej. Zbliżał się dzień „Derby”, dzień największej emocji dla właścicieli stajen. Hr. Przemka na dziesięć dni przedtem zjechała do Warszawy i włożyła na Jerzego obowiązek codziennego czuwania i kontroli nad sprawami stajni w końcowym decydującym okresie przed rozgrywką nagrody o „wstęgę błękitną”. To, że „Cezar” jest szykowany do „Derby”, stanowiło tajemnicę stajni. Nie puszczano go do poprzedzających „Derby” klasycznych gonitw. Biegał tylko z końmi drugiej kategorii — bez przegranej. Był „kryty” — w granicach dopuszczalnych przez „etykę wyścigową”. Takie było polecenie hrabiny dla trenera Żychonia. O tem, jaki „czas” może naprawdę dać „Cezar”, wiedziały prócz właścicielki tylko trzy osoby:

Jerzy, trener Żychoń i jeździec Biały, który go jeszcze ujeżdżał jako roczniaka.

Gdy Jerzy wystąpił z propozycją, aby Iza wraz z Andrzejem byli na „święcie” wyścigowym, Andrzej zwrócił się do Zochy, by poszła wraz z nimi. Chciał, by poznały się z Izą. Zocha odpowiedziała przychylnie. Umówiono się, że się spotkają przy wejściu. Idąc na wyścigi, Iza jednak nie wiedziała, że ma zawrzeć interesującą znajomość.

Andrzej był bardzo zaskoczony, gdy o umówionej godzinie Zocha się nie zjawiła. Zwrócił się do Izy i Jerzego:

— Moi drodzy. Bardzo was przepraszam. Ja muszę chwilę poczekać. Spotkamy się przy trybunie. Nie mówiłem wam, że umówiłem się z jednym znajomym, który inaczej nas nie znajdzie.

— To dobrze — rzekł Jerzy z błyskiem zadowolenia. — Ja tymczasem panie Izie objaśnię dużo rzeczy. Tylko mój drogi, niestety, uprzedzam, że na godzinę przed gonitwą „Derby” będę musiał państwa na chwilę zostawić samych. Więc się zbytnio nie spóźniaj.

— Oczywiście.

Iza była trochę zdziwiona, ale ostatecznie bez przykrości poszła z Jerzym.

Andrzej nerwowo spoglądał na zegarek. Spóźnia się. Lustrował wszystkie samochody, które nadjeżdżały nieprzerwanym sznurem przed bramę wejściową. Patrzył również w stronę przystanku tramwajowego. Zochy jednak nie było widać.

Podobny zawód robi mu pierwszy raz...

Gdy minęło pół godziny, postanowił zatelefnować do Lachowiczów. Udał się do pobliskiej cukierki. Po połączeniu się postyszał po chwili głos pani Lachowiczowej.

— Bardzo dobrze, że pana słyszę. Telefonowałam do pana do domu, ale już pana nie było. Zocha bardzo

pana przeprasza za nieprzyjście, ale jest trochę niezdrowa i ma migrenę. Tak, że nawet wcześniej wieczorem się położy.

Andrzej nie pytał więcej. Sam bowiem miał przecież siostrę... Z kwaśną miną udał się w stronę pola wyścigowego.

Tak bardzo pragnął, by Zocha poznała się z Izą. I oto pierwsza próba spaliła na panewce.

Na polu wyścigowym były nieprzebrane tłumy, ściągnięte przez piękną pogodę i wielkie gonitwy: „Derby” i „im. Prezydenta Rzeczypospolitej”. Andrzej spotykał dużo osób, które znał z widzenia. Było trochę dyplomacji, więcej świata artystycznego — najwięcej graczy. Wielki, przewalający się tłum, w którym jak kwiaty przewijały się różnobarwne tualety pań. Na środku przed trybunami grała orkiestra ułańska.

Przy wejściu na trybunę znalazł Izę z Jerzym.

— Robisz mi kawały, braciszku — powitała go Iza. — Widzę, że niema twego znajomego.

— Niestety, niema. Musiało mu się coś stać!

Udali się spacerem przed trybunami. Gdy przechodzili obok trybuny właścicieli stajen, odezwał się Jerzy:

— Niech pani popatrzy, panno Izo. Ta pani w ciemnoniebieskiej sukni, wachlująca się, to moja ciotka Przemska, o której pani mówiłem. Przeżywa wielkie emocje.

Poczem dodał cichutko:

— Zdradzę pani jeden sekret. Postawiłem dla ciotki na „Cezara” dziesięć tysięcy złotych.

Iza spojrzała rozszerzonymi oczyma.

— Co pan mówi? Tyle pieniędzy...

Pierwszy raz stykała się tutaj ze światem hazardu.

— Tak. Jeśli koń wygra — to poza nagrodą — zdobędzie jeszcze drugie tyle pieniędzy... Na „Cezara” będą mało grali. Pierwszą grą będzie „Achilles”, pokażę go pani, — wielki kary koń, którego się głów-

nie boimy. Następnie faworyzują klaczkę „Błękitną”. „Cezara” wśród faworytów nie wymieniło żadne pismo.

Zatrzymali się na miejscu. Orkiestra ułańska grała: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Na wielkim placu odkryły się głowy.

Podszedłszy do żywopłotu, oddzielającego tor od publiczności, zobaczyli nadjeżdżający zdala samochodami orszak Prezydenta Rzeczypospolitej.

— Muszę teraz państwa na chwilę zostawić samych — odezwał się Jerzy. — Proszę być za pół godziny przy wejściu do „paddocku”, to was wprowadzę.

Andrzej i Iza rozglądali się z ciekawością dookoła.

— Ale powiedz mi, z kim to miałeś się spotkać? — spytała Iza.

— Miał być jeden z moich przyjaciół politycznych. Nie znasz go.

Przez chwilę Andrzejowi się zdawało, że mu mignęła zdaleka sylwetka Zygmunta Błońskiego.

Ściśle w umówionej chwili spotkali się z Jerzym przed „paddockiem”. Był to plac, na którym przed gonitwą oprowadzano osiodłane już konie. Weszli na środek placu. Właśnie długim szeregiem wprowadzano zawodników do „Derby”. Było ich czternaście. Najwyższa końska arystokracja. Każdego prowadził za uźdę chłopak stajenny. Jerzy objaśniał swych gości:

— Ten kasztan z cyfrą dziesięć na siodle — to „Cezar”. Dziesięć oznacza jego cyfrę w totalizatorze, jak również to, że na starcie zajmie dziesiąte miejsce od barjery.

— Trzeba przyznać, że jest piękny — zauważyła Iza.

Można było to jednak powiedzieć o wszystkich szermierzach. Ogólną uwagę zwracano na „Achillesa” i „Błękitną”, przypuszczalnych zwycięzców.

Od stojącego opodal grona sportsmenów dobiegały do Izy słowa:

— No taki „Cezar” startuje tylko dla sprezentowania barw stajni hrabiny.

Iza spojrzała na Jerzego. Uśmiechał się; słyszał również te słowa. Spojrzał na zegarek. Za piętnaście minut będzie już po wszystkim. W tym momencie rozległ się przeciągły dzwonek. Na „paddocku” zrobił się nerwowy ruch. Żokieje dosiadali koni. Iza, Andrzej i Jerzy zbliżyli się do „Cezara”, w którego siodle siedział już mocno jeździec Biały.

— Niech go pani pogłaszcze po grzywie — poprosił Jerzy.

— Życzę ci zwycięstwa, koniku — powiedziała Iza.

„Cezar” patrzył na nią spokojnie swemi wielkimi oczami, żując wędzidło. Trener Żychoń dawał ostatnie dyspozycje.

— Pamiętaj, chłopcze, jechać w drugiej połowie „stawki”. Dla nas wyścig się naprawdę zaczyna dopiero po wyjściu na prostą. Dasz wtedy bata i na całego. No, jazda.

Na twarzy Białego było znać, że nerwy mu grają. Jeśli wygra — nagrodzi go hojnie hrabina, poza tem dostanie piękny, cenny przedmiot, no i zaszczyt nie bylejaki.

Konie wyprowadzono.

— Musimy się spieszyć, aby zdobyć miejsca — odezwał się Jerzy.

Po pewnych wysiłkach udało się to. „Wcisnęli” się w pierwszy rząd widzów na trybunie. Jerzy podtrzymał pod rękę Izę.

Po zwyczajowej defiladzie przed trybunami konie wyszły na tor. Następował obowiązkowy próbny galop w stronę startu.

Gdy galopował „Achilles”, rozległy się burzliwe oklaski. Miał istotnie wspaniałe rzuty. Widać było, że jest głównym faworytem publiczności.

Po chwili wspiął się do galopu „Cezar”.

Obok rozległ się głos:

— Gdyby ten wygrał, to daliby forszę. Ze dwieście.

— Gdyby ciocia miała wąsy i t. d. „Achilles” obegrać się nie da.

— Konie przejdą przed nami dwa razy — objaśniał Izę Jerzy.

Izie udzielała się powoli emocja tłumy. Pomyślała sobie, jak się czuje teraz hr. Przemska. Ktoś w tej chwili na nią nadeptał tak, że omal się nie przewróciła. Podtrzymał ją, obejmując ramieniem, Jerzy. Przez chwilę zatrzymał tak rękę... Mocno tłukło się w nim serce spowodu wyścigu i tak bliskiej obecności „piosenki”.

— No, uwaga — rzekł ktoś obok. — Bomba idzie.

Podnosiła się powoli, jakby z namysłem, wielka czerwona kula — znak startu.

Iza podniosła do oczu lornetkę. Widziała, jak przed połyskującą w słońcu wstęgą zbierała się różnokolorowa linja jeźdźców. Dojrzała pomarańczową kurtkę żokieja „Cezara”. Trochę bliżej, stojący z boku toru człowiek trzymał wzniesioną białą chorągiewkę. Jerzy objaśnił jej, że to kontrstarter. Jeśli chorągiewkę spuści, będzie to znak, że start jest udany.

Tłumy zastygły. Na wielkich trybunach zapanała cisza. Wstęgi startowe poszły do góry, konie ruszyły. Jednakowoż chorągiewka kontrstartera nie opadła.

— Co się stało? — spytała Iza.

— Start zły. Niech pani popatrzy: wyrwała go „Błękitna” i drugi koń. Teraz zawracają. Ten drugi koń to „René” — towarzysz stajni „Achillesa”. Chce prowadzić.

Konie ustawiały się na starcie na nowo. Równą linję koni co chwila łamał nerwowo zachowujący się „René”.

Wreszcie, gdy równa linja została osiągnięta, Iza ujrzała, jak przed rzędem wspinających się do rzutu

szermierzy — błysnęły podrzucone do góry „sznury”. Kontrstarter opuścił chorągiewkę.

— Poszły... — odezwał się głośno ktoś obok. Równocześnie zabrzmiały dzwonki. Różnokolorowa gromada szybko zbliżała się do trybun. Dochodził tętent cwałujących koni. Coraz bliżej...

Pierwszy z przewagą kilku długości szedł „René”. Za nim w grupie czterech koni znajdował się pośrodku kary „Achilles”, mając tuż u siodła „Błękitną”, piękną siwkę. W odstępnie dwóch długości za tą grupą cwałowała reszta koni, mając na przodzie „Cezara”.

— Niech pani patrzy, jak świetnie wygląda — odezwał się Jerzy.

„Cezar” galopował z lekko pochylonym karkiem. Równo wyrzucał przednie nogi, jakby zamiatając niemi przestrzeń.

Konie na chwilę zniknęły na zakręcie. Gdy ukazały się na nowo, ujrzano, że „René” odsadził się o kilka nąście długości.

— No, cóż chyba go już nie dogonią? — spytał Andrzej.

— Zaraz się o tem przekonasz — odezwał się Jerzy, śledząc z naprężeniem przez szkła ruchy „Cezara”. Drżały w nim nerwy. Wiedział, że w razie sukcesu dostanie od ciotki piękny prezent. Był przecież jej „oczkiem” w głowie.

Tymczasem przestrzeń pomiędzy prowadzącym „René” a resztą koni zaczęła gwałtownie się zmniejszać. Widoczne było, że „leader” się kończy. Jakoż po chwili zginął w gromadzie koni.

Teraz na czele rwał faworyt „Achilles”, za nim w niedalekim odstępnie „Błękitna” i reszta zgrupowanej „stawki”. W jej środku migotała pomarańczowa kurtka żokieja, jadącego na „Cezarze”.

Konie zbliżały się do ostatniego zakrętu. „Błękitna” zrobiła gwałtowny rzut i znalazła się tuż przy

siodle „Achillesa”. „René” był daleko na szarym końcu i coraz bardziej odpadał.

— „Achilles” wygrywał — rozległy się okrzyki.

— „Błękitna”! — krzyczał ktoś inny.

Jerzy utkwił lornetkę w dalszej gromadzie koni. Dojrzał wreszcie kurtkę pomarańczową. Zobaczył, jak bał w ręku Białego spadł łukiem... i równocześnie „Cezar” dał potężnego susa.

„Achilles” i „Błękitna” walczyły zacięcie.

Zbliżały się już do małych trybun. Szlachetna siwka robiła co mogła i zdawała się mijać rywala.

Meta była o 150 metrów.

— Patrzcie, co się dzieje! — zawołał Jerzy.

Oto od grupy koni oderwał się „Cezar”... i rwie naprzód.

— „Cezar”! — rozległ się krzyk na trybunach.

Kasztan szedł jak wicher. Jeszcze oddziela go tylko jedna długość od pary przodującej.

— „Cezar”! „Cezar”! — krzyczały trybuny.

Biały dał bata. „Cezar” zrównał się z wygrywającą „Błękitną” i zrobił nieprawdopodobny rzut.

Konie minęły celownik.

Na twarzach widzów malowała się niepewność.

Kto zwyciężył?

Po chwili koło budki sędziowskiej wywieszono tabliczkę z liczbą dziesięć.

— „Cezar” zwyciężył! — krzyknął Jerzy i bez dalszego słowa pobiegł w stronę toru.

Iza nie miała do niego pretensji. Rozumiała jego emocję. Wszak bierze udział w zwycięstwie...

Wynik gonitwy był następujący: pierwszy „Cezar”, druga „Błękitna”, trzeci „Achilles”.

Na trybunach wrzało.

Iza z Andrzejem udali się w stronę wag, miejsca rozsiadania koni. Właśnie wprowadzano „Cezara”. Jeździec Biały z triumfującą miną kłaniał się, dziękując za oklaski.



Przez ogrodzenie zobaczyli, jak Prezydent dekorował łeb „Cezara” przepyszną wstęgą błękitną — oznaką zwycięstwa.

— Może pan hrabia — zwrócił się trener Żychoń do Jerzego — zechce poprowadzić ze mną „Cezara”?

— Z chęcią — usłyszała Iza słowa Jerzego.

Gdy konia nakryto derką, ujął go z jednej strony za uzdę Żychoń, z drugiej — Jerzy. Zgodnie ze zwyczajem — zwycięzca miał być oprowadzony wśród publiczności.

Obok Izy stało dwóch graczy z mocno zakrzywionymi nosami:

— I pomyśleć, że przez tego kasztanka nasza forsa sobie poszła.

— To jest drobiazg. Coś ty stawiał? Dziesięć złotych. Pomyśl, że ta gruba hrabina weźmie zgórą dziewięćdziesiąt tysięcy. Taki „piniondz”. Szczęśliwa baba. Nie mógł to wygrać „nasz”?

Po chwili dodał:

— I pomyśleć, że ten „Cezary” wygrał o głupi nos.

— Ładnie głupi — odezwał się drugi. — Życzę ci takiego samego nosa — za dziewięćdziesiąt tysięcy.

W tym momencie uwaga Izy zwróciła się w innym kierunku. Wśród szpaleru stojącej po obu stronach publiczności prowadzono „Cezara”. Dumnie potrząsał łbem, strojnym we wstęgi, jakgdyby zdawał sobie dokładnie sprawę, że to dzień jego chwaty.

Wokół brzmiały grzmoty oklasków... Jerzy, prowadzący „Cezara”, co chwila uchylał kapelusza. Gdy przechodzili obok Izy, zauważył ją, skinął jej roześmiany zwycięsko ręką. Odpowiedziała mu takim samym znakiem.

Po niecałym kwadransie był przy niej.

— No jakże, panno Izo? Podobają się pani wyścigi?

— Bardzo. Nie przypuszczałam nigdy, że to takie interesujące. Miał pan doskonały pomysł, proponując nam przyjście. Wyobrażam sobie, jak się cieszy pana ciocia.

— Zaraz się przekonamy dokładnie o rozmiarach tej radości. Niech pani patrzy, wywieszają wynik totalizatora.

Po chwili dodał:

— Płacą 102 za 10. Innemi słowy wygrana z nagrodą dają mojej ciotce prawie dwieście tysięcy. Wie pani, gdy pani wtedy głaskała po grzywie „Cezara”, życząc mu zwycięstwa, miałem prawie pewność, że wygra. Okazała się pani dobrą wróżką.

Towarzyszący im Andrzej odszedł na stronę i witał się z jakimś panem w cylindrze.

— Tak, okazała się pani dobrą wróżką — ciągnął Jerzy. — Wogóle jest pani moją dobrą wróżką...

Uczuł się w tej chwili po raz pierwszy wobec Izy śmielszym. Miał uczucie, że część oklasków, którymi obdarowano „Cezara”, spłynęła na niego...

— Nie wiem, czy pani przeczuwa, jak ja bardzo panią lubię, panno Izuchno...

Zatłukło się w niej mocno serce.

— Ależ wiem. Ja pana też lubię, panie Jurku.

Ujął leciutko jej dłoń i przycisnął do ust. Stało się to tak szybko, że nie mogła temu zapobiec.

— Co pan robi, panie Jurku?

— Przecież nic złego. Ucałowałem tylko pani rękę... „piosenko”, przepraszam, panno Izuchno.

Zaróżowiły się jej skronie.

— Dlaczego pan powiedział „piosenko”?

— Skoro już pani raz usłyszała, to nie pozostaje mi nic innego jak przyznać się, że nazywam panią w myślach „moja piosenka”.

Odwróciła głowę, bo nie wiedziała, co ma na to powiedzieć.

Przez chwilę szli w milczeniu, które przerwał Jerzy

— Niech mi pani powie, „piosenko”, coby to się stało, gdybym się tak spytał pana doktora Zaruckiego, czy mogę prosić go o rękę córki...

Spojrzała na niego z przestachem, pomieszany z radością.

— Ależ to niemożliwe, panie Jurku.

— Niemożliwe? Czyżby... — nie skończył zdania.

Właśnie wyprowadzano konie do gonitwy o nagrodę „imienia Prezydenta Rzeczypospolitej”. Wszyscy zajmowali już miejsca na trybunach lub ławkach, aby dobrze widzieć bieg.

Zarówno Iza jak i Jerzy nie zwracali na to uwagi, co się dzieje dokoła.

Spostrzegła, że posmutniał, i zrobiło się jej go żal.

— Tak, panie Jurku. Pomimo całej mojej sympatii dla pana, jest to teraz niemożliwe. Zgóry wiem, coby pan usłyszał w odpowiedzi.

— Mianowicie?

— Mój ojciec, doskonale go rozumiem i bardzo go dlatego kocham, powiedziałby do pana tak: „Jak pan mi to samo powie, mając już w ręku dyplom uniwersytecki, — to ja panu powiem, że się zapatruję na to tak jak Iza. Dzisiaj mogę panu powiedzieć tylko, że na to za wcześnie”.

Oblicze Jerzego trochę się rozpogodziło

— A jak się na to będzie zapatrywać wtedy Iza?

— Straszny dzieciak z pana, że się pan jeszcze o to pyta.

— Moja „piosenko”...

— Szukam was — dobiegł ich głos Andrzeja. — Dlaczego nie zajmujecie miejsc?

Poszli z nim razem w stronę trybun...

Andrzej o więcej nie pytał. Wyczuł, że gdy go nie było — stało się coś pomiędzy dwójkiem tych młodych.

I dziwna rzecz — pomyślał o Zygmuncie Błońskim.

Andrzej się nie pomylił. Zygmunt Błoński był również na wyścigach. Bardzo prędko ich zauważył, ale sądził, że nie wypada się zbliżyć. Skoro Iza i Andrzej byli z Jerzym Lando, widocznie się umówili.

Jego nie zaproszono...

W czasie rozgrywki „Derby” zajmował miejsce na tej samej trybunie, tylko nieco wyżej. Dokładnie ich widział. Niemal nie spuszczał z Izy spojrzenia. Zobaczył, jak w pewnej chwili Jerzy objął ją ramieniem... Miał wtedy takie uczucie, jakby mu kto położył łód na głowę. Skierował wzrok w stronę startu, gdzie ustawiały się konie. Ale po chwili jakaś siła pokierowała jego spojrzeniem znów w stronę Izy i zobaczył, jak Jerzy trzyma ją pod rękę.

Gdy gonitwa się skończyła i Lando pobiegł w stronę toru — miał przez chwilę ochotę zbliżyć się do Andrzeja i Izy.

Powstrzymała go jednak refleksja: poco?

Widział następnie Izę spacerującą z Jerzym w chwili, gdy miał się rozpocząć bieg o nagrodę „im. Prezydenta”. Uwaga całej publiczności była wtedy skupiona na torze. Można było wtedy policzyć na palcach osoby spacerujące i niezwracające uwagi na mający się rozpocząć wielki wyścig. Widział, jak szli obojętnie między ławkami. Dałby sobie wtedy uciąć głowę, że pomiędzy nimi coś się „dzieje”. I doznał tego samego uczucia, jak ongiś na przyjęciu świątecznym... Jakby mu ktoś igielką drażył serce. Tylko teraz — jakby ta igła była bardziej tępa i jakby mu serce rwała...

Z obojętnością zupełną przypatrywał się przebiegowi gonitwy.

Słyszał, jak koło niego krzyczano:

— Brawo, „Bohater”!

Przypomniał sobie dopiero wtedy, że z jednym z kolegów uniwersyteckich, którego przypadkowo spotkał — wspólnie złożyli się na bilet totalizatorowy na „Bohatera”. Był to jeden z faworytów.

Przez chwilę ucieszył się, że prawdopodobnie wygrana część pokryje mu kosztą drogiego biletu wejściowego.

Pozwolił sobie na luksus przyjscia na „Derby”, ponieważ i tak się zdecydował sprzedać pamiątkowy zegarek. Jutro go zanieś jubilerowi.

Zygmunt zeszedł z trybun i wolnym krokiem skierował się w stronę kas. Tam bowiem spodziewał się spotkać kolegę. Nie zauważył go jednak nigdzie; usiadł więc na stojącej opodal ławeczce i obserwował przechodzących. Nagle usłyszał znajomy głos:

— Jak się masz, Zygmunt. Nie spodziewałem się ciebie tutaj zobaczyć. Nie wiedziałem, że się interesujesz wyścigami.

Był to szambelan Kazimirski.

— Witam filistra. Może się filister przysiądzie.

— Z chęcią... Ale cóż to masz taką minę, jakby cię zęby bolały.

— Zdaje się filistrowi.

— No to dobrze, bo ból zęba to świństwo. A ja tu przyszedłem przypomnieć sobie dobre czasy. Jakieś trzydzieści lat temu to się sam bawiłem w koniki. W Odessie. Naturalnie, widziałeś triumfujących „Cezara” i Jerzego Lando. Mówią, że jego ciotka postawiła duży grosz w totalizatora i dlatego stosunkowo mało zapłacili. Ale chcę ci coś zaproponować: przyjdź do mnie jutro do „Senackiej”. Moglibyśmy potem pójść do kina.

— Z pewnością przyjdę.

— Oczywiście, o ile ci nie przeszkadza ta okoliczność — dodał Kazimirski — że należę do publiczności pierwszorzędnej.

Szambelan z racji krótkiego wzroku nigdy nie siadał dalej jak w trzecim rzędzie.

Po krótkiej pogawędce Kazimirski pożegnał się.

Zygmunt, nie doczekawszy się nadejścia kolegi, skierował się w stronę toru. Zaczęła się właśnie następna gonitwa. Po przeciwległej stronie widać było migające kurtki żokiei. Zygmunt mógł teraz doskonale obserwować rozgorączkowane twarze widzów. Stał na ławce, by zobaczyć koniec gonitwy.

W zażartej walce, okładane batami, szły na czele dwa konie. Gdy minęły celownik, Zygmuntowi zdało się, że przyszedł też w też. Wywieszono jednak jako zwycięzcę „Nr. 7”.

Zygmunt przekonał się z programu, że wygrała wyścig „Trzpiotka”. Obok niego głośno rozmawiało dwóch panów:

— Mógłbym, panie, przysiąc, że wygrał „Ordynans”. Gdy wywiesili siódemkę, to przetarłem oczy.

— Będzie kolosalna wypłata za „Trzpiotkę”. Niech pan patrzy: prawie nikogo niema przy kasach.

Przed trybunami Zygmunt znalazł wreszcie swego kolegę i odebrał wygraną za „Bohatera”.

— Szukałem was bezskutecznie — odezwał się tamten. — Możebyśmy, kolego, jeszcze razem popróbowali szczęścia. Zagrajcie.

— Dziękuję wam. „Bohater” mi zwrócił kosztą biletu. Mógłbym jeszcze przegrać. Zresztą już wychodzę.

Skierował się w stronę bramy wyjściowej. Ruchu w kierunku wyjścia jeszcze nie było. Zobaczył tylko przed schodami, prowadzącymi do łoży honorowej, jak żegnano odjeżdżającego Prezydenta Rzeczypospolitej. Zygmunt przechodził koło ostatniego budynku, mieszczącego kasy, gdy wzrok jego padł na ziemię. Na zwirze leżały niepogięte bilety totalizatorowe.

Podniósł je. Było trzy. W rogu miały czarnym drukiem wydrukowaną cyfrę „7”. Przejrzał jeden z biletów pod światło, aby zobaczyć dziurkowane litery, wskazujące datę i numer gonitwy. Data była dzisiejsza.

Wytłoczony numer gonitwy wskazywał na odbyty przed chwilą bieg. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie trzy bilety były na zwycięską „Trzpiotkę”.

Posiadacz biletów uległ prawdopodobnie omyłce optycznej, przypuszczając, że wygrał „Ordynans” — i rzucił bilety.

Zygmunt zawrócił w stronę toru.

Odrązu uświadomił sobie, że szukanie poszkodowanego jest bezcelowe. Mogłoby tylko doprowadzić do dania biletów osobie, która ich nie zgubiła. Są przecież na okaziciela.

Przypomniały mu się zasłyszane słowa: „Za „Trzpiotkę” będzie kolosalna wypłata”.

Jeszcze raz sprawdził bilety. Są niewątpliwie dobre.

Pieniądze przychodzi mu w najodpowiedniejszej chwili.

Ileż dostanie?

Nerwowo spacerował przed trybunami, czekając na wynik totalizatora. Wreszcie zobaczył, jak mały wyrostek podbiegł do tablicy i wręczył kartkę stojącemu przy niej człowiekowi.

Zygmunt czekał z zapartym tchem. Po chwili wywieszono najpierw cyfrę „7”, a obok niej... 855.

Zatem płacą za 10 zł — 855 zł. Dostanie więc za trzy bilety 2565 zł.

Gdy zgłosił się do kasy i sprezentował bilety, kasjer, zrobiwszy rachunek, powiedział:

— Zechce pan chwilę zaczekać. Muszę posłać po pieniądze, bo nie starczy mi do wypłacenia panu. Trzeba przyznać, że szczęście panu dopisało.

Zygmunt oparł się o balustradę i czekał.

Dźwięczały mu w uszach słowa kasjera: „Szczęście panu dopisało”. Jak to dziwnie brzmi...

Wracając do domu, miał kieszeń wypełnioną banknotami. W sposób niemal fantastyczny zdobył pieniądze. Postanowił je traktować jako „pożyczkę”, którą spłaci przy najbliższej sposobności w drodze ofiar na najaktualniejsze cele publiczne.

— — — — —  
— — — — —

Na otomanie, pokrytej stosem małych poduszek, siedziały „zwinęte” w kłębek Zocha Lachowiczówna i Mary Rajnerowa.

Wyglądały teraz jak dwie duże kotki. Na poręczy, jakby podsłuchując ich rozmowę, siedział mały „pierroci”.

— Urządziłam dzisiaj wszystko w ten sposób — mówiła Zocha — żebyśmy się mogły dosyta nagadać, zwłaszcza, że wyjeżdżasz.

— To Zarucki dzisiaj nie przyjdzie?

— Nie. Byłoby tu dużo do opowiadania. Opowiem ci najkrócej. Otóż wystaw sobie, że zaprosił mnie, byśmy poszli dzisiaj razem na wyścigi z racji „Derby”.

— Trzeba było pójść. Zobaczyłabyś wiele pięknych toalet. Lustro ci przecież mówi, że nie wyglądasz najgorzej.

Uroda Zochy była zawsze dla Rajnerowej przedmiotem cichej zazdrości. Nie malowała się i była prześliczna.

— Toteż miałam szczerą ochotę. Ale Andrzej wyznał mi, że organizuje moje poznanie się z swoją siostrą.

— Ach tak...

— Więc nie poszłam. Mama, choć bardzo niezadowolona, zatelefonowała, że jestem trochę niezdrowa. Zorientowałam się, że o ile poznam jego siostrę, to



prawdopodobnie prędko potem nie uniknę oficjalnego narzeczeństwa. A mnie jest tak dobrze, jak jest.

— Jednym słowem, jesteś jeszcze ciągle zahipnotyzowana?

— Niech będzie tak. Czuję to, że staję mi się coraz bardziej potrzebny.

Przez chwilę się zamyśliła.

— Żebyś ty, Mary, wiedziała, jakie on ma cudne oczy w chwilach, kiedy jest szczęśliwy. Urzekły mnie. Choć muszę ci przyznać, że chwilami męczy mnie swoją wyłącznieścią. Doprowadził do tego, że faktycznie z mężczyzn nikt u nas teraz nie bywa. Nawet kapitan...

Rajnerowa uśmiechnęła się.

— ...Męczy cię swoją wyłącznieścią. Znam kochanie to uczucie. Wiesz, co ono oznacza? Początek nudy.

— Pleciesz, Mary. Andrzej jest ciągle dla mnie jak szampan. Wiesz, nigdy nie przypuszczałam, że można się tak zająć jednym chłopcem. Wydawało mi się to niemożliwością.

— Nie chcę bynajmniej gasić twoich uczuć dla pana Andrzeja, choć wiesz, że za nim nie przepadam, ale à propos „szampana”, to powiem ci, co raz powiedział mi Rajner (nazywała tak zawsze swego męża). Powiedział tak: „Wszystko jest dobre w miarę. Gdybyś mi przez tydzień dawała trzy razy dziennie najwyższej marki szampana, to na ósmy dzień powiedziałbym ci, zmiłuj się, daj mi zwykłej herbaty”.

— O ile się orjentuję, to odpowiednio utożyliście sobie życie.

— Tak jest, moja droga. Każde z nas chodzi sobie swoją drogą i dobrze nam z tem. Nic naprzykład Rajnera nie obchodzi, jak będę czas spędzała w Wenecji...

To mówiąc, poruszyła się na otomanie i potrąciła nogą śpiącą „Moją”, która złowrogo zawarczała.

— Nie wiem, Zocha, czyś ty sobie kiedy zadała trud pomyśleć, dlaczego nam dwom jest ze sobą dobrze?

— Poprostu lubimy się...

— To jest trochę zbyt „poprostu”. Mojem zdaniem przyczyna jest taka, że stanowimy pokrewne sobie typy, tylko, że ja mam odwagę przyznać się do pewnych rzeczy, a w tobie one nurtują.

— Mów jaśniej, Mary.

— Zaraz ci to wyjaśnię innym pytaniem, na które dam ci sama odpowiedź. Pytanie brzmi tak: dlaczego Zocha Lachowiczówna chciała uniknąć poznania siostry Andrzeja Zaruckiego? Twoją odpowiedź już słyszałam. Ja ci dam moją odpowiedź: dlatego, że Zocha pragnie uniknąć tego wszystkiego, co by utrudniało ewentualne cofnięcie się; dlatego, że Zocha w najtajniejszym swoim zakamarku liczy się z możliwością, że odezwie się u niej chęć zmiany wrażeń. To jest, widzisz to, co jest w tobie, a do czego ty się jeszcze sama przed sobą nie przyznajesz.

— Niebardzo sobie z tego zdaję sprawę, poco to wszystko do mnie mówisz, Mary.

Rajnerowa przez chwilę milczała. Była zadowolona, że „Moja” uniosła się i położyła jej na kolanach swój piękny łeb.

...Wyjeżdża na dwa tygodnie do Wenecji. Przez ten czas wypadki mogą pójść takim torem, że bezpowrotnie straci swą przyjaciółkę. Jest przecież oczywistą rzeczą, że pomiędzy nią a Zaruckim toczy się cicha walka o Zoche...

— Czemu mi nie odpowiadasz?

— Ależ powiem ci, droga. Ty może nie dostrzeżesz, a ja sobie z tego zdaję sprawę, że twój pan Andrzej stara się wzniesć pomiędzy nami przegrodę — dziś może jeszcze niewidzialną... Otóż z tego, coś mi dziś powiedziała, pozwól, że cię najpierw uściskam, wróżę sobie, że mnie nikt nie pozbawi mojej Zochy.

— Zrobiłaś mi przykrość, Mary, podwójną przykrość.

— Dlaczego, Zochna?

— Bo wątpiłaś w trwałość mojej przyjaźni. A następnie à propos Andrzeja. Ja go, widzisz, może kocham na swój sposób. Ale jedno jest pewne, że nie chcę go stracić.

— Ależ kochaj go, na jaki sposób chcesz. Tylko bądź również dla mnie dobra. No, rozpogódź się. Będę ci mówiła o mojej podróży...

Wbiegła do pokoju Krysia.

— Czy nie przeszkadzam?

Rajnerowa objęła ramieniem smukłą napót dziecinną kibić Krysi.

— Wiesz przecież dobrze, że nie.

— Mama mnie przysyła, czybyście panie nie chciały przejść do niej. Chce z wami zagrać w „kinga”.

Rajnerowa wstała.

— Ja z miłą chęcią.

— Zosienska — spytała Krysia — czy nie wiesz, dlaczego nie przyszedł dziś pan Andrzej? Zawsze przecież przychodzi w niedzielę. Może chory...

— Nie wiem, Krychna.

Na twarzy Rajnerowej igrał uśmiech.

#### XXIV.

Andrzej na drugi dzień rano, przed pójściem do Uniwersytetu, zatelefonował do Lachowiczów. Usłyszał głos Krysi.

Przeląkł się o Zochę. Przecież to poniedziałek — dzień szkolny.

— Dzieńdobry, panno Krychno! Czemuż to kozaczek nie w szkole?

— Panu powiem, choć to wielki sekret... Jest dziś klasówka, której się boję. Pan zapewne chce Zochnę,

zaraz ją sprowadzę, ale czemu to pana u nas wczoraj nie było?

— Otrzymałem wiadomość, że pani siostra niezdrowa.

— Ach tak. Widzi pan, jaka jestem lekkomyślna. Zupełnie zapomniałam. Niech pan poczeka, zaraz dam Zochę.

Po chwili postęszął:

— Andrzej?

— Ten sam. Całuję ręce mojej pani. Jak się czujesz?

— Już zupełnie dobrze. Ale wczoraj byłam marna. Kiedy się zobaczymy?

— Przyjdę dziś przed wieczorem, Zochna.

— Dopiero. Szkoda. A ja miałam ochotę w południe na łaźienki. Czy nie możesz? Czemu?

— Niestety, tak się składa, że nie. Na godz. 11 i pół przed południem jest na dziedzińcu Uniwersytetu zwołany wiec antyniemiecki. Przewodniczę i przemawiam. Widzisz więc, że nie mogę, choć chciałaby dusza do raju... Już taki mój los.

— Nie pierwszy raz spotyka mnie z twej strony odmowa.

— Lecz sama wiesz, że nie z mojej winy. A możebyś przyszła na Uniwersytet?

— Przecież i tak nie będziesz miał dla mnie czasu, bo będziesz zajęty. A wiesz, że polityka mnie nie interesuje. Nie znam się na tem.

— Zatem do wieczora, Zochna. Bardzo całuję łąpki.

— Dowidzenia.

Gdy Zocha odeszła od telefonu, zobaczyła utkwione w siebie pytające oczy Krysi.

— Omal cię nie wsypałam, Zocha. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego mylnie poinformowałam pana Andrzeja, że byłaś wczoraj niezdrowa...?

— Chciałam się poprostu nagadać z Mary, która dziś wyjechała zagranicę.

— Przecież prawie cały wieczór graliśmy razem w „kinga”?

— Wiesz co, Krychna. Męczysz mnie chwilami...

Zocha wyszła, pozostawiając w obliczu nierozwiązanej zagadki zasępionego „kozaczka”.

Andrzej, idąc do Uniwersytetu, myślał o rozmowie telefonicznej. Dość jaskrawo uświadamiał sobie teraz, że Zocha nie ma zainteresowania dla jego pracy publicznej.

Dopiero teraz ten stan rzeczy tak silnie mu się uwypuklił.

Przedtem odsuwał od siebie myśl o tem, co jakby się tylko snuło w jego podświadomości...

A przecież praca publiczna to dla niego więcej niż połowa życia...

Wchodząc na dziedziniec Uniwersytetu, był ciągle zaprzętnięty tą myślą.

Wyczuwał, że na „ich” czystym dotychczas horyzoncie pojawia się pierwsza chmurka.

— Jak się masz, Andrzej — usłyszał głos Kazika Szreniawity — coś taki zamyślony? Jeśli uktadasz sobie treść przemówienia, to ci nie przeszkadzam.

— Poprostu zamyśliłem się, mój drogi. Każdy z nas ma swoje kłopoty.

— A ty, rzecz rozumiała, najwięcej. Dzisiejszy wiec zapowiada się wyjątkowo tłumnie.

Podwórzec Uniwersytetu był wypełniony gwarem. Mieszały się z sobą czapki wszystkich wyższych uczelni. Od bramy wejściowej po obu stronach ciągnął nieprzerwany sznur młodzieży akademickiej.

Koło głównego pawilonu panował tłok, przez który Andrzej ze Szreniawitą z trudem się przedostali. Prezydjum wiecu i mówcy mieli zająć miejsca na balkonie.

— Kto będzie przemawiał? — spytał Szreniawita.

— Pierwszy Reliński, następnie zabierze głos przedstawiciel „Demokratów”, jeszcze nie wiem kto; daliśmy im wolną rękę z zastrzeżeniem, żeby to nie był żyd; nakońcu, ja.

— Jest jedna duża pocięcha, że uznawanie w Niemczech głównego wroga Polski staje się ogólnonarodowym dogmatem. Myślę sobie teraz o tem, co się działo po akcji „5 listopada”. Trzeba przyznać, że wypadki się toczą w zawrotnem tempie. Wtedy byliśmy garstką; dziś jesteśmy potęgą. Ponadto tezy, które nas wyróżniały od innych, stają się ogólnonarodowymi przykazaniami.

— Zdały bowiem — dodał Andrzej — najbardziej miarodajny egzamin. Potwierdziła je twarda rzeczywistość polityczna.

Na balkonie zastali zebranych czołowych przedstawicieli studentów wszystkich wyższych uczelni. Był również obecny jako przedstawiciel władz akademickich prof. Ciepłowicz.

Do Andrzeja podszedł jeden z przywódców „demokratów”, Korski.

— Chcę koledze zakomunikować, że od nas ja zostałem wyznaczony do zabrania głosu.

— Bardzo miło. Będziecie, kolego, przemawiali po Relińskim, a przede mną. Czy to wam dogadza?

— Najzupełniej.

Andrzej witał się z zastępcą sekretarza Uniwersytetu.

— Dzieńdobry prezesowi. Proponuję, by panowie zaczynali; kto miał przyjść, już przyszedł. Niechno prezes patrzy, jakie tłumy.

Istotnie na dziedzińcu, jak okiem sięgnąć, widniało morze głów.

— Dobrze. Sprawdzę tylko, czy jest kolega Reliński. Widzę, że jest.

— Jak się masz „papież” — witał się — zaraz zaczynamy.

Zwrócił się do grona stojących obok:

— Koledzy, prezesi „Bratniaków”, będą łaskawi zająć miejsca w prezydjum.

Gdy prezydjum wiecu ukazało się na balkonie, ścichiło w pierwszych szeregach akademickich.

— Koleżanki i koledzy! — wołał donośnym głosem Zarucki — wiec ogólnoakademicki ogłaszam za rozpoczęty.

— Ci... — rozległo się w wielu punktach podwórca uniwersyteckiego.

— W imieniu wiecu — ciągnął Zarucki — witam przedstawiciela wysokiego Senatu, profesora Ciepłowicza. Wiec dzisiejszy został zwołany powodu ostatnich wystąpień niemieckich, skierowanych przeciw całości ziem polskich.

— Precz z Niemcami! — ktoś krzyknął i okrzyk ten podchwycony przez wszystkich potoczył się nieprzerwaną falą.

— Proszę kolegów — wołał Zarucki — w imieniu prezydjum wzywam wszystkich zebranych do zachowania powagi. Pierwszy przemawiać będzie kolega Reliński.

Ukazanie się Relińskiego powitały gromkie oklaski.

— Proszę kolegów! Ze strony najwyższych przedstawicieli Rzeszy Niemieckiej padły oświadczenia, że Niemcy nie uznają swoich granic z Polską, i że celem ich polityki jest zmiana tych granic. Dla nas te oświadczenia nie zawierają nic nowego. Przypominają one tylko nam wszystkim, gdzie jest największy wróg naszego Narodu, wróg, który głośno przyznaje się do tego, że jego celem jest czwarty rozbiór Polski i odcięcie nas od morza. Dziś niema w Polsce nikogo, kto by miał pod tym względem wątpliwości i wahania. Wiadomo, że tym wrogiem jest Niemiec. Być może, że będę posądzony o ironję, która tu jest nie na miejscu, ale uważam, że z pewnego punktu widzenia, oświadczenia polityków niemieckich nie przejdą dla nas bez korzyści. Po słowach, które padły w Niem-

czech, nie będzie w Polsce człowieka, któryby ufał w pokojowość Niemiec wobec naszego Państwa. Jedynym czynnikiem, do którego możemy mieć zaufanie, jest nasza własna siła.

— Słusznie!

— Niech żyje Armja Polska! — zabrzmiał potężny okrzyk.

— Niech żyje!

— Proszę kolegów — mówił dalej Reliński. — My, młodzież akademicka, winniśmy dzisiaj stwierdzić dwa fakty. Jeden to ten, że mylą się nasi wrogowie, jeśli liczą na to, że nasz odpór będzie osłabiony spowodu konfliktów wewnętrznych. W obronie Rzeczypospolitej będziemy jedną pięścią i jednym ramieniem. A drugi fakt to ten, że będziemy bronili całości ziem polskich do ostatniej kropli krwi. Niech wiedzą Niemcy i Europa, że na wszelkie zakusy na całość naszych granic Naród nasz odpowie jednym wielkim odzewem: zmiana granic — to wojna!

Odpowiedział Relińskiemu jeden wielki aplauz, który przewalił się od krańca do krańca uniwersyteckiego dziedzińca.

Andrzej musiał użyć dzwonka, ponieważ ciągle rozlegały się okrzyki.

Gdy się nieco uciszyło, zawołał jakiś tubalny głos:

— Niech mówi kolega Zarucki!

— Zarucki — niech mówi!

Na miejscu dla mówców stał nieco zakłopotany Korski.

Andrzej dał znak ręką i nastąpiła cisza.

— Udzielam głosu koledze Korskiemu.

Korskiego powitały słabe oklaski nielicznych zwolenników jego kierunku. Wygłosił krótką deklarację, podkreślającą konieczność przeciwstawienia zakusom niemieckim zjednoczonej woli wszystkich Polaków. Gdy skończył mówić, — Zarucki oddał przewodnictwo wie-



cu przedstawicielowi Politechniki i stanął na miejscu, zajmowanym przez poprzednich mówców.

— Proszę kolegów — zaczął. — Jesteśmy jednomyślni w sprawie, dla której się tu zebraliśmy. Toteż będę mówił krótko. Gdy Traktat Wersalski wyznaczał naszą granicę zachodnią, widzieliśmy w niej rodzaj „modus vivendi” pomiędzy narodami, skazanymi przez historję na sąsiedztwo; widzieliśmy w niej rodzaj kompromisu, bo za wykreśloną granicą po stronie niemieckiej pozostawały miliony naszych rodaków. Dziś jest pora głośno oświadczyć, że pamiętamy o naszych rodakach na Śląsku Opolskim, na Warmji i Mazurach. I wierzymy, że jeśli rozpęta się burza, burza nie z naszej winy, to za sprawą oręża polskiego, Polacy, którzy są dzisiaj za kordonami, znajdą się w granicach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

— Brawo! — rozdarł powietrze jeden potężny krzyk z tysięcznej piersi zgromadzenia.

— Proszę kolegów! — mówił Zarucki. — Nasi koledzy, którzy już opuścili mury wyższych uczelni, byli tymi, którzy pierwsi przelali krew na polach walki o Lwów. Jak tu już mówiono, gdy zajdzie potrzeba, my — następcy obrońców Lwowa i Warszawy, — znajdziemy się również w pierwszym szeregu. Tu, w dniu dzisiejszym pragnę zwrócić uwagę na jedną okoliczność. Francja, zwycięska w wielkiej wojnie...

Dalsze jego słowa zginęły w salwie okrzyków:

— Niech żyje Francja!

— Niech żyje sprzymierzona armja francuska!

Gdy okrzyki ucichły, mówił dalej:

— ... Francja, prowadząca ustępliwą politykę, nie zapomina, że najważniejszym czynnikiem pokoju — jest być przygotowanym do odparcia napaści. Minister Maginot uzyskał od parlamentu miliardowy fundusz na budowę fortec. Pomiędzy Francją a Niemcami stanie niezadługo granica z żelaza i betonu. Tymczasem

na granicy polsko-niemieckiej porasta trawa. Proszę kolegów! Stawiam wniosek, by każdy członek społeczności akademickiej złożył ofiarę, na jaką go stać, — na fundusz pod tytułem: „Danina akademicka na fortyfikacje zachodnie”.

— Brawo! — rozległy się okrzyki.

— Uchwalamy!

— Proszę kolegów! — kończył swe przemówienie Zarucki. — Po zakończeniu wiecu pójdziemy pochodem przez miasto. A hasłem, które zaniesiemy stolicy, będzie: „Frontem na Zachód”.

— Frontem na Zachód! — zabrzmiał potężny okrzyk i przebiegł przez cały dziedziniec.

Na zakończenie wiec uchwalił jednomyślnie rezolucję, która zawierała punkty uwypuklone w przemówieniach.

Do Andrzeja podszedł Szreniawita.

— Winszuję ci. Mówiłeś, jak zawsze, wspaniale.

Gdy szli z tłumem po schodach, zauważyli idącego opodal Korskiego w towarzystwie dwóch studentów.

Dobiegły ich słowa, skierowane do Korskiego.

— Wiesz, „piskorz”. Słyszałem pierwszy raz Zaruckiego. Gada jak stary.

Andrzej zatrzymał się.

... „Piskorz”. Gdzie i kiedy już słyszał to słowo?...

Nie miał jednak teraz czasu na rozważania...

Na podwórku Uniwersytetu formował się olbrzymi pochód.

Ktoś zawołał:

— Panowie! Idziemy przed poselstwo niemieckie!

Po niecałych dziesięciu minutach, przez otwartą naścież bramę, wyszło szeroką falą „czoło” pochodu.

Rozległ się okrzyk:

— Panowie! „Rota”.

I po chwili, podejmowana przez coraz dalsze szeregi, zabrzmiała nieśmiertelna pieśń:

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,  
Nie damy pogrześć mowy,  
Polski my Naród, polski lud,  
Królewski szczep piastowy.

## XXV.

Zygmunt Błoński siedział zamyślony w swym małym pokoiku i cyzelował szczegóły czekającej go rozmowy.

Był wczoraj w kinie z szambelanem Kazimirskim i zobaczył coś takiego, co go głęboko poruszyło.

Gdy przyszli do kina, — program już był zaczęty. Szambelan nie chciał czekać do antraktu i weszli na salę. Okazało się, że spóźnionych osób było więcej. W przejściu panował tłok. Musieli zająć miejsca na uboczu.

Po chwili szambelan wysunął się naprzód, aby być bliżej ekranu, Zygmunt zaś stanął w pobliżu pierwszej od przejścia łązy.

W pewnej chwili, gdy na ekranie przedstawiano pełen słońca krajobraz morski i na widowni zrobiło się niemal jasno, wiedziony ciekawością, obrzucił spojrzeniem wnętrza najbliższych łóż...

Ujrzał z całą wyrazistością w matowym świetle twarz Jerzego Lando, koło którego zarysowywała się sylwetka młodej dziewczyny.

W tejże chwili przez myśl Zygmunta przewinęła się widziana na trybunie wyścigowej postać Jerzego, obejmującego ramieniem Iżę.

To było wczoraj...

A dzisiaj?

Korzystając z tego, że uwaga wszystkich była zajęta filmem, Zygmunt przesunął się bliżej tak, że mógł

zobaczyć towarzyszkę Jerzego i posłyszeć urywki poszczególnych słów.

Nie była to Iza. Była starsza. Przez mgnienie rozjaśnienia na sali zauważył jej ładne rysy. Siedziała przytulona do Jerzego, opierając mu na ramieniu głowę...

Posłyszał słowa:

— No, przyznaj, że twoja dawna przyjaciółka nie jest ci obojętna... Przyznaj, że przy Irence ci dobrze.

— Ależ tak, maleńka...

Zwarli się ustami...

Po chwili powiedziała:

— Żebyś wiedział, jaki mój malutki jest śliczny. Chciałabym, żebyś go zobaczył.

W tej chwili zrobiono się na sali widno i Zygmunt podążył w stronę szambelana Kazimirskiego, który się rozglądał dookoła. Przez cały czas pobytu w kinie myślał o Jerzym i tej jakiejś „Irence”. Ciekawe, czy Lando ma wiele takich „numerów”?

A w antraktach między niemi... konkuruje o Izę Zarucką.

Bydłę...

Może i Iza jest dla niego przedmiotem zabawy...

Jedna w szeregu... „Irenek”. Iza, dla której on, Zygmunt chciałby nieba przychylić.

Gdy po wyjściu z kina pożegnał się z szambelanem, wstąpił do małej cukierenki i na bilecie napisał następujące słowa:

„Mam do pomówienia z Tobą w sprawie, przyuszczalnie dla Ciebie bardzo ważnej. Będę oczekiwał na Ciebie jutro w południe, w moim mieszkaniu, w Domu Akademickim. Gdybyś o tej porze był zajęty, to będę czekał na Ciebie o godz. 6 pp. w ogródku uniwersyteckim. O tej porze nikogo tam nie będzie i będziemy mogli spokojnie porozmawiać”.

Przed treścią nie umieścić umyślnie żadnego nagłówka. Słowa „Drogi Jerzy” brzmiałyby w tym wypadku fałszywie.

Zaniósł osobiście bilet do domu, gdzie mieszkał Lando, i oddał dozorczy. Zaczekał, aż dozorca wrócił.

— Bilet wręczyłem osobiście panu hrabiemu.

— Jakiemu hrabiemu?

— Ano, panu hrabiemu Lando.

— Ach tak...

Odchodząc, Zygmunt usłyszał, jak dozorca mówił do żony:

— Dziwny gość...

O godzinie południowej Jerzy nie przyszedł. Natomiast posłaniec przyniósł od niego list. Na kwintnym papierze, zdobnym w tłoczone herby, Jerzy pisał:

„Kochany Zygmunco. Będę o godzinie szóstej we wskazanym miejscu. Jestem bardzo zaintrygowany. Uściski — Jerzy”.

Uściski... Może być i tak. Tylko, że jego uścisk byłby teraz djablo mocny. Na stoliczku mały budzik ostrym „tikiem” przerywał ciszę. Wskazywał godzinę pół do szóstej, gdy Zygmunt opuścił pokój. Przed wyjściem zrobił sobie kilka papierosów. Czuł potrzebę palenia. Tramwaj wiózł go marudnie. Po drodze przyszło mu na myśl, co będzie, gdy Lando go spyta, jaki to on ma tytuł do... To trudno. W grę wchodzi Iza.

W ogródku uniwersyteckim, jak przewidywał, było pusto i cicho. Nawet wróble nie wiodły swoich rozmów. Tylko rzadka rozlegała się wśród gałęzi przytłumiony świergot.

W ciszy tej Zygmunt zdał sobie sprawę, że jest zdenerwowany.

Jaki obrót weźmie rozmowa? Czy nie dojdzie do skandalu? W tym wypadku jeden z nich musiałby wystąpić z korporacji i... pojedynek. Oczywiście niktby nie rozumiał, co się stało.

Wybiła szósta, a Jerzego jeszcze nie było.

Zygmunt wstał z krawędzi muru i oparł się o dzią-  
ło. Czytał po raz niewiadomo który tablicę poświę-  
coną Kościuszce.

Wtem zdaleka postyszał zgrzyt żwiru... Ktoś nad-  
chodził. Był to Lando.

Zygmunt miał teraz takie uczucie, jakiego nigdy  
nie zdarzało mu się doświadczać. Zmrużył jedną po-  
wiekę, jakby brat Jerzego... na cel.

— Jak się masz, Zygmunt — witał się Lando. — Je-  
stem na twoje usługi. O co chodzi? Szczerze mnie  
zaintrygowałeś.

— A, jak się masz. Dziękuję, żeś przyszedł.  
Istotnie tak się składa, że mam z tobą do pomówie-  
nia. Proponuję, abyśmy tutaj pospacerowali.

Przez chwilę milczał.

— Być może, że ciebie zdziwi moje zapytanie,  
ale widzisz, od niego zależy, czy będę potrzebował  
ci mówić resztę.

— Cóż to za pytanie? Zadziwiasz mnie.

— Powiedz mi, mój drogi, czy ty się starasz o rękę  
panny Izy Zaruckiej?

Jerzy drgnął...

— Przyznam ci się, że się najmniej spodziewałem  
takiego pytania. — Naco ci ta wiadomość?

— Mówiąc ściśle, sytuacja się przedstawia tak: je-  
śli nie starasz się o rękę siostry Andrzeja, to nie mam  
ci nic do zakomunikowania. W przeciwnym razie mam  
ci do powiedzenia, jak myślę, ważne rzeczy.

Czekał z napięciem na odpowiedź.

— Jesteś bardzo tajemniczy. Nie rozumiem, do  
czego prowadzisz. Skoro jednak tak stawiasz sprawę,  
to ci powiem... oczywiście w sekrecie.

— Całą naszą rozmowę bądź łaskaw traktować  
jako prowadzoną pod słowem honoru. Słucham cię.

Ścisnęło go coś za serce.

— Wobec tego, mogę ci powiedzieć, uważam, że jesteśmy tak jak zaręczeni.

— Bądźmy ściśli. Czy zdaniem twojem — panna Iza uważa taksamo?

— Śmieszne jest twoje pytanie. Wyraziłem ci mój pogląd na nasz o b u s t r o n n y stosunek.

— Wobec tego mam ci do zadania pytanie, być może, także śmieszne...

Jerzy patrzył zdziwiony. Poczut jakiś niepokój... Zygmun miał twarz kamienną.

— ... Mianowicie powiedz mi, czy wczoraj wieczorem w loży kina „Stella Maris” — byłeś także z narzeczoną?...

Na twarzy Jerzego wystąpiła łuna. Przez chwilę milczał...

W ogrodzie panowała dziwnie przejmująca cisza.

Wreszcie wybuchnął:

— Poco mnie o to wszystko pytasz? Widzę, że podglądasz mnie. Wkraczasz w moje najbardziej osobiste sprawy. Jakiem prawem? Co cię to obchodzi?

Wyraźnie ogarniała go pasja.

— Myślę, że będzie najlepiej, gdy będziemy rozmawiali spokojnie. Tak będzie niewątpliwie lepiej dla ciebie.

— No, no, jest rzeczywiście wzruszające, jak dbasz o moje sprawy.

— Zaraz ci wyjaśnię, poco się pytam — mówił Zygmunt, jakby nie słysząc poprzedniej uwagi. — Oczywiście byłoby bardziej zrozumiałe, gdyby tę rozmowę przeprowadził z tobą Andrzej. Mam tylko wątpliwości, czy to dogadzałoby ci.

Jerzy poczuł się w potrzasku.

Bawił się nerwowo laską. Na myśl o podobnej rozmowie z Andrzejem Zaruckim poczuł chłód na głowie.

— To jest jedna przyczyna, dla której ja z tobą rozmawiam — ciągnął Zygmunt. Druga — dotycząca

kwestji, dlaczego wogóle o tem z tobą mówię, jest następująca...

— To mnie właśnie najbardziej zajmuje...

— Zaraz się dowiesz. Otóż widzisz, według mnie, — być może, że uznasz, iż jestem zbyt romantyczny, — w samem pojęciu „narzeczeństwo” jest coś wzruszającego; jest to okres, kiedy dwoje ludzi żyje przeczuciem czekającego ich szczęścia. I jest to okres, w którym jeszcze niema rozczarowań, jakie nieraz przynosi życie późniejsze. Dlatego mojem zdaniem narzeczeni zachowują dla siebie wyłączność uczuć, żyją wyłącznie sobą. Tak jest zawsze, jeśli są to ludzie dobrzy, bo człowiek, który wchodzi w kompromis z uczciwością — i z narzeczeństwa potrafi zrobić nędzną komedię.

Słowa Zygmunta padały jak świst bata.

Jerzy cały drżał wewnątrz. Miał uczucie, że jest smagany.

— Żeby ci już powiedzieć wszystko bez reszty — mówił Zygmunt, — to ci jeszcze dodam, że mojem zdaniem panna Iza Zarucka stanowi tak bezcenny dar, że zasługuje w pełni na człowieka zgruntu uczciwego. Skoro powiedziałeś, że jesteście jak zaręczeni, to myślę, że się zgadzasz ze mną w tym ostatnim punkcie. Chciałbym teraz coś usłyszeć od ciebie.

Jerzy starał się całym wysiłkiem opanować rozigrane nerwy, wreszcie częściowo mu się to udało.

— Widzę, że będzie najlepiej, jeśli ci dokładnie opowiem, jak doszło do tego mego wczorajszego niefortunnego spotkania.

Zaciągnął się papierosem.

— ... Było tak. Moja znajomość z tą dziewczyną — to dawna historia. Poznaliśmy się jeszcze, jak byłem sztubakiem. Zrobiła na mnie odrazu duże wrażenie zmysłowe. Jak widzisz, nic nie ukrywam. Zaczęło się od kradzionych pocałunków. Potem żyliśmy ze sobą. Jest to zagadka psychologiczna, ale ja poprostu



przy niej traciłem swój spokój. Żadna inna dziewczyna nie wywierała na mnie takiego wpływu. Szczęsem wrażenie, któremu ulegałem, stało i wszystko się wreszcie skończyło, zwłaszcza, że była pomiędzy nami duża różnica pod względem umysłowym. Łączyły nas tylko zmysły... Nie widziałem jej potem bardzo długi czas, aż wreszcie wczoraj... Idąc przez ulicę, spotkałem ją. Przywitała się ze mną, co miałem robić? Wzięła mnie pod rękę i ogarnął mnie wtedy ten sam dreszcz, którym mnie przedtem tak długo trzymała przy sobie...

Przez chwilę panowało milczenie, które przerwało przelatujące nad ogrodem stado wron swoim przeciągłym: kraa — kraa — kraa.

— Obudził się we mnie zwierzak... Zaproponowała mi pójście do kina i nie miałem siły, by się temu oprzeć. Resztę wiesz. Teraz możesz w to wierzyć lub nie, co ci powiem. Nie wiem, gdzie mieszka, i będę najszczęśliwszy, jeśli jej więcej nigdy nie zobaczę. Opowiedziałem ci wiele rzeczy, o których nikt poza tobą nie wie. Myślę, że to, co ci powiedziałem, wyczerpuje kwestję.

Pochłonięci rozmową nie zauważyli, że się ściemniło.

Zbierały się chmury. Górnemi konarami drzew targnął silny podmuch wiatru.

Zygmunt przez chwilę milczał.

— Nie mam powodu nie wierzyć twojej opowieści. To, coś powiedział, wyczerpuje kwestję o tyle, że dowodzi, że jesteś słabeuszem.

— Niebardzo rozumiem, co chcesz powiedzieć.

— Oznacza to, że uważam ciebie za słabego człowieka. Pomyśleć, że jednego dnia mówisz o miłości takiej wspaniałej dziewczynie jak Iza Zarucka — a na drugi dzień ściskasz jakąś tam dziewczynkę. Wystarczyło, że cię wzięła pod rączkę. Zupełnie jak... Nie warto mówić.

— Powiedziałem ci rzeczywistą prawdę nie dlatego, żebyś ze mnie szydził. Ale charakterystyczne, z jakim ty entuzjazmem wyrażasz się o Izie. Nie mogę nie przyznać, że mi to jest przyjemne. Przychodzi mi tylko na myśl, czy okoliczność, że chodzi o siostrę Andrzeja, jest jedynym powodem twojej rozmowy ze mną...

Zygmunt milczał — tylko odwrócił głowę na stronę, jakby bojąc się, że w jego twarzy może być wyczytana reszta.

— ... Najważniejszą rzeczą — kończył Jerzy — jest to, że nie mogę mieć do ciebie pretensji za tę rozmowę — ze względu na twoje pobudki. Możesz mi jednak wierzyć, że ta nasza rozmowa pozostanie mi na długo w pamięci. No i musisz przyznać, że dość spokojnie tego wysłuchałem. Ale proponuję, żebyśmy stąd już wyszli, bo zaraz zacnie padać! Deszcz tylko wisi.

Zygmunt rozejrzał się po niebie.

— No tak, ale mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

Zauważył zniecierpliwienie na twarzy Jerzego.

— Jeszcze tylko mała chwilka.

Poczem po chwili spytał:

— Powiedz mi, czy możesz mi oświadczyć, — cała rozmowa jest oczywiście tajemnicą pomiędzy nami, — tak jakbyś to mówił do brata Izy, jak korporant korporantowi, że ona nigdy nie będzie dla ciebie jedną z wielu — zabawką?

Gdzieś zdaleka dobiegł przeciągły grzmot...

— To jest moje ostatnie do ciebie pytanie.

Zaczęły padać pierwsze krople deszczu...

Jerzy Lando teraz zrozumiał. Wszak Zygmunt uprzednio powiedział, że Iza to jest bezcenny dar...

— Mogę ci oświadczyć, że nigdy nie będzie dla mnie zabawką.

— Tylko to chciałem wiedzieć. Chodźmy!  
Deszcz padał coraz silniejszy.

Gdy znaleźli się przed Uniwersytetem, Zygmunt spytał:

— Dokąd idziesz?

— Ja do siebie.

— Ja idę w przeciwną stronę.

Podali sobie dłonie, — każdy z nich chciał być teraz sam.

## XXVI.

Minęły dwa tygodnie.

Egzaminy na Uniwersytecie się skończyły. Z pomyslnym wynikiem zdał Szreniawita na trzecim roku prawa, oraz Likowski, który zdobył magisterjum filozofji. Tajemnicą była otoczona sprawa egzaminów Leszka Pliszki. Byli tacy, którzy mówili, że Leszka czekają przykrości przed komisją kontroli studjów.

Spośród korporacyjnej „paczki” wiadano, że nie zdaje Andrzej Zarucki. Pochłaniały go sprawy „Bratniaka”, a nieliczne wolne chwile, któremi rozporządzał, zajmowała mu Zocha.

Siedział teraz przy swem biurku i układał wytyczne dla komisji wakacyjnej, którą wyłonił zarząd do prowadzenia spraw organizacyjnych w czasie miesięcy letnich. Przez uchylone na dziedziniec okno widać było od czasu do czasu przechodzących studentów, w obecnej porze rzadkich na Uniwersytecie gości.

Na podłodze znaczyła się podłużna smuga słoneczna. Zaczynały się już upalne dni. W pokoju jednak dzięki temu, że słońce miało doń dostęp utrudniony, było nieco chłodniej.

Andrzej podniósł na chwilę głowę i spotkał się ze spojrzeniem przechodzącego obok okna studenta, który mu złożył ukłon. Był to Korski. „Piskorz”... z wiecu akademickiego.

Andrzej przypomniał sobie, że przezwisko to usłyszał w relacji Relińskiego z rozmowy w Łazienkach.

Zatem Korski jest tym, który kieruje „akcją” Guđułta. Jego „szef”. Przez twarz Andrzeja przewinął się lekki uśmiech. Dadzą sobie radę z „książką”. Dumnie będzie powiewał w służbie narodowym ideałom sztandar „Gdyni”.

Po chwili odłożył papiery. Zakończył plan prac. Nie ruszył się jednak z miejsca. Zagłębiając się w fotelu patrzył na drgające w smudze słonecznej ledwo dostrzegalne pyłki.

Myślał o swojej Zochnie.

Przykre mu były jej dąsy, ilekroć zmuszony był jej czegoś odmówić powodu nawału zajęć. Ostatnio zaś złożyło się tak, niestety, kilkakrotnie. Zdało mu się, jakby Zocha była w stosunku do niego troszkę inna. Może to jednak tylko jego nadwrażliwość, wywołana przepracowaniem. Trudno mu jednak zapomnieć to, co powiedziała wczoraj...

Byli w Łazienkach. Jeździli łódką po stawie. On wioślował i marzyło mu się porównanie, że tak jak teraz, poprowadzi w życiu ich wspólną łódź, z tą tylko różnicą, że fala, która jego życie nieść będzie, nie będzie taka spokojna.

Zocha była bardzo zamyślona. Po chwili milczenia spytał:

— O czym myśli moja jasna pani?

Odpowiedziała:

— O tem, że nie jestem tak bardzo „jasną panią”.

— Cóż ty opowiadasz, Zochna?

— Ty masz tyle przecież poza mną zainteresowań...

Przez chwilę chciał jej odpowiedzieć, że to co jest przed nią, to nie są zainteresowania, tylko wielka służba. Ale zaraz doszedł do wniosku, że nie należy tego teraz mówić, tylko trzeba ją doprowadzić, by sama zrozumiała, że tak być musi.

Zaczynają się wakacje... Planował sobie, że spędzi je tam, gdzie będzie Zocha. Wtedy blisko przez dwa miesiące byliby ze sobą razem. Cały czas. Niestety, zdaje się, że zrealizować to się nie da. Jego ojciec ostatnio bardzo zapadł na zdrowiu. Z polecenia lekarzy ma spędzić lato w Zakopanem. I dał mu już do zrozumienia, że chce, aby byli razem... Nie będzie mu mógł odmówić.

Przerwało jego myśli szybkie szarpnięcie drzwi.

Był to Likowski.

— Jak się masz, Andrzej. Czy nie przeszkadzam? Byłem w sekretarjacie odebrać dyplom i pomyślałem, że trzeba zajrzeć, czy ciebie niema. Pojutrze wyjeżdżam.

— Zacnie, żeś przyszedł. Pokaż mi na papierze swoje magisterjum.

„Historyk” podał niewielki rulonik papieru.

— Zwyczajny dyplom „chlebowy”. Niema nawet podpisu rektora.

— A dokądże jedziesz, Wydrwidąbek?

— Jak zawsze na Hel. Morze, gorący piasek, kobiety...

— ...niemniej gorące.

— Żebyś wiedział, że tak. Ty sobie zawsze pokpiwasz z mego stosunku do kobiet...

— ...jest takich więcej.

— Powiedzmy. Ale mnie z tem dobrze. No, ale może wyszlibyśmy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Po chwili opuścili lokal „Bratniaka”.

Na dziedzińcu nie spotkali nikogo. Likowski szeroko rozprężył ramiona.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszę spowodu wyjazdu na Hel.

— Przyznaj się; masz tam jakiś „magnes”, który cię ciągnie?

— Jak cię Kocham, żadnego. Ale muszę ci powiedzieć, że spotkałem parę dni temu Błońskiego. Mina

jak z komina. Pytam go, „co ci jest?” Powiedział, że ma jakieś niedomagania. Ale to blaga.

— A ty co przypuszczasz?

— Myślę, że przyszła „kryśka” na „Matyska”. Pewno „wpadł”. Ma ochotę, a nie może i wzdycha lub... boi się. Taki „filozof”, jak się zakocha, to rozpacz. Nie śmieję się, to szczerą prawdą. Zresztą ty jesteś z typu podobny do Błońskiego. Masz w sobie tylko więcej życia. Ale jak wpadniesz, to napewno będziesz w sobie wmawiał: tylko ta, tylko ta. A ze mną jest ta różnica, że sobie nucę: „i ta — i ta — i ta”. No, ale widzę mój tramwaj, więc cię ściskam. Pozdrów ode mnie Tatry, słyszałem, że tam jedziesz.

Już ze stopnia wagonu zawołał:

— I tam bywa dobrze...

Andrzej skinął mu ręką na dowidzenia. Dosyć lubił Likowskiego. Ale jedno pewne, że nie chciałby w nim widzieć szwagra.

Gdy przyszedł do domu, doktor wziął go pod ramię i zaprowadził do swego gabinetu.

— Chciałem, mój drogi, napewno wiedzieć, czy pojedziesz ze mną do Zakopanego. Z tobą będzie mi najlepiej. A i tobie tam pobyt nie zaszkodzi.

— Jeśli potrzeba, to niema mowy: pojedę. Jutro wyjeżdżam na trzy dni do Poznania na konferencję ogólnopolską prezesów „Bratnich Pomocy”. Potem mogę jechać.

— Powiedziałeś „jeśli potrzeba”. Czy już miałeś przedtem jakie plany?

— Tak, ale to jeszcze niezupełnie sprecyzowane.

Doktor, zostawszy sam, pokiwał głową.

— Planu... niesprecyzowane.

W ostatnich czasach troszkę się domyślał, że jego syn jest zajęty nie tylko sprawami „Bratniej Pomocy”. Wieczór, spędzony przez Andrzeja w domu, należał do wyjątków. Nigdy jednak nie zadawał w tym kierunku

żadnych pytań. Było mu teraz przykro, że może staje wpoprzek zamiarom wakacyjnym jedynaka. Pociecha w tem była, że pobyt w Zakopanem będzie niewątpliwie z korzyścią dla zdrowia Andrzeja.

Przed godziną szóstą popołudniu Andrzej udał się do Lachowiczów. Umówił się na tę porę z Zochą.

Zastanawiał się nad tem, jak przyjmie wiadomość, że wyjeżdża z ojcem na lato. Jedno pewne, że nie układało mu się to wszystko zbyt fortunnie. Bardzo wielką wagę przywiązywał do spędzenia wakacji w tem samem miejscu, co Zocha. Gdyby nigdzie nie wyjeżdżała, zostałby również w Warszawie. Słyszał, jak raz pani Lachowiczowa mówiła o projekcie wyjazdu do Jastrzębiej Góry.

Było parę minut po szóstej, gdy nacisnął dzwonek do mieszkania Lachowiczów. Dziwna rzecz. Tak wiele razy już tu był, a zawsze gdy przychodził, — uczuwał, że mu szybciej bije serce.

Przypomniały mu się słowa Likowskiego: „tylko — ta, tylko — ta”.

Uchyliła mu drzwi służąca Marysia.

— Niema panienki w domu, proszę pana.

Stała wyczekująco na korytarzu.

— A nie mówiła panna Zofja, kiedy wróci?

— Nie, proszę pana. Wyszła przed niecałą godziną.

— A panny Krysi też niema?

— Nikogo niema, proszę pana.

— Niech Marysia powie, że byłem o godzinie szóstej.

— Dobrze, proszę pana.

Schodził wolnym, ciężkim krokiem po schodach. Mógłby kto pomyśleć, że stara się zapamiętać szczegóły okiennych witraży, przez które sączyło się przyćmione światło.

Wszak umówili się dokładnie na godzinę szóstą.

Wyszła, nie zostawiwszy dla niego ani słowa. W domu nie było nikogo. Coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze ani razu.

Co ma o tem wszystkim myśleć?

Peten niepokoju szedł przez ulicę bez określonego celu. W złym kierunku wyminął starszego jegomościa, na skutek czego zderzyli się.

— Taki młody człowiek i nie umie chodzić — posłyszał uwagę.

Uchyleniem kapelusza przeprosił starszego pana.

Przyszło mu na myśl, że może nagle zaszło coś takiego, o czem Zocha nie uważała za właściwe mówić służącej, a w pośpiechu nie zdążyła napisać.

Niewątpliwie tak. Wieczorem zatelefonuje i wszystko się z pewnością wyjaśni.

Spojrzał raźniej na świat.

Postanowił wpaść do Kazika Szreniawity. Zauważwszy na drzwiach sklepu tabliczkę z napisem „telefon czynny”, postanowił uprzednio zadzwonić. Był to rodzaj małej cukierenki, gdzie sprzedawano również zwykłe pieczywo. Przypomniat sobie z całą wyrazistością, jak z podobnego sklepu telefonował w dniu wyścigów do Lachowiczów.

Wtedy pierwszy raz się zdarzyło, że Zocha zrobiła mu zawód.

Po chwili usłyszał głos Kazika:

— Andrzej! Doskonale, że jesteś. Przychodź, brak nam czwartego do „bridge’a”.

U Szreniawity zastał Błońskiego i Zbyszewskiego z „Sokolji”. Radośnie go powitali.

— Spełniliście, kolego, dobry uczynek, przychodząc do nas — mówił Zbyszewski. — Grać w trójkę z „dziedem”, to lepiej tłuc kamienie.

„Dyplomata” uśmiechnął się.

— A w was przemawia ciągle ex-harcercz. Wszak to skauci mówią „codziennie jeden dobry uczynek”?



— Siadajcie lepiej z nami do roboty. Przedtem czekaliśmy na czwartego, a teraz na gospodarza.

Szreniawita z czeluści kredensu wy dostał butelkę to-  
kaju i postawił kieliszki.

— Już jestem do waszej dyspozycji. Chciałem również spełnić dobry uczynek. Wychylmy „kwanta” na pomyślność wakacyj.

Stuknęli się kieliszkami.

— Tylko uprzedzam, że kolacji nie dostaniecie — powiedział Kazik. — U mnie jak na kawalerce. Mo-  
żecie grać, dopóki wam sił starczy.

W grze fortuna sprzyjała Błońskiemu.

Była godzina dziewiąta, gdy Zygmunt oświadczył:

— Żebyście znali mój gest, to zapraszam was te-  
raz na „mózg” do „Europy”.

— Ja i tak dłużej nie mógłbym grać — rzekł Andrzej.

— No, ale na „mózg” pójdziesz?

— Dobrze, ale nie będziecie mieli pretensji, że zaraz potem wyjdę. Jutro rano wyjeżdżam do Po-  
znania.

Do „Europy” było niedaleko z mieszkania Szreniawity. Toteż po niedługiej chwili wchodzili do wielkiej kawiarni. Skierowali się na taras, gdyż sala wydawała im się zbyt duszna.

Dochodziły ich trochę przytłumione dźwięki orkie-  
stry, która grała „fantazję” z „Księżniczki czardasza”.

Z trudem przeciskali się między rzędami stolików.

Do Andrzeja dobiegły od jednego ze stolików, które mijał — słowa nuconej cichutko w takt muzyki piosenki:

„Wszystkie zmysły nucą we mnie — Kochaj mnie.  
Wiernie, stale i wzajemnie — Kochaj mnie.”

Już zajmowali miejsca przy stole, wskazanym przez kelnera, — gdy usłyszał znajomy głos:

— Panie Andrzeju!

Odwrócił się. Była to Rajnerowa. Zapraszała go gestem do swego stolika. Przeprosił na chwilę kolegów.

— Bardzo panią opaliło południowe słońce — witał się.

— Najważniejsze, że o wiele lepiej się czuję. Pewno panu wiadomo, jakie miałam przykrości.

— Tak, proszę pani.

Miała na sobie czarny kostjum — jedyną oznakę żałoby.

— Jakże pani spędziła czas w Wenecji? Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł tam corocznie być tydzień. Moje najpiękniejsze wspomnienie, to widok późnym wieczorem od strony morza na Pałac Dożów... Wygląda jak jedna bajka.

— Mieszkałam na Lido, a popołudniu lub wieczorem byłam codziennie w mieście. Kupiłam sobie trochę ładnych drobiazgów. Proszę popatrzeć.

Wyciągnęła rękę, która na przegubie była skuta bransoletą pięknej weneckiej roboty.

— No, ale teraz niech mi pan powie, co u pana słychać? Wyjeżdża pan gdzie?...

Przez chwilę się zamyśliła.

— ...Powinien pan wyjechać.

Ustyszał trochę głośniejsze jej ostatnie słowa, bo muzyka przestała grać.

— Niestety, moje plany wakacyjne nie składają się tak, jakbym chciał. Muszę z ojcem wyjechać do Zakopanego.

— Ach tak...

— Przyznam się pani, że jestem trochę niespokojny, czy nie stało się co dzisiaj u państwa Lachowiczów. Umówiliśmy się z panną Zofją na godzinę szóstą. Tymczasem w domu nikogo nie zastałem.

Popatrzyła na niego przez zmrużone powieki.

— Myślę, że nic... A właściwie jestem pewna, że nic.

Obejrzała się w podręcznym lusterku i przypudrowała twarz.

— Coś panu powiem, panie Andrzeju. Będzie to dla pana bardzo przykre...

Andrzej poczuł, że mu zasycha w gardle.

— Słucham panią.

Mówiła jakby do siebie, nie patrząc na niego.

— Tak myślę, że będzie lepiej, jak pan to usłyszysz ode mnie. Zocha, proszę pana, jest, mówiąc szczerze, panem znudzona. Rozumiem, że to bardzo przykro słyszeć tak zakochanemu jak pan. Ale tak jest.

Przez chwilę zdawało mu się, że zakotłowały się wielkie światła na sali.

Zdołał tylko powiedzieć:

— Słucham panią dalej.

— Widzi pan. Pomiędzy Zochą i mną niema tajemnic. Toteż wiem wszystko. Powiedziała mi między innymi, że doprowadził pan do tego, że wszyscy jej znajomi przestali bywać. A jej to nie dogadza. No... no... niech się pan uspokoi.

Po chwili dodała:

— ...To proszę pana zwykła rzecz. Najprzykřejsza jest ostatnia rozmowa. Będzie lepiej, jeśli jej unikniecie. Gdy wyschnie źródło uczucia, to nic już go nie wzniesi. Tylko nie trzeba tragizować. Niech pan mi wierzy...

Andrzej nie uważał za właściwe przeciągać rozmowy.

— Tylko spokojnie, panie Andrzeju — powiedziała mu na pożegnanie.

Podszedł do stolika, zajmowanego przez kolegów.

— Musisz, Zygmunt, mi wybaczyć i koledzy też, ale muszę iść. Coś mi jest...

Błoński zaniepokojonem spojrzeniem odprowadził sylwetkę Andrzeja. Widział, jak wsiadał do dorożki.

„Zocha jest panem znudzona“, „jest panem znudzona“.

Andrzejowi ciągle w uszach brzmiały te słowa.

Łomotało mu w skroniach. Pragnął, by go owiał chłód wieczornego powietrza. Zdjął z głowy dekiel korporacyjny.

Tępy m wzrokiem patrzył na ulice. Miał przytłumione zrozumienie tego wszystkiego, co widział.

Nie zorientował się, kiedy dojechał do swego domu. Płacił właśnie należność dorożkarzowi, gdy wzrok jego padł na małe sportowe „torpedo”, nadjeżdżające z przeciwnego wylotu ulicy Brackiej. Przykuł jego spojrzenie znany mu dobrze jasnopopielaty szal pasażerki.

Nie mylił się. Gdy samochód go mijają, zobaczył z całą wyrazistością prześliczny profil Zochy. Miała przed sobą wielką naręcz kwiatów. Zobaczył również jej towarzysza.

Był to Rzęsa — ten, któremu dawał rekomendację na posadę.

Widocznie wracali z jakiejś zamiejskiej wycieczki.

Po chwili „torpedo” zniknęło wśród innych pojazdów

Andrzej zdrętwiały stał na ulicy.

Jak to powiedziała Rajnerowa? „Przez pana przestali bywać jej wszyscy znajomi — a jej to nie dogadza”.

W głowie miał szum. Przyszedłszy do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz i padł na tapczan, zasłany jak do spania.

Jak długo tak bezwładnie leżał, nie zdawał sobie sprawy.

Nagle jak światełko w ciemności zrodziła mu się w mózgu myśl.

— Może to wszystko nieprawda!

Ale jeszcze prędzej zgasła. Przecież Rajnerowa wie, że może w każdej chwili sprawdzić. Nie popełniłaby takiego głupstwa. A Zocha? Pójdzie i spyta

jej, dlaczego nie powiedziała mu tego wprost. Może jednak usłyszeć, że chciała mu zaoszczędzić tej rozmowy. Tak, napewno tak. Więc poco?

Podszedł do biurka i wyjął z szuflady gabinetową fotografię Zochy.

Nie spał tej nocy.

Już świtało, gdy wziął w rękę teczkę, na której widniał napis: „Materiały na konferencję prezesów „Bratnich Pomocy“.

## XXVII.

W tydzień później doktor Zarucki i Andrzej wyjeżdżali do Zakopanego. Odprowadzała ich pani Amelja z Izą, które na drugi dzień udać się miały do Gdyni, a następnie w podróż na fiordy.

W ostatniej chwili zjawił się na stacji Jerzy Lando, co trochę zdziwiło Andrzeja, gdyż nie powiadamiał go o dacie wyjazdu.

Gdy pociąg ruszył, Andrzej stał długo w oknie, patrząc na oddalające się mury Warszawy.

Ziemia szybko uciekała spod kół wagonowych.

Zostawiał tutaj swoje marzenia, swoje niezapomniane szczęsne dni...

Po powrocie z Poznania nie otrzymał żadnej wiadomości, ani listu, ani telefonu. A tak ciągle się łudził!

Osie wagonu wystukiwały monotonną piosenkę:

— Coraz dalej — coraz dalej — coraz dalej.

Przypomniał sobie ten dzień, gdy mówił Zygmuntowi o swoich obawach, że za wiele szczęścia jest jego udziałem.

Minęło jak złoty sen.

Wtedy to Zygmunt cytował mu słowa starego Rajeckiego: „Pan Zarucki — to wasz prawdziwy książę niezłomny“.

Usta mu się skrzywiły bolesnym uśmiechem.

Wtem usłyszał głos ojca, czytającego gazetę:

— Słuchaj, Andrzej. Coś ci przeczytam. Gdybym nie wiedział, że u twego przyjaciela chuda fara, pomyślałbym, że to on... W dziale „ofiar” ogłoszenie: „Zygmunt Bł. złożył zł. 100 na „Daninę Akademicką na fortyfikacje zachodnie” i zł. 150 na najuboższych — razem zł. 250”.

— Ciekawe — rzekł Andrzej.

Koła wagonowe wystukiwały mu bez przerwy:

— Coraz dalej — coraz dalej...

Pociąg szybko połykał przestrzeń.

C Z Ę Ś Ć D R U G A  
• C E L Ż Y C I A •





I.

Andrzej Zarucki już zgórą dwa miesiące przebywał wraz z ojcem w Zakopanem.

Dobiegał koniec sierpnia. Doktor, którego stan zdrowia uległ wybitnej poprawie, planował pobyt przeciągnąć do połowy września.

Andrzejowi też się nie spieszyło...

Ferje akademickie trwają przecież do października. Komisja wakacyjna „Bratniaka” miała zlecone urzędowanie do dwudziestego września.

Pocóż więc wracać?

Tutaj w Zakopanem, chociaż możliwie się starał wypełnić sobie każdy dzień — dźwięczała w nim bolesna nuta wspomnienia po wszystkich chwilach przeżytych z Lachowiczówną.

Wszystko wydawało się takie świeże, jakby się stało najdalej w zeszłym tygodniu.

Odbывał bardzo często długie, samotne spacerunki. Analizował wtedy szczegółowo wszystkie przemiany, które zachodziły pomiędzy nim i Zochą.

Niejednokrotnie zadawał sobie pytanie, czy nie było jakiej jego winy w tem, że wszystko się skończyło.

Odpowiedź stała wypadła mu jedna: jeśli był winien, to tylko tego, że miał taki a nie inny pogląd na świat.

Najczęściej stawało mu w pamięci ich ostatnie widzenie się. Brzmiały mu w uszach jej słowa: „ty masz

tyle zainteresowań poza mną". Jeśli w tem zdaniu tkwiła istotna przyczyna, że się wszystko skończyło, — to znaczy, że się tak stać musiało, a zatem zimny wniosek: lepiej wcześniej niż później...

Ale temu chłodnemu rozumowaniu towarzyszył zawsze dziwny wewnętrzny ból, jakaś nieogarnięta tęsknota nerwów.

Miał przecież tę dziewczynę we krwi. Brak mu jej było...

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Andrzej powracał do domu z jednej ze swych samotnych, górskich przechadzek.

Mieszkali w pensjonacie „Grań” przy ulicy Sienkiewicza.

Było rojno i gwarno na trotuarach. Niejednokrotnie spotykał po drodze roześmiane grupy wycieczkowiczów z długimi kijami, obarczonych plecakami, — zadowolonych z dnia dzisiejszego. Przyszło mu na myśl, coby było, gdyby tak nagle z grona przechodniów wychyliła mu się na vis à vis postać Zochy? — Czy możliwe, żeby przeszli obok siebie obojętnie?

I w tym momencie uświadomił sobie po raz pierwszy, że gdy wróci do Warszawy, to prawie pewne, że nastąpi kiedyś i gdzieś ich „spotkanie”. Miała się przecież przenieść z nowym rokiem akademickim na wydział filozoficzny; jeśli ten zamiar spełni, to wcześniej czy później spotkają się na Uniwersytecie. A właściwie nie spotkają, tylko zobaczą.

Dochodząc do „Grani”, zauważył Andrzej zdaleka sylwetkę ojca siedzącego na werandzie.

Była ostatnia chwila przedwieczorna... Obłoki paliły się na niebie czerwienią słońca, które się przed chwilą ukryło. Promienie słoneczne snuty różową jasnością na szczytach gór, by za chwilę zniknąć.

W powietrzu ponowała dziwna, znamionująca tę porę cisza, rozlewająca dokota jakąś stodycz — urok zbliżającego się pogodnego wieczoru w górach.

Z tarasu, gdzie siedział doktor, rozciągała się piękna panorama Tatr. Był zajęty czytaniem popołudniowej korespondencji. Na twarzy jego malowało się zaszępienie. Gdy wszedł Andrzej, zwrócił się do niego:

— Jest list od matki, który mnie trochę zmartwił. Píše, że Iza w ostatnich dniach zmieniła się w oczach na twarzy, i że cierpi na bardzo silne bóle głowy. A ostatnio mieliśmy wiadomości, że obie czują się doskonale. Przyznam ci się, że boję się jakiejś choroby.

— Czy Iza leży w łóżku?

— O tem mama nie pisze.

— No, to chyba niema się czem specjalnie przejmować. Do mnie nic nie przyszło? — spytał Andrzej.

— Owszem. Pokwitowałem odbiór listu poleczonego. Leży wraz z gazetami. Możesz je teraz zabrać, bo ja nie jestem usposobiony do czytania.

Miał głowę pełną niepokoju o Izę. W jego wyobraźni lekarskiej przewijały się wszelkie możliwości. Nie przyznał się do tego Andrzejowi, ale właściwie po otrzymanym liście miał chęć wracać do Warszawy.

Tymczasem Andrzej rozrywał szybko kopertę. Po zygzakowatych literach, przypominających esy i floresy, poznał odrazu charakter pisma Szreniawity.

Kazik pisał:

„Kochany Andrzeju! Bardzo Cię przepraszam, że Ci zakłócę chwilę zasłużonego odpoczynku, ale uważam, że będzie lepiej, jeśli się dowiesz jaknajprędzej o „występie”, na jaki sobie pozwolił Jerzy Lando, stwarzając sytuację bardzo drażliwą dla korporacji. — Przedstawiam Ci poniżej w najkrótszy sposób to, co się stało. Przed kilkoma dniami Lando został zaproszony do jednego ze swych szkolnych przyjaciół na „wstawę”. Były niestety także „dziewczynki”. Bawiono się do późnego wieczora. Wszyscy byli „podgazowani”. Gdy opuszczali „gościnny” lokal przyjaciela, — Lando „przypomniał” sobie, że na tenże wieczór zaprosił go do siebie na przyjęcie filister Ciołek, zaznaczając, że

prawdopodobnie będą tańczyć. Ni mniej ni więcej tylko o północy pojechał do Ciołka w towarzystwie jednej z „dziewczynek”. Ciołek wporę się zorientował, że spóźnieni goście są kompletnie pijani, i wyprawił ich, niemniej to, co się stało, nie uszło uwagi zebranych gości i pani domu, która jest oburzona, że korporant ośmielił się przyjść do jej mieszkania pijany i do tego z „towarzyszką”. Z tego, co Ci napisałem, możesz sobie zdać sprawę z całej skandaliczności sytuacji.

Osobiście uważam, że będziemy musieli się rozstać z Lando. Na drugi dzień po opisanych wypadkach zjawił się u mnie Ciołek. Nie mogłem mu odmówić słuszności, że został obrażony jego dom. Wyraziłem jednak pogląd, że wytaczanie sprawy honorowej osobie, która działała po pijanemu, jest niewłaściwe, i zapewniłem go ze swej strony, że korporacja mu udzieli wystarczającej satysfakcji. Złożył na moje ręce pismo z oskarżeniem Landy. Muszę Ci dodać, że w dniu dzisiejszym zjawił się u mnie Lando i doręczył mi „samozaskarżenie się”. Trudno mi było powstrzymać się od ironicznego uśmiechu, choć robił wrażenie zupełnie złamanego.

Uważam, że byłoby dobrze, gdybyś mógł wcześniej przyjechać do Warszawy ze względu na to, że jesteś przewodniczącym wydziału sądowego. Na wypadek, gdybyś był zdania, że sprawa kwalifikuje się do rozpatrzenia przez koło sądowe, — zaznaczam, że sprawdziłem przebywanie w Warszawie dostatecznej ilości barwiarzy dla „quorum”. Wydaje mi się, że im sprawa będzie wcześniej załatwiona, tem lepiej. Należy się to Ciołkowi.

Gdybyś mógł przyspieszyć swój przyjazd, byłbym Ci bardzo wdzięczny za zawiadomienie mnie o tem.

Jeszcze raz serdecznie Cię przepraszam za wysłanie niniejszego listu, ale uważałem, że wszystkie względy przemawiały za tem, aby Cię jaknajśpieszniej poinformować.

Twój szczerze Ci oddany Kazik”

Andrzej zeszedł po schodach na przylegającą do willi polanę i usiadł na ławeczce.

Jeszcze raz przeczytał list Szreniawity.

„...Wszystkie względy przemawiały za tem...” Było jasne, że Kazik zdawał sobie sprawę z faktu, iż Lando „asystował” Izie. Nietrudno było to zauważyć. Ale jak to traktowała Iza?

Z tego Andrzej nie zdawał sobie sprawy dokładnie... Czy mu sprzyjała?

Jeśli tak, to cała sprawa będzie dla niej ciosem.

Takie myśli kłębiły się teraz w mózgu Andrzeja.

Sprawa Landy dla niego nie istniała. Rozstrzygnął ją po pierwszym przeczytaniu listu. Myśl jego była skierowana w kierunku tego, co mogło być zawarte w słowach „wszystkie względy”.

Nagle doznał czegoś w rodzaju „olśnienia”. Przypomniał sobie chwilę wyjazdu z Warszawy. Przecież na dworcu poza matką i Izą był tylko Jerzy Lando.

I teraz ten list matki!... Miał uczucie, że wszystko się staje dla niego jasne.

Biedna Iza...

Pomyślał, że los boleśnie zdrwił z pierwszego uczucia i jego i siostry.

O niego mniejsza.

Wstał, bo od ziemi zaczął ciągnąć wieczorny chłód.

Co mu należało czynić? Jeśli tak radzi Kazik, który napewno najlepiej orientuje się w sytuacji, to znaczy, że należy jechać.

Na zachodzie gasta już tona słoneczna. Szczyty gór przybierały siną barwę, odcinając się wyrazistym rysunkiem na liljowym tle nieba. Na drzewach, witając zbliżający się zmrok, lekkim drżeniem szeptały liście.

Nagle ciszę, otaczającą Andrzeja i bieg jego myśli, przerwał „gong” pensjonatu, wzywający na kolację.

Andrzej wrócił na werandę. Doktor w pokoju szykował się do pójścia na „table d’hôte”.

Zwrócił się do ojca:

— Tak się składa, niestety, że muszę jutro wracać do Warszawy. Otrzymałem list, że jestem potrzebny.

— Co powiesz? A to ja jadę z tobą. Pomyślałem sobie właśnie dzisiaj, że byłoby już dobrze wrócić. Zrobimy w domu niespodziankę.

Twarz mu się rozjaśniła uśmiechem.

Wieczorem Andrzej wysłał do Kazika Szreniawity telegram, zapowiadający swój przyjazd.

Na drugi dzień rano obaj Zaruccy opuścili Zakopane.

## II.

Iza dowiedziała się o skandalu Jerzego nazajutrz po przyjęciu u doktorostwa Ciołków. Jedną z jej koleżanek szkolnych Mada Zańska była kuzynką żony Ciołka i była na przyjęciu. A że dziewczęta mają szczególny dar orientacji w „sympatjach” swoich przyjaciółek, nawet gdy te sprawy są osłonięte trochę tajemnicą, — więc Mada wiedziała, że Iza conajmniej interesuje się osobą Jerzego. Nazajutrz popołudniu zjawiła się u Izy, aby powitać koleżankę po ferjach letnich. Gdy wyczerpały już wszystkie tematy, a nawet dokładnie sprawdziły posiadane informacje, jakie dokumenty potrzeba złożyć przy wstąpieniu na Uniwersytet, — tuż przed wyjściem Mada opowiedziała o swojej bytności u państwa Ciołków i niby niechcący dodała o zabawnym zjawieniu się zapóźnionych gości.

— Wyobraź sobie moje zdziwienie — mówiła — gdy znajdując się w saloniku tuż przy wejściu do hallu zobaczyłam wchodzącego pana Lando — raz go tutaj u ciebie spotkałam — w towarzystwie niewiasty. Oczy miał jakieś dziwnie błędne, a włosy mu tak zabawnie zsunęły się na czoło, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Było widoczne, że on i jego towarzyszką są w bardzo wesołych nastrojach. Szczę-

śliwie dr. Ciołek znajdował się tuż obok — toteż oboje skierował do sąsiedniego pokoju, poczem, o ile mi wiadomo, odprowadził ich do taksówki. Jakie były ich dalsze losy, oczywiście nie wiem. Nie masz pojęcia, jaki to był zabawny widok, gdy weszli. Początkowo zapanowała krótko konsternacja, ale potem nikt o tem nie wspominał. Podziwiałam pana domu, jak wszystko zgrabnie załatwił.

Wyrzuciwszy możliwie szybko te wszystkie słowa, Mada ucałowała przyjaciółkę, zostawiając ją pod wrażeniem zastyszanych wiadomości.

Iza dokonała wielkiego wysiłku, by nie zdradzić się, że to, co słyszy, głęboko ją dotyka. Po wyjściu Mady miała uczucie, jakby się coś głęboko w niej załamało. Jakby nawet usłyszała jakiś suchy trzask. Nie — to tylko jej skronie tak pulsowały.

Jeszcze po swoim powrocie nie widziała się z Jerzym.

W czasie jej pobytu nad morzem często z sobą korespondowali. Zawsze ją nazywał „swoją piosenką”.

Przywykła już do takich nagłówków w jego listach, chowanych skrętnie.

I przed bytnością Mady tak się cieszyła, że niedługo zobaczy chłopca. Właśnie miał wkrótce wrócić po bytności na wsi u ciotki hr. Przemskiej.

Jak się też dowiedziała... wrócił istotnie...

Usiadła przy swoim biureczku i pochyliła głowę na skrzyżowanych rękach. Długo tak siedziała zapałzona w nieokreślony punkt.

Zaczęło się przed nią zarysowywać z przeraźliwą wyrazistością to, co opowiadała Mada Zańska.

„Nie masz pojęcia, jakie to było zabawne”...

I to był jej Jerzy z jakąś tam...

W świetle tego, co usłyszała, zarysowała się przed nią jego sylwetka, ale jakaś daleka... obca...

Ona przecież „szuka” kogoś zupełnie i n n e g o.

Jak to on był zwykły do niej mawiać? Aha — „moja piosenka”. Zaczęła uczuwać bardzo silny ból głowy, jakby kto twardą raniącą obręczą uciskał jej skroń. I wolno, wolniutko przychodziło do jej mózgu straszliwe rozjaśnienie, że oto rozwiały się jej marzenia o czemś, co zdawało się być tak bardzo różnecznione, że czyniło życie bogatym w cudne barwy.

Na dłoń opadła jej maleńka łza.

Drrrr... rozległ się w gabinecie doktora dzwonek telefoniczny.

Usłyszała jak służąca odbierała telefon.

Po chwili nastąpiło lekkie stuknięcie do drzwi.

— Proszę.

Uchyliły się drzwi.

— Telefon do panienki.

Iza wstała, poprawiając sobie z przyzwyczajenia włosy, spadające niesfornie na czoło.

Podniosła słuchawkę:

— Hallo!

— Czy to panna Iza?

Był to głos Jerzego Lando. Zadrżało w niej wszystko i nawet nie chcąc przerwała połączenie.

Po chwili telefon zadzwięczał ponownie.

— Hallo? — zapytała suchym, jakby zmienionym głosem.

— Czy można mówić z panną Izą?

— Jestem przy telefonie — odpowiedziała z trudem.

— Tutaj Jerzy — dziwne, że nie poznaliśmy się po głosie. Ręce całuję.

— Aaa... to pan. Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że pan był wczoraj u doktora Ciotka?

Głos jej leciutko drżał.

Po chwilowem milczeniu usłyszała:

— To pani już wie...

W tym momencie wypadła jej z ręki słuchawka.



A choć słuchawka spadła na widełki, telefon już milczał.

Gdy wróciła do swego pokoju, zaniosta się długim, cichym płaczem.

Tak zęgnęła swoje pierwsze... z ł u d z e n i e.

W kilka dni później, w krótką chwilę po swym powrocie, znalazł się Andrzej w pokoju siostry.

Zauważył w niej jakąś zmianę, coś, czego przedtem nie było.

Pomyślał sobie, że zrobiła się jakby bardziej do-  
rosła.

Usiadł na swym ulubionym fotelu w kącie pokoju. Rozglądał się jak ktoś, co wita na nowo dawno niewidziane miejsca, albo będąc zakłopotany, chce zyskać na czasie.

— Słuchaj, Izuchno — rzekł patrząc na siostrę, — wybaczn, że ci zrobię przykrość, przynajmniej tak mi się zdaje, że to będzie przykrość; jeśli nie — tem lepiej. Jerzy Lando ma w korporacji ciężką, powiedzmy otwarcie, kompromitującą sprawę. Uważałem, że będzie lepiej, jeżeli się o tem dowiesz ode mnie.

Położyła mu rękę na ramieniu:

— Mam do ciebie wielką prośbę, Andrzejku; nie rozmawiajmy n i g d y ze sobą o panu Jerzym Lando. Żeby do tej sprawy nie wracać, to dodam, że wiem, o czem mi chciaeś powiedzieć. Wystarczy, że ci powiem, że na przyjęciu u Ciołków była moja koleżanka, która mi wszystko barwnie opowiedziała... Aż nadto barwnie.

— Jeśli już wszystko wiesz, to i lepiej.

I pomyślał w tym momencie, iż dzisiaj się dowiedział o tem, że Iza to naprawdę jego siostra.

Po rozmowie z Izą Andrzej udał się do kawiarni „Senackiej”. Wychylając się ponad kotarę, którą była przestłonięta wielka szyba od ulicy, ujrzał, że przy

stoliku szambelana Kazimirskiego było wyjątkowo pełno. Gdy wszedł do kawiarni, pan Lech wstał na powitanie. Witął go ze zwykłym wyłaniem:

— Jak się masz, kochany Andrzeju. Bardzo, bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Z naszego grona nie znasz pana pułkownika.

To mówiąc, szambelan dokonał prezentacji:

— Pan Zarucki — pułkownik Zbarazki.

Pułkownik wstał na powitanie. Był to wielki, ogorzały mężczyzna. Ubrany był po cywilnemu.

Pozostałymi gośćmi przy stoliku Kazimirskiego byli: Zygmunt Błoński, Pokojski, Zbyszewski i Delfi. Na wszystkich było znać silną opaleniznę z wyjątkiem Błońskiego, który całe lato spędził w Warszawie.

Gdy wszyscy się już dostatecznie na powitanie wyściskali odezwał się szambelan:

— Szczerniałeś, Andrzeju, na twarzy — zresztą jak my wszyscy, nie można jednak powiedzieć, żebyś przytył, a toby się przydało szanownemu i kochanemu prezesowi. Nie wiem, czy wiesz — tu zwrócił się do pułkownika — że pan Zarucki — to właśnie ten znany przywódca studentów. Panno Wisiu — zatrzymał przechodzącą panienkę — mamy przy stoliku nowego gościa.

— Poproszę tylko o herbatę — odezwał się Andrzej.

Był po kolacji, a potem przeczuwał, że szambelan swoim gościom „stawia”, i nie chciał obciążać jego kieszeni, która i tak często była zagrożona pustką. Było to tajemnicą poliszynela, ale pomimo to nikt nie śmiał odmówić zaproszeniom pana Lecha, gdy gości przy „swym” stoliku częstował, pan Lech poczułby się bowiem obrażony.

Może w ten minjaturowy sposób stary szambelan przypominał sobie swoje dawne pańskie gesty.

Był teraz w świetnym humorze, bo dobrze czuł się wśród młodych. Oczywiście musiał snuć dykteryjki.

— Muszę wam opowiedzieć jedną prawdziwą historję o naszym znajomym, nomina sunt odiosa, który bawił tego lata w Paryżu, a ponieważ szwankował w języku francuskim, kupił sobie broszurkę p. t. „300 słów po francusku”, wyczytał tam, że „woda gorąca” nazywa się „l'eau chaude”. Otóż kiedyś w kawiarni dostał za mało wody w stosunku do esencji: postanowił zażądać wody gorącej: wystawcie sobie, moi drodzy, że przestawił kolejność słów, i mówi „szo-lo” „szo-lo”. Kelner go ani w ząb nie może zrozumieć, wreszcie „de la Chambre”, który siedział niedaleko, objaśnił kelnera.

Pokojski gładził się nerwowo po zlekka potyskującej tysinie i wpatrywał się w pana Lecha, jakby oczekując, co ten dalej powie. On to bowiem sam prosił o „szo-lo”. Na szczęście dalsze opowiadanie pana Lecha przerwało nadejście Szreniawity.

Pan Lech witał równie serdecznie Kazika jak uprzednio Andrzeja. Kazik po przywitaniu zwrócił się do Andrzeja, kładąc mu dłoń na ramieniu:

— Znów jesteśmy w kupie. To i dobrze. Czy Zygmunt zdążył się już pochwalić przed tobą?

— Czem?

— Od tygodnia jest aplikantem sądowym i już siedzi na sesjach.

Okazało się, że Błoński nic o tem nikomu nie wspominał. Zasypano go teraz pytaniami.

— Jakież wrażenia, kolego Zygmuncie? — spytał Zbyszewski — opowiedzcie nam cośniecoś.

— Jak tam żydki? — dorzucił Andrzej.

— Widzę, że trzeba rzeczywiście opowiedzieć. Jeśli chodzi o żydków, to przez ten tydzień wśród sędziów nie spotkałem żadnego, wśród prokuratorów — jednego, zato wśród aplikantów mrowie: napewno więcej niż połowa. A wrażenia ogólne! Raczej roz-

czarowanie. Oczywiście początkowo cały aparat sądowy robi wrażenie. Moje zajęcie jest tego rodzaju, że chwilami rodzi się pytanie, poco się skończyło Uniwersytet.

— Dlaczego? — zapytał Delfi.

— A tak, sekretaruję na rozprawach karnych. Wszystko się pisze pod jedno „kopytko”. Przysnać muszę tylko jedno: ma się wrażenie, że się jest w kolejdoskopie życia. Jedna sprawa biegnie za drugą; w każdej jakiś inny fragment ludzkiej niedoli. Rozmawiałem z jednym kolegą, który odbywa praktykę w wydziale cywilnym. Jego zajęcia są dopiero niezwykle kształtujące i wymagają dużo inteligencji: od trzech miesięcy pisze wezwania dla świadków.

— Jest pan pełen żółci, panie Błoński — odezwał się pułkownik Zbarazki. — Przykro.

— Cóż poradzić. Być może, że mnie trochę dzisiejszy dzień nastroił w ten sposób. Była jedna bardzo charakterystyczna sprawa.

— Cóż takiego?

— Opowiem panom. Sprawę wytaczał członek organizacji o charakterze przysposobienia wojskowego przeciwko młodemu rzemieślnikowi. Podłoże zajścia było następujące. Organizacja rzemieślnicza urządzała zabawę pod gołym niebem na Bielanach wraz z zawodami sportowymi. Zgodnie ze zwyczajem orkiestra ich odegrała przed zawodami „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wszyscy odkryli głowy. Przypadkowo przechodził obok oskarżyciel, który z niewiadomych powodów kapelusza nie zdjął. Oskarżony podbiegł do niego i sprawił, że kapelusz się z głowy zsunął.

— Widzę, że morowy chłop ten oskarżony — rzekł pułkownik Zbarazki.

— Żadnych świadków nie badano, ponieważ stan faktyczny nie był kwestjonowany. Musiał być spór

co do wyroku pomiędzy sędziami, ponieważ została ogłoszona decyzja, że wyrok zostanie ogłoszony jutro. Po sprawie podszedł do mnie jeden z sędziów i pyta: „No powiedzcie, kolego, jakibyście wydali wyrok?” Odpowiedziałem, że mojem zdaniem, kto przed hymnem narodowym nie zdejmuje kapelusza, to należy mu go zrzucić. Nie było żadnych obrażeń cielesnych, któreby wymagały leczenia — w konkluzji więc uniewinniłbym. Na to mi sędzia powiedział: „Sprawa nie jest tak prosta, jak sobie kolega wyobraża”. Powiedziałem mu wówczas, że pokolenie, do którego należę, dąży do takiej Polski, w której nie będzie miejsca na inne podejście do sprawy, aniżeli to, które ja wyraziłem. Naród bowiem, który nie potrafi nakazać dla siebie szacunku, może spowodować, że będzie lekceważony przez własnych członków. Rozmowa ta mnie bardzo zdenerwowała. Dla mnie to, co tu panom opowiedziałem, ma swoją wymowę... smutną wymowę. Jestem, panie pułkowniku, bardzo ciekaw, co by zrobił sędzia, który ze mną rozmawiał, ze sprawą, w której, powiedzmy, jedna ze stron wyraziłaby się, że Polacy są narodem półgłówków?

Pułkownik nie odpowiedział. Przy stoliku zapano wało na chwilę milczenie.

W niedługim czasie całe towarzystwo przy stoliku pana Lecha zabierało się do wyjścia. Jak Andrzej przewidywał, szambelan zaptścił rachunek za wszystkich.

Przy wyjściu z kawiarni Andrzej i Kazik Szreniawita zaczęli się żegnać z resztą towarzystwa. Błoński odezwał się do nich:

— Poszedłbym z wami, ale czuję, o czym będziecie rozmawiać, więc wolę w waszej rozmowie nie brać udziału. Pójdę z szambelanem.

Stary szambelan wraz z pułkownikiem i młodymi udali się do kina na ostatni program. Właściwie nale-

żałoby powiedzieć na ostatni „nadprogram“, gdyż chcieli głównie zobaczyć zdjęcia z ostatniej wielkiej parady wojskowej.

### III.

Minął tydzień.

Na ławeczce w Alejach Ujazdowskich, tuż przy wejściu do ogrodu Botanicznego, siedział Jerzy Lando. Spoglądał co chwila nerwowo na zegarek. Dobiegała godzina siódma. Już ciemniało. Trzymał w ręku gazetę i choć mu się po niej wzrok ślizgał, litery nie układały mu się w mózgu w sensowny tekst.

Uczył dzisiaj ostatnią próbę w kierunku uzyskania możliwości zobaczenia się z Izą. Napisał do niej krótki list, że „ośmieli się czekać na nią“ dzisiaj wieczorem od godziny szóstej do siódmej.

W miarę jak wskazówka na zegarku posuwała się naprzód, tracił powoli nadzieję; właściwie w dużym stopniu stracił już uprzednio, ale gdzieś na dnie serca błąkała się w nim jeszcze iskierka.

A może? I dlatego dzisiaj rano wysłał list.

Minęła godzina siódma. Izy nie było.

W tej chwili pojął, że marnie i bezpowrotnie zniszczył swoje marzenia o „piosence“. I wobec tego faktu stało mu się zupełnie obojętne, jak korporacja potraktuje jego nieprzytomny wybryk. Jeśli chodzi o korporację — to cieszył się z należenia do niej; zdawało mu się, że go to wyróżnia wśród innych; teraz jednak wobec faktu, że Iza nie przyszła, wszystko pozostało blade. Było już zupełnie ciemno, gdy Jerzy jeszcze siedział na ławce.

Tuż obok niego przysiadła się jakaś przytulona para. Spojrzał na nią z niechęcią.

Wreszcie wstał. W świetle lampy zobaczył, że już jest po godzinie ósmej.

Pomyślał, że nie licząc się z możliwością, by mógł być tak bezlitośnie przekreślony — napisał swoje samooskarżenie się, by uzyskać jaknajbardziej sankcję i możliwie jaknajszybciej wszystko zatuzszować. No i trochę się łudził, że Iza nie dowie się o wszystkim. Wiedziała...

Wobec tego, że teraz nie przyszła, wszystko ulegało zasadniczej zmianie. W lokalu „Bratniaka” czeka na niego już w tej chwili grono kolegów — sędziów. Ciekawe, co też wymyślą?

Spojrzał w długi wyłot ulicy. W równych odstępach chodnik i ławki były oświetlone przez wielkie łukowe lampy, których światło gdzieniegdzie się sączyło przez gałęzie drzew. Zauważył, że jakby zbiegiem okoliczności ławki w miejscach oświetlonych były przeważnie puste. I przez jakieś dziwne skojarzenie myśli na ekranie ich zarysowała mu się twarzyczka Izy w jasnoblond aureoli ze zwykłym jeszcze jakby na półdziecinny uśmiechem. Tak jak ją widział ostatni raz przed wakacjami. I uświadomił sobie, że przecież tylko w obecności jej jednej, jedynej, sam sobie nieraz wydawał się lepszym, jakby jakimś jaśniejszym. I to jeszcze, że mogła go poprowadzić przez dobre, pełne uśmiechów życie — jako jego dobra wróżka. Jakto już dawno, gdy do niej mówił: „Jest pani moją dobrą wróżką”. A teraz? Teraz czekają go dni szare, pozbawione blasków radości, których mu dostarczała Iza.

Już nigdy...

Dalszy wątek jego myśli przerwał hałas nadjeżdżającego elektrowozu. Gdy znalazł się na platformie, spojrzał jeszcze raz w stronę ławki, gdzie daremnie wyczekiwał. Odniósł wrażenie, że siedząca para zważyła się w uścisku...

Tramwaj wiózł go szybko... Nie czuł jednak pędu powietrza. Miał takie uczucie, jakby na ustach miał piotun.

Wysiadł na przedostatnim przystanku przed Uniwersytetem i w pobliskiej kawiarni napisał krótki list. Gdy go podpisał miał uczucie, że się zamknęła jedna z kart jego życia.

. . . . .

Kazik Szreniawita w porozumieniu z Zaruckim zwołał zebranie „Gdynji“ w lokalu „Bratniaka“. Bardzo był z tej okoliczności zadowolony Walek, któremu już dojadł okres martwoty wakacyjnej. W czasie lata doszedł do wniosku, że gdy pokoje świecą pustkami, to wszystko to, co on robi, jest specjalnie niskiego rzędu. Cieszył się, że lokal za chwilę się zapełni „panami korporantami“, od których sobie obiecywał cośniecoś zarobić. Gdy zobaczył nadchodzącego „pana prezesa“, wybiegł zadowolony naprzeciwko i z hałasem otworzył drzwi. Wydawało mu się, że tak będzie uroczyściej.

— Uszanowanie panu prezesowi!

— Jak się masz, Walek. Jest już kto?

— Jeszcze niema żadnego z panów. Ale o to idzie pan Szreniawita.

I widząc nadchodzącego, dodał pocichu:

— Bardzo trudno się ten pan nazywa.

— Jak się masz, Andrzej — witał się Kazik. — Czy byłeś łaskaw przynieść to, o co prosiłem?

— Mam przygotowane.

— No to bardzo dobrze. Muszę ci przyznać, że do Landy mam dodatkową pretensję, że z jego powodu pierwsze zebranie powakacyjne będzie sądowem. Cały szereg ludzi pierwszy raz się ze sobą zobaczy po dwóch miesiącach. Chcieliby się pośmiać i nacieszyć, a tu licho nadało tę sprawę. I przyznam ci się, że gdy patrzę teraz na tę sprawę na zimno — to mi trochę Jerzego żal. Chłopak zabrał się tak idjotycznie.

— Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.



— Ty, mój drogi, masz właściwe sobie, bezkompromisowe podejście do sprawy. A ja ci teraz, gdy jesteśmy sami, otwarcie mówię, że mi Jerzego żal. I chwilami się zastanawiam, czy mu poważnie nie zaszkodziłem.

— Czem?

— Odradzaniem Ciołkowi wytoczenia sprawy honorowej. Ale byłem wtedy tak zirytowany, że uważałem, iż należy go potraktować jak smarkacza, który się wstawił. Stało się i niema już teraz o czym mówić. Nadchodzi nasz „historyk”.

Wszedł Wyrwidąb-Likowski. Uściskali się z nim serdecznie.

Był czarny od słońca.

— Bardzo się cieszę, że już was widzę, ale nie mogę zaprzeczyć, że wołałbym się z wami spotkać na innym zebraniu.

Wiadomo było, że żył stosunkowo najbliżej z Jurkiem Lando.

Lokal coraz prędeziej się teraz wypełniał. Równocześnie przyszli Pokojski, Błoński i chluba sportowa Brodzki z włosiem rozwianym w nieładzie.

„De la Chambre” zwrócił się do Andrzeja:

— Muszę ci przyznać, że zawiadomienie o dzisiejszym zebraniu stanowi dla mnie prawdziwą niespodziankę. Nieprzyjemna jest mi ta sprawa mego korporacyjnego „syna”.

Pokojski, który wprowadził do korporacji Jerzego, został następnie na skutek jego prośby — korporacyjnym „ojcem”.

Po twarzach wszystkich przybywających było widać, że woleliby się po wakacjach zobaczyć nie na gruncie zebrania sądowego.

Dochodziło już wpół do dziewiątej, gdy Kazik Szreniawita zauważył:

— Można by już zebranie zaczynać, ale niema osoby najbardziej zainteresowanej.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa ukazał się w drzwiach postaniec z listem. List był adresowany do prezesa korporacji „Gdynja”. Rozerwał go Szreniawita, poczem po przeczytaniu wręczył Zaruckiemu.

Andrzej zwrócił się do kolegów:

— Kolega Lando nie przyjdzie, wobec czego rozpoczynamy zebranie.

Wszyscy zajęli miejsca. Andrzej, jako przewodniczący wydziału sądowego, otworzył obrady, odczytując treść samooskarżenia się Landy i pismo dr. Ciołka.

— Teraz odczytam kolegom list kolegi Landy — mówił Andrzej — który nadszedł przed chwilą. Treść listu jest następująca. „Do Kolegi Prezesa Korporacji „Gdynja”. Niniejszem zgłaszam swoje wystąpienie z Korporacji „Gdynja”. Jerzy Lando”.

— A to niebywałe! — odezwał się z miejsca Likowski. — Proszę o głos.

— Nim udzielię głosu koledze, pragnę podkreślić pewne momenty, aby zwrócić bieg dyskusji w określonym kierunku. Mianowicie fakt nadesłania nam pisma o wystąpieniu uważam za anulowanie przez kolegę Lando nadesłanego samooskarżenia. Czy kto z kolegów jest przeciwny takiemu postawieniu sprawy? Wobec tego, że nikt nie zgłasza sprzeciwów, samooskarżenie kolegi Lando nie będzie służyć za podstawę przy rozpatrywaniu jego sprawy. Tą podstawą będzie pismo filistra Ciołka. Obecnie udzielam głosu koledze Likowskiemu.

— Przyznam się kolegom, że jestem głęboko oburzony — mówił „historyk” — że kolega Lando zgłosił swe wystąpienie. Ja jestem tak przywiązany do korporacji, że podobne posunięcie zupełnie nie mieści się w mojej głowie. Choć żyłem z nim dość blisko, dochodzę do wniosku, że go znałem bardzo mało. Poniekąd naraził nas wszystkich, postawił nas w niesłychanie drażliwej sytuacji wobec filistra, a teraz komu-

nikuje nam, że ma nas wszystkich dosyć. Dla mnie jest to wszystko nieomal aberacyjne. Chciałem się zapytać, czy kto z kolegów z prezydium rozmawiał z kolegą Lando?

Poprosił o głos Szreniawita.

— Kolega Lando — mówił — był u mnie, składając samooskarżenie. Muszę przyznać, że robił wrażenie bardzo przybitego. Od tego czasu go nie widziałem.

— Czy kto z kolegów — spytał Zarucki — nie ma pytań w sprawie stanu faktycznego?

Nikt żadnego pytania nie zgłosił.

— Wobec tego przystępujemy do zgłoszenia wniosków w sprawie sankcji. Dalej z obowiązku przewodniczącego pozwolę sobie zauważyć, że choć samooskarżenie uznaliśmy za wycofane, to śmiem twierdzić, iż fakt wystąpienia kolegi Lando nie powinien wpłynąć na stopień surowości naszego orzeczenia. Jest to oczywiście mój pogląd subiektywny i dla ścisłości zaznaczam, że w komunikacie zewnętrznym, podającym sentencję orzeczenia koła sądowego, będzie zaznaczone, że tegoż dnia kolega Lando zgłosił swoje ustąpienie.

Szreniawita postawił wniosek: „Koło zawiesza kolegę Jerzego Lando na sześć miesięcy w prawach członka korporacji”. Innych wniosków nie było. Na żądanie Błońskiego miano głosować kartkami.

— Przypominam kolegom — rzekł Zarucki — że zgodnie ze zwyczajem korporacyjnym nie może być wstrzymujących się od głosowania. Koledzy zechcą składać kartki.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wynik głosowania jest przesądzony.

Po krótkiej przerwie Zarucki ogłosił:

— Komunikuję kolegom, że za wnioskiem kolegi prezesa Szreniawity wypowiedzieli się wszyscy koledzy z wyjątkiem jednego, który niesfety mimo mego uprzedzenia złożył kartkę białą. Wobec tego, że nie-

ma innych spraw na porządku obrad, zamykam koło sądowe.

— Jedno słowo, proszę kolegów — rzekł z miejsca Szreniawita. — Zebranie jest już oczywiście skończone. Chcę jednak prosić kolegów, by wysłuchali jeszcze moją propozycję.

— Cóż tam jeszcze dla nas chowasz? — spytał „de la Chambre”.

— Nietyle ja chowam, ile kolega Andrzej. Otóż Andrzej Zarucki, na moją prośbę, opracował rodzaj „przykazań” korporacyjnych, w których ujął syntetycznie to, co jest zawarte w naszym statucie i niepisanych zwyczajach oraz wskazaniach. Proponuję, żeby kolega Andrzej odczytał nam, co napisał. Oczywiście żadnych uchwał nie będziemy mogli powziąć.

— Zgadząmy się — odezwało się równocześnie kilka głosów.

Andrzej wyjął z kieszeni kilka kartek. Po chwili czytał:

— „Projekt przykazań członka korporacji „Gdynja”.

Pierwsze: B ą d ź d u m n y d u m ą s z l a c h e t n ą.

Jesteś synem wielkiego Narodu, Narodu królów: Chrobrych, Batorych i Sobieskich; hetmanów: Czarnieckich, Zamoyskich i Żółkiewskich i wielkich wieszczów: Mickiewiczów, Krasińskich, Słowackich, Wyspiańskich i Kasprowiczów.

Jesteś korporantem polskim, członkiem korporacji „Gdynja”, której dewizą jest: „wszystko dla ojczyzny”. Ta dewiza jest twoją do śmierci”.

Zarucki miał opinię dobrego mówcy. Nieraz zdarzało się, że jednym zdaniem umiał wywołać pożądany przez siebie nastrój audytorjum. Tak było i teraz, chociaż nie przemawiał, lecz czytał z kartki.

— „Drugie: Celem twojego życia jest wielkość i chwała Narodu i Państwa Polskiego.

Pomny, jaką potęgą jest wiedza, ucz się wytrwale. W gronie kolegów — przyjaciół sposób się do służby

ojczyźnie. Bądź bezkompromisowym wrogiem tego wszystkiego, co godzi w wierzenia twoich przodków, w tradycję i kulturę polską, tudzież osłabia związki Narodu Polskiego z rzymską cywilizacją.

Ofiarna służba w Armji, szczerne powołanie korporanta i praca nad umocnieniem Polski na morzu — należą do naczelných twoich obowiązków.

Trzecie: Czujnie stój na straży swego honoru. Dbaj o swoje dobre imię, pamiętając, że ono jest współwłasnością wszystkich członków Korporacji. Twoją najwyższą ambicją — spowić je w taką aureolę, aby podnosiło chwałę sztandaru.

Czwarte: Szanuj hierarchję akademicką i okazuj należne poszanowanie władzom akademickim.

Piąte: Korporacja jest dalszym ciągiem twojej rodziny. Wstąpiwszy do niej, zawarłeś związki na całe życie...

Czytanie Andrzeja przerwał głos Pliszki:

— Kolega Lando nam się kłania...

Twarz Leszka była skrzywiona sarkastycznym uśmiechem. Tego rodzaju odezwanie się było w jego typie. Był znany z gorącej ironji. Tym razem jednak jego ironja nie dała zwykłego efektu.

Zapanowała przykra cisza. Sam Pliszka zrozumiał, że to, co powiedział, było zgrzytem. Pospieszył dodać, zwracając się do Andrzeja:

— Niech kolega sobie nie przerywa. To, co mówiłem, to był taki sobie głos za... sceną.

— ... zwracający nam uwagę na rzeczywistość — rzekł Andrzej — rzeczywistość, która nieraz daleka jest od ideału. Ale tak już jest w życiu.

Szreniawita patrzył z irytacją na Pliszkę... Cały jego wysiłek, aby choć częściowo zatrzeć wrażenie wywołane sprawą Landy, spalił na panewce.

Odezwał się:

— Głos ma dalej kolega Zarucki.

— Czytam w dalszym ciągu punkt piąty — mówił Zarucki: Szanuj hierarchję korporacyjną. Pamiętaj, że aby rządzić, trzeba umieć słuchać. Karność, oparta na braterskiej przyjaźni, jest podwaliną korporacji.

W przyjaźni bądź wiernym; nigdy nie zapominaj, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w potrzebie.

Szóste: Fakt, żeś korporantem, nie daje ci przywilejów, tylko nakłada na ciebie obowiązki. Bądź wzorem akademika polskiego.

Nie wynoś się nad innych.

Siódme: Bądź uprzejmy. Nigdy nikogo nie obrażaj, a zwłaszcza pamiętaj, że zniewaga czynna jest zaprzeczeniem kulturalnego współżycia. Obrażony — nigdy na obrazę nie odpowiada obrazą. Dasz przez to dowód najwyższej towarzyskiej kultury. Po twojem zachowaniu sądzić będą całą korporację. Pamiętaj, aby patrząc na ciebie, wszyscy mówili, że „Gdynja” jest szkołą dżentelmenów.

Ósme: Będąc odważnym wogóle — odznaczaj się wśród innych odwagą cywilną. Głoś śmiało swoje przekonania. To ci nakazuje twój szacunek dla siebie samego. Pamiętaj, że oportunistą jest zaprzeczeniem korporanta”.

Andrzej złożył kartki.

— Oto, co dla kolegów pozwoliłem sobie przygotować! — rzekł wstając. — Proponuję, by jeśli prezydum uzna to za właściwe, przygotować maszynową odbitkę dla każdego z kolegów. Łatwiejsza będzie potem dyskusja.

— Trzeba przyznać, że jesteś majster od pisania takich historyj — zwrócił się Likowski do Andrzeja. — Proponuję pozatem wszystkim wysokim prezesom, żebyśmy się stąd zabierali.

Po chwili wyszli całą gromadką na dziedziniec.

— Niema co mówić. Udał mi się „synek” — odezwał się Pokojski do idących z nim razem Błońskiego i „historyka”.

Silnie odczuł sprawę Landy i nie mógł do niej nie wrócić.

— Nie wiem, czy wiedzieliście, że Jerzy to zdaje się galicyjski hrabia — rzekł Zygmunt. — Kiedyś byłem u niego i stróż mnie poinformował, że „pana hrabiego niema w domu”.

Przypomniała mu się odbyta w ogrodzie uniwersyteckim rozmowa i pomyślał, że stosunkowo najlepiej znał Jerzego.

— Hrabia — nie hrabia — wtrącił Likowski, który był wrażliwy na herby. — Wszyscy się jednak zgodzicie, że cała ta sprawa to przykry dla nas kawałek.

Odpowiedziało mu milczenie.

Żaden z nich nie wiedział, że dla Landy decydującą okolicznością przy wstąpieniu do ich organizacji stanowiło ułatwienie sobie drogi do... Izy Zaruckiej, tudzież kolorowa czapeczka, toteż czuli się zaskoczeni, że okazał się przechodniem w ich gronie.

Gdy późnym wieczorem Zygmunt Błoński pisał protokoły sądowe, zastanawiał się przez chwilę, czy właściwie postąpił w trakcie głosowania i nie potrafił sobie ściśle odpowiedzieć na to pytanie. On to bowiem złożył białą kartkę.

A głowę Andrzeja, gdy kładł się na spoczynek, świdrowała boleśnie myśl, że mówiąc stylem Leszka Pliszki, „kłania się” im wszystkim Gudułt.

„Jego książęca mość...”

#### IV.

Pod koniec września pusty, tchnący do tej pory nudą dziedziniec Uniwersytetu zaczął się ożywiać. Rozpoczął się okres przyjmowania podań od nowo-

wstępujących. Niedawni sztubacy i pensjonarki z mianami zdobywców świata zapewniali chodniki dziedzińca i korytarze gmachu Wszechnicy. Wszystko straszna młodzizna. Niektóre dziewczęta z warkoczykami rozglądały się z zakłopotaniem na twarzy, które zdawało się mówić: możeby było lepiej tutaj przyjść z mamusią. Liczni, choć nie posiadali jeszcze wiadomości o przyjęciu na Uniwersytet, mieli już nowiużeńkie białe czapki z czerwoną wypustką, aby świat wiedział, że to już przecież nie byle kto: obywatele akademicy. Rozlegały się pytania:

— Przepraszam was, kolego, czy nie wiecie i t. d.

— Służę koleżance i t. d.

Podobne obserwacje zbierał Andrzej, idąc przez dziedziniec w stronę głównego gmachu. Przyszła mu na myśl uwaga zasłyszana raz od „papieża” Relińskiego, że na początku, w okresie powojennym młodzież akademicka robiła wrażenie dalszej części starszego społeczeństwa. Sprawily to przeżycia wojenne. Teraz toczyło się wszystko w sposób normalny. Studenci, tak jak powinni być, byli dalszym ciągiem szkoły. Nastąpiło wydatne obniżenie wieku pierwszoroczniaków.

Andrzej chciał się zobaczyć z sekretarzem Uniwersytetu i dowiedzieć się, kiedy nowy rektor przejmuje urządowanie od ustępującego rektora, obecnie prorektora Czesławowicza.

Nowym rektorem obrano profesora Sękowskiego z wydziału filozoficznego. Na ten wydział wypadł w kolejności „rektorat”. Andrzej myślał z żalem, że ustaje jego współpraca z rektorem Czesławowiczem.

Trochę się obawiał, czy z nowym rektorem stosunki ułożą się równie pomyślnie. Miał do tego powody, gdyż profesor Sękowski uchodził za zdecydowanego przeciwnika „Związku Narodowców”.

Andrzej zastał sekretarza nad plikiem papierów.



— Powitać prezesa. Widzę, że już naprawdę zaczyna się rok akademicki, skoro zaczyna nas pan odwiedzać! Czego sobie prezes życzy?

— Pierwsza rzecz chcę uścisnąć dłoń panu sekretarzowi.

— Bardzo dziękuję. A jaka to druga rzecz?

— Chcę się dowiedzieć, kiedy pan rektor obejmuje urządowanie, aby mu się przedstawić.

— A to niech prezes przyjdzie drugiego października. Proszę wypełnić formularzyki z adnotacją w jakiej sprawie.

Z pewnem zdziwieniem Andrzej napisał w formularzu: „Zarucki, prezes „Bratniej pomocy” — w celu przedstawienia się”.

— Przyznam się panu sekretarzowi, że się trochę obawiam, czy pan rektor Sękowski zechce mi tak ułatwić dostęp do siebie, jak to było za rektora profesora Czesławowicza.

— To sobie już musi prezes ułożyć z rektorem...

Sekretarz pomyślał sobie, że nie może powtórzyć Zaruckiemu słów rektora Sękowskiego. Rektor w czasie ostatniego posłuchania, podpisując papiery, powiedział:

„Trzeba będzie skończyć, panie kochany, z tem ciągłem kręceniem się Zaruckiego. Rektorat, panie kochany, to nie dalszy ciąg „Bratniej Pomocy”.

Po chwili sekretarz dodał:

— ... coś panu poradzę w sekrecie.

Sekretarz wstał i zamknął drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju, gdzie pracowały biuralistki.

— Cóż takiego? Zaciekawia mnie pan.

— Et, drobiazg. Zdaje mi się, że odkryłem „słaby” punkt nowego rektora. Może nie powinienem prezesowi tego mówić, ale powiem przez życzliwość. Profesor Sękowski bardzo lubi, gdy się

rozmowę z nim często przeplata tytułem „Magnificen-  
cja”. Ot taka słabość ludzka.

Sekretarz dobronudownie uśmiechnął się.

— Upewniam pana sekretarza, że mi to przyjdzie  
bardzo łatwo. Co do mnie, mam obecnie pewne oba-  
wy natury ogólniejszej. Ale już nie będę zajmował  
panu czasu.

— Ściskam dłoń prezesowi.

Wyszedłszy z gabinetu sekretarza, Andrzej uklonił  
się wychylającej się spoza „okienka” urzędnicze.  
Na korytarzu ciągnął się „ogonek” składających poda-  
nia. Mignęła mu zdaleka sylwetka koleżanki Izy —  
Mady Zańskiej. Nie lubił jej. Szybkim krokiem skiero-  
wał się do wyjścia. Idąc przez dziedziniec zastanawiał  
się, czy nie pójść do kawiarni „Rolniczej”, doszedł jed-  
nak do wniosku, że nikogo tam zapewne nie zastanie,  
bo nie zaczął się jeszcze „sezon” bywania korporacyj-  
nej „paczki”.

Wychodził już na ulicę, gdy usłyszał kilka głosów:

— Uszanowanie koledze prezesowi!

Byli to Korski, Guduł i Lenta, jeden z trójki przy-  
jętych przed wakacjami do „Gdynji”. Przywitał ich  
z lekkim uśmiechem.

— Widzę, że wojująca demokracja znakomicie  
chodzi w parze z zachowawczym monarchizmem.

— Idąc do uniwerku, spotkałem przed chwilą kole-  
gów — wtrącił Korski.

Po wymianie kilku zdań, już przy pożegnaniu, rzu-  
cił Andrzej odniechcenią, zwracając się w stronę  
Korskiego:

— Słyszałem, kolego, że w gronie politycznych  
przyjaciół nazywają was „piskorzem”. Pomyślałem so-  
bie, że to zupełnie nie odpowiada waszej dość korpu-  
lentnej powierzchowności.

Uśmiech znikł na chwilę z twarzy Korskiego.

— Cóż, kolego. Przewiska, które się otrzymuje, niezawsze są tak trafnie dopasowane, jak to ma na przykład miejsce z wami.

— A to ciekawe. Jakież ja mam przewisko, bo jeszcze o żadnym nie słyszałem?

— Mogę wam powiedzieć, jak was niektórzy nazywają: „pan mówca”. Uważam, że jest świetne... Jedna z osób niedawno mi mówiła, że gdybyście umarli, to największym dla was zmartwieniem byłoby to, że nie moglibyście odpowiedzieć na liczne przemówienia żałobne.

— No, dowidzenia — rzekł Andrzej. — Powiedziecie waszemu rozmówcy, że jeszcze jakiś czas pociągnę.

Podając rękę Gudułtowi i Lencie, dodał:

— Do zobaczenia na najbliższej kwaterze.

Gdy Andrzej odszedł, Korski odezwał się:

— Zarucki — to będzie niewątpliwie wasza główna przeszkoda. Ale muszę wam powiedzieć, że rozgrywka przewidziana jest na listopad. Tak wynika z informacji, które mam z innych środowisk. Nie chciałbym, żeby sytuacja tutejsza wywołała opóźnienie. Zobaczycie! Wszystko odbędzie się w sposób klasyczny.

Z zadowoleniem zatał ręce.

— Ponieważ poruszyłeś tę sprawę — rzekł ze zwykłą sobie flegmą Gudułt — to dowiedz się, że zapowiada się nieźle. Pomyślałem o położeniu ręki na kilku najmłodszych. Teraz będzie dla mnie rzeczą najważniejszą, żeby Lenta mógł dostać barwy...

Andrzej zatrzymał się na przystanku tramwajowym. Wydawało mu się zabawnym, że Korski uważał za właściwe tłumaczyć swoje spotkanie z Gudułtem.

Był piękny słoneczny dzień i na ulicach panował ruch ożywiony. Zdaleka dochodziły bardzo przytłumione dźwięki hymnu narodowego. Andrzej spojrzął na zegarek. Była to pora zmiany warty przed Komendą Miasta. Przy wyjściu w kierunku komendy zbierały się grupy przechodniów. Po chwili dźwięki hymnu

ucichły i sprzed Komendy wymaszerował oddział żołnierzy, kierując się w stronę Zamku. Było widać równe rytmiczne ruchy piechurów, gdy skręcali na Krakowskie Przedmieście. Andrzej odprowadzał ich wzrokiem. Nagle drgnął na dźwięk głosu, który się rozległ tuż przy nim:

— Dzieńdobry, panie Andrzeju. Co słysząc u pana?

Przed nim stała Zocha Lachowiczówna.

Zocha! Poczuł, że na twarzy występuje mu łuna. Pochylił się w ukłonie.

— Jeśli pan nie musi zaraz jechać tramwajem, to może mnie pan odprowadzi.

— Służę pani.

Podziwiał ją, że po tak długim niewidzeniu podeszła do niego, jakgdyby nic się nie stało, a równocześnie opanowała go nieogarnięta radość, że ją znów widzi. Spojrzał na nią niewidocznie. Nic się nie zmieniła. Była jak zawsze śliczna. Postanowił wziąć się „w cugle” i nie zdradzić wrażenia, jakie na nim zrobiło to niespodziewane spotkanie.

— Bardzo dawno się nie widzieliśmy. Cóż się z panią działo?

— Mógłby kto pomyśleć, że to pana naprawdę interesuje. Muszę panu odrazu powiedzieć, dlaczego podeszłam. Chcę otrzymać słówko wyjaśnienia. Po prostu dlatego, że mi się należy. Nie przypuszczałam, że pan tak nagle przestanie u nas bywać. Oczekiwałam na wyjaśnienia, ale napróżno.

Zauważył, że leciutko drżała.

— Co do mnie to myślałem, że pani dlatego ostatnio nie zastałem, że to pani chciała uniknąć wszelkich wyjaśnień.

— Nie rozumiem.

— Tego samego dnia wieczorem widziałem panią, wracającą z jakiejś podmiejskiej przejażdżki z tym

młodym człowiekiem, który był u mnie o pomoc w uzyskaniu posady.

Nie mógł sobie odmówić, by tego nie zaakcentować.

— Mówi pan o moim kuzynie Janku Rzęsie. I jedynie dlatego, że owego dnia pan nas razem widział, to postąpił pan tak, jak postąpił!... Ciekawe... Nie można zaprzeczyć, że po... prezesowsku.

Zarumieniła się.

— Niech pani ze mnie nie sztydzi. To nie była jedyna przyczyna. Tego samego wieczora, — jak pani widzi, był to wieczór obfity dla mnie we wrażenia, — spotkałem panią Rajnerową. No i powiedziała mi, że pani, jej serdeczna przyjaciółka, która nie ma przed nią tajemnic, wyjaśniła, że jest moją osobą znudzona.

Ostatnie słowa wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Chyba teraz jest wszystko oczywiste... — dodał na półpytająco.

Zocha zatrzymała się.

— No, no... Nigdy nic podobnego do Mary nie mówiłam...

Całe jego jestestwo ogarnęła radość.

— Jakto?

— Nie mówiłam. Jestem przykro zaskoczona... Wszystkiem.

Zrozumiał... „Wszystkiem”, to znaczy tem, że on wierzył Rajnerowej.

Spojrzał na nią i zauważył, że była do głębi poruszona. Wydała mu się tak bliska jak dawniej, jak gdyby długiego okresu rozłąki wcale nie było. Poczut się winny... i szczęśliwy.

Wyrwał mu się z krtani zmieniony głos.

— Czy doznam przebaczenia?

Spojrzała mu w oczy. Były jak... przedtem pełne kochania. Zamiast odpowiedzi wsunęła mu rękę pod ramię... A on nie bacząc, że szli przez rojną ulicę, przywarł gorąco do jej dłoni ustami.

— Moja jedyna... Tak mi cię bardzo było brak...

— Mnie też. Dałam tego najlepszy dowód, podchodząc do ciebie.

— Zochna. Starajmy się o tem jaknajprędzej zapomnieć. Ja ze swej strony dołożę wszelkich starań. Wierz mi, że nie widząc ciebie tak długo, byłem bardzo, bardzo ukarany.

— To była twoja дума ukarana... Andrzeju. Ale nie mówmy już o tem więcej.

Równocześnie sobie pomyślała, że gdyby to nie ona, lecz on ją spostrzegł pierwszy, — toby z pewnością do niej nie podszedł. Był z tego typu. W tym momencie zdała sobie sprawę z jego przewagi nad sobą. Przytuliła się do niego mocniej ramieniem. Szli przez chwilę w milczeniu, oszołomieni spotkaniem.

— Naprawdę było ci mnie brak? — spytała.

— Naprawdę, Zochna.

Musieli się zatrzymać przed przejściem przez jezdnię i zrównało się z nimi dwóch włoskich oficerów. Zajęci sobą nie zauważyli spojrzeń, jakimi Włosi obrzucili Zochę. Oboje się tylko obejrzel, gdy jeden z oficerów powiedział:

— Molto bella signora.

Gdy przeszli na drugą stronę ulicy, Zocha odezwała się krótko:

— Dziś napiszę do Rajnerowej, że kwita z przyjaciąni.

Nic na to nie powiedział.

— Jak zdrowie mamy i Krysi? — zapytał.

— Dobrze. A propos Krysi miałam z nią kłopot z twego powodu.

— Moja mała przyjaciółka.

— Przekonasz się, że już nie „mała”. Bardzo się zmieniła przez to lato. Ale ty przecież nie wiesz, że byliśmy w Jastrzębiej Górze...

W głosie jej poczuł jeszcze raz jakby odcień wyrzutu za „wszystko”.

— Widywałam zdaleka — domyślasz się zapewne kogo?

— Iżę?

— Tak. Masz niezwykle ładną siostrę. Asystowa-  
no jej nazabój.

— Wiesz, co mi przyszło na myśl?

— Co?

— Że znam dwie najmilejsze panny, które były  
w Jastrzębiej Górze.

Gdy podeszli przed bramę domu, gdzie mieszka-  
ła, odezwała się na dowidzenia:

— Jak będziesz mógł przyjść, to zadzwonisz. Do-  
brze?

— Przedewszystkiem, chcę cię jeszcze dalej od-  
prowadzić.

Tak przecież być musiało.

Gdy znaleźli się na schodach, schylił się do jej rąk,  
a potem objął ją z całej mocy ramieniem. Nie broniła  
mu ust. Zarzuconemi na szyję rękoma wyraziła całą  
swoją tęsknotę za jego uściskiem. Poczuła się z nim  
związana ognistym łańcuchem, tym łańcuchem, który  
jej kazał podejść do niego, gdy go tylko zobaczyła.

— — — — —

Tegoż dnia wieczorem Andrzej dzwonił do drzwi  
mieszkania pani Lachowiczowej. Tak się złożyło, że  
pani domu znajdowała się w tym momencie w kory-  
tarzu i sama drzwi mu otworzyła.

Przywitała go z półuśmiechem.

— To pan. Dość długo był pan na nas nieśkaw.

— Niestety, tak się składało, proszę pani.

To, co powiedział, wydało mu się beznadziejnie głu-  
pie i przyszło mu na myśl, że musi mieć odpowiedni  
wyraz twarzy.

Ale pani Lachowiczowa widocznie nie miała za-  
miaru „znęcać” się nad nim.

— Może pan pozwoli do pokoju Zochy. Zastanie pan tam moją młodszą córkę.

Poczuł niezwykłą wdzięczność, że go nie poproszono do salonu. Krysia powitała go szczerze uradowana.

— Pan Andrzej! Jak to dobrze, że pan nas znów odwiedził.

Pierwszy raz się zdarzyło, że pocałował ją w rękę.

— Upewniam panią, panno Krysiu, że ja się z tego najbardziej cieszę.

Przyglądał się dawno niewidzianemu „kozaczkowi”.

— Nie można powiedzieć, żeby się pani nie zmieniła przez to lato.

— Tak pan myśli?

Stała przed lustrem.

— Na plus, czy na minus?

— Tak sobie myślę, że przestała pani być dzieckiem.

— Brzydki pan jest. To znaczy, że przed wakacjami byłam jeszcze dzieckiem.

— Na oko tak.

Krysia stała się jakby bardziej podobną do Zochy. Nad czołem pojawił się u niej rodzaj zadumy, coś, czego przedtem nie było.

Była w tej chwili przykładem tej cudownej przemiany, której dokonywa z dziewczynką natura, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

— Ale gdzie jest panna Zofja?

— Nareszcie! Czekałam, kiedy się pan spyta. Zraz przyjdzie.

Jakby na skutek toczącej się rozmowy o jej pani wysunęła się spod biureczka „Moja”. Przeciągnęła się rozkosznie, poczem podeszła do Andrzeja i oparła łeb na jego kolanach.

W tym momencie stanęła we drzwiach Zocha. Była jeszcze w palcie. Uśmiechnęła się.



— Widzę, że się już rzeczywiście ze wszystkimi przywitałeś, nawet z „Moją”. Jakże cię przyjęła?

Nie spostrzegła się, że pierwszy raz w obecności Krysi mówi do Andrzeja po imieniu.

Tak się odbył „powrót” Andrzeja.

Gdy późnym wieczorem przyszedł do domu, czekało go jeszcze jedno wrażenie. Przerzucając prasę wieczorną, natrafił na następującą wiadomość:

„Sensacyjne aresztowanie.

Jak się dowiadujemy w ostatniej chwili, w dniu dzisiejszym aresztowano w mieszkaniu znanego w kołach kupieckich naszego miasta pana Leona Rajnera, właściciela firmy p. n. „Leon Rajner i Ska”. Wraz z nim zabrano do aresztu jego żonę panią Marię Rajnerową. Przyczyny aresztowania narazie nieznane.”

Andrzej spał tej nocy zdrowym, mocnym snem.

Śnił jakby dalszy ciąg snu po ich pierwszym balu. Widział Zochę w ogrodzie pełnym kwiatów. A potem obraz się zmienił: szli aleją parku i na vis à vis im wyszedł siwy pan, witając ich dobrym uśmiechem, jakim się wita dawno niewidzianych znajomych.

## V.

Przedpołudniową porą w parku Łazienkowskim, w pobliżu pałacu ostatniego króla, siedziała na ławeczce, czytając książkę, Zocha Lachowiczówna. Przychodziła tutaj zawsze od czasu powrotu z Jastrzębiej Góry, o ile tylko dopisywała pogoda. Nastąpiła zmiana, gdy do jej życia wrócił Andrzej. Gdy Andrzej miał czas, odwiedzali, tak jak dawniej „swoją” altankę w Ogrodzie Botanicznym. Podzielała jego pogląd, że tam jest im najlepiej. Dziś Andrzej był zajęty.

Był to ostatni dzień września. Choć słońce przygrzewało dość mocno, czuć było zbliżającą się jesień. Liście na drzewach przyjmowały czerwono-złotą barwę. W powietrzu unosiła się woń wilgotnego listowia.

O kilka kroków od Zochy drżała w blasku słonecznym tafla stawu; w kilku punktach sunęły na niej białe plamy łabędzi. Jeden z nich podpłynął do brzegu, niedaleko miejsca, gdzie siedziała Zocha. Nagle załopotał skrzydłami, jakby się chciał unieść do lotu. Podniosła oczy znad książki. Biały ptak, dokoła którego zarysowały się fałdy na wodzie, wolno oddalał się.

Rozejrzała się po sąsiednich ławkach. Dopiero teraz zwróciła uwagę na siedzącą obok niej starszą kobietę, i przyszło jej na myśl, że byłoby o wiele przyjemniej, gdyby na miejscu tej kobiety siedział Andrzej.

Spojrzała na pałac króla. Gdzieś, kiedyś czytała opis pełnego czaru i uniesień spotkania — dwojga młodych w tych murach. Zamyśliła się nad swym stosunkiem do Andrzeja.

Dobrze, że go ma spowrotem. Stało się to tak niespodziewanie. Gdy go wtedy zobaczyła na przystanku tramwajowym, jakaś siła, której nie mogła się oprzeć, pchnęła ją w jego stronę.

Pomimo całej swej dumy, tak bardzo zranionej, poszła do niego.

Wtedy, gdy nagle urwała się ich przyjaźń — bardzo cierpiała. Ale niktby się tego po niej nie domyślił. Zamknęła się w sobie. Drażniły ją tylko niewypowiedziane pytania Krysi, dlaczego „pan Andrzej” przestał bywać. Gdy na drugi dzień — po dniu, kiedy zrobiła Andrzejowi zawód, zatelefonowała do niego, powiedziano jej, że wyjechał i wróci za kilka dni. Nie uprzedził jej, że miał zamiar wyjechać. Liczyła na to, że po swym powrocie do niej zadzwoni. Potem dowiedziała się ubocznie, że wyjechał do Zakopanego. Wyjechał, nie odezwawszy się do niej.

Wiedziała przecież, że jest urodziwa i że się ogólnie podoba. Mówiły jej to spojrzenia wszystkich mężczyzn. Otaczały ją hołdy. Tak było, dopóki... nie zjawił się Andrzej. Odsunął wszystkich, chociaż mu

w tem nie pomagała. Zaimponowało to jej. To była główna przyczyna, dla której ją zdobył. Osiągnął potem to, czego nie osiągnął przed nim nikt: stał się jej potrzebny. Wtedy nagle odszedł. Było to dla niej zupełnie niezrozumiałe. Była pewną, że ją kocha, a tu nagle okazało się, że wystarczyło, by mu raz zrobiła zawód, i wszystko przysło. Było to wprost nie do pójścia.

Nad morzem było jej nudno i smutnie...

Otoczył ją wkrótce rój młodzieży, ale na nikogo nie zwracała uwagi. Nazywano ją „sopelek lodu”. Były chwile, że nie poznawała siebie. Gdzieś zniknęła dawna Zocha, dla której męskie hołdy były potrzebne jak powietrze, ta Zocha, która kiedyś mówiła, że kobieta powinna być jak... królowa. Obojętność, z jaką traktowała teraz wszystkich młodych ludzi sprawiała, że miała nadal w obojętności pewną wyniosłość. Psychicznie jednak czuła się bardzo biedna. Było jej źle. Uważała, że niesłusznie jej wyrządzono krzywdę.

Czy niesłusznie? Parę razy stawało przed nią to pytanie. Wtedy przychodziła jej na myśl rozmowa, odbyta raz z Krysią, jeszcze na długo przed „zerwaniem”. Krysia, zaprzysiężona „wielbicielka” Andrzeja, powiedziała do niej wówczas:

— Wiesz, Zochna, gdy patrzę na ciebie i pana Andrzeja, to nieraz bardzo ci się dziwię.

A potem dodała:

— Jesteś ciągle jakaś dostojna w jego towarzystwie. Ja tam na twoim miejscu byłabym inna.

Zburczała wtedy ostro Krysię. Nie mogła przecież powiedzieć, że gdy byli sam na sam, to „wypadała” z roli, którą od początku znajomości z Andrzejem planowała sobie przestrzegać.

Krysia jednak spostrzegła ten jej sposób bycia — wyrozumowany.

Wszystkie te były zdarzenia snuły się teraz przez głowę Zochy.

Dziśby Krysia nie mogła wypowiedzieć takiej uwagi jak ongiś. Przez „historyczny” w ich życiu fakt, że podeszła do niego na ulicy, wiele się zmieniło.

Tak przecież nie postępuje... „królowa”.

I dziwna rzecz: nie czuła, żeby z tego powodu coś „straciła”. Uważała, że postąpiła mądrze. W przeciwnym razie byłoby im obojgu źle nadal.

Dzięki temu było jej teraz na duszy radośnie.

W tym momencie spostrzegła Zocha przechodzącego opodal kapitana Rogalę. Odwróciła się, żeby jej nie zobaczył.

Gdy potem wstawiała z ławki, obrzuciła jeszcze raz spojrzeniem staw. Po rozszrebrzonej jego powierzchni płynęły obok siebie dwa łabędzie...

Uśmiechnęła się do swoich myśli.

## VI.

Zygmunt Błoński siedział w swym małym pokoiku w Domu Akademickim. Zastanawiał się nad tem, że w niedługim czasie musi pomyśleć o innem mieszkaniu. Zaczynał się bowiem nowy rok akademicki — a on już przecież nie był studentem, tylko aplikantem sądowym; nie posiadał zatem już tytułu do zamieszkiwania w Domu Akademickim. Dzięki temu, że w sądzie udało mu się dostać etat, mógł jako tako łątać swój skromny budżet. Spora suma, którą w tak niezwykły sposób zdobył na wyścigach, była przeznaczona na pokrywanie ewentualnych deficytów. Drugą sprawą, która jego myśli absorbowała, była, czy nie podać się w korporacji do przeniesienia w „stan” filistrów. Sprawa przechodzenia do filisterjatu z chwilą ukończenia wyższej uczelni nie była ściśle przestrzegana. Toteż nie było przeszkody, żeby pozostał w gronie członków korporacji czynnej; za takim zaś załatwieniem sprawy przeważał szereg względów. Pierwszym z nich była „akcja” Gudulła, zmierzająca zdaniem

Zygmunta do podważenia niewzruszonej dotąd konstrukcji ideowej „Gdynji”, która starała się wyrobić członków na świadomych swych zadań narodowców. Zygmunt po odczycie, wygłoszonym przed wakacjami przez Gudułta, nie miał wątpliwości, że „monarchizm”, który Gudułt pragnąłby zaszczerpić korporacji, nietylko nie wyrasta z przesłanek narodowych, ale jest ich zaprzeczeniem.

Zdawał sobie sprawę, że o ileby zaszła potrzeba zastosowania ostrzejszych środków dla przeciwstawienia się planom Gudułta, Zarucki niewątpliwie znajdzie czas, by zaważyć swoim autorytetem na rozwoju wypadków. Równie jednak nie ulegało wątpliwości, że Andrzej, zaorany w „Bratniaku”, nie będzie mógł sprawom korporacji poświęcać stałej uwagi. Co do Szreniawity, to chociaż dzielnie wypełniał swe prezesowskie funkcje, nie można było mieć pewności, czy potrafi się zdobyć na śmiałość decyzji, Kazik miał bowiem w swoim usposobieniu skłonność do dyplomatyzowania i nie lubił ostrych posunięć.

Te wszystkie okoliczności przemawiały, zdaniem Zygmunta, za nieprzechodzeniem do filisterjatu. Dołączył się do nich wzgląd na wprowadzonego przezeń do korporacji Janka Skrzyckiego. Skrzycki, który zapowiadał się jako bardzo dobry materiał, prosił Zygmunta o korporacyjne „ojcostwo”, na co uzyskał zgodę. Biorąc pod uwagę bardzo niedawne wstąpienie Skrzyckiego, było jasnym, że wyjście Zygmunta z grona korporacji czynnej byłoby dla Janka dużą przykrością. A Zygmunt miał szczególną sympatię dla tego chłopca. Niejednokrotnie odbywali długie gawędy i było widoczne, że młody „fuks” odnosi się do Zygmunta jak do prawdziwego druha i przewodnika.

Rozważania Zygmunta przerwało stukanie do drzwi. Był to Janek Skrzycki.

— Możliwe przypuścić, że zachodzą między nami jakieś niewidzialne łączniki — rzekł Zygmunt, ściska-

jąc dłoń młodego kolegi. — Prawdę mówiąc, właśnie o tobie myślałem.

— A czy mógłbym wiedzieć, czemu to przypisać?

— Niema w tem, mój drogi, żadnej tajemnicy. Myślałem sobie, że będziesz wolał, żebym nie przechodził do filisterjatu i postanowiłem podania nie składać.

— Jesteś przezacny chłop. Serdecznie ci dziękuję. Myślę, że z tej twojej decyzji będzie więcej zadowolonych, ale napewno nikt w takim stopniu jak ja.

Skrzycki usiadł na krześle i zaciągnął się papierosem.

— Sprowadza mnie do ciebie kilka spraw, ale najpierw muszę zrobić małą plotkę. Dzisiaj spotkałem na ulicy Andrzeja Zaruckiego z prześliczną panną. Był nią tak zajęty, że mnie wcale nie zauważył. Ja zaś mu się przyglądałem, jakbym widział jakieś niecodzienne zjawisko. Wyobrażałem sobie, że Andrzej jest tylko i jedynie „100%-owym” działaczem, a widzę, że jest również flirciarzem pierwszej klasy. I wiesz, że zrobiło to na mnie bardzo miłe wrażenie.

— Widok ludzi sympatycznych i normalnych robi zawsze miłe wrażenie.

— Przemawia przez ciebie sympatyk zakochanych. Może i ty gdzie „wsiąkłeś”? Ale chcę ci dokończyć swojej uwagi o Andrzeju. Wielu studentów, a częściowo i ja, patrzy na Andrzeja jak na swego rodzaju dostojnika, od którego trzeba zawsze zachować należyty „dystans”. Otóż to wrażenie w znacznym stopniu u mnie się rozwiato, gdy go dzisiaj zobaczyłem całkowicie zajętego swoją towarzyszką. Ale muszę ci dodać, że „pan prezes” ma gust. Jeśli to coś na serjo, to będziemy mieć filistrową wysokiej klasy. Fiu... Fiu...

Zygmunt miał ochotę powiedzieć, że przyniesiona mu wiadomość jest z typu tych, po których się mówi „królowa Bona umarła”, ale ugryzł się w język.

— Mówiłeś — spytał — że sprowadza cię do mnie kilka spraw. Cóż takiego?

— A więc in medias res. Moja matka przysłała mnie do ciebie, żeby ci zrobić pewną propozycję. Mieliśmy sublokatora, który zakomunikował, że zwalnia swój pokój. Chodzi o to, czybyś u nas nie zamieszkał? Gdybyś chciał, mógłbyś się u nas stołować. Cóż ty na to?

Na twarzy Zygmunta pojawił się dość rzadko go-szczący na niej uśmiech.

— Odpowiem ci: ja na to, jak na lato. Kiedy mógłbym przyjść, by omówić szczegóły z twoją mamą?

— Choćby dziś. Serdecznie się cieszę, że się zgadzasz. Jest jeden mały warunek z mojej strony, ale przypuszczam, że się nań zgodzisz. Jeśli cię kiedy będę za bardzo nudził, albo nie będziesz miał czasu na gawędy, to mi zaraz powiesz.

— Warunek przyjęty.

— W takim razie stosujemy go od dzisiaj. Czy masz jeszcze chwilę czasu dla mnie?

— Jakiś kwadrans tak. Potem chcę iść do Uniwersytetu. Powiem ci w sekrecie, że chcę się dowiedzieć niektórych kwestyj, dotyczących doktoryzacji. Może się na nią zdecyduję.

— A więc, „doktorze” in spe, chcę u ciebie zasięgnąć pewnej rady, wysłuchać twojej opinii. Wczoraj widziałem się z Ludkiem Lentą. Otóż zapytał mnie, czybym nie wstąpił do stowarzyszenia „Korona”. Powiedział mi, że z korporacji naszej należą: Gudułt, on, tudzież, że prawdopodobnie wstąpi Karol Szczerbski, któremu zrobiono odpowiednią propozycję.

— Nie wymieniał ci innych nazwisk?

— Nie. Otóż idąc dalej: nie kryłem się, mój drogi, przed tobą, że sympatje monarchistyczne nie są mi obce. Nawet sporo w tej kwestji czytałem. Nie wiem, czy się ze mną zgodzisz, ale wydaje mi się, że można zaryzykować pogląd, że gdyby państwo nasze powsta-

wało w innych okolicznościach, to znaczy, gdyby w krajach sąsiednich nie płonęła w tym czasie rewolucja, to nie jest wyłączone, że mielibyśmy u siebie rzeczpospolitą królewską.

— Myśl niewątpliwie bardzo interesująca.

— Co innego jest jednak sprzyjanie idei monarchistycznej, a co innego wstąpienie do odpowiedniej organizacji. Tu się odrazu nasuwa szereg kwestyj. Moje pytanie do ciebie, ogólnie biorąc, jest następujące: Co myślisz o organizacji spod znaku Gudułta? Czy np. uważasz, że jest to organizacja poważna? Że nie posiada prawie wcale w życiu akademickim znaczenia, to wiem. Ale nic nie wiem o poziomie ludzi, którzy nią kierują.

Zygmunt nie odpowiedział odrazu. Przez chwilę przechadzał się po pokoju.

— Powiem ci tak — rzekł, zatrzymując się przed Jankiem. — Przedewszystkiem szczerść za szczerść. Ja, widzisz, choć nie biorę czynnego udziału w akademickim życiu politycznym, to jednakowoż organizacyjnie należę i płacę składkę w „Związku Narodowców”. Z mego punktu widzenia, z którym się oczywiście można nie zgadzać, należenie do korporacji daje dużo, ale jest niewystarczające, bo z natury rzeczy nie może dać tak gruntownego politycznego zorientowania się, którego potrzebę odczuwać musi każdy, kto ma w sobie „żyłkę” działacza i szersze zainteresowania. Znając ciebie, byłem pewien, że wcześniej, czy później stanie przed tobą zagadnienie wstąpienia do organizacji ideowej. Otwarcie powiem, że gdy zacząłeś mówić o propozycji Lenty, to bałem się, żebyś mnie wprost nie spytał, co ci radzę.

— Rozumiem, że to jest kwestja, którą musi każdy sam w sobie rozstrzygnąć.

— Otóż to. Co się tyczy ludzi, kierujących organizacją Gudułta, to ci nic o nich nie mogę powiedzieć.



Poprostu nie interesowałem się nimi. Grają zbyt nikłą rolę. Mówiąc bez ostonek, należałoby powiedzieć, że żadnej roli nie grają. W twoim wypadku uważam, że należałoby jedną rzecz ustalić. Wiem, że jesteś z najgłębszego przekonania narodowcem...

— To jest bezsporne. Jeśli nie w „Koronie”, to jedyne moje miejsce jest w „Związku Narodowców”.

— Stąd wypływa dla mnie wniosek, że powinienes ustalić z wszelką pewnością, czy w programie monarchistów Gudulła niema punktów sprzecznych z ideologią narodową. To wszystko. Co do mnie, to przypuszczam, że są tam rzeczy, wprost godzące w podstawowe nasze wskazania.

— Zaciekawiasz mnie.

— Na twojem miejscu, mój kochany, tobym porozmawiał o tem z Andrzejem Zaruckim. Na stanowisku, które zajmuje, ma możność nieraz dużo widzieć. A poza tem umie brać każde zagadnienie za „łeb”. Mógłbym ewentualnie uczestniczyć w tej rozmowie. Teraz cię na chwilę przeproszę. Muszę zająć do sekretarjatu naszego domu, a potem razem wyjdziemy.

Janek Skrzycki rozglądał się po skromnem urządzeniu pokoiku Zygmunta. Podszedł do stołu, na którym leżała plika książek. Zaczął przerzucać z zainteresowaniem dzieła prawnicze. Przejrzał w prawie narodów rozdział, traktujący o przedstawicielach dyplomatycznych. Wkońcu zwróciła jego uwagę książka, która leżała oddzielnie jedna. Wziął ją do ręki. Był to tomik poezyj Słowackiego. Zaczął czytać początek „W Szwajcarii”. Gdy odwrócił pierwszą stronę, znalazł w książce mały arkusik papieru, na którym ręką Zygmunta Błońskiego był napisany wiersz. Janek czytał:

„Zawsze... kiedy jestem sam ze sobą  
I cicha zaduma sptywa na mnie,  
Zdaje mi się, że mi życie kradnie  
Wszystko, co jest młodości ozdoba...”

Ze swoją dobrą słodką twarzą  
Boży Syn — na mojem biurku stoi...  
Nie puszcza do zatraty podwoi...  
„Mówi” mi: jestem dla ciebie strażą.

Wtedy się staje dla mnie oczywiste,  
Że choć każdy szczęśliwym być może,  
Być nim nie musi, bo szczęścia zorze  
Są nie dla wszystkich. Tak chciałeś, Chryste!”

Pod wierszem znajdował się dopisek: „pisałem w lipcu”.

Janek doznał dziwnego uczucia, czytając te słowa; jakgdyby popełnił nadużycie. Zajrzał nieproszony w głąb duszy swego przyjaciela. Szybko odłożył tomik Słowackiego na poprzednie miejsce. Po chwili rozległy się na korytarzu kroki powracającego Zygmunta. Otworzyły się drzwi.

— Idziemy więc!

Schodząc po schodach, spotykali licznych studentów. Jeden z nich wymienił z Zygmuntem ukłon. Gdy już ich minął, Zygmunt zwrócił się doń:

— Jedno słówko, kolego. Chcę wam powiedzieć, że w najbliższych dniach opuszczam Dom Akademicki. Dostałem prywatne „locum”.

Rozmawiający z Zygmuntem stał o kilka kroków od Janka Skrzyckiego. Zwróciła uwagę Janka — jego twarz o charakterystycznych rysach, ostro zarysowanych, jakie się nieraz spotyka u ludzi wybitnie wyczerpanych. Dobięły go słowa nieznanego studenta:

— Odwiedzę was, kolego, przed waszym wyjazdem.

Gdy Zygmunt pożegnał się z nieznanym, Janek spytał:

— Mogę wiedzieć, kto to taki?

— To mój sąsiad. Zajmuje pokój obok mnie. Nazywa się Czesław Żórawiecki. Stosunkowo najbliżej

z nim tutaj żyłem. Dlatego go powiadomiłem, że zmieniam siedzibę.

— Pytam się o niego, bo uderzył mnie jego wygląd. Musi być przecież jeszcze młody, a ma twarz człowieka już bardzo zmęczonego.

— Masz rację; chociaż naogół nikomu nie płynie tutaj życie po różach, to jednak Żórawiecki robi na mnie w ostatnich czasach wrażenie, jakby się czemś zadreślał. Trudno, mój drogi. Każdy ma swojego mola, który go gryzie. Wyjątki są bardzo nieliczne.

Janek nic nie odpowiedział. Przyszedł mu na myśl przypadkiem odkryty wiersz. Po chwili wsiedli obaj z Zygmuntem do tramwaju, który jechał w stronę Uniwersytetu.

---

„Bratniak” wrzał życiem. Do wszystkich stolików tłoczył się rój interesantów. W sekretarjacie „generalny” Łukocz nie pisał wbrew swemu zwyczajowi na maszynie. Musiał co chwila służyć informacjami cisnącej się „młodzieźnie”. Byli to przeważnie składający deklaracje o przyjęcie do „Bratniaka”. Pierwszoroczniki. Wiadomo, muszą hałasować. Dzięki nim lokal robił teraz wrażenie ula pełnego pszczoł.

W pokoju prezydium pracował Andrzej. Praca ta była trochę utrudniona nie ze względu na przebijający się przez drzwi rozgwar, ale ze względu na to, że co chwila odrywał wzrok od leżących przed nim papierów, kierując go w stronę siedzącej w pobliżu okna Zochy Lachowiczówny. Pierwszy raz odwiedziła go w „Bratniaku”, sprawiając mu tem wielką radość. Widział w tem najlepszy dowód, że gotowa jest już „przyznać się” do niego przed wszystkimi, że zatem ich wspólna sprawa przestanie być niezadługo chronionym sekretem.

...Tak nagle odmieniło się jego życie.

Spowodu Zochy, gdy był w Zakopanem, czuł się tak, jakby przygaszono wszystkie blaski, któremi płonął jego „horyzont”. A teraz za jej sprawą wszystko wokół niego odzyskuje radosny koloryt.

Tak jak w tem sennem marzeniu... Zdaje mu się ciągle, że go czeka wędrówka przez pełne słońca i kwiatów ogrody... Ogrody, w których dzięki niej będzie zawsze świeciło słońce i będą zawsze kwitły kwiaty.

Teraz przyszła do niego, aby po skończonem urzędowaniu wyciągnąć go do kina.

Wie, że jest niezadowolona, gdyż on musi przedtem odbyć posiedzenie zarządu, co prawda, jak zaznaczył, bardzo krótkie.

Za dwa dni ma nastąpić uroczysta inauguracja roku akademickiego na Uniwersytecie, na której ma przemawiać w imieniu młodzieży akademickiej. Było już ustalone tradycją, że przemawia każdorazowy prezes „Bratniej Pomocy”. Mające się odbyć posiedzenie zarządu miało na celu przyjęcie do wiadomości tekstu przemówienia Andrzeja.

— Jak zrobimy, Andrzeju? — spytała Zocha. — Przecież nie będę tu mogła czekać przez cały czas zebrania.

— Zaraz ci powiem. Najlepiej chyba będzie, jak na mnie poczekaasz w tej małej cukierni koło kościoła Ś-go Krzyża. Postaram się przyjść jaknajprędzej.

— Dobrze. Wobec tego zabieram się.

Andrzej wstał i, uchylwszy brzeg rękawiczki Zochy, ucałował jej dłoń.

— Ponieważ nikt nie widzi, trzeba ucałować i drugą — rzekła Zocha — żeby nie zazdrościła.

Rozległo się szybkie pukanie do drzwi; instynktownie się od siebie odsunęli.

— Proszę — rzekł Andrzej.

W uchylonych drzwiach ukazała się Iza.

— Czy nie przeszkadzam?

— A, jak się masz. Wiesz przecież, że to są godziny przeznaczone na „przeszkadzanie” mi. Pozwólą panie, że je zapoznam: moja siostra — panna Lachowiczówna.

Spostrzegł, że przez twarz Zochy przeszedł różowy obłok.

— My z panią przecież tak, jakbyśmy się już znały — mówiła Iza. — Widywałyśmy się w Jastrzębiej Górze. Jesteśmy, jak widzę, koleżankami. Ja będę na filozofji, a pani?

— A ja byłam na medycynie, a będę tak jak pani na filozofji.

— Będzie najlepiej, jak dla pogawędki usiądą panie na otomanie — odezwał się Andrzej, i jakby bojąc się sprzeciwu, wyszedł pośpiesznie z pokoju. Cieszył się, że przypadek przyśpieszył zapoznanie się Izy z Zochą, i postanowił teraz przypadkowi trochę przyjść z pomocą. Z konieczności będą musiały przez chwilę porozmawiać.

Bez specjalnego celu obszedł poszczególne agendy „Bratniaka”. W sekretarjacie Łukocz uśmiechnął się do niego.

— Domyśla się czegoś bestja — pomyślał Andrzej.

Już miał wracać do siebie, gdy natknął się na wchodzących Błońskiego ze Skrzyckim.

— My tu do ciebie na krótką chwilę — rzekł Zygmunt. — Czy można?

— A to chodźcie do mnie.

— Właściwie to ma do ciebie sprawę Janek.

— Tem lepiej, będziesz mógł w międzyczasie załatwić moich dwóch interesantów.

— Kpisz sobie. Skąd ja?

— Zaraz się przekonasz.

Gdy weszli do pokoju prezydjum, Andrzej przedstawił obu kolegów paniom, poczem zwrócił się do Zygmunta:

— Porozmawiaj z paniami, a ja załatwię tymczasem sprawę z kolegą Jankiem.

Gdy odeszli na stronę, objął Janka ramieniem:

— Czem ci mogę służyć, mój drogi?

Janek pokrótce wyłuszczył swą sprawę. Czuł się w rozmowie trochę zażenowany. On, niedawno upieczony „fuks” mówił do Andrzeja jako jego komiliton per „ty”.

Andrzej, słuchając Janka, spoglądał chwilami w stronę rozmawiających w głębi pokoju. Myślał, że właściwe zrozumienie sytuacji mają tylko Zygmunt i Zocho. Iza nie orjentowała się z „kim” zawarła znajomość.

Łatwo było zauważyć, że jest zadowolona z poznania się ze „znajomą” znad morza.

W Jastrzębiej Górze widywały się z natury rzeczy codziennie; wszyscy żyli tam „wspólnem życiem” plaży: ci, co nie znali się osobiście, wiedzieli o sobie dużo ze słyszenia. Dowiedziała się więc, że w gronie młodzieży obdarzono tę ładną, trochę jakby starszą od niej pannę przezwiskiem „sopelek lodu”.

Okazało się, że „sopelek” jest znany... Andrzejowi. I pozory zdają się mówić, że znany... dobrze.

Czuła się bardzo zaintrygowaną. Rzuciła spojrzenie w stronę brata i odniosła wrażenie, że on „bierze” udział w ich rozmowie.

Usłyszała głośniejsze wypowiedziane końcowe słowa interesanta Andrzeja:

— Doskonale. Zrobię tak, jak mi radzisz.

Andrzej nie mógł długo zatrzymywać swoich gości, gdyż miało się zacząć posiedzenie zarządu. Przez drzwi nie dobiegał już taki rozgwar jak poprzednio. Po wyjściu z lokalu „Bratniaka” Zygmunt Błoński z radością stwierdził, że może odprowadzić sam Izę. Mocno biło mu serce. Wszak pierwszy raz mógł rozmawiać z nią dłużej od dnia jej matury.

I pierwszy raz, gdy już nie stał na drodze do niej Jerzy.

Gdy znaleźli się na ulicy, Iza spytała:

— Czy pan przypadkiem nie wie, jak dawno Andrzej zna pannę Lachowiczównę? Nic mi o tem nie wspominał.

— Znają się, myślę, że nie dawniej, niż Andrzej został wybrany do „Bratniaka”. A to, że pani nie mówił, jest zupełnie zrozumiałe; jako prezes „Bratniej Pomocy” ma bardzo rozległe znajomości...

## VII.

W dzień uroczystej inauguracji roku akademickiego od rana można było w gmachu Uniwersytetu zauważyć nastrój świąteczny. Pomimo że to był dzień niedzielny, a sama uroczystość była wyznaczona punktualnie na południe, już na dwie godziny przedtem hall Uniwersytetu zaczął się zaludniać. Przeważali studenci, a wśród nich korporanci — wyznaczeni na straż honorową. Z każdą chwilą, zbliżającą początek uroczystości, powiększała się ilość osób, ciągnących przez dziedzińiec w stronę głównego gmachu, gdzie przy wejściu ustawione „drzewka” wskazywały, że nie jest to na Uniwersytecie dzień zwykły. Takież „drzewka” stały w hallu tudzież na półpiętrach. Wchodzącemu do gmachu Kazikowi Szreniawicie przyszło na myśl, coby takie nieśmiertelne „drzewko” opowiadało, gdyby mogło mówić. Bo gdzież ono nie bywa? Na ślubach, pogrzebach, balach, koncertach, odczytach. Niemal wszędzie. Niewiędzące, zawsze jednakowo zielone i „uroczyste”.

Kazik po zostawieniu palta w szatni poszedł zajrzeć do bufetu. Choć spowodu niedzieli bufet był nieczynny, na sali było dość rojno. Tutaj oczywiście byli sami studenci. Spozstrzegł odrazu szereg znajomych. W rogu sali pod wielką drewnianą paką żywo rozprawiała Haneczka Czesławowiczówna z Władkiem Delfi. Z igrającym na ustach uśmiechem przyglądała

się im stojąca opodal studentka, wysoka jak tyczka, otaczająca się co chwila kłębamii dymu tytoniowego.

Zobaczywszy Kazika, skinęła na niego ręką. Podszedł się przywitać.

— Witam pana, panie Kaziku. Świetnie pan wygląda. Przyszłam tu dzisiaj specjalnie, żeby posłuchać pana Andrzeja. Przypuszczam, że to będzie najciekawsze przemówienie. Ale żarty na stronę. Muszę panu powiedzieć, dlaczego tak obcesowo dałam panu poznać, że chcę z nim rozmawiać.

Zaciągnęła się głęboko papierosem i niedbałym ruchem poprawiła kapelusz stosunkowo za wielki do jej drobnej twarzy.

Kazik skłonił się z galanterją.

— Służę pani.

Równocześnie uśmiechnął się porozumiewawczo do siedzących przy stole Likowskiego, Pokojskiego i Szczerbskiego.

— Niech pan sobie wyobrazi moje zdziwienie, gdy otrzymałam przed kilku dniami list od pana Jurka Lando. To, że u mnie bywał, to panu wiadomo. Napisał mi, że przeniósł się na Uniwersytet do Wilna. Dziś, przyszedłszy tutaj, przeczytałam na „tablicy” korporacji, że pan Jurek przestał być członkiem korporacji. Jestem bardzo zaintrygowana. Co się stało?

Kazik rozłożył ręce:

— O tem, że Jerzy jest w Wilnie, dowiaduję się w tej chwili od pani. Jeśli chodzi o jego wystąpienie z korporacji — to przyznaję, że mnie zaskoczyło. Nic więcej pani powiedzieć nie mogę. Jest obowiązującym zwyczajem, że wszystko, co poprzedza wydanie wyroku — nie jest ujawniane.

— A to przepraszam pana. Nie wiedziałam o tem.

Po chwili Kazik siedział w grupie korporacyjnych kolegów. Zakomunikował im wiadomość, zasłyszaną o Landzie. Nie przeszła bez wrażenia.



— To się nazywa powiedzieć nam gruntownie: „bądźcie zdrowi” — odezwał się Pokojski.

— Z dodatkiem: bądźcie bez złudzeń, bym do was kiedykolwiek wrócił — uzupełnił Likowski.

„Historyk” miał swój osobisty pogląd, że przyczyna przeniesienia się Landy do Wilna znajdowała się poza korporacją. Biorąc przykład z siebie, we wszystkich sprawach kolegów doszukiwał się wpływu kobiet. Coś-niecoś domyślał się.

Do sali bufetowej wszedł olderman Żabiński. Podeszedł do tablicy „Gdynji” i wywiesił „komunikat”. Nie uszedł oczywiście uwagi swych kolegów.

— Słuchaj, Karol — zwrócił się Pokojski do Szczerbskiego. — Poproś „Żabcia” do nas.

Szczerbski zbliżył się do Żabińskiego i powtórzył mu życzenie kolegów; sam zaś zatrzymał się przed tablicą korporacji dla przeczytania „komunikatu”. Była to zapowiedź zebrania ogólnego, to jest ogótu barwiarzy i „fuksov”, przy współdziale filistrów. Zebrania takie odbywały się dwa razy w roku dla przyjęcia sprawozdania z działalności i ogłoszenia nowych władz. Miały zająć obecnie tylko drobne zmiany, gdyż przyjdum ze Szreniawitą na czele zostało wybrane powtórnie.

W tejże chwili do tablicy „Gdynji” podeszło dwóch studentów.

— Ciekawe, co tam piszą u paniczków? — odezwał się jeden.

Poczem dodał:

— Ano jak widać, znalazł się taki, który miał ich gruntownie dosyć.

Szczerbski słyszał dokładnie rozmowę.

— Co do mnie — rzekł drugi — to uważam „Gdynję” za najwstrętniejszą ze wszystkich korporacyj. Obmierzła organizacja cuchnąca nacjonalizmem.

Karol Szczerbski stanął przed mówiącymi.

— Jestem członkiem „Gdynji”. Musiały mnie zainteresować pańskie uwagi. Oto moja karta: chcę usłyszeć pańskie nazwisko.

Nieznajomy pobladł.

— A skąd panu wiadomo, że ja zechcę?

— Trzeba — wtrącił się jego towarzysz.

Student, który wyrażał swoje opinie o „Gdynji”, długo szukał swego biletu.

Wreszcie go podał.

Szczerbski przeczytał: „Jan Smutnik, student prawa U. W.” Skłonił się obu studentom i wrócił do grona kolegów, którzy zwrócili uwagę na fakt wymiany biletów. Przedstawił im przebieg incydentu.

Szreniawita zwrócił się do Żabińskiego:

— Trzeba, żebyś rozesłał przez fuksów zawiadomienia, że dzisiaj o godz. 7-ej wieczorem odbędzie się nadzwyczajne zebranie koła. W porządku obrad zaznacz: sprawa honorowa korporacji. Kogo się da, to korzystając z dzisiejszej obecności wielu na Uniwersytecie, należy zawiadomić ustnie.

Żabiński ze Szczerbskim wyszli; za nimi po chwili pozostali korporanci.

— Coś mi się zdaje — odezwał się Pokojski — że tym razem nie unikniemy rozprawy. Nie wydaje mi się możliwem, by po słowach tego pana Smutnika można było brać pod uwagę możliwość pokojowego załatwienia.

— Zobaczymy — rzekł Szreniawita. — Znam z praktyki wypadek, kiedy były już podpisane warunki spotkania, a pomimo to do niego nie doszło.

Gdy znaleźli się na korytarzu, spostrzegli oznaki, że uroczystość inauguracji zacznie się lada chwila. Ostatnie osoby, znajdujące się w hallu, szybko się kierowały na górę. Wchodząc do auli, zauważyli, że od strony sali posiedzeń Senatu wysuwał się orszak profesorski.

Aula była nabita. Z trudem wsunęli się w tłum studentów. Tuż koło przejścia zauważyli stojącego

Andrzeja Zaruckiego. Rozmawiał z dwoma studentkami, siedzącymi z brzegu w krzesłach.

— Słuchaj, Kazik — odezwał się „historyk” —, przyjrzyj się, z kim rozmawia Andrzej. Jedna z koleżanek, to panna Iza, ale tę drugą widzę pierwszy raz. Wspaniała kobieta.

Kazik nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie rozległy się pierwsze dźwięki orkiestry studenckiej, grającej „Gaude Mater Polonia”. Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę wejścia do auli.

Szedł orszak.

Na przodzie kroczyli pedlowie uniwersyteccy, niosący berta poszczególnych wydziałów. U niejednego ze studentów, znających ich z codziennych zajęć, budzili uśmiech swym dzisiejszym majestatycznym wyglądem. Za pedlami szli wolnym krokiem profesorowie przybrani w togi. Szli parami, kierując się w stronę podjum, po którego bokach stał rząd sztandarów akademickich korporacyj. Grono profesorskie zamykali idący obok siebie prorektor Czesławowicz i przybrany w grono staje rektor Sękowski. Na piersiach profesora Czesławowicza zwieszał się złoty łańcuch rektorski. Zda go na obecnej uroczystości swemu następcy. Tuż za rektorami szła delegacja „Bratniaka” ze sztandarem Uniwersytetu.

Dzierżył go krzepko w swych rękach „generalny” Łukocz.

Gdy zmilkł dźwięki orkiestry, a wszyscy profesorowie zdążyli zająć swe miejsca — wszedł na katedrę prorektor Czesławowicz. Zaczął odczytywać sprawozdanie z rocznej działalności „Almae Matris”.

---

Zygmunt Błoński dobrze ze swego miejsca widział wszystkich zgromadzonych w auli. Będąc nie pierwszy raz na inauguracji, mógł stwierdzić, że uroczystość gromadziła z małymi wyjątkami rokrocznie te same osoby.

W pierwszym rzędzie foteli rzucały się w oczy sylwetki przedstawicieli Kościoła i innych wyznań, dygnitarzy ministerjalnych i miejskich; pozatem prasa reprezentowana stale przez te same osoby, ci sami zawsze krewni profesorów i tłum studentów. Spojrzenie Zygmunta, jakby pociągane magnesem, kierowało się stale w stronę miejsca zajmowanego przez Izę. Niewiele słyszał i rozumiał ze słów profesora Czesławowicza. Cała jego uwaga była skupiona na jasnoblondwłosej aureoli. W pewnej chwili Iza, jakby czując uparte spojrzenie, rozejrzała się dokoła. Zauważyła Zygmunta, zapatrzonego w nią, jakby była tylko jedna na sali. Zahaczyły się o siebie ich spojrzenia. Na jego ukłon odpowiedziała skinieniem głowy i jak mu się zdawało lekkim uśmiechem. Przyszło mu na myśl, czy możliwe, żeby wyczytała z jego wzroku, to wszystko, co jej „mówił”: „...„wolę cię niżli sceptr, niżli zdrowie, niżli długi wiek i życie”...

Rozległy się długie, burzliwe oklaski; to profesor Czesławowicz skończył swoje sprawozdanie. Nastąpić miała teraz uroczystość zdania władzy nowoobranym członkom Senatu Akademickiego.

Wśród ciszy stanęli przed sobą na podjum ustępujący rektor Czesławowicz i nowoobрани rektor Sękowski.

Pochyliły się akademickie sztandary... Zabłyły w słońcu skrzyżowane na drzewcach sztandarowych rapiry...

Profesor Czesławowicz zdjął łańcuch rektorski i wręczył go swemu następcy, nowej głowie Wszechnicy. Siedzący w najbliższych rzędach usłyszeli wypowiedziane słowa „quod felix faustum fortunatumque sit”.

Po rektorach dziekani wydziałów dokonali przekazania swych godności. Jeden tylko dziekan wydziału prawa jako ponownie obrany nie ruszył się ze swego fotela.

Skolei na katedrze ukazała się postać rektora Sękowskiego. Zgodnie z tradycją miał wygłosić wykład.

Andrzej siedział w jednym z pierwszych rzędów koło przejścia. Miał emocję. Po wykładzie odbędzie się krótka symboliczna uroczystość imatrykulacji kilkunastu spośród olbrzymiej rzeszy nowowstępujących studentów. Miło mu, że wśród nich będzie Iza. A potem ma przemawiać on. Nie może zaprzeczyć, że ma tremę. Przemawiać po rektorze — to nie bagatela. Objął spojrzeniem sylwetki siedzących dostojników. Będą go słuchali.

A przedewszystkiem usłyszy go po raz pierwszy największy dlań i najznamienitszy „dostojnik” — Zocha. Przyszła tu, choć prawdę mówić, niebardzo ją o to prosił. Troszkę się bał, żeby nie była tym jedynym słuchaczem, którego obecność go „speszyl”.

Zocha pierwszy raz wchodziła dziś w obręb tych zagadnień, które on nazywał swoją „wielką służbą”.

Poszukał jej wzrokiem na sali. Zdawała się słuchać z całym zajęciem wykładu profesora Sękowskiego. Andrzejowi przyszło na myśl, że zarówno ona, jak i większość obecnych nie rozumie wszystkiego z dziedziny, stanowiącej przedmiot wykładu rektora.

Gdy rektor Sękowski skończył mówić, rozległy się oklaski. Rektor stanął na środku podjum. Sekretarz Uniwersytetu zaczął odczytywać z kartki nazwiska akademików i akademikzek, podlegających imatrykulacji. Zbliżali się kolejno do rektora, który uściskiem dłoni witał ich jako obywateli akademickich. Iza z racji swego nazwiska na „Z” była ostatnią zrzędu imatrykułowanych. Po skończonej ceremonii rektor zasiadł na swoim miejscu.

Program uroczystości przewidywał teraz przemówienie prezesa „Bratniej Pomocy”. Andrzej wstał i skierował się w stronę podjum. Trzymał w ręku ciemnoniebiesko-biało-czerwony dekiel „Gdynji”. Ciszsza, panująca na sali, wydawała mu się szczególnie de-

nerwująca. Gdy spojrzął jednak na audytorjum, natychmiast się uspokoił. Zaczął swoje przemówienie od zarysowania budowy „Rzeczypospolitej akademickiej”. Mówił o „Bratnich Pomocach”, kołach naukowych, kołach prowincjonalnych, korporacjach i organizacjach ideowych, tudzież o nadbudowie ich wszystkich — stanowiącej rodzaj „rządu” akademickiego.

W pewnej chwili rzucił spojrzenie w stronę Zochy, ale natychmiast przeniósł je gdzieindziej, bojąc się o utratę wątku przemówienia. Dłużej omówił sprawę biedy, panującej wśród szerokich rzesz studenckich. Mówił, że polska młodzież akademicka oczekuje od polskiego społeczeństwa, iż przyjdzie jej z pomocą, o ile wyznaje pogląd, że wolnej Polsce... potrzebna jest polska z ducha inteligencja. A następnie zwrócił się do ustępującego rektora Czesławowicza, dziękując mu za pomoc i opiekę, okazane młodzieży akademickiej. Słowa, które mówił, były widocznie wyrwane z wielkiego przekonania wszystkich zgromadzonych, bo sala zatrzęsa się od oklasków. Długą manifestacją wyrażono hołd i wdzięczność ustępującemu rektorowi, który wstał ze swego miejsca, dziękując ukłonem.

Polscy studenci umieją odpłacać sercem za serce.

Andrzej zakończył swoje przemówienie hołdem dla rektora profesora Sękowskiego, oraz życzeniami dla nowostępujących kolegów.

Obaj rektorowie podziękowali mu uściskiem dłoni.

Studenci, wypełniający więcej niż w połowie aulę, bili gromkie brawo prezesowi swojego „Bratniaka”.

Uroczystość inauguracji zbliżała się ku końcowi.

Orkiestra studencka zagrała „Gaudeamus igitur...” Grono profesorskie formowało się powoli w orszak.

Przy wyjściu z Uniwersytetu Andrzej tak manipulował, by Zygmunt szedł z Izą, on zaś z Zochą. Idąc przez dziedziniec, zwrócił się do niej:

— Trudno mi będzie teraz ciebie odprowadzić, bo przecież Iza jeszcze nic nie wie.

Zocha nie odpowiedziała na tę przejrzystą aluzję do sprawy ujawnienia ich stosunku. Gdy dochodzili do wyjścia na ulicę, spytała:

— Słuchaj, Andrzejku... Jedna z moich szkolnych koleżanek chce pracować w „Bratniaku”. Jak to zrobić?

— A czy dobra z niej pracownica?

— Myślę, że tak.

— Wiem, kochanie, że sekretarz generalny Łukocz poszukuje pomocy do sekretarjatu. Najlepiej będzie, jak twoja koleżanka zgłosi się do niego, powołując się na mnie.

Wracając do domu Zocha czuła, że łańcuch, łączy ją z Andrzejem, został wzmocniony metalem wielkiej wartości — uczuciem dumy z jej chłopca.

Tego dnia widziała pierwszy raz Andrzeja — przywódcę.

## VIII.

Zygmunt Błoński, tak jak i wszyscy członkowie „Gdynji”, opuszczał zebranie korporacyjne pod silnym wrażeniem niespodziewanego faktu, który zaszedł podczas obrad. Zebranie trwało krótko. Po zreferowaniu przez Szreniawitę incydentu, który miał miejsce w bufecie uniwersyteckim, uznano jednomyślnie, że korporacja ma zatarg honorowy i postanowiono prosić o zastępstwo członków „Sokolji” — Zbyszewskiego i Delfiego. Delfi ostatnio otrzymał barwy.

Dla Zygmunta sprawa honorowa korporacji nie przedstawiała się tak prosto. Pierwszy raz zetknął się on blisko, niejako materialnie z zagadnieniem pojedynku, zagadnieniem, kolidującym z jego katolickim poglądem. Wstępując do korporacji, Zygmunt liczył na to, że może los pozwoli mu tego uniknąć, że może korporacja sama i on z tytułu przynależności do niej nie staną wobec kwestji pojedynku jako bezpośredni aktorzy.

Los zrządził inaczej. Było niewykluczone, że on, Zygmunt Błoński, stanie o s o b i ś c i e wobec dylematu odbycia pojedynku w imieniu korporacji. O ile na niego padnie los i o ile oczywiście Smutnik nie da wystarczającego zadośćuczynienia na drodze pokojowej.

Cóż należało uczynić?

Przed posiedzeniem koła Zygmunt przeżył wiele ciężkich godzin. Zmagał się z chmurą wątpliwości, które wyrastały z każdego zakątka jego mózgu...

Czy widzieć w „Gdynji” organizację niesympatyczną, „wstrętną”, jak się wyraził Smutnik, to jest to samo, co godzić w jakiś obowiązujący wszystkich stronnych ludzi nakaz moralny, ustanowiony w interesie zbiorowości, regułę, za której obrazę wolno odebrać życie?

Ale za tą myślą przybiegła druga: czy Smutnik nie p o n i ź y ł „Gdynji”? A jeśli tak, to co ma „Gdynja” uczynić w wypadku, gdy Smutnik nie da zadośćuczynienia pokojowego? Czy doznana zniewagę ma puścić płazem? Czy to nie będzie oznaczało, że można bezkarnie uchybić jej sztandarowi? Bezkarne... bo niema trybunału, do któregoby mogła pójść „Gdynja” po zadośćuczynienie. Wszak „Gdynja”, jako stowarzyszenie akademickie, nie posiada osobowości prawnej, a powtóre Smutnik wyraził jedynie swoją opinię o „Gdynji”, w dodatku opinię o treści... politycznej.

Brać udział w losowaniu, kto będzie przeciwnikiem Smutnika, oznaczało dla Zygmunta, że dopuszcza dla siebie możliwość odbycia pojedynku, a zatem oznaczało to wejście w konflikt ze światopoglądem katolickim i z rygorami Kościoła.

A coby było, jeśliby się uchylił od udziału w losowaniu?

Szybko odrzucił od siebie tę myśl.

Uznanoby go za tchórzal



Czyż więc nie istnieje dla niego możliwość znalezienia „wyjścia”?

Wtedy pojawiło się przed nim pytanie: cóż jest istotą pojedynku? Jest to, że dwóch ludzi ma wystawić swe życie na niebezpieczeństwo, stanąć wobec groźby jego unicestwienia. I „korzyść” ma odnieść tylko jeden z nich, ten, który został znieważony. Tylko on jeden. Nikt więcej...

Czy pojedynek straciłby swój istotny charakter, gdyby korzyść z niego... r o z s z e r z y ć, gdyby ją odniosło społeczeństwo?

Czy toby nie rozgrzeszyło pojedyнку?

I Zygmunt przypomniał sobie, że kiedyś o takim pojedyнку słyszał. Dwóch ludzi, z których jeden ciężko znieważył drugiego, i którzy pojedynek taki, jaki przewidują „kodeksy honorowe”, ze względów religijnych odrzucali, — tych dwóch ludzi odbyło pojedynek i n n y, pojedynek w całym tego słowa znaczeniu, przy którym wiele pojedynków, odbywanych zgodnie z kodeksami honorowymi, było zabawką. Obaj poszli na dwa tygodnie do obsługiwania zakaźnych chorych. Ich zastępcy uznali potem, że sprawa zakończyła się honorowo dla obu stron.

Czy jakkolwiek autor kodeksu honorowego miałby co do tego wątpliwość?

Tak myślał Zygmunt i postanowił, że gdy on wyciągnie gałkę, to zaproponuje taki pojedynek.

Na posiedzeniu koła, gdy ustalono już osoby zastępców, Szreniawita zapowiedział, że odbędzie się losowanie, kto ma stanąć na placu w ewentualnym pojedyнку.

Zrobiło się cicho. Każdy poczuł, że się ociera o niebezpieczeństwo życia. Wtedy... poprosił o głos Likowski i powiedział, że losowanie jest zbyt uczte, bo on wyraża gotowość stanąć na mecie.

Wrażenie było niezwykłe. Niczyje zgłoszenie nie wywołałoby takiego efektu. „Historyk” — tak kocha-

jący życie i jego uśmiechy. Niezbadane tajemnice kryje w sobie ludzka natura.

Po oświadczeniu Likowskiego zabrał głos Szreniawita. Powiedział:

— Jeśli dochodzi do dobrowolnych zgłoszeń, to nie uważam za możliwe, żeby brak było zgłoszenia urzędującego prezesa: zgłaszam się również do stanięcia na mecie.

Odbyło się losowanie między Szreniawitą a Likowskim. Los padł na „historyka”. Wybór broni pozostawiono mu do uznania.

Wspomnienia z zebrania kłębiły się w mózgu Zygmunta, gdy wrócił do domu.

Czekała go robota. Musiał się spakować przed jutrzejszą ranną przeprowadzką na nowe mieszkanie do pani Skrzyckiej. Był zadowolony ze zmiany siedziby. Małka Janka zrobiła na nim bardzo sympatyczne wrażenie. Zaproponowała mu przystępne warunki i zgodziła się go stołować. Będzie mógł pędzić bardziej regularny tryb życia. Obliczył, że wynagrodzenie, które otrzymuje jako aplikant, wystarczy na mieszkanie i życie. Na resztę będzie musiał czerpać ze swych „rezerw”.

Pakując ubranie, bardzo pieczołowicie układał w walizie niedawno kupiony garnitur smokingowy. Był to dla niego duży wydatek, ale wydawał mu się niezbędny. Rozumował, że jeśli myśli w swych najgłębszych tajnikach o Lzie Zaruckiej, to musi mieć ubranie, któreby mu ułatwiło bywanie w jej środowisku. Przyszło mu na myśl zdanie powiedziane kiedyś pół żartem pół serjo przez szambelana Kazimirskiego, że młodemu człowiekowi strój wieczorowy jest tak potrzebny, jak żołnierzowi karabin w czasie bitwy.

Było już dość późno, gdy Zygmunt stwierdził z zadowoleniem, że wszystko jest przygotowane do wyprawki.

Miał się już zacząć rozbierać, gdy u drzwi rozległo się pukanie. Był to sąsiad Czesław Żórawiecki. Wyglądał taksamo marnie jak wtedy, kiedy go spotkał na schodach z Jankiem Skrzyckim.

— Czy można? Przyszedłem wam po raz ostatni uściskać dłoń na tutejszych śmieciach.

— Dziękuję wam bardzo. Wiecie dobrze, że mi zawsze miło was powitać. Siadajcie, kolego. Jestem wam szczerze wdzięczny, że nie czekaliście na moje przyście do was. Wybierałem się wpaść do was jutro rano.

Żórawiecki wyjął pudełko papierosów. Po chwili mały pokoiik Zygmunta wypełnił się kłębamii dymu. Płonąca lampka elektryczna wyglądała jak przykryta welonem mgły.

— Zazdroszczę — mówił Żórawiecki — że udało się wam tak łatwo dostać prywatne mieszkanie. Będzie wam lepiej. Żałuję tylko, że siłą rzeczy urwą się nasze gawędy. Dobrze mi się nieraz z wami gadało. Obiecuję sobie odwiedzić was kiedy na nowej siedzibie.

— Serdecznie was zapraszam.

Żórawiecki zaciągnął się głęboko papierosem.

— A ja, niestety, czuję się coraz bardziej pod psem.

Machnął ręką ze zniechęceniem. Zygmunt chciał się go spytać o zdrowie, ale gość jego mówił dalej:

— Przyniosłem wam, kolego, jeden drobiazg. Wybaczcie mi, że tak powiem, moje sentymentalizmy, ale szczerze mówiąc, dość was polubiłem.

To mówiąc wręczył Zygmunutowi swoją fotografię formatu pocztówkowego.

— Bardzo, ale to bardzo wam dziękuję — rzekł Zygmunt. — Oczywiście pozwolę sobie wam wręczyć swoją podobiznę.

Zygmunt był szczerze wzruszony.

Na fotografii widniał poniżej napis: „Szanownemu Koledze Błońskiemu — na pamiątkę wspólnych rozmów

w Domu Akademickim". Pod tem z zakrętasem podpis: Czesław Żórawiecki.

Zygmunt oparł się o drzwi i zapatrzył się w świecącą w kłębach dymu tytoniowego lampę.

— Po takim upominku, jakim mnie obdarzyliście, myślę, że mogę was zapytać o jedną rzecz. Powiedzcie mi, kolego, co się z wami dzieje? Wyglądacie nieszczególnie. Może macie jaki kłopot, który mógłbym choć trochę zmniejszyć? Człowiekowi bywa czasami łzej, gdy się wywnętrzy z tego, co go gryzie.

Żórawiecki podniósł głowę i spojrzał mu wprost w oczy. Przez twarz przebiegł mu skurcz. Po chwili zapatrzył się w czubek swego buta, jak w coś niezwykle atrakcyjnego.

Nastąpiła chwila kłopotliwego dla Zygmunta milczenia. Patrząc na swego kolegę, pojął, że rozstrzyga w swej mózgownicy kwestję: mówić, czy nie mówić?

— Jeśli w mojem pytaniu dostrzegacie niedyskrecję, to was bardzo przepraszam.

Żórawiecki strząsnął popiół z papierosa.

— Nic podobnego, kolego. Nie jesteście pierwszym, który mnie pyta, co się ze mną dzieje, ale jesteście pierwszym, któremu mogę coś w tej materji powiedzieć...

Poczem dodał:

— Chodzi o jednego bardzo mi bliskiego człowieka. Jeśli to was zainteresuje, to wam o nim opowiem, a nawet, mówiąc szczerze, chciałbym wam o nim opowiedzieć...

— Słucham.

— Tylko jedno. Wy, nie licząc mnie, będziecie jedynym, który pozna tę historję. Dajcie mi słowo, że od was jej nikt nigdy nie usłyszy.

— Macie moje słowo.

— Powiedzcie mi jeszcze, kolego, czy orjentujecie się cośnieważną w kwestji organizacji „życzliwych braci”?

Zygmunt uśmiechnął się i równocześnie pewne zdziwienie odbiło się w jego oczach. Nigdy ich rozmowy nie dotyczyły tej sprawy. Postanowił postawić kropkę nad „i”:

— Tak, kolego. Mam nawet dla nich swoistą terminologję.

Żórawiecki spojrział pytająco.

— Nazywam ich grabarzami Polski.

— Kiedyś czytałem książkę, gdzie ich nieco podobnie nazywano.

Zaciągnął się głęboko papierosem. Jego twarz wydawała się w tej chwili Zygmuntowi blejsza niż zwykle.

— Ten mój kolega, o którym wam wspomniałem, był członkiem organizacji „życliwych braci”. Potem z niej wystąpił i co ważniejsza zaczął pracować w sposób wyraźnie godzący w interesy tej organizacji. Było to tak. Kilka lat temu wstąpił na politechnikę. Pociągnęła go praca na terenie samopomocowym. W rozgrywkach politycznych nie brał udziału. W niedługim czasie zaczęto go zaliczać do tak zwanych „bezpartyjnych fachowców”. Było to o tyle niestuszne, że naogół tem mianem obdarzano młodych karierowiczów, którzy nie angażowali się politycznie, żeby się nikomu nie narazić, i przy każdej okazji starali się wypyływać na powierzchnię życia akademickiego.

— Doskonale sobie przypominam te typy — rzekł Zygmunt. — Dziś już ich prawie się nie spotyka. Wyraźne oblicze ideowe olbrzymiej większości utraciło „rację” bytu „bezpartyjnych fachowców”. Mówcie, kolego, dalej. Słucham was z wielkiem zainteresowaniem.

— Kolega mój — najbliższy mi człowiek, nie brał udziału w życiu ideowym, ponieważ nie miał zupełnie temperamentu politycznego. Większość czasu pochłaniały mu studia politechniczne, no i troska o utrzymanie. Resztki wolnego czasu poświęcał pracy w „Bratniaku”. Otóż, o ironjo — zwrócił na niego uwagę zwią-

zek „życzliwych braci”, a zwrócił dlatego, ponieważ typ „bezpartyjnego fachowca” bardzo związkowi odpowiadał. W stosunku do mego przyjaciela „życzliwi” zrobili omyłkę, gdyż nie był człowiekiem, któryby za ułatwienie wejścia na wyższy szczebel drabiny społecznej — był gotów być powolnym sługą. Nie był na sprzedaż. „Życzliwi” zaproponowali mu wstęp do swej organizacji. Szukali odpowiedniego człowieka, któryby poprowadził ich robotę wśród rzesz, zamieszkałych w Domu Akademickim, a kolega mój mieszkał w Domu Akademickim i wśród współ-kolegów cieszył się szacunkiem. Prawdopodobnie była to okoliczność, która zdecydowała, że postanowili go pozyskać. „Życzliwi” bowiem starają się kłaść rękę na ludzi, którzy im się w danej chwili wydają potrzebni, dla których mają zgóry wyznaczony odcinek pracy. Mój kolega propozycję przyjął. Przyjął przez... ciekawość.

Żórawiecki się przez chwilę namyślał... Zygmunt milczał i w pokoju panowała cisza, przerywana jedynie dźwiękiem, który w podmuchach jesiennego wiatru wydawały źle osadzone szyby.

— Tutaj muszę wam dodać charakterystyczny szczegół. Na krótko przed otrzymaną propozycją wstąpienia do „życzliwych braci” przyjaciel mój otrzymał dość dobrą posadę, która była właściwie synekurą, pozwalającą bez przeszkody pracować naukowo. Ten sam człowiek, dzięki któremu otrzymał posadę, zwrócił się do niego potem o wstąpienie do „życzliwych”. „Życzliwi” nie trzymają się ślepo ustalonych metod w działaniu. W danym wypadku uznali za właściwe, że najpierw należy dać posadę, a potem zrobić propozycję. W krótkim czasie zażądano od mojego kolegi czynniejszego udziału w życiu publicznym. Wtedy powiedział, że ma tylko zainteresowanie dla pracy społecznej, właśnie tego typu, z jakim ma do czynienia w „Bratniaku”. Przyjęto to do wiadomości bez specjalnego zadowolenia. Jak się w następstwie okazało —

pogodzono się z tem do czasu. Mój kolega zaś z zamiłowaniem badacza zbierał wiadomości o „życzliwych braciach”. Poznał w niedługim czasie metody ich działania i wiązania ze sobą ludzi. Stopniowo stawało mu się w organizacji coraz bardziej duszno. Równocześnie uczył się. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że każdego dnia może się przed nim zarysować sytuacja nie do zniesienia, i że drogi jego i „życzliwych braci” rozejdą się, że wtedy niewątpliwie straci natychmiast zajmowaną posadę i jego warunki wybitnie się pogorszą. W międzyczasie popierany przez „życzliwych” zajął wpływowe stanowisko w zarządzie Domu Akademickiego. Przyszła wreszcie chwila, kiedy „życzliwi” uznali, że jest na tyle z nimi związany, że winien zacząć efektywną robotę, że można go wprowadzić w zakres istotnych działań. Nie wdając się w szczegóły, powiem wam, że zażądano od niego, by na swem stanowisku współdziałał na rzecz rozluźnienia granicy, rozdzielającej życie polskiej młodzieży akademickiej i żydowskiej. Chodziło o pracę pomyślaną na szereg lat, któraby w ostateczności nadała charakter ogólny wszystkim organizacjom akademickim, anulując dotychczasowe usunięcie poza ich ramy — żydów. Wtedy mój kolega wprost odmówił. Napisał krótki list, z którego wynikało, że występuje z organizacji. W tym samym tygodniu wymówiono mu zajmowaną posadę, motywując koniecznością redukcji. Redukcję było bardzo łatwo przeprowadzić, gdyż, jak wam zaznaczyłem, od początku posada była raczej synekurą. Bytność w organizacji „życzliwych” była dla mojego kolegi przetłomem. Wystawcie sobie, kolego, że obudził się w nim... temperament polityczny. Tylko nie w takim kierunku, jakby tego pragnęli „życzliwi bracia”. Po tem, co zobaczył w organizacji „życzliwych”, doszedł do niezłomnego przekonania, że w obecnej rzeczywistości tak zwana apolityczność, której wiele osób hołduje, jest występkiem, jest bowiem

umywaniem rąk; i wreszcie jeśli znakomita większość ludzi czystych rąk, zwłaszcza z inteligencji, nie porzuci bierności politycznej — to grozi nam ześwinienie życia politycznego; jednym słowem, kto w naszych warunkach jest biernym politycznie, ten nie jest patriotą.

— Bardzo mocne słowa — rzekł Zygmunt — podpisuję się pod nimi.

Równocześnie pomyślał, jak daleko odbiegła ich rozmowa od tego, co stanowiło punkt jej wyjścia.

— Doskonale rozumiecie, kolego, że mój przyjaciel po zapoznaniu się z metodami pracy „życzliwych braci” mógł tak jak nikt inny rozpocząć pracę, krzyżując ich plany. Pracę tę uznał za swój obowiązek. Pozostał nadal działaczem nieafiszującym się, ale w krótkim czasie dał się we znaki „życzliwym”. Teraz zbliżam się już, kolego, do dania wam odpowiedzi na postawione mi pytanie. Jak widzicie, musiałem wam dość dużo opowiedzieć. Otóż mniejwięcej od dwóch miesięcy przyjaciel mój zaczął zapadać na zdrowiu. Zacząłem u niego obserwować coś jakby początki rozstroju nerwowego. Z upływem czasu objawy chorobowe uwydatniały się coraz silniej. A muszę wam dodać, że widywałem i widuję go codziennie. Było dla mnie jasne, że pogrąża się w chorobę. Poradziłem, żeby poszedł do lekarza. Zapisał mu jakieś środki na uspokojenie nerwów i kurację zastrzykową. Nic nie jest lepiej i przeciwnie mojem zdaniem coraz gorzej. Spoglądając prawdzie w oczy, obawiam się, czy mój przyjaciel nie dostanie obłądu. I w dodatku mam tę smutną pewność, że nic mu pomóc nie mogę. Przed kilku dniami, było to zdaje się wtedy, kiedy spotkałem was z jednym jeszcze korporantem na schodach, wchodząc do jego pokoju — zastałem go manipulującego coś przy rewolwerze. Miałem wtedy głębokie przekonanie, że gdyby nie to, że przypadkowo wtedy wszedłem, to stałoby się coś strasznego. Teraz już,



kolego, wiecie, dlaczego, mówiąc waszemi słowami, coś się ze mną dzieje.

Przez chwilę obaj milczeli. Żórawiecki robił wrażenie zmęczonego opowiadaniem, Zygmunt zaś nic nie mówił, będąc pod wrażeniem zastyszanej historii. Wreszcie odezwał się pierwszy:

— Dziękuję wam, kolego, za okazane mi zaufanie. W tem, coście mi mówili, uderzają mnie dwie rzeczy.

— A mianowicie?

— Jedna dotyczy waszego przyjaciela, a druga was. Otóż, czy waszem zdaniem nie zachodzi związek między obecną chorobą waszego przyjaciela a jego byłą przynależnością do „życzliwych braci“?

— Nie mogę sobie tego wyobrazić.

— A ja to sobie wyobrażam.

— Jak?

— „Życzliwym“ niewątpliwie zależy na zlikwidowaniu waszego przyjaciela. Za dużo o nich wie. Czy nie przyszło wam na myśl, że najłatwiej, bo legalnie można zlikwidować człowieka przy pomocy wtajemniczonego... lekarza? Czy do swego lekarza wasz przyjaciel ma uzasadnione kompletne zaufanie?

— Myślę, że tak.

— Jeśli tak, to przyczyny trzeba szukać gdzieindziej. Sprawa niewątpliwie nie jest prosta. Druga rzecz, która mnie uderza, to siła, z jaką odczuwacie to, co dotyczy drugiej osoby. Zdarza się to bardzo rzadko. Musicie być istotnie wielkimi przyjaciółmi.

— Tak, kolego.

Gdy Żórawiecki wyszedł, Zygmunt długo rozmyślał nad usłyszaną historją. Przyjrzał się ofiarowanej mu fotografii. Musiała być robiona dawniej. Patrzył zeń „inny“ człowiek, jakby ktoś z krewnych o podobnych rysach. Kładąc się na spoczynek, Zygmunt miał nieodparte przekonanie, że Żórawiecki opowiadał mu o sobie samym.

## IX.

Likowski palił poobiedniego papierosa, zagłębiając się wygodnym fotelu. Obie nogi miał oparte na stojącym obok krześle. Ilość zmiętych niedopałków, leżących na spodeczku w sąsiedztwie filiżanki z niedopitą czarną kawą, wskazywała, że palony papieros nie jest pierwszym. Sporych rozmiarów album do zdjęć fotograficznych leżał na jego kolanach. „Historyk” wypił tyk czarnej kawy i otworzył album na pierwszej stronie. Widniał tu wykonany ozdobnie rondówką następujący napis: Fotografje Mścistawa Wyrwidąba Likowskiego z Likowa.

Zaczął przerzucać karty albumu. Były wypełnione fotografiami, przedstawiającymi go w różnych momentach życia, poczynając od kilkomiesięcznego niemowlęcia. Na ostatniej stronie zatrzymał się dłużej. Znajdowały się tu odbitki świeżo wklejone, przedstawiające zdjęcia z plaży nad morzem. Na widok tych zdjęć jakby rozpogodziła się jego twarz.

Morze.... słońce.... dziewczęta....

Ogarnęła go fala gorących wspomnień. Jakich sztuk tam nie dokazywał! Możliwe, że o tym napisać książkę. Oto spogląda na niego uroczą baletniczką spalona na kolor czekoladowy, z którą... Te wszystkie wspomnienia zgasiła myśl: czy też zobaczy jeszcze morze? Za jakieś pół godziny, najdalej godzinę, do wie się, czy ma pojedynek. Teraz właśnie odbywa się konferencja pomiędzy jego zastępcami a zastępcami Smutnika. Zbyszewski i Delfi obiecali bezpośrednio po konferencji przyjść do niego.

Pomyśleć, że jeśli Smutnik go „trzepnie” w pojedynku, to on, Likowski, pójdzie do piachu, a życie będzie się dalej toczyło, jakgdyby się nic nie stało. Jakgdyby nic...

Poczuł przeogromną chęć życia.

Gdyby przed kilku\* dniami kto mu powiedział, że on, ostatni ze swej rodziny, zgłosi się na ochotnika do pojedynku, toby go posądził o „brak kleпки”.

A jednak tak się stało.

Z przeciwległej ściany, ze starych mocno zniszczonych ram spoglądała na niego chuda twarz szlachcica z podgoloną czupryną. Był to tak zwany w rodzinnem podaniu wielki Likowski, ten sam, o którym w każdym herbarzu jest przynajmniej jedna strona.

Rzecz napozór nie do wiary, ale szlachcic ten odegrał rolę w zgłoszeniu się ostatniego z jego rodu do ewentualnego spotkania ze Smutnikiem. Nad tym faktem zastanawiał się teraz „historyk”. W gruncie rzeczy wszystkiemu winni jego koledzy. Gdyby nie oni, nie rozważałby teraz, że pasmo jego życia może się nagle urwać. Bo jakże... Ileż razy pokpiwali sobie z jego „herbomanji” — jak się wyrażali. Jakby to było jakimś przewinieniem, że jest Wyrwidąbem Likowskim i że przed wiekami jego przodkowie chadzali w książęcym orszaku rycerskim. Co tu mówić o innych, kiedy nawet Zarucki, dobry z kośćcami chłop i szlachcic z pochodzenia, niejednokrotnie go ukłutł. Nigdy nie zapomni, jaką Andrzej miał minę, gdy zobaczył napis na pierwszej stronie jego albumu z fotografjami.

Na posiedzeniu koła, kiedy Szreniawita zapowiedział głosowanie a Żabiński rzucił na stół kartki i nakrył je deklek — stało się coś dziwnego. Wydało mu się, że widzi swego pradziada, spoglądającego nań z portretu i że w stalowem jego spojrzeniu czyta nakaz:

— Idź! Niech poznają karmazyna!... Skończą się kpinki...

Wtedy poprosił o głos i zgłosił swą kandydaturę.

Nic tego w tej chwili nie zmieni. Wszystko, co go czeka, zarysowuje się teraz przed nim jako jeden wielki znak zapytania.

Zaczął się przechadzać po pokoju. Na kominku zegar wybijał miarowo swoje: tik — tak, tik — tak. Nagle wydał przeciągły dźwięk. Była godzina wpół do szóstej. Żeby ci jego zastępcy wreszcie przyszli. Zatrzymał się przed kalendarzem ściennym. Służąca zrywała na nim kartki z wielką skrupulatnością. Dzisiaj — 22-go października. Już niedługo, za niecałe trzy tygodnie odbędzie się uroczysty komersz „Gdyni”. Korporacja będzie święcić czwartą rocznicę swego istnienia. Akt założycielski został podpisany dziesiątego listopada i ściśle tego dnia odbywają się uroczystości, które on tak bardzo lubi. Data dziesiątego listopada wydała mu się w tej chwili niezwykle odległą. Co też z nim wtedy będzie?

Przebiegł go nerwowo dreszcz na dźwięk dzwonka od drzwi frontowych. Szybko wyszedł na korytarz. Nie omylił się: był to Zbyszewski.

— No cóż mi, kolego, przynosicie? — powitał go, wprowadzając do swego gabinetu.

— Zaraz wam wszystko wyjaśnię, jak również i to, dlaczego nie przyszedł ze mną kolega Delfi. Jak było do przewidzenia, macie, kolego, spotkanie.

— Nie miałem złudzeń, żeby mogło być inaczej.

Prawdę mówiąc tych złudzeń wyzbył się dopiero teraz.

— Ponieważ przypuszczaliśmy, że będzie wam odpowiadać, aby to wszystko odbyło się jaknajprędzej, a strona przeciwna nie oponowała, przeto pojedynek odbędzie się jutro o szóstej i pół rano.

Już jutro!

— Wybaczcie, kolego, moje zapytanie, ale w jaki sposób udało się to wam już na jutro zorganizować?

— Trochę się do tego przyczyniłem. Ponieważ przewidywałem takie zakończenie, więc jeszcze wczoraj zwróciłem się do pułkownika Zbarazkiego, tego przyjaciela szambelana Kazimirskiego, żeby się zgodził ewentualnie prowadzić. Jego kandydatura została przy-

jęta. Pistolety mamy, dobrze strzelającą pojedyńkową parę. Jako lekarz przypuszczam, że wam nie odmówi wasz filister doktor Ciołek. Pozostała sprawa placu. Teraz właśnie kolega Delfi z jednym z zastępców strony przeciwnej oglądają miejsce. Jak widzicie, wszystko załatwione. Przyjedziemy do was taksówką punktualnie o szóstej. Musicie już być wtedy gotowi, bo przecież pojedziemy najpierw po pułkownika i doktora Ciołka. No powiedzcie mi, kolego, że jesteście zadowoleni.

Likowski był trochę oszołomiony.

— Dziękuję wam bardzo, kolego. Może zapalicie?

— Z chęcią.

— Powiedzieliście mi, kolego, wszystko z wyjątkiem warunków spotkania.

Zbyszewski uśmiechnął się.

— Słusznie. Wypląnęło to z tego telegraficznego skrótu, w jakim się starałem streścić. Warunki następujące: strzał na komendę; odległość dwadzieścia metrów; dwukrotna wymiana strzałów. Możecie być spokojni, że będziemy nad tem czuwać, aby obie strony miały jednakowe warunki oświetleniowe. Jeśli się nie mylę — to wasze pierwsze spotkanie?

— Tak.

Likowski pominął milczeniem, że nigdy jeszcze nie miał w ręku pistoletu pojedyńkowego. W korporacji obowiązywał fechtunek.

— Pozwolicie więc, kolego, że wam zwrócę uwagę na kilka okoliczności.

— Naturalnie; słucham was.

— To, że przeciwnicy nie mogą się pogodzić przed pierwszą wymianą strzałów — to oczywiście jest wam wiadome. Niepotrzebnie o tem wam mówię. Najważniejsza rzecz dotyczy momentu strzału. Nie możecie się spóźnić. Stracilibyście prawo do strzału. Na to sobie może pozwolić strona, która jest wyzwana, a nie

strona, która wyzwała. Druga sprawa jest następująca. Gdy będzie dana komenda „cel” — zaczniecie wolnym ruchem podnosić pistolet do góry i w momencie podnoszenia — na komendę „pal” dacie ognia.

Tylko w tym wypadku nie zadrga wam ręka. Tutaj dotknąłem sprawy, w której wy oczywiście decydujecie, zależnie od tego, czy będziecie mierzyć, czy też nie. Trzecia sprawa, kolego, dotyczy waszego bezpieczeństwa, i tu was poproszę o bezwzględne zastosowanie się. Podniesiecie mianowicie kołnierz od marynarki, aby nie było widać białego kołnierzyka, który się zbyt jaskrawo odcina jako cel. To, kolego, wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Jakże otrzymaliście polecenie od organizacji co do ewentualnego podania sobie ręk z przeciwnikiem?

— Jest to po słowach, które powiedział — wykluczone.

— Tak się spodziewałem. No nie będę wam, kolego, już zabierać czasu. Do was należy jeszcze tylko załatwić sprawę z lekarzem.

— Zatem do jutra do szóstej rano.

Gdy Zbyszewski wyszedł, Likowski przesunął kilkakrotnie ręką po swoich włosach. Był to jego zwykły ruch, gdy był zdenerwowany.

Połączył się telefonicznie.

— Czy można prosić pana doktora?

— Jestem.

— Jak się masz. Tutaj Likowski.

Pierwszy raz mu się zdarzyło, że opuścił „Wyrwidęba”.

— Czy Wyrwidąb Likowski? Jak się masz, bracie?

— Czy można do ciebie teraz zaraz przyjechać. Mam pilną sprawę.

— Służę ci.

— Zaraz przyjeżdżam.

Zafatwiwszy sprawę z Ciołkiem, Likowski zamyślił się, jak ma spędzić wieczór. Że wcześniej nie zaśnie, było pewne. Poszedł do najbliższego kina.

Była godzina w pół do dwunastej, gdy znalazł się spowrotem w domu.

Za siedem godzin będzie już po wszystkim.

Ciekawe... i dramatycznie tajemnicze...

Nastawił budzik i wziął proszek nasenny.

---

Obudził się, nim zadzwonił zegarek. Miał męczący sen. Śniło mu się, że stał pod portretem pradziada i oto nagle przodek jego wyszedł z ram portretu i gestem zaczyna go zapraszać, by zajął w opuszczonych ramach jego miejsce...

Był zadowolony, że okazało się to snem. Jakby to można było wytłumaczyć? Czy to oznacza pochwałę, czy też zapowiedź...?

W tym momencie odezwał się budzik: trrrr... Szybko zasunął sprężynę i zegarek zamilkł. Zaczął się ubierać. Po dziesięciu minutach był gotów. Postanowił choćby prymitywnie coś zjeść. Wyszedł z pokoju na palcach i cicho przeszedł koło łóżka śpiącej służącej. Nastawił maszynkę gazową. Sprawdził, że w imbryku było jeszcze trochę esencji z dnia wczorajszego. Po kilku minutach był spowrotem w pokoju. Posmarował masłem kromkę chleba. Jedząc rzucił okiem na stojący na kominku zegarek. Słychać było wyraźnie jego tik-tak, tik-tak. Była godzina za dziesięć minut szósta.

Nalał sobie herbaty. Gdy podnosił filiżankę do ust, lekko zadrżała mu ręka. Przyszło mu na myśl; czy to przypadkiem nie ostatnia filiżanka w jego życiu?

Pomyśleć, że wszystko już będzie rozstrzygnięte za godzinę. Przeszedł się po pokoju. Czy nie potrzebuje zostawić jakiej dyspozycji; na wszelki wypadek napisać czego? Z żyjących krewnych ma tylko stryja. Stryj był bezdzietny, miał po nim dziedziczyć. Może

wypadałoby zostawić dla niego dwa słowa. Doznał dziwnego uczucia, że gdyby napisał list, toby przesądził w sensie ujemnym swój los.

Nie napisze. Trzeba sugestjonować przeznaczenie!

W tym momencie usłyszał dźwięk trąbki samochodowej. Po chwili — drugi. Wychylił się przez okno. Przyjechali. Dał znak ręką, że schodzi. Nałożył czarne, dwurzędowe palto, pod którym ściśle uwydatniała się jego figura. Ostatni rzut oka na mieszkanie. Był już na schodach, gdy postanowił zawrócić. Udał się do sypialnego pokoju. Tutaj nad łóżkiem pod starą bronią wisiał na łańcuszku mały krzyżyk.

Pamiętka po ojcu. Nigdy go dotąd nie nosił. Zdjął go szybkim ruchem i schował do małej kieszonki — na piersiach. Gdy zeszedł nadół, samochód zaraz ruszył. Pozostawało jeszcze dwadzieścia cztery minuty.

Zauważył, że pod przedniem siedzeniem znajduje się dość duże kwadratowe pudełko. Domyślił się.

— A teraz powiedzcie, koledzy, jakie ustaliliście miejsce? — zapytał.

— Nigdybyście się nie domyślili — rzekł Delfi. — W parku Sportowym. Porozumieliśmy się z odzwierzytnym i samochody będą mogły wjechać do środka.

Auto mknęło szybko przez puste jeszcze o tej porze ulice. Wjeżdżając w przecznicę, na której mieszkał pułkownik Zbarazki, szofer zwolnił biegu. Przed drzwiami samochodu zarysowała się sylwetka kobieca.

— Niech panowie mnie zabiorą — dobiegł zdaleka jej głos.

Szofer po chwili się zatrzymał i podobnie jak przed mieszkaniem Likowskiego dał dwukrotny sygnał trąbką.

Delfi wyszedł na chodnik.

— Muszę wam powiedzieć, kolego — odezwał się Zbyszewski — że wczoraj po wyjściu od was spotkałem kolegę Zaruckiego. Powiedziałem mu, że dzisiaj macie metę. Prosił, żeby po zakończeniu natych-



miast do niego zatelefonować. Wypytywał mnie o szczegóły.

— A to zadzwonicie potem do niego.

Zbyszewski zachnął się:

— Dlaczego ja? Sami zadzwonicie.

Gdy pułkownik z Delfim wsiedli, samochód pomknął dalej.

Doktor Ciołek mieszkał bardzo blisko. Gdy dojechali, czekał na nich przed bramą. Trzymał w ręku małą walizeczkę.

Mieli jeszcze dziesięć minut czasu.

— No cóż, Wyrwidąbek? — zapytał Ciołek, gdy samochód był już w biegu.

— Bardzo jestem ciekaw czy będziesz potrzebował otwierać swoją skrzynkę?

— Wszystko będzie fajnie. Zobaczysz.

Po chwili samochód cicho zajechał przed bramę parku Sportowego.

— Czy był już samochód przed nami? — spytał odźwiernego Zbyszewski.

— Nie, panowie są pierwsi.

Szczęknęła brama wejściowa i auto wolno wjechało do środka. Była to aleja dla pieszych. Normalnie tą drogą nigdy nie jeździły pojazdy. Z alei wyjechali na szeroką drogę. Minęli puste korty tenisowe i trybuny.

Naokoło nie było żywej duszy.

W orzeźwiającem powietrzu chłodnego ranka witał ich park gasnącym przepychem późnej jesieni. Czuć było wilgoć. Na znak, dany przez Delfiego, samochód zatrzymał się.

Wysiedli i skręcili w boczną aleję.

— To tutaj — rzekł Delfi.

Znajdowali się na polance, zastoniętej z obu stron drzewami i krzakami. Miejsce zdawało się być dobrze wybrane. Pułkownik sprawdził, że obaj przeciwnicy

będą mieli jednakowe warunki, obaj mieć będą jako tło gałęzie, już częściowo bez liści. Słońce było zakryte chmurami. Było dziesięć minut po ustalonym czasie, a strony przeciwnej nie było.

Wtem dobiegł szum motoru nadjeżdżającego samochodu. Likowskiemu zabiło mocno serce. W alejce ukazało się czterech panów. Wymieniono ukłony. Jeden z nich, lekarz, przywitał się z doktorem Ciołkiem. Znali się już przedtem. Stanęli na uboczu, patrząc, jak sekundanci odmierzali odległość. Pułkownik Zbarazki dokonał wylosowania stanowisk i wobec sekundantów nabił pistolety. Wylosowano skolei pistolety. Pułkownik Zbarazki odezwał się głośno:

— Panowie, proszę zająć stanowiska!

Na wyznaczonych miejscach stanęli Smutnik i Likowski. Zdjęli palta i podnieśli kołnierze marynarek. Sekundanci wręczyli im pistolety z odwiedzionymi kurkami.

Likowski położył palec na cynglu. Pistolet wydał mu się bardzo zimny. Rozległ się znowu głos pułkownika:

— Proszę panów. Z obowiązku prowadzącego pojedynkę zwracam się do panów z zapytaniem, czy uważają za możliwe pogodzenie się...

Smutnik zrobił ruch ręką — jakby w kierunku zgody...

— ...Milczenie panów uważam za odmowę. Przypominam, że będzie trzykrotna komenda: baczność, cel, pał; oddzielona każda od następnej o trzy sekundy. Strzelają panowie równocześnie. Uwaga — rozpoczynam!

Baczność!... Cell!... Pał!...

Rozległy się równocześnie dwa wystrzały.

Likowski wraz z szarpnięciem ręki posłyszał świst.

Pierwsza wymiana nie dała wyniku. Nabito pistolety po raz drugi i ostatni.

Andrzej Zarucki, zbudziwszy się wczesnym rankiem, włączył telefon do kontaktu przy łóżku. Miał tę zdolność, że gdy sobie wieczorem postanowił, że obudzić się ma o takiej i to takiej godzinie, — budził się niemal z dokładnością zegarka. Tak było i teraz. Obudził się trzy kwadranse na siódmą. Był podniecony. Kpił sobie nieraz z „Wyrwidąbka”, jak go nazywał, ale niemniej szczerze go lubił, pozatem po fakcie zgłoszenia się Likowskiego do pojedynku patrzył na niego nieco odmiennie niż przedtem. „Historyk” nieraz mawiał o swoim przywiązaniu do organizacji. Teraz to przywiązanie zamanifestował w taki sposób, że nikt go już nie mógł prześcignąć. Andrzej, leżąc na łóżku, patrzył z niepokojem na skrzynkę aparatu telefonicznego.

Jaką wiadomość mu przyniesie?

Była godzina siódma. Prawdopodobnie już jest p o. Lada chwila może zadzwonić telefon.

Andrzej zapatrywał się krytycznie na istnienie pojedynków, niemniej głośno się przyznawał do tego, że p o z a pojedynkiem niema innej możliwości uzyskania zadosyćuczynienia w wypadkach, w których społeczeństwo pozostawia stronę znieważoną bez żadnej lub bez dostatecznej pomocy.

Teraz patrząc na aparat telefoniczny, który miał mu przynieść oczekiwaną z niepokojem wiadomość, Andrzej niezależnie od swej woli „przerabiał” problem pojedynku. Mniejwięcej przed rokiem miał w gronie akademickim odczyt pod tytułem „Jak zwalczyć pojedynek?” Zarysowały mu się teraz ostro w pamięci te wszystkie punkty, które w odczycie uwypuklił. Jego wywód był następujący:

Najbardziej typowym przykładem, kiedy jednostka znieważona jest pozostawiona bez żadnej pomocy,

to niekaralność obrazy zaocznej\*). Jak ma poszukiwać zadośćuczynienia człowiek, którego np. nazwano zaocznie... „kanalją” lub „świnia” i t. d.? W sądzie nic nie wskóra poza... możliwem wyprowadzeniem na łamy prasy treści zajścia.

Najbardziej typowym przykładem, kiedy jednostka znieważona jest pozostawiona bez dostatecznej pomocy, jest zniewaga czynna. To stanowi punkt, z którym pozostaje w związku pytanie, dlaczego mimo zwalczania z wielu stron pojedynków nierzadko się zdarza.

Oto dlatego, że w pojęciu wielu ludzi istnieją zniewagi tak ciężkie, tak głęboko dotykające człowieka, że dla zmycia ich, zdaniem tych ludzi, potrzebny jest p o w i e w śmierci. Czyż człowiek tak rozumujący, będąc uderzony w twarz, pójdzie do sądu, gdzie jest niewykluczone, że znieważający wyjdzie z wyrokiem, skazującym go na... grzywnę?

A zatem, by zlikwidować pojedynki, trzeba dążyć do maksymalnego usunięcia wypadków, w których człowiek znieważony jest pozostawiony bez żadnej lub też dostatecznej pomocy. To jest rzeczą prawa, reszta należy do kultury społeczeństwa.

Wspomnienia z tego odczytu mieszały się teraz u Andrzeja z coraz większym niepokojem.

Nagle zadzwonił telefon. Andrzej szybko podniósł słuchawkę:

— Hallo!?

— Czy tu skład węgla?

— Omyłka.

Ponieważ skład węgla miał telefon o numerze bardzo podobnym do numeru telefonu doktora Zaruckiego, omyłki tego rodzaju były dość częste. Nigdy się jednak nie zdarzyło, by Andrzej był tak rozdrażniony wewnątrznie jak teraz. Miał nerwy napięte.

---

\*) Akcja powieści rozgrywa się w okresie, gdy obowiązywał rosyjski kodeks karny z r. 1903. Nowy kodeks karny polski z r. 1932 wprowadził w tym punkcie pożyteczną zmianę. (Przypisek autora.)

Ciężko opuścić słuchawkę na widełki. Jeszcze mu się tak nigdy nie dłużyły minuty...

Czas mijał, a telefon milczał.

Czyżby?... Odrzucił od siebie szybko straszną myśl.

Służąca, zauważywszy przez nieodkryte drzwi, że Andrzej nie śpi — wniosła na tacy śniadanie. Stawiła na krześle filiżankę z białą kawą, gdy Andrzej został poderwany przez telefon.

Trrrrrr...

— Słucham!

— Zbyszewski przy telefonie. Likowski jest lekko ranny w ramię.

— Co mówicie? Czy to coś poważnego?

— Mówię wam przecież, że lekko. Głupstwo. Ponoś rękę na temblaku i koniec. Dostał w drugiej wymianie strzałów. Telefonuję do was z kliniki, bo choć sprawa jest drobna, doktor Ciołek uznał, że trzeba w należytych warunkach dokonać przemycia. Muszę wam powiedzieć, że bardzo dobrze stawał. Spokój zupełny. Nigdy nie zgadniecie, co powiedział przy opatrunku w klinice: „Doktorze, proszę tylko dobrze zacerować, żeby się piękne oczy nie obrażyły”.

— Pozostanie już takim do śmierci. Jest pod tym względem nieuleczalny. Dziękuję wam bardzo, kolego, za telefon. Pozdrówcie ode mnie naszego Wyrwidęba. Ściskam waszą dłoń.

Gdy położył słuchawkę, poczuł odprężenie nerwów. Dzięki Bogu, że nic gorszego.

Zabrał się do śniadania. Jedząc myślał, co zgotował los. Korporacja została znieważona, jej przedstawiciel został ranny i w ostatecznej konsekwencji będzie protokularnie stwierdzone, że... „honorowi stało się zadość”. A pojedynek był nieunikniony, chyba żeby Smutnik złożył deklarację z przeproszeniem bardzo daleko idącym. Gdyby korporacja nie wyzwalała, byłby to dowód, że „Smutniki” mogą sobie na niej bezkar-

nie ostrzyć język. A coby się stało, gdyby np. Likowski ranił śmiertelnie przeciwnika? Wówczasby wystąpił prokurator, pociągając Likowskiego do odpowiedzialności karnej: k o d e k s o w o za zadanie rany przeciwnikowi a ż y c i o w o za to, że chciał uzyskać zadośćuczynienie dla swej organizacji: na j e d y n e j możliwej drodze. A zatem albo rezygnacja z zadośćuczynienia, co chyba nie będzie godnie, po rycersku, albo możliwość narażenia się na odpowiedzialność karną.

A zatem uliczka bez wyjścia? Nie, bo człowiek honoru, któremu wyrządzono ujmę na czci i którego prawo pozostawia bez pomocy, m u s i sam jeden walczyć o zadośćuczynienie, o ile nie chce stracić honoru. A zatem nie ma się nad czem zastanawiać. Ma tylko jedną drogę, którą mu wskazuje honor. I jak pojedynczy człowiek, taksamo organizacja.

I dlatego w parku Sportowym wczesnym rankiem rozległa się dwukrotna wymiana strzałów.

Taki był bieg myśli Andrzeja.

---

Andrzej miał dyżur w „Bratniaku”. Choć przyszedł do lokalu trochę wcześniej, zastał już w sekretarjacie „generalnego” Łukocza.

— Witam kolegę prezesa. Już tam czeka na ciebie dwóch interesantów.

— Kto taki.

— Komilitoni.

Wszedłszy do pokoju prezydium, zastał Janka Skrzyckiego i Karola Szczerbskiego.

— A, dzieńdobry wam. Nie wiem, czy znacie wynik spotkania Likowskiego?

— Nie.

Opowiedział im pokrótce. Zrobiło na nich wrażenie, że Likowski jest ranny. Postanowili go odwiedzić.

— Byłoby bardzo miło — rzekł Andrzej — gdybyście zorganizowali najazd na „historyka” wszystkich

fuksów. No, a teraz powiedzcie mi, co was do mnie sprowadza? Szczerze mówiąc, będzie mi bardzo miło widzieć was przez dziesięć minut, potem mam pilną robotę.

Pokazał ręką na biurko, na którym leżała plika papierów. Poczem, jakby się chcąc usprawiedliwić przed młodszymi kolegami, dodał:

— Rektor nadesłał nam do zaopiniowania szereg podań kolegów w sprawach wojskowych. Najprościej byłoby oczywiście, nie czytając, napisać na każdym podaniu „popieram”, ale my tak nie zrobimy. Słucham was, moi drodzy.

Janek Skrzycki, kłaniając się Andrzejowi i wskazując na Szczerbskiego, powiedział:

— Mam zaszczyt przedstawić koledze prezesowi byłego dwutygodniowego członka „Korony”.

Obaj z Karolem Szczerbskim wybuchnęli śmiechem.

— Mówcie jaśniej, co to wszystko ma oznaczać, bo niebardzo rozumiem.

— Zaraz cię w najkrótszych słowach objaśnimy — rzekł Janek. — Było tak. Zgodnie z twoją radą udałem się do siedziby zarządu monarchistów i powiedziałem, że pragnąc wstąpić do ich organizacji, chciałbym się dowiedzieć, jaki jest ich stosunek do kwestji żydowskiej. Zastałem u nich w lokalu Karola, który czekał na konferencję z Lentą. A teraz konia z rzędem, jeślibyś zgadł, jaką usłyszałem odpowiedź. Powiedziano mi, że w sprawie, o którą pytam, nie mogę uzyskać odrazu odpowiedzi i, że w tym celu zwrócą się z stosownem zapytaniem do głównego zarządu organizacji; ponieważ zaś ten zarząd nie ma siedziby w Warszawie, więc będę musiał poczekać na odpowiedź. Byli bardzo zdziwieni, gdy im powiedziałem, że to, co usłyszałem, stanowi dla mnie całkowicie wystarczające wyjaśnienie. Wyszliśmy potem razem z Karolem, który napisał do nich zawiadomienie, że występuje z organizacji. Ja tego nie potrzebowałem robić,

bo jeszcze nie zdążyłem wstąpić. Przyszedłem ci podziękować za świetną radę, no i powiedzieć o rezultacie. Takie było twoje życzenie.

Andrzej pomyślał, że w tych dwóch jego młodych kolegach zdrowe poczucie interesu narodowego wywołało natychmiastową reakcję. Gudułt ze swojemi planami na „Gdynię” wydał mu się śmiesznie małym.

— Ponieważ mam zwyczaj myśleć głośno — dodał Skrzycki — więc powiem, że nie zachwycam się obecnie czynną rolą u monarchistów Gudułta i Lenty; zwłaszcza Gudułta. Może nie powinienem tak mówić, ale mam to, że tak powiem, na wątróbce.

— Coś wam powiem — rzekł Andrzej — z tem, że do czasu zachowacie to w tajemnicy...

— Zastosujemy się.

Byli obaj poruszeni, że Andrzej, uznany w kołach akademickich wódz — dopuszcza ich do jakiejś sekretnej sprawy. Przeczowali, że chodzi o sprawę ważną.

— Ponieważ na informacje, otrzymane w stowarzyszeniu „Korona” przez Janka, tak zdecydowanie zareagowaliście, uważam, że uczynię dobrze, jeśli wam na pewne sprawy rzucę snop światła. Na pytanie, postawione przez Janka, nie mogła być u monarchistów udzielona inna odpowiedź z tej prostej przyczyny, że kwestja żydowska stanowi tam rodzaj „tabu”, którego nie wolno poruszać. Dzieje się tak z tego powodu, że „Korona” jest organizacją, która powstała z natchnienia „życzliwych braci”. Tutaj tkwi sedno sprawy. „Życzliwi” mają ścisłe związki z żydami i w dużym stopniu znajdują się pod ich komendą. To, moi drodzy, sprawa...

Na twarzy Andrzeja pojawił się lekki uśmiech.

— ... że przy najskrzętniejszych poszukiwaniach nie znajdziecie działacza żydowskiego, któryby zwalczał „życzliwych”, jak również nie znajdziecie „życzliwego”, któryby występował przeciw żydom. Jest więc nie do pomyślenia, by organizacja, kierowana za-



kulisowo przez „życzliwych”, mogła zająć stanowisko antyżydowskie. W takiej organizacji mówienie o kwestji żydowskiej nie należy do dobrego tonu; kwestja żydowska tam nie istnieje.

Andrzej wstał

— „Życzliwym”, moi drodzy, z natury rzeczy bardziej odpowiadają do działania nazewnątrz organizacje lewicowe. Jeśli jednak jest to potrzebne, to niema przeszkód do stworzenia organizacji pozornie prawicowej. Otóż „Korona” została powołana do życia jedynie i wyłącznie dla wywołania dywersji w szeregach narodowców, wśród których znajdują się zwolennicy idei monarchistycznej. O ile ten cel zawiedzie, to organizacja ta straci rację bytu. Jeśli chodzi o odcinek akademicki, to „życzliwi” pragną przy pomocy tej organizacji wywołać dywersję w ruchu korporacyjnym, którego jednolitość działa im na nerwy. To jest, moi drodzy, wszystko, co najbardziej się streszczając, chciałem wam powiedzieć. Powiedziałem wam to, żebyście rozumieli fakty, których możecie być bezpośrednimi świadkami. Jak trochę pomyślicie o tem, co wam powiedziałem, to się domyślicie reszty. Na dowidzenia przypominam wam zobowiązanie do poufności do czasu.

— Bardzo, ale to bardzo ci jestem zobowiązany za okazane mi zaufanie — rzekł Szczerbski.

— Ja również — przyłączył się Skrzycki.

— Wychodząc poproście do mnie kolegę Łukocza. Muszę z nim przejrzeć tę plikę podań.

Gdy przyszedł Łukocz, zabrali się do roboty.

— Pozwoliłem sobie powiedzieć — rzekł „generalny” — żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Pracowali półtorej godziny i wyczerpali zaledwie połowę materiału.

— Słuchaj, „generalny” — rzekł Andrzej. — Na dziś będzie dosyć. Jutro skończymy. Może być przecież jakiś interesant do ciebie lub do mnie.

— Dobrze. Jeśli możesz, to chciałbym cię teraz przedstawić nowej współpracownicy w sekretarjacie. Bardzo miła koleżanka.

— No, no, uważaj na siebie, mój drogi. Zastanawiałem się nad tem, że byłoby nieszczęściem, gdybyś się zadurzył. Ty przecież niemal bez przerwy siedzisz w „Bratniaku”. Więc jedno z dwojga: albo twój ideał byłby poszkodowany i korzystałby z ciebie w homeopatycznych dawkach, albo tybyś się zaczął zaniedbywać w urzędowaniu. Wogóle, jeśli masz zamiar zrobić jakieś głupstwo, to byłoby najlepiej, żebyś to odłożył do zakończenia naszej kadencji.

W słowach tych Andrzej wyraził dyskretnie uznanie swemu współpracownikowi. Łukocz był jego najpracowitszym pomocnikiem. „Generalny” uśmiechnął się. Zapalając papierosa, powiedział:

— Podobno przysłowia są mądrością narodów. Mnie się w tej chwili przypomniało jedno: przygania kocioł garnkowi, a sam smoli. Chodź ze mną do sekretarjatu. Będziesz mógł ocenić, jakie mi grozi niebezpieczeństwo.

Gdy znaleźli się na progu sekretarjatu, Andrzej zatrzymał się zdumiony. Za balustradą, przy stole, nachylona nad papierami siedziała Zocha Lachowiczówna.

Ten drobny napozór fakt miał dla niego szczególnie cenną wymowę. Styłu dobiegł go chichot Łukocza, duszącego się ze śmiechu. Podeszedł się przywitać. Tego dnia jeszcze się nie widzieli. Zocha powitała go roześmianemi oczyma. Miała minę urwisa, zadowolonego ze splątania figla. Wiedziała, że mu sprawi radość. Podając mu rękę, powiedziała cichutko:

— Jakże się pan prezes zapatruje na nową współpracownicę?

Odpowiedział równie cicho:

— Jest w niej straszliwie zakochany.

Po skończeniu urzędowania odprowadził ją do domu.

— Czy przypominasz sobie — spytał — jak przy naszym drugim widzeniu, kiedy ci załatwiałem zniżkę kolejową, proponowałem ci pracę w „Bratniaku“?

Uśmiechnęła się. Była w świetnym humorze.

— Pamiętam. Czułam wtedy przygodę, ale nie przypuszczałam, że będzie taka groźna w skutkach.

— A ja byłem już wtedy „trup“.

Wsunęła mu rękę pod ramię.

Cóż się z nią dzieje? Ma uczucie, jakby w niej wszystko śpiewało jakiś wielki hymn. Jakgdyby z Andrzejem stali się sobie jeszcze bliżsi, jakgdyby się stało coś, co było niezbędne do tego ich zbliżenia, do uścisku ich dusz. Rzekła poprostu:

— Chcę ci coś powiedzieć, Andrzej. Jeśli mnie kochasz taką, jak jestem, ze wszystkimi moimi wadami, to porozmawiaj z moją mamą.

Ucałował jej dłoń.

— Przyjdę jeszcze dziś. Teraz pójdę zakomunikować o tem w domu.

— Czy nie przewidujesz jakich przeszkód?

— Jakich, kochanie? Nieraz mi ojciec mówił, że ani zawodu ani żony rodzice mi wybierać nie będą. A ślub będzie się mógł odbyć zaraz po skończeniu przeze mnie uniwersytetu.

— Dobrze, Andrzejku. Z moją mamą nie będziesz miał kłopotu.

Idąc dalej, minęli się z szambelanem Kazimirskim. Złożył im niski ukłon, swoim zwyczajem, zataczając kapeluszem szerokie półkole. Musiał coś dostrzec w ich oczach, co go zastanowiło, bo potem obejrzał się jeszcze za nimi. — Tak na ziemi wygląda szczęście — pomyślał.

Przyszedłszy do domu, Andrzej poszedł najpierw do pokoju siostry. Iza, zagłębiona w fotelu, czytała

książkę. Spojrzała na niego troszkę zdziwiona, gdyż wszedł bez stukania.

— Co ci się stało, Andrzejku? Wyglądasz jakoś uroczyście.

— Nic nie mogę na swój wygląd poradzić. Przyszędłem do ciebie z nowiną. Mówiłaś do mnie kiedyś, że jesteś ciekawa, jak wygląda twoja przyszła bratowa, bo przecież już chodzi po świecie. Przyszędłem cię upewnić, że już wiesz, jak wygląda.

— Lachowiczówna? — zawołała Iza.

— Ta sama.

— Strasznie się cieszę, Andrzejku. Więc to już? Napewno?

— Tak, Izuchna.

Zarzuciła bratu ręce na szyję i ucałowała go.

— Daj ci, Boże, wszystkiego najlepszego. Czy mówiłaś już rodzicom?

— Nie, zacząłem od ciebie.

— Wyobrażam sobie, jacy będą zdumieni.

Zamyśliła się.

— Bardzo jestem ciekawa, co powie mama. Dla niej żadna partja ani dla ciebie, ani dla mnie nie byłaby dość dobra. Co do ojca, to się napewno serdecznie ucieszy. Są oboje w gabinecie.

— Idę do nich.

## XI.

Doktor Zarucki siedział przed biurkiem w pokoju syna. Wzrok jego co chwila zatrzymywał się na dużej gabinekowej fotografii, oprawnej w wążiutkie mahoniowe ramki, która od kilku dni pojawiła się na biurku.

To jego przyszła synowa.

„Ładna — myślał. — Nic dziwnego, że zawróciła głowę chłopakowi. A Andrzej niby taki ciągle zajęty społecznik, a miał dość czasu, żeby zdobyć narzeczoną. Oj młody, młody. Byłem taki sam. A mat-

ka miała złudzenia, że podsunie mu jaką pannę, jakby nie znała syna. Iza też sobie z pewnością sama wybierze męża. To i dobrze. Tak być powinno. Ciekawym, czy dożyję tej chwili dla Izuchy, mojej pieszczochy”.

Spojrzał na zegarek.

„Za godzinę przyjdą na pierwszy obiad. Strasznie miła jej siostra. Doskonale ją Andrzej nazywa: „kozaczek”. Będą zapewne doskonałe stosunki między szwagrostwem”.

Twarz doktora miała teraz jakiś szczególnie jasny wyraz. Odbijało się na niej szczęście syna. Bo, że będzie im ze sobą dobrze, był przekonany. Miał zaufanie do wyboru Andrzeja.

Był tak zamyślony, że nie zauważył, jak cicho, wszedłszy do pokoju, stanął za nim syn. Toteż drgnął na jego głos.

— No, jakże? Podoba się Andrzejowa?

— Bardzo nieładnie podpatrywać rodzzonego ojca. Mówisz „Andrzejowa”. Jesteś bardzo pewny siebie i... jej.

— Jak tego, że ciebie tutaj widzę.

Andrzej podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Po chwili odwrócił się.

— Bardzo się cieszę z tego dzisiejszego obiadu, no i z tego wogóle, że wyszliśmy, iż tak powiem, z konspiracyjnych zaułków. Ale muszę ci powiedzieć, że miałem nieprzyjemną rozmowę w „Bratniaku”. Przed samem przyjściem tutaj.

— Cóż takiego?

— Opowiem, bo chciałbym usłyszeć twoje zdanie. Mniejwięcej przed dziesięciu dniami rektor wręczył mi szereg podań studenckich, które wpłynęły do sekretariatu a dotyczyły spraw wojskowych. Chodziło o to, żebym zrobił adnotację jako prezes „Bratniaka”, czy podanie zasługuje na uwzględnienie czy też nie. Trochę

niechętnie się zgodziłem, bo takie sprawy są zawsze drażliwe. Ale przecież nie mogłem odmówić. Wpłynęła spora plika podań. Przejrzeliśmy wszystkie bardzo gruntownie wraz z sekretarzem Łukoczem. No i dziś miałem rezultat. Przychodzi jeden z kolegów i robi piekło, że ja napisałem „odmawiam” a rektor napisał „popieram”. Mówi, że władze wojskowe mu oświadczyły, „jak możemy uwzględnić pańskie podanie, skoro sami pańscy koledzy uważają, że nie powinno być uwzględnione”. Zrobił mi w „Bratniaku” awanturę i zapowiedział, że wytoczy sprawę o niekoleżeńskie postępowanie. Jak ci się to podoba?

— Śmiesz mnie, mój drogi, przedewszystkiem fakt, że władze przeszły do porządku nad opinią rektora.

— Jest w tem trochę „soli attyckiej”, ale wiesz, że mi nie o to chodzi.

— Ja ci, mój drogi, życzę, byś nie miał w życiu poważniejszych spraw sądowych. Uważam, że twój błąd był natury technicznej. Powinieneś być nie pisać „popieram” lub „odmawiam”, ale stawiać jakiś umówiony znak. Praktyczny błąd popełnił sekretarjat uniwersytetu czy też sam rektor (przypuszczam to pierwsze), nie uzgodniwszy z tobą opinii. Ten twój kolega, wytaczając sprawę, narazi się tylko na śmieszność.

— Myślę taksamo. Jest tylko jedna okoliczność, której lepiej żeby nie było. Przypadek sprawił, że chodzi o studenta innych niż ja przekonań. Niewątpliwie znajdą się tacy...

— ... którzy cię posądzą, żeś się kierował względami politycznemi. Na to nic nie poradzisz.

I po chwili dodał:

— Gdy się przyglądam walkom wśród was młodych, to dochodzę do wniosku, że albo wcale, albo bardzo mało różni się od tego, co się dzieje u starych. Mianowicie taki sam bardzo mały szacunek lub zupełny brak szacunku dla przeciwnika. Nierzadka jest

i nienawiść... To jest ten bakcyl, który zaszczyli życiu polskiemu żydzi, — w swoim dobrze zrozumianym interesie.

Andrzej milczał. To wszystko prawda. Miał przekonanie, że w niektórych kołach poprostu czyhano, aby go zmieszać z błotem, choć całym swoim postępowaniem starał się o to, o czym wspomniał ojciec — by go szanowali kulturalni przeciwnicy.

„Nierzadka jest i nienawiść”...

Dziwne, ale wolałby, aby właśnie dziś nie padły z ust ojca słowa, akcentujące najboleśniej dlań fakt w rzeczywistości polskiej.

Dziś, gdy jego narzeczona będzie pierwszy raz na obiedzie pod dachem jego rodziców, — chciałby mieć złudzenie, że dokoła niego w całym życiu polskim jest jasno. Chociaż na chwilę się... oszukać.

Przerwali rozmowę, bo nadeszła pani Lachowiczowa z córkami. Zocha była pełna zadumy, wywołanej zainteresowaniem, jak wygląda „dom” Andrzeja. Zaraz po przyjściu zabrała ją do swego pokoju Iza. Bawiły tam krótko. Gdy wyszły, Andrzej zauważył, że mówią sobie po imieniu.

Po chwili znaleźli się sami w jego pokoju. Zocha z zaciekawieniem rozglądała się dokoła. Na biurku rzuciła się jej w oczy fotografia. Wydała okrzyk.

— Ach, to ty mi ją zabrałeś, a ja do tej pory nie wiedziałam, co się z nią stało.

— To bardzo dawna historia. Przywłaszczyłem ją sobie, będąc u ciebie na jednej z pierwszych wizyt. Tylko przedtem była głęboko ukryta w szufladzie. Nie-raz wieczorami prowadziłem z nią długie rozmowy. Była o tyle lepsza dla mnie, że od razu mi pozwoliła mówić do siebie per „ty”.

Zocha zanurzyła rękę w jego bujnej czuprynie. Przyszło jej na myśl, że to wcale dobrze mieć prawo

uczynić to przy wszystkich. Jeśli kto ciekaw, to niech przyjdzie zobaczyć. W oczach Andrzeja zobaczyła blask, ten sam, który ją kiedyś — jak to już dawno, — pierwszy raz chwycił za serce. Ta różnica, że i ona odpowiedziała mu teraz takim samym blaskiem w spojrzeniu.

Miała w sercu słońce.

Przy obiedzie, w czasie którego pani Amelja starała się dyskretnie roztoczyć przed panią Lachowiczową swoją wiedzę kulinarną, panowała ta specjalna atmosfera, która ma miejsce tylko wówczas, gdy w towarzystwie znajdują się narzeczeni. Wszyscy co chwila rzucaли spojrzenie w ich stronę i dzięki nim czuli się swobodniej, niż to zazwyczaj bywa na „pierwszych obiadach”. Tylko „kozaczek” był szczególnie uroczysty. Kryśka czuła się trochę zażenowana, pozatem myślała, jak to ona będzie mówić do „pana Andrzeja”, bo przecież skoro Zocha z panną Izą mówią sobie po imieniu...

Pani Amelja, która początkowo w stosunku do Zochy przeczuwała moc zastrzeżeń, przyznawała się przed sobą, że będzie mieć niezwykle urodziwą synowę. „Szkoda tylko że nie ma tytułu. Zawszeby to lepiej brzmiało: z hrabiów Lachowiczów Andrzejowa Zarucka”.

Pani Lachowiczowa czuwała, by nie zdradzić się z lekkiej ironji, z jaką spoglądała na panią domu. „Jak „naturalnie” zarysowane ma brwi; a kolor ust... Z drugiej strony znacznie młodsza ode mnie. Widać, że ma jeszcze aspiracje do młodości. Zresztą wszystko będzie dobrze... niech tylko uczucia „teściowej” dla Zochy będą w proporcji do dobroci dzisiejszego obiadu...” — myślała, jedząc znakomitą pularkę.

A doktor, skrzętnie pełniąc funkcję gospodarza, bo „przecież Andrzej jest trochę nieprzytomny”, i starając się odgadnąć każde życzenie pani Lachowiczowej, roz-



ważał: „Jaka miła i dystyngowana pani z temi smugami siwiejących włosów. Widać, że „potrafi” się zestarzeć, uznając to za naturalny bieg rzeczy. Napewno jej nigdy nie przyjdzie do głowy sztucznie podtrzymać zachód urody. Nie wygląda na to, żeby Andrzej miał mieć groźną teściową”.

Nalewając sobie kieliszek koniaku, uzupełnił swoje myśli: „Nic nie można przewidzieć. Starsze panie — to barwione lisy. A zagadnienie teściowej jest nieśmiertelne”.

Jako deser pani Amelja podała swoje znane z dobroci kremy.

Andrzej napełnił wszystkie kieliszki. Doktor wzniósł zdrowie młodych.

Czarną kawę podano w salonie. Wkrótce zjawili się dodatkowi goście. Nietrudno się domyślić, że byli nimi senator Kazanowski i Zygmunt Błoński.

„To ten, co się domyślił naszej „historji” od jej początków”, pomyślała na widok wchodzącego Zygmunta Zocha. Zarysowało się przed nią wyraziście, jak była z Andrzejem w ogrodzie Botanicznym a jego przyjaciel ukłonił się z filuternym uśmiechem: „uszanowanie panu prezesowi”. „Z pewnością będzie u nas w przyszłości bywał. Jestem ślepa, jeśli nie jest zajęty Izą. Przecież widzi tylko ją.”

Zygmunt po przywitaniu się ze starszemi paniami pochylił się przed Zochą w ukłonie:

— Należne hołdy przyszłej filistrowej.

Potem witał się z Izą i, korzystając, że krzesło obok było wolne, usiadł. Idąc do Zaruckich, przechodził różnorodne uczucia. Trochę się obawiał tej wizyty. Chociaż oddawna wiedział o narzeczeństwie Andrzeja, to przecież wiadomość o oficjalnych zaręczynach najbliższego przyjaciela zrobiła na nim silne wrażenie. Szczęśliwy Andrzej! Czy też on będzie przeżywać kiedy takie chwile? Miły Boże! Chyba nigdy. Roz-

maicie się ściśle ludziom życie. On wyciągnął taką gałeczkę, że „życie mu kradnie wszystko, co jest młodości ozdobą”.

„Ludzie mogą, ale nie muszą być szczęśliwi.”

Teraz, siedząc obok Izy, miał szczególne uczucie, że oto los daje mu poglądową metodą pięścią w łeb nauczkę, że szczęście istnieje dla innych. Czuł, że wypadłoby coś powiedzieć a nie siedzieć jak na cenzurowanem, równocześnie miał wrażenie, że mu ktoś kładzie ręce na gardło. Z zadowoleniem usłyszał zwrócony do siebie głos senatora Kazanowskiego:

— Niech no mi pan opowie, panie Zygmuncie, co słychać u pana?

Odeszli na stronę.

— Najściślejsza odpowiedź będzie, gdy powiem, że jestem teraz w okresie uroczystości. Jak i w tej chwili.

— Zaręczyny Andrzeja... Zrobił chłop rodzicom niespodziankę.

— Wiem o tem mniejwięcej od pół roku.

— Wcale mnie to nie dziwi. W obecnych czasach, proszę pana, rodzice dowiadują się o zaręczynach na końcu. Teraz powiem panu, dlaczego go odciągnąłem nabok. Mam do pana małą prośbę.

— Służę panu senatorowi.

— Wiem, że niedługo wasza korporacja obchodzi rocznicę swego założenia. Miałbym wielką frajdę, gdyby się udało tak zrobić, żebym mógł być zaproszony na wasz komersz. Gdyby się nie dało, to oczywiście polegam na pańskiej dyskrecji, że nikt się nie dowie o tem, że ja stary sam się wpraszam. Ale widzi pan kochany, chciałbym zobaczyć sam, jaka treść się kryje pod formą trochę obcą.

— Dobra treść się kryje, panie senatorze. Postaram się sprawę załatwić ku pańskiemu zadowoleniu.

Do tej pory wprowadzie u nas nie było odpowiedniego precedensu, ale myślę, że można go stworzyć.

Przerwali rozmowę, bo podeszła do nich Iza.

— Oto młodzieniec, panie senatorze — rzekła, wskazując na Zygmunta — który jest zawsze smutny. Zaczynam przypuszczać, że to jakaś wada w twarzy.

Zygmunt uśmiechnął się.

— Widzisz, Iza, jakiej sztuki dokazałaś — rzekł śmiejąc się senator. — Ale nie mogę zaprzeczyć, że twoja uwaga jest słuszna. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Porozmawiaj trochę z panem Zygmuntem, bo inaczej gotów się już nigdy nie uśmiechnąć.

To mówiąc odszedł.

— Stary senator czasami trochę plecie...

— Nie da się zaprzeczyć, że przecież nawiązał tylko do pani słów.

— Co za złośliwość... Ponieważ jest pan najlepszym przyjacielem mego brata, więc mam odwagę panu coś powiedzieć.

— A nie będzie to złośliwość?

— Nie, szczerą prawdą.

— Słucham panią, panno Izo.

— Powinien pan pójść w ślady Andrzeja...

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Robi pan zawsze wrażenie jakby trochę smutnego. To aż zwraca uwagę. Wniosek z tego, że potrzeba panu... „lekarza“. Chyba pan nie uważa, że koniecznie ku temu potrzebne... „rozległe znajomości“?

„Co też chodzi po tej główce? Żebym to mógł jej teraz ucałować ręce.“ Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu powodu jej aluzji do ostatniej ich rozmowy, gdy starał się chronić „sekret“ Andrzeja.

— Krótko mówiąc pani rada, że powinienem się zakochać? — zapytał.

Równocześnie odniósł wrażenie, jakby słyszał, że się z niego śmieje... los.

W oczach jej zaigrał chochlik, który po chwili zgast.

— Tak. Taka moja przyjazna rada dla smutnego pana Zygmunta. Powinien się pan nazywać Smutnicki.

— Albo Smutnik, tak jak się nazywał ten, który strzelał się z Likowskim.

Po chwili dodał:

— Ponieważ pani jest siostrą mego najlepszego przyjaciela, więc mam odwagę pani coś powiedzieć...

— Trawestuje pan moje słowa — uśmiechnęła się.

— ...pani jedynej mogę powiedzieć, że pani rada jest dla mnie spóźniona, bo to, co mi pani radzi, już się dawno stało. Dość dawno...

Spotkali się oczami.

— ...tylko tyle, że bez wzajemności. Tylko tyle...

Poczuła się zażenowana. Nieopatrznie wszczęła z nim tę rozmowę. Ale czyż mogła choć przez chwilę przypuszczać, że w jej wyniku on odkryje przed nią swoją tajemnicę? Zrobiło się jej go żal.

Po chwili milczenia powiedziała jak mogła najciszej:

— Bardzo, ale to bardzo pana przepraszam. Nie wiedziałam, że mogę panu wyrządzić przykrość...

— Nawet Andrzej nie wie tego, co powiedziałem teraz pani. Poza panią nie wie o tem nikt.

Dobiegły ich dźwięki fortepianu. Pani Amelja grała.

Grała „Marzenie” Schumana... W salonie uciszyły się rozmowy. Popłynęła cudna melodia jak perłki nizane na nić, z której jedni tkają wspomnienia, a drudzy snują wizję słonecznego jutra.

Jedni i drudzy — dzieci... marzenia.

Jakby kto rozrzucał małe wiązanki kwiatów, żeby wokół było pięknie; obojętne, czy myśl do przeszłości, czy do przyszłości wyciąga swe dłonie...

Może pani Amelja pod wrażeniem zaręczyn syna przypomiwała sobie teraz własny wieczór zaręczynowy?...

A Zygmuntowi Błońskiemu wydało się w pewnej chwili, że muzyka tka, że jakiś cichy, cichutki szloch płynie z białej klawiatury fortepianu i po raz drugi doznał uczucia, że mu ktoś kładzie ręce na gardło... Aż braknie tchu...

Podszedł do małego stolika, na którym leżały poprawne ozdobnie albumy. Wziął pierwszy z brzequ i zaczął przeglądać. Był to album lzy, wypełniony jak zwykle tego rodzaju „albumy”, szeregiem aforyzmów.

Obrzucił wzrokiem salon... Nikt na niego nie patrzył... Wyjął ołówek i na jednej z kart szybkim, nerwowym ruchem napisał:

„Czy też ty się kiedy domyślisz, że —” urwał w połowie, bo zdawało mu się, że stojąca przy fortepianie lza odwraca się... Jakoż istotnie po chwili odwróciła się i podeszła do okna.

Długo wpatrywała się w ciemny wylot ulicy, w którym wszystko wraz z konturami kamienic ginęło dla oka. Przyszło jej na myśl, że podobnie ciemny, nieprzenikniony woal ośłania nieraz... życie.

Brzmiały jej w uszach jego słowa: „Nawet Andrzej nie wie tego... poza panią nie wie o tem nikt...”

Nagle w ciemnym końcu ulicy zadrgało na sekundę wielkie światło. To przejeżdżający boczną ulicą samochód błysnął reflektorem.

Do końca tego wieczora unikała spojrzenia pana Zygmunta.

---

Po powrocie do domu senator Kazanowski zabrał się do czytania danych mu przez Andrzeja papierów. Miał przed sobą sporych rozmiarów skoroszyt. Gdy go otworzył, rzucił mu się w oczy arkusz, jakby świeżo wklejony. Nosił tytuł: Przykazania członka korporacji „Gdynja”.

Po chwili, zapaliwszy papierosa, czytał:

„Pierwsze: Bądź dumny dumą szlachezną. Jesteś synem wielkiego Narodu...”

Senator chciał cośniecoś wiedzieć o „Gdynji” przed swą możliwą u niej gościną.

## XII.

Dziesiątego listopada, w czwartą rocznicę założenia „Gdynji”, „wszystkie fuksy” w porze południowej byli zebrani pod kierunkiem oldermana na wielkiej sali Reśursy Sportowej. Pracowali nad udekorowaniem jej na korporacyjne święto. Pośrodku sali były ustawione w podkowę trzy długie stoły, w tej chwili nieprzykryte jeszcze obrusami. Nad środkiem podkowy na ścianie przymocowano sztandar „Gdynji”. Dokoła w kilkunastu punktach rozwieszono tarcze trójbarwne w kolorach: ciemno-błękitnym, białym i czerwonym. Świeczniki, wmurowane do ścian, zostały przybrane korporacyjnymi wstęgami. Również wstęgami opleciono od góry do dołu filary, podtrzymujące na sali rodzaj małego balkonu. Olderman Żabiński mógł wreszcie stwierdzić, że wszystko to, co należało do niego, było przygotowane.

Na próbę kazał zapalić światła. Ożywiły się wtedy tarcze i wstęgi. Sala wyglądała pięknie.

Na godzinę siódmą wieczorem było naznaczone posiedzenie koła komerszowego. Zaszczycił je swoim udziałem serdecznie przez wszystkich lubiany profesor Żuber, opiekun korporacji z ramienia władz akademickich. Ostatnio bardzo niedomagał na zdrowiu, więc był rzadkim gościem na korporacyjnych „kwaterach”. Stał się w dekle, bo posiadał filisterstwo honorowe „Gdynji”. Obok niego zasiadł stary szambelan Kazimirski, by jak mówił, pełnym haustem napić się eliksiru młodości. Był pełen wigoru, gdy przywdziewał korporacyjne barwy. Te dwie siwe głowy w deklach miały swoją wymowę i swój szczególny urok wśród

młodego grona. Po złożeniu przez Szreniawitę sprawozdania z całorocznej działalności „Gdynji” odbyła się zwyczajowa uroczystość nadania dwum fuksom barw.

Tutaj spotkała Andrzeja niespodzianka. Był ostatnio tak zapracowany, że nie wiedział, komu w korporacji przyznano „barwy”, a może mówiono mu, a on, zajęty czem innym, nie słyszał.

Przed zasiadające uroczyście koło barwiarzy olderman wprowadził Lentę.

Andrzej drgnął.

Lenta... Polecany przez Gudułta...

Nim ochłonął z wrażenia, rozległy się słowa przewodniczącego:

— Przystępuję do pasowania na barwiarza korporacji „Gdynja”.

Wszyscy wstali i sprężyli się na baczność.

A przewodniczący dotknął trzykrotnie szlagierem ramienia Lenty i mówił:

— Pasuję cię na barwiarza korporacji „Gdynja”... Oby twoje życie było z pożytkiem dla ojczyzny i dumą dla „Gdynji”.

„Dumą dla „Gdynji”. Długo myślał Andrzej o tych słowach.

Potem składano korporacji prezenty. Profesor Żuber ofiarował kryształowy kielich, zaś szambelan Kazimirski ozdobny róg myśliwski; „wszystkie fuksy” złożyli w darze piękny szlagier przyzwalny.

O godzinie ósmej wieczorem miała się rozpocząć uroczysta biesiada — komersz „Gdynji”.

Komersz korporacyjny!

Ileż w tych słowach uroku i wzruszeń dla każdego, kto w życiu akademickim miał szczęście być korporantem. Ileż wspomnień! Ci, których życie już rozproszyło, zjeżdżają się na ten dzień, by w gronie przyjaciół postyszeć znowu „gwar wesółych młodych słów”. Ci zaś, którzy przybyć nie mogą, są obecni my-

ślą i sercem. Tego dnia korporacyjna „rodzina” odbywa przegląd swoich sił. Raz w roku dla uczczenia dnia, w którym powstała organizacja, wiążąca ludzi węzłami przyjaźni i wspólnych idei i mająca ambicję, by trwać „in aeternum”. Komersz korporacyjny! Dzień radości i zbratania, dzień zaprzysięgania przyjaźni wielkich, do końca życia sięgających.

Gdy na wielkiej sali Resursy Sportowej zegar wydzwaniał godzinę ósmą, byli już wszyscy zgromadzeni. W ostatniej chwili zjawili się doktor Zarucki i senator Kazanowski, których zaproszono na propozycję Błońskiego. Wszyscy zjawili się w strojach wieczorowych. Kto nie miał własnego smokinga lub fraka, ten sobie na dzień komerszu wypożyczał.

Na dany przez oldermana znak ustawiono się półkolem w środku „podkowy” stołów. Doktor Ciołek jako pierwszy filister „Gdynji”, strojny we wstęgę prezydjalną, zajął przewodnie miejsce. Wśród ciszy rozległy się jego słowa, wypowiedziane trochę drżącym głosem:

— Czwarły komersz „Gdynji” ogłaszam za rozpoczęty. Proszę o odśpiewanie hymnu narodowego.

Odkryły się głowy. Rozległy się dźwięki fortepianu, na którym grał olderman Żabiński, pełniący równocześnie funkcje „cantora”, i potężnym chórem rozległ się Mazurek Dąbrowskiego.

Gdy przebrzmiały jego ostatnie zwroty, przewodniczący komerszu wznosił okrzyk:

— Najjaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!

Odpowiedziało mu gromkie:

— Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Gdy się uciszyło, rozległy się ponownie słowa przewodniczącego:

— Proszę o odśpiewanie pieśni do barw „Gdynji”.

Wszystkie oblicza skierowały się w stronę sztandaru korporacyjnego.



Gdy rozległy się słowa pieśni „Trójkolorowy nasz sztandarze, przy tobie stajemy złączeni”, stary senator Kazanowski i doktor Zarucki doznali dziwnego uczucia, (o czym sobie później opowiadali), że stanowią z tymi młodymi j e d n o. A przecież byli wśród nich po raz pierwszy. Pojawiło się również u nich jakby uczucie zazdrości, że oto profesor Żuber i szambelan Kazimirski, równie starzy, obaj w deklach, śpiewają wraz z młodymi, toteż gdy rozległa się ostatnia zwrotka pieśni, z zadowoleniem przyłączyli swoje głosy, i śpiewali wspólnie ze wszystkimi:

„Zwyciężym siły wraże  
Dla triumfu naszych idei”.

Szambelan poczuwał się do obowiązku pełnienia honorów domu względem gości — swoich rówieśników, i gdy rozległ się znak skierowania się do stołów, wiódł ich na wskazane miejsca.

Zajmując przy stołach miejsca, śpiewano\*):

„Bracia, siądźcie szumnem kotem,  
Za przykładem ojców spotem,  
Chylcie dzbany, wznieście czapki,  
Vivat korporantów stan!”

Fuksi napełniali szybko kufle. Piosenka brzmiała dalej:

„Dziewom, w których czystem łonie  
Tylko dla nas miłość płonie,  
Których cnota nieskalana,  
Święcę pełen wina dzban!

Ci, co w pracy wytrwałości  
Snują dla nas nic mądrości...

---

\*) Pieśni, zamieszczone w tym rozdziale, poczynając od niniejszej, są śpiewane przez wszystkie korporacje.

Wszyscy, uchylając dekle, zwrócili się w stronę profesora Żubra, który uśmiechnięty odpowiadał szerokim gestem na słowa pieśni:

...W nas wszczepiają blask oświaty,  
Niech po trzykroć żyją nam!

Ci, co w życia przeszłej chwili  
Związek nasz ten założyli...

Wszystkie kielichy zwróciły się teraz kolejno w stronę Ciołka, Szreniawity, Zaruckiego, Błońskiego, Brodzkiego i innych założycieli „Gdynji”...

...Których związek czci i kocha,  
Im poświęcam toast ten.

Poważnie śpiewano dalszą zwrotkę:

Braciom, co po życia znoju,  
Spoczywają już w pokoju  
Pod mogilnym żwirem ziemi,  
Wieczny spokój, wieczna cześć!

Poczem znów z humorem i weselem brzmiała piosenka:

Lecz dziś błyszczący trunek złoty,  
Nie żal czasu do ochoty!  
Chylcie dzbanki, wznieście czapki,  
Vivat korporantów stan!

Poleciały w górę dekle. W tym momencie ukazał się w drzwiach spóźniony „historyk” Likowski. Miał na sobie frak, chociaż ręka spoczywała na temblaku. Powitały go okrzyki:

— Brawo, „historyk”! Fuksy w górę „historyka”!

I nim Likowski zdołał się zorjentować, uniesiono go na ramionach.

— Uważać na rękę! — zawołał Ciołek.

Słowa te „otrzeźwiły” fuksów, i po chwili „historyk” mógł spokojnie usiąść. Służba rozlewała teraz wódki. Zabarwiły się kieliszki polską „czystą”, wiśniakiem i śliwownicą. Humory się ożywiały.

Na vis à vis przewodniczącego Ciołka (obok którego zajmowali miejsca profesor Żuber i Szreniawita) siedzieli dr. Zarucki i senator Kazanowski, przedzieleni szambelanem Kazimirskim. Dalej za nimi miał wyznaczone miejsce Likowski.

— Jak się czujesz? — spytał „historyka” Ciołek.

— Byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że muszę pościć.

— Któż panu post przepisał? — wtrącił się doktor — w okresie gojenia powinien się pan normalnie odżywiać. Zresztą jak widzę, zawija pan w tej chwili parówkę w sosie pomidorowym.

Likowski zaśmiał się serdecznie. Nie potrzebował wiele wypić, żeby „parskać”.

— U mnie, proszę pana doktora, słowo „post” ma specjalne znaczenie.

— Zrozumiano — rzekł doktor. — Jak to się mówi, mądrej głowie dość pałką w łeb.

Stoły szumiały coraz większym rozgwarem.

Do Ciołka zbliżył się na dany znak kierownik kelnerów.

— Jeśliby ktoś zażądał piwa — szepnął mu na ucho Ciołek — to powie pan, że niema.

Czuwał nad tem, żeby nie mieszano trunków.

„Historyk” z roześmianymi oczami rozglądał się dokoła. To już siedemnaście dni jak miał „metę”. Życie pędzi wartko naprzód. Czyż jest kto w stanie zaprzeczyć, że jest piękne? Evviva vital! Ręka jeszcze trochę dolega, ale to nic. Evviva vital!

Służba zmieniała talerze po zakąskach, gdy rozległ się głos doktora Ciołka i uderzenie szlagierem w stół: — Śpiewamy „Gaudeamus”! Kolega „cantor” prowadzi.

Zaległa cisza. Ze swego miejsca przy stole podniósł się olderman Żabiński. Po chwili rozległ się jego równy, melodyjny głos:

„Gdy wieczorem marzę sam,  
To w mej wyobraźni  
Stają widma młodych lat  
Szczęścia i przyjaźni.

Doktora Zaruckiego jakby coś chwyciło za gardło. A przecież nieraz mawiał, że trudno ulega wzruszeniom. To już niemal trzydzieści lat jak skończył Uniwersytet. Szmąt życia.

A „cantor” śpiewał:

Gwar wesółych, młodych słów  
W głowie mej się cieśni.  
Zda się, słyszę miły dźwięk...

Głos jego zginął w zbiorowym chórze:

...ulubionej pieśni.

Gaudeamus igitur,  
Juvenes dum sumus;  
Post jucundam juventutem  
Post molestam senectutem,  
Nos habebit humus.

Chór zamilkł i ponownie zabrzmiał głos „cantora”:

Złoty sen młodzieńczych lat  
Buja ponade mną  
Jakby gwiazdek jasny rój  
W noc zimową ciemną.

Zda się, widzę miasta kształt,  
W pustej gdzieś dzielnicy  
Stoi stary znany gmach...  
Mury mej wszechnicy.

Wszyscy teraz wstali, zdjęli dekle i śpiewali chórem:

Vivat academia!  
Vivant professores!...

Powiewano deklami w stronę profesora Żubra. To hołd dla niego jako dla przedstawiciela władz akademickich. Niech żyją!

...Vivat membrum quodlibet,  
Vivat membra quaelibet  
Semper sint in flore!

Sala ścichła i równocześnie rozległ się głos Żabińskiego:

Dzielnie kroczy hoża młodź,  
Pełna ognia, siły,  
Iskry sypią się im z ocz,  
Ogniem płoną żyły...

Senator Kazanowski śpiewał z młodymi i w pamięci mu odżywały dawne ryskie czasy. Na ekranie mózgu zarysowała się mu jak żywa studentka, w której się kochał i przez którą na pierwszym roku dwa lata siedział. Cóż się z nią może dziać? Może już jej nie ma?

A „cantor”, jakby idąc biegiem jego myśli, śpiewał:

I gdzie tylko zjawią się,  
Budzą wnet zachwyty.  
Dziewcząt rój za nimi śle  
Tęsknych ocz błękity.

Dalej śpiewał chór:

Vivant omnes virgines  
Faciles formosae!...

Zaczęły lecieć w górę dekle. Zwyczaj wymaga, by przy tej zwrotce czapkę rzucać jaknajwyżej, a następnie zgrabnie ją chwytać. Toteż w górze pojawił się rój czapek. Jakby w powietrzu zrobiło się kolorowo. U każdego, jak kamerton, nieciła teraz piosenka myśli i wizje.

Andrzej Zarucki myślał o narzeczonej, Zygmunt Błoński o marzonej dziewczynie, która mu radziła, żeby... poszedł w ślady Andrzeja, Likowski — o spalonej na czekoladę baletniczce, zaś Pokojskiemu przemknęło przez głowę, że właściwie to ma zacięcie na starego kawalera.

A chór śpiewał:

Vivant et mulieres  
Tenerae amabiles,  
Bonae laboriosae.

Poczem znów solowy głos Żabińskiego:

Złoty sen młodzieńczych lat  
Nie wygaśnie w duszy,  
Bo w nim wspomnień złotych rój  
Setki snów poruszy.

Nie wygaśnie hasła moc,  
Co nas w życiu wiodły.  
I jak niegdyś krzyknem znów:  
Niech przepadnie podły!

Ostatnie słowa podchwycił chór głosów śpiewając:

Pereat tristitia  
Pereant osores...

Towarzyszył tym słowom hałas, wywołany przez stukanie nożami i widelcami o talerze, uderzaniem dłoni o stół, aż kieliszki i butelki drżały.

...Pereat diabolus,  
Omnis antiburschius  
Atque irrisores!

Olderman Żabiński zawołał:

— Fuksy! Cantus ex!

Odpowiedział mu wrzask gardłowych krzyków „oszałałych” na komendę fuksów, coś, czego w żaden sposób niepodobna wyrazić na papierze.

— Wysokie Prezydjum — odezwał się olderman Żabiński. — Proszę o głos dla zameldowania smutnego faktu.

Poczem po udzieleniu mu głosu mówił:

— Proszę Wysokiego Prezydjum! Stała się rzecz niebywała. Oto w czasie odśpiewywania „Vivant omnes virgines” fuks Karol Szczerbski opuścił dekiel na podłogę. Wnoszę o ukaranie go za ten niebywały występpek.

— Przestępstwo jest rzeczywiście wielkie — rozległ się głos Ciołka. — Winowajca musi być należycie ukarany. Proszę wypełnić piwem „quantum” dla fuksa Szczerbskiego.

Po chwili Szczerbski dzierzył duży kufel piwa. Wyraz jego twarzy zupełnie nie zdradzał... „skazańca”.

— Fuks twarzą do ściany — zarządził Żabiński.

Szczerbski z kuflem w ręku stanął w kącie, obrócony plecami do wszystkich. W tejże chwili liczne głosy poczęły śpiewać:

Fuks zbłądził się! fuks zbłądził się!  
Więc krzyczymy wszyscy: gwałtu!  
Pij, fuksa, pij!  
Pij, fuksa, pij!

„Kara” polegała na wypiciu kufła bez odrywania go od ust. Kufel był specjalnie dużych rozmiarów, toteż Szczerbski ujął go oburącz i zaczął ciągnąć ciemny płyn. Policzki mu się zabarwiły. Sącył piwo powoli, a tymczasem śpiewano mu bez cienia litości:

Fuks zbłąźnił się! fuks zbłąźnił się!  
Więc krzyczymy wszyscy: gwałtu!  
Pij, fuksa, pij!  
Pij, fuksa, pij!

Wypiwszy do ostatniej kropelki, „fuksa” obrócił się, prezentując pusty kufel.

Kara została „odcierpiana”. Kelnerzy, oczekujący z półmiskami w rękach na środku sali na koniec wykonania „wyroku”, zaczęli wnosić pieczone. Andrzej Zarucki nalewał sobie właśnie wina, gdy wyczuł na sobie skierowane czyjeś uparte spojrzenie. Był to Gudulf. Usadowił się niemal przy samym końcu podkowy na granicy między barwiarzami i fuksami. Robił wrażenie, jakby nie brał udziału w tej pełnej życia i humoru biesiadzie. Jego twarz była dystyngowaną maską. Andrzej pomyślał, że w tej chwili każdy, ktoby się uważnie przyjrzał Gudulfowi, nie mógłby się oprzeć wrażeniu, że w istocie tego człowieka prawie nic nie łączy z tem gronem, wśród którego się znajduje, a w każdym razie o wiele mniej niż naprzykład profesora Żubra lub szambelana Kazimirskiego, najstarszych wiekiem wśród zebranych.

Równocześnie obecność Gudulfta wydała mu się pewnego rodzaju „zgrzytem”, ale pocieszył się, że przecież wśród obecnych tylko on jeden wie wszystko, a zatem ten „zgrzyt” istnieje tylko dla niego.

— No, niezupełnie — myślał. — Dokładnie wszystko rozumie Błoński, a pozatem zaczynają „wyczuwać” sytuację Szczerbski i Skrzycki. Zwłaszcza Skrzycki, otwarta głowa. Byłoby oczywiście najlepiej,



gdyby... korporacji udało się zmienić nastawienie myślowe Gudułta. Nie byłoby żadnych wstrząsów. Byłoby to tylko wtedy możliwe, gdyby korporacja stała się dla Gudułta bardziej atrakcyjna niż „tamci”. Niestety środowiskiem Gudułta nie jest korporacja, lecz właśnie „tamci”. Tutaj ma do wykonania... „robotę”.

Tego rodzaju myśli tłukły się Andrzejowi po głowie w trakcie jedzenia. Wyrwał go z tych rozważań głos Ciołka:

— Kolega olderman zechce zarządzić ustawienie się par do sztychowania.

Zaczęto wstawać od stołów. Sztychowanie się to uroczystości przeznaczone dla tych, co na terenie korporacji czują dla siebie szczególnie żywą przyjaźń. Andrzej, który z Zygmuntem Błońskim sztychował się na pierwszym obchodzie rocznicy korporacyjnej — przed trzema laty, teraz miał się sztychować z Kazimierzem Szreniawitą. Stanęli w pierwszej parze. Drugą parę stanowili Błoński z Jankiem Skrzyckim, za nimi szambelan Kazimirski z Pokojkim i inni. Przestrzeń w środku podkowy stołów wypełniła się barwnym szeregiem. Wzruszenie wypełniało pierś Janka Skrzyckiego. To jego pierwsze sztychowanie.

Za chwilę pić będzie „braterstwo” ze swym korporacyjnym „ojcem”, najlepszym druhem. Potem na szerokiej wstędze napisze mu na pamiątkę: „Jan Skrzycki. 10 listopada 192 . r.”

Przypomniały mu się słowa korporacyjnego przykazania: „Pamiętaj, że prawdziwych przyjaciół poznaje się tylko w potrzebie”.

Będzie wiernym, póki życia — druhem Błońskiego.

Fuksi wnieśli wielki róg ze starym miodem. Obok pierwszej pary stanął olderman Żabiński ze szlagierem w ręku.

Zarucki i Szreniawita zdjęli dekle. Po chwili wśród ciszy zabrzmiała „pieśń zbratania”.

Cichną mowy. Skłońcie głowy,  
Niech umilknie wszelki spór,  
Bo w tej chwili uroczystej  
Pieśń przyjaźni wiekuistej  
Wzleci, wzleci w górę aż do chmur!

Jakiś szczególny nastrój, w którym, zdaje się, słyszy się serca bicie, kładł się całunem wśród obecnych. Śpiewali:

Kto nie skłania do słuchania  
Woli, serca, myśli swej,  
Niechaj związku nie bezcześci,  
Do oręża rękojeści  
Dłoni, dłoni nie przykłada swej.

Teraz Andrzej, przyłożywszy do ust róg, pociągnął haust miodu, poczem oddał róg Kazikowi. Zaś chór im śpiewał:

Weź w prawicę tę szklanicę,  
Za pomyślność związku pij,  
Tym toastem braci witaj,  
Lewą ręką za broń chwytaj  
I na, i na brzeszczot czapkę wbij.

Szlagier miał wyostrzony koniec: z łatwością więc przebił materiał czapek. U rękojeści jego ukazały się dwa dekle. Teraz Andrzej i Kazik, na ostrza szlagiera położywszy dwa palce, śpiewali wraz ze wszystkimi:

Teraz śmiało stal tę białą  
Chcę do góry zwawo wznieść,  
Być do zgonu dzielnym mężem  
Na mą, na mą poprzysięgam cześć.

Andrzej i Kazik zamienili braterski pocałunek. Olsderman Żabiński ze szlagierem i fuks, dzierżący róg, zbliżyli się do następnej pary. Chór podjął na nowo.

Weź w prawicę tę szklanicę,  
Za pomyślność związku pij i t. d.

Szlagier i róg wędrowały poprzez wszystkie ustawione pary. Gdy doszli do ostatniej, ostrze szlagiera od rękojeści niemal do końca było pokryte czapkami. Olderman, wracając wzdłuż stojących par, wręczał spowrotem każdemu czapkę.

Sztychowanie było zakończone. Wracano do stołów. Sala się znów wypełniała rozgwarem...

---

Przy deserze rozpoczęły się przemówienia. Przemawiali Ciotek, Szreniawita i profesor Żuber. Po profesorze poprosił o głos senator Kazanowski.

— Drodzy panowie z korporacji „Gdynja” — rozpoczął. — Zabieram głos w imieniu doktora Zaruckiego i swoim, aby wam podziękować, że zechcieliście nas zaprosić. Uważamy to dla siebie za zaszczyt niebylejaki. Muszę podkreślić, że czujemy się wśród was nie tylko jakbyśmy byli młodszy conajmniej o trzydzieści lat, ale tak jakbyśmy już was wszystkich dawno znali. Wytłumaczyć się to daje prosto. Nasze serca biją na tę samą nutę. Wasze młode i nasze stare wydzwaniają tę samą potężną pieśń, pieśń Wielkiej Polski.

Sala zatrzęsa się od oklasków. Stary senator dał znak ręką, że pragnie mówić dalej.

— Dla nikogo z nas nie przedstawia wątpliwości, co znaczy słowo „Wielka”. Wiemy, że nie myślimy w tym wypadku o ilości posiadanych kilometrów kwadratowych. Gdy mówimy „Wielka Polska”, to myślimy: wielka czystością swojej cywilizacji i potęgą swego ducha, wielką linią swej polityki, dyktowanej wyłącznie interesem Narodu; wielką zrozumieniem swych synów, że wiecznotrwałym jest tylko Naród. Korporacja wasza nosi nazwę „Gdynja”. Ta nazwa obowią-

zuje. Mnie się wydaje, że każdy jej członek ma szczególny obowiązek dokonać czegoś w życiu — dla związków Polski z morzem. Na pomyślność waszej pracy, drodzy panowie, wznoszę swój toast: „Niech żyje „Gdynja“!

Odpowiedziały mu okrzyki:

— Niech żyje senator Kazanowski! Niech żyje doktor Zarucki!

Gdy uciszyło się, z kilku stron rozległy się głosy:

— Andrzej Zarucki niech mówi!

Ciotek spojrzał pytająco w stronę Andrzeja, a zobaczywszy jego gest, wyrażający zgodę, uderzył szлагierem w stół.

— Proszę o silentium dla kolegi Zaruckiego.

Andrzej wstał:

— Powiem tylko kilka słów, wyczuwam bowiem z wielu stron życzenie, by już przegłosowano „godzinę dwunastą”. Korzystam z okazji, by podziękować panu senatorowi Kazanowskiemu za jego słowa tak nam odpowiadające. Przemówienie jego nasunęło mi pewne myśli. Wielokrotnie się zdarza, że ludzie, którzy za czasów studenckich mieli górny lot i na ustach wielkie ideały, później po wejściu w życie praktyczne dokonują nagłego obniżenia swych lotów i o wyznawanych w młodości ideałach w znacznym stopniu zapominają. Pan senator Kazanowski jest zupełnem zaprzeczeniem takiego typu ludzi. Przez całe swe życie wiernie służył interesom naszego Narodu, i dlatego mogliśmy od niego usłyszeć te słowa, które wypowiedział. Na dzisiejszej naszej uroczystości życzę wszystkim kolegom, by za swoich studenckich czasów tak się zachętnie idealizmem, by im go starczyło do późnych lat. Jesteśmy pokoleniem, któremu nie przeznaczone jest iść po różach. Myślę, że będziemy musieli być gotowi do ofiar większych niż poświęcenie swych interesów. Będziemy zdawali „egzamin”, w którym się okaże, w jakim stopniu każdy z nas jest prawdziwym

korporantem, to znaczy, czy jest człowiekiem od gadania czy człowiekiem czynu. Taki zaś musi i karku nieraz nadstawić. Bądźmy wierni naszemu sztandarowi. Niech żyje „Gdynja” i niech daje prawdziwych korporantów!

Odpowiedziano mu trzykrotnym okrzykiem:

— Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Do Andrzeja zbliżył się senator Kazanowski.

— Zrobił mi pan nieprzyzwoitą reklamę. Dziękuję za dobre słowa.

Wkrótce potem przegłosowano „godzinę dwunastą”. Skończyła się część oficjalna. Przeszła obowiązująca wszelka hierarchja. Na przewodniczącego w miejsce Ciołka „powołano” sportowca Brodzkiego. Serwetką dał znak, że prosi o ciszę.

— Panowie: nowe prezydium rozpoczyna urzędowanie od powołania orkiestry. Kolega Ciołek jako znakomity doktor obejmuje jazz-band, Żabcio siada do fortepianu; kolega Pliszka, znakomity fachowiec, będzie grał na grzebieniu.

„Orkiestra” zaczynała grać parodię fokstrotta, gdy do Zygmunta Błońskiego zbliżył się jeden z usługujących kelnerów.

— Telefon do szanownego pana.

Zygmunt spojrział na zegarek. Było wpół do dwunastej. Któż mógł telefonować? Telefon mieścił się w jednej z sąsiednich sal klubowych. Z zaciekawieniem podniósł słuchawkę:

— Proszę. Tutaj Błoński.

— Tutaj prokurator Pawlicki. Dobry wieczór koledze. Przepraszam, że pozwalam sobie koledze przeszkadzać. Zmusza mnie do tego pilna sprawa. Chciałbym teraz zaraz od kolegi odebrać pewne zeznania jako od świadka. Zaszedł wypadek, o którym przypuszczam, będzie pan mógł coś powiedzieć.

Zygmunt znał prokuratora Pawlickiego z sądu. Słyskał się z nim na sesjach. Zdumiony zapytał:

— A można wiedzieć, gdzie jest obecnie pan prokurator?

— Jestem w sekretarjacie Domu Akademickiego. Zaczem pan przyjeżdża?

— Zaraz będę. Proszę się tylko nie dziwić, że będę w smokingu.

— Jest mi to najzupełniej obojętne. Czekam pana.

Zygmunt wyczuł w głosie prokuratora niecierpliwość.

Prokurator w Domu Akademickim! Co się stało? Musiał chyba telefonować uprzednio do jego mieszkania.

Gdy ubierał się w szatni, dobiegły do niego z sali biesiadnej słowa swawolnej piosenki:

Cicho rybki śpią w jeziorze,  
Rum plum, plum, plum, plum...

Obiecywał sobie powrócić.

### XIII.

Na jazdę tramwajem Zygmunt zużył piętnaście minut. Od przystanku, na którym wysiadł, do Domu Akademickiego było kilkadziesiąt kroków. Ulica była pusta. Tylko zdaleka przed bramą Domu dojrzał stojący samochód. W świetle reflektorów zarysowały mu się sylwetki dwóch policjantów. Gdy się zbliżył, zobaczył oświetlone okna w pokoju, zajmowanym przez sekretarjat. Poza tem w przeważającej większości okien było ciemno.

W pokoju sekretarjatu zastał trzy osoby. Byli to: prokurator Pawlicki, gospodarz domu akademickiego Siwicki i jakiś policjant.

— Niechno kolega siada — zwrócił się doń prokurator Pawlicki. — A panowie — zwrócił się do pozostałych — zechcą nas na chwilę pozostawić.

Gdy zostali sami, Zygmunt zapytał:

— Co się stało?

— Zaraz panu powiem. Prawda, że to jest pańska fotografia?

To mówiąc podał niewielką gabinetową fotografię.

Była to fotografia Zygmunta, ofiarowana przezeń Czesławowi Żórawieckiemu. Postąpił ją już po przeprowadzeniu się na nowe mieszkanie do pani Skrzyckiej.

— Tak, podpis na fotografii jest też mój.

Równocześnie poczuł głęboki niepokój o Żórawieckiego.

— Mam dla pana smutną wiadomość. Pański kolega Żórawiecki nie żyje.

— Cooo? Widziałem go jeszcze dziś rano na ulicy.

— Stało się to dziś wieczór. O godzinie dziesiątej minut dwadzieścia zastukał do jego pokoju gospodarz Domu. Ponieważ nikt nie odpowiadał, a w pokoju było światło, przeto po chwili uchylił drzwi. Zobaczył Żórawieckiego, leżącego na podłodze. Był jeszcze ciepły; na podłodze leżał rewolwer.

— Czyżby zabójstwo?

Prokurator, który mówiąc patrzył w jakiś oderwany punkt, podniósł raptem głowę.

— Dlaczego pan przypuszcza zabójstwo?

— Bo gdyby było oczywiście samobójstwo, to przypuszczam, że pan prokurator nie wzywałby mnie o północy na badanie.

— Ma pan słuszność. Do tej pory nie jest stwierdzony przez lekarza definitywnie charakter wypadku. Na dziesięć minut przed pana przyjściem powiedziały, że sądząc z postrzału i kierunku kuli, nie może z zupełną pewnością wypowiedzieć się za żadną alternatywą. Toteż muszę liczyć się z ewentualnością zabój-

stwa. Powiem tylko koledze, że nie znalazłem żadnych śladów walki.

— A zatem raczej samobójstwo?

— ...lub zabójstwo, dokonane przez jakiegoś człowieka, z którym nieboszczyk był w dobrej komitywie, co umożliwiło danie strzału niespodziewanie z bardzo bliskiej odległości. Oczywiście zechce kolega moje uwagi zostawić wyłącznie dla siebie. Teraz zadam koledze parę pytań.

— Słucham.

— A jeszcze lepiej niech kolega jako prawnik zechce mi powiedzieć to, co zdaniem kolegi, mogłoby rzucić choćby najlżejsze światło.

— Powiem to w kilku słowach. Moja znajomość ze ś. p. Żórawieckim, straszne jest mówić „ś. p.” o człowieku, którego się dziewięć godzin przedtem widziało, moja znajomość wyływała z bezpośredniego sąsiedztwa w Domu Akademickim. Gdy wyprowadziłem się, Żórawiecki dał mi swoją fotografię, gdyż jak się wyraził, bardzo mnie polubił. Później ja mu posłałem swoją — tę, która jest w rękach pana prokuratora. Ostatnio, powiedzmy od trzech miesięcy, robił na mnie wrażenie niezwykle wyczerpanego. W wigilję mojego wyprowadzenia się stąd był u mnie. Powiedział mi wtedy coś, co może mieć znaczenie dla śledztwa.

— Mianowicie?

— Gdy ofiarował mi swoją fotografię, zadałem mu pytanie, czy mógłbym się dowiedzieć, co go gryzie...

Zygmunt na chwilę przerwał opowiadanie. Dał przecież zmarłemu słowo honoru. Zdecydował się na powiedzenie koniecznego minimum.

— ...Powiedział mi wtedy, że przyczyną jego zdenerwowania jest stan zdrowia jego przyjaciela, będącego mu najbliższym człowiekiem. Wyraził mi swoją obawę o możliwość obtędu u tego człowieka. Było



takie jego przekonanie, że ten jego przyjaciel jest na drodze do obłądu.

— To, co kolega mówi, jest bardzo interesujące. Czy nie wymieniał nazwiska swego przyjaciela?

— Nie.

— A czy kolega jako sąsiad nie zauważył, by nieboszczyka kto często odwiedzał?

— Nie, choć Żórawiecki mi zaznaczył, że z tym przyjacielem widywał się niemal codziennie.

— Ciekawe.

— Wyobraźni prokuratora narzuciła się myśl, że zabójcą jest właśnie ów „przyjaciel”. Skoro był bliski obłądu... Postanowił wydać odpowiednie zarządzenia.

— Nic więcej nie mam do dodania — rzekł Zygmunt.

Przez chwilę wahał się, czy nie wyrazić swoich supozycji w kwestji osoby tego „przyjaciela”. Doszedł jednak do wniosku, że prokurator mógłby go posądzić o kpiny; z drugiej strony może istotnie prokurator kogoś znaleźć...

— No, to dziękuję koledze za przybycie. Przypuszczam, że to, co kolega mi powiedział, może mieć znaczenie dla sprawy.

A w myśli dodał:

— ...niebylejakię znaczenie.

Zygmunt odchodząc zatrzymał się.

— Mam prośbę do pana prokuratora.

— Słucham kolegę.

— Jeśli to możliwe, chciałbym zobaczyć zmarłego.

— Nie widzę ku temu żadnych przeszkód. Pójdziemy razem.

Skierowali się na klatkę schodową, dobrze znaną Zygmuntowi. Do piętra, na którem uprzednio mieszkał, schody były oświetlone. Zygmunt szedł z dziwnym uczuciem. Jakiś nieokreślony strach kładł mu się na piersi. Czuł w całym sobie niepokój. Zarysowała

się przed nim wielkim znakiem zapytania tajemnica śmierci kolegi...

Za chwilę po raz ostatni go ujrzy...

Przed pokojem Żórawieckiego stał policjant, który widząc prokuratora, uchylił cicho drzwi.

W pokoju płonęło jasne światło. Wzrok Zygmunta padł na łóżko, gdzie w swoim codziennem ubraniu, w którym go tak często widywał, leżał Żórawiecki.

Jakby spał... W tej chwili twarz jego w porównaniu z troskami, jakie malowały się na niej za życia, — była odbiciem spokoju. Jakby wstępował w wieczną Ciszę. Zygmunt przykląkł...

Odmówił „Zdrowaś Marja” i „Wieczne odpoczywanie”. Gdy kończył modlitwę, doznał wstrząśnienia. Oto nagle z całą wyrazistością odżyły mu w pamięci słowa: „tak zwana apolityczność jest występkiem, bo jest umywaniem rąk”.... Miał złudzenie, jakby skądś doszedł głos zmarłego kolegi. Odruchowo spojrzął w stronę wezgłowia, ale usta Żórawieckiego tchnęły martwym spokojem.

Gdy Zygmunt wyszedł, owiał go chłodny wiatr. A może jedynie powodu zdenerwowania odniósł wrażenie, że się ochłodziło. Podniósł kotnierz palta. Już będąc na ulicy, rzucił okiem w stronę zajmowanego poprzednio pokoju. Okno było ciemne. Za to w pokoju sąsiednim w tymże momencie zgasło światło. To w pokoju Żórawieckiego zakończono prawdopodobnie czynności urzędowe.

Szedł wolnym krokiem wśród opustoszałych ulic. Przed oczami stale miał sylwetkę Żórawieckiego taką, jaka się przed nim rysowała podczas pamiętnej rozmowy. Już go niema...

Na skrzyżowaniu ulic stało kilka „ciem”. Jedna z nich, lekko kołyszając się w biodrach, zbliżyła się do Zygmunta.

— Pójdziemy?

Obejrzał się. Musiała w jego oczach dojrzeć coś szczególnego, bo odeszła bez słowa.

Niebardzo orjentując się w biegu czasu, znalazł się przed bramą domu, gdzie mieszkał. Ocknął się z zamyślenia na dźwięk klucza przekręcanego w bramie. Szybko przeszedł schody. Znalazłszy się w przedpokoju, zauważył, że niema na zwykłym miejscu czapki i palta Janka Skrzyckiego. Jeszcze nie wrócił... Jeszcze się bawią...

Przypomniała mu się piosenka:

Cicho rybki śpią w jeziorze,  
Rum plum, plum, plum, plum, plum...

Tam się bawią i śpiewają, a tam w Domu Akademickim, w swym maleńkim pokoiku, śni swój ostatni sen „ktoś”, co w życiu nosił miano Czesława Żórawieckiego.

Zygmunt usiadł przy stoliku i wyjął z szuflady fotografię zmarłego kolegi. I tak jak za pierwszym razem, gdy mu ją ofiarowano, tak i teraz odniósł wrażenie, że to jest fotografia krewnego o zbliżonych rysach.

Położywszy się do łóżka, długo nie mógł zasnąć. Słyszał, jak zegar w przedpokoju wybijał półgodziny i godziny. W pewnym momencie doszło do niego stuknięcie otwieranych i zamykanych drzwi frontowych. Domyślił się, że to wraca Janek.

Analizował najdrobniejsze szczegóły niezapomnianej rozmowy. Przyszła mu do głowy niezwykle dziwna myśl. Gdy zasnął, już świtało.

#### XIV.

Andrzej Zarucki przeglądał kalendarz terminowy. Na każdej stronie, odpowiadającej jednemu z dni, było wymienionych po kilkanaście punktów, czekających go zajęć, tych, które musiał wykonać, by nie zaniedbać

całokształtu swych obowiązków. Tak trwa już po wakacjach z górą miesiąc i tak będzie do końca jego kadencji. A gdyby, nie daj Boże, rozchorował się z pracowania i nie mógł stanąć ze sprawozdaniem przed walnym zebraniem, to można się założyć z dużym prawdopodobieństwem wygrania, że znaleźliby się tacy, coby powiedzieli, że to „dyplomatyczna” choroba, że chciał uniknąć udzielania wyjaśnień na pytania „opozycji”.

Myślał, że jest dla niego wielkim szczęściem, że Zocha pracuje w „Bratniaku”. Gdyby nie to, to przy nawale jego zajęć mogliby się tylko rzadko widywać. I już nie ma pretensji, jak to było niegdyś, że ma dla niej mało czasu. Sama widzi teraz zbliżającą się pracę, ten jego nieustanny kołowrót. Jest jej za to niewypowiedzianie wdzięczny. Rozejrzawszy się w planie pracy na dzień dzisiejszy, pojechał do Uniwersytetu.

Był zimny listopadowy dzień. Padał śnieg z deszczem. Białe pyłki, nie dosięgając jeszcze ziemi, topniały. Był to pierwszy w tym roku śnieg, pozostawiający po sobie jako jedyną pozostałość kałuże.

Gdy Andrzej wszedł na dziedziniec uniwersytecki, zauważył kilku studentów, rozdających ulotki. Zaciekawiony — wyciągnął rękę. Student, trzymający w ręku plikę ulotek, wręczył mu jedną z nich z uśmiechem. Rzuciwszy okiem, przeczytał wydrukowany dużymi czcionkami nagłówek: „Deklaracja ideowa stowarzyszenia monarchistycznego „Korona”. Zwolnił kroku, żeby ją przeczytać. Jak przewidywał, nie było w deklaracji ani słowa na temat „numerus clausus”, natomiast tłustym drukiem odcinało się następujące zdanie: „Uznając, że tylko w ustroju federacyjnym mogą znaleźć pełny rozwój wszystkie siły żywotne ogółu ludności, zamieszkującej państwo, Akademickie Stowarzyszenie „Korona” głosi hasło federacyjnej Rzeczypospolitej Królewskiej”. Andrzej, zamiast pójść do „Bratniaka”, skierował się w stronę głównego gmachu. Postanowił

odszukać Szreniawitę. Kazik uczęszczał stale na wykłady prawa narodów, odbywające się w auli. Andrzej spojrzął na zegarek. Za chwilę wykład powinien się skończyć. Znajdował się na korytarzu, gdy zabrzmiały przeciągłe dzwonki, oznajmiające przerwę. Cicho otworzył drzwi do auli i stanął wśród studentów, stojących pod ścianą. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Na katedrze widniała jeszcze sylwetka profesora, szczupłego blondyna, o włosach zaczesanych do góry. Andrzej usłyszał jego końcowe słowa:

— ...w ten sposób dwaj przedstawiciele rasy żółtej: Japończyk i Chińczyk mogą wywierać wpływ na bieg spraw politycznych naszego kontynentu.

Profesor złożył papiery i zeszedł z katedry. Andrzej domyślił się, że wykład dotyczył Ligi Narodów. Zaczął się rozglądać po auli, szukając Kazika. Dostrzegł go, rozmawiającego w gronie kilku osób w pobliżu wielkiej tablicy ku czci poległych. Stanął opodal czekając, aż Kazik skończy rozmawiać. Wzrok jego zatrzymał się na pamiątkowej tablicy. Prawie zawsze, gdy był w auli, stawał przed nią na chwilę. Była to wielka płyta marmurowa, na której wyryty złotymi literami napis głosił:

„W walkach o całość i niepodległość Polski, w latach 1918—1920 bohatersko swoje życie oddali następujący słuchacze Uniwersytetu Warszawskiego...

...i inni, o których życiu wieść zaginęła.

Dla uczczenia Ich wielkiej ofiary na ołtarzu miłości Ojczyzny złożonej, tablicę tę ufundowała w roku 1923 — Młodzież Uniwersytecka”.

Pod tablicą zwieszał się duży wieniec o dość świeżym wyglądzie. W dzień Zaduszny dorocznym zwyczajem złożyła go „Bratnia Pomoc”.

Kazik zauważył Andrzeja i pożegnał się z kolegami. Gdy przywitali się, rzekł Andrzej:

— Szukałem cię. Czy czytałeś ulotki monarchistów?

— Nie.

— No to przeczytaj. Teraz rozdają na dziedzińcu. Kazik czytając mruknął:

— Odgrzebują stare, dawno pogrzebane koncepcje.

A po przeczytaniu dodał:

— Pierwsze wrażenie po przeczytaniu to kompletne ubóstwo myśli.

— W pewnym sensie tak, ale w innym jest tu „wręcz przeciwnie”, jak mówi kabaretowa piosenka.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— Jeśli możesz mi poświęcić parę minut, to chciałbym teraz z tobą pogadać. Chodźmy do bufetu.

W bufecie było zaledwie kilka osób. Poprosili o herbatę i usiedli w rogu sali.

— Zaciekawiasz mnie — rzekł Kazik.

— Powiem ci jaknajkrócej, w czym rzecz. Ta niby „uboga w myśli” odezwa monarchistów winna mojem zdaniem bardziej zwrócić twoją uwagę.

— Ciekawym dlaczego?

— U nas w „Gdynji” jest ich kilku; to samo można powiedzieć o całym szeregu korporacyj. Wydaje mi się, że jeśli korporacje, mające w swem gronie monarchistów, przejdą do porządku nad wydaną dzisiaj deklaracją sprzeczną z naszymi założeniami ideowymi, to sprawią, że ideologia korporacyjna ulegnie pewnego rodzaju... „rozwodnieniu”. Co do mnie, to na terenie „Gdynji” nie mam zamiaru do tego dopuścić.

Szreniawita, który do tej pory z apetytem konsumował ciastko, przerwał jedzenie.

— Co chcesz zrobić?

— Otrzymasz ode mnie piśmienny wniosek, że członkowie „Gdynji” nie mogą należeć do „Korony”.

— Zatem chcesz doprowadzić do secesji?

— Bynajmniej. Uważam, że byłoby najlepiej, gdyby nasi monarchiści z Gudułtem uznali, że korporacja i jej ideologia są im bliższe i żeby się rozstali z „Ko-

roną". Jeśli tego nie zrobią, będzie to dowodem, że mój wniosek był słuszny.

— Chcesz wszystko robić na gorąco. W tym sposobie podejścia do sprawy jesteś cały „ty”.

— Możesz mi wierzyć, że to jest najlepsze i jedyne podejście.

Kazik się zamyślił. Po chwili rzekł:

— A możebyś się zgodził na następujące załatwienie sprawy, trochę mniej gorące. Zaczekasz, powiedzmy, tydzień ze zgłoszeniem twego wniosku. Być może, że przez ten czas Guduł bez twego wniosku ustosunkuje się do wytworzonej sytuacji. Uważam, że byłoby dobrze dać mu ten czas.

— Jeśli ci na tem zależy, zgoda. Jestem jednak przekonany, że skończy się na mojem. Niedarmo cię nazywają „Dyplomata”.

— A ciebie gorącą pałką.

Na dziedzińcu uścisnęli sobie serdecznie dłonie. W gruncie rzeczy różnili się między sobą tylko taktyką.

Andrzej udał się do „Bratniaka”.

W sekretarjacie zastał Zochę, która miała swój dyżur. Powitała go uśmiechem, jaki jest tylko przeznaczony dla człowieka wybranego.

— Jest tu również pan Zygmunt — powiedziała, starając się uprzedzić zbyt gorące powitanie.

Błoński stał oparty o ścianę. Wyciągając dłoń na powitanie, zapytał:

— Czytałeś ulotkę?

— Już i nawet więcej.

— Chciałbym z tobą pogadać. Pozwoli pani, że zabiorę na chwilę Andrzeja?

— Jeśli na krótko, dobrze. Pan jako przyjaciel Andrzeja pewno wie, że ostatnio widzimy się prawie wyłącznie w „Bratniaku”.

— Zaraz go przyprowadzę spowrotem.

Gdy znaleźli się w pokoju prezydium, Zygmunt zapytał:

— Co zrobimy z tym fantem?

Andrzej opowiedział przebieg rozmowy ze Szreniawitą. Zygmunt, wysłuchawszy, rzekł:

— Byłoby dobrze, żebyś porozmawiał z Pliszką. On ma wpływ na niektórych ludzi. Jeśli go przekonasz, to przypuszczam, że Guduł i Lenta znajdą się w odosobnieniu.

Z drugiej strony Zygmunt nie wyłączał w myśli tej ewentualności, że Pliszka na zebranie... nie przyjdzie, ale niezupełnie był tego pewien.

— Sam o tem myślałem.

— No, to widzę, żeś przewidział wszystko. Bywaj zdrów, bo się spieszę, no i boję się twojej narzeczonej.

— Dokąd lecisz?

— Chcę się zobaczyć z mecenasem Pszczołowskim.

— Z tym słynnym?... Ciekawy człowiek. Grałem z nim w bridge'a; trudno to zrozumieć, ale gra słabo, pomimo swych... niezwykłych zdolności. Dowidzenia, Zygmunt.

— Pokłoń się ode mnie rodzicom i panie Izie.

— — — — —  
Dzwoniąc do mieszkania adwokata Pszczołowskiego, Zygmunt przeżywał wewnętrzny dreszcz. Drzwi otworzył mu sam mecenas.

— Witam kolegę. Spodziewałem się pana.

Zygmunt był zdziwiony, bo nie uprzedzał o swoim przybyciu.

— Czy można zająć mecenasowi chwilę czasu?

— Służę koledze. Mam teraz dwóch gości, którzy zaraz wyjdą. Młody człowiek, którego kolega pozna, to bardzo zdolny śpiewak, którym się trochę opiekuję,



zaś drugi, starszy pan, to uczony francuski, który przyjechał do mnie w odwiedziny. Chodźmy cicho, żeby nie przeszkadzać.

Nim podeszli do szerokiej kotary, którą się kończył hall, usłyszeli śpiew. Gospodarz rozsunął kotarę i Zygmunt znalazł się na progu dużego urządzonego z przepychem salonu. Był to jednak przepych, znamionujący nie „nuworisza”, ale człowieka wysokiej kultury, stawiającego duże wymagania życiu pod względem materialnym. Chmurny dzień sprawiał, że w pokoju panował półcień. W głębi przy fortepianie siedział młody człowiek o ujmującej sylwetce. Ładnym barytonem śpiewał rzewną ukraińską piosenkę. Niedaleko fortepianu z głębokiego fotela wysuwała się postać rosnącego mężczyzny z długą siwą brodą. Gdy młody człowiek przestał śpiewać, nastąpiła prezentacja pań, poczem po kilku minutach, jak to przewidział gospodarz, goście wyszli.

— Ponieważ z kolegą nie robię ceremonji, więc przejdziemy do mojej sypialni. Tam mi się najlepiej gawędzi.

To mówiąc, gospodarz podał Zygmuntowi port-cigare.

W sypialni rzucało się w oczy wielkie rzeźbione łoże, zajmujące środek pokoju. Gdy usiedli na wygodnym tapczanie, krytym perskim dywanem, Zygmunt zauważył na przeciwległej ścianie wielki podłużny portret kobiety niezwykłej urody.

— No, a teraz niech się kolega przyzna — rzekł gospodarz — że zawdzięczam jego obecność nie kwestjom prawniczym...

Poczem nie czekając na potwierdzenie, mówił:

— ...Od samego rana kolega myślał, czy do mnie przyjść czy też nie. Mogę teraz koledze wyjaśnić, dlaczego goście, których u mnie zastaliście, zaraz po waszem przyjściu wyszli...

Zygmunt słuchał z rosnącym zaciekawieniem mecenasa Pszczołowskiego, niewątpliwie bardziej głośniego jasnowidza aniżeli adwokata.

— ...prostu dlatego, że przed przyjściem kolegi uprzedziłem ich, że kolega przyjdzie.

— Pomimo że wiele o mecenasie słyszałem...

— ...i tak dalej i tak dalej. Zechce kolega powiedzieć, o co mu chodzi.

— Sprawa, panie mecenasie, jest taka: przed kilkoma dniami umarł mój kolega. Chciałem prosić, czy by pan nie był łaskaw rzucić mi trochę światła na okoliczności jego... śmierci.

— Czy nie ma kolega czegokolwiek, co należało do nieboszczyka?

— Mam tylko fotografię. Oto ona.

Pszczołowski wpatrywał się przez chwilę w fotografię.

— Pański zmarły kolega posiadał pewne wielkie zdolności, o których być może nie wiedział. Miał zdolności medalne. Za chwilę powiem koledze więcej.

Wstał i zaczął się wolno przechadzać. Dywan tłumił jego kroki. Zygmunt przypatrywał mu się z namiętnością. Zauważył, że Pszczołowski ma obie ręce założone w tyle na plecach i trzyma w nich fotografię.

Po chwili adwokat stanął w pobliżu Zygmunta. Zaczął wolno mówić:

— Pański kolega popełnił samobójstwo... Widzę go z rewolwerem... Równocześnie widzę kogoś drugiego, zupełnie gdzieindziej. Tak, siedzi za biurkiem w dużym pokoju. Pokój jest cały zastany książkami... Dużo książek. Wszystkie treści rolniczej... To tak jakby jakiś księgozbiór lub czytelnia. Ten człowiek za biurkiem ma zdolności hipnotyzerskie... Opanowuje wolę tego człowieka w małym pokoiku. Każe mu się zabić.

Pszczołowski przesunął ręką po rzednących włosach.

— To bardzo rzadki i niezwykły wypadek. Samo-  
bójstwo pod wpływem hipnozy. Wracam do swojej  
pierwszej uwagi. Pański kolega miał nieprzeciętne  
zdolności medjalne. Tylko dlatego mogło się coś po-  
dobnego stać. W przeciwnym razie byłoby to nie-  
możliwe.

Zygmunt milczał.

— Coś panu jeszcze powiem. Wydaje mi się, że  
gdybym tego drugiego człowieka spotkał, tobym go  
poznał. Tylko że z tegoby nic nie przyszło, bo to co  
koledze powiedziałem, zakrawa na rzecz nie do wiary,  
dla wielu ludzi.

Pszczółowski poklepał poufale Zygmunta po ra-  
mieniu.

— Przyznajcie się, kolego, że sami w tej chwili po-  
dobnie myślicie.

— Nie zaprzeczam, że myślę krytycznie, ale z zu-  
pełnie innego powodu.

— A mianowicie?

— To, co pan powiedział, jedynie i wyłącznie po-  
krywa się z hipotezą, którą sobie uprzednio wyprowa-  
dziłem.

— Skąd zatem wątpliwości?

— Zastanawiam się, czy m o j e myśli nie podsunęły  
panu mecenasowi tego wszystkiego, co pan powiedział.

Adwokat rozłożył ręce:

— Przypuszcza pan, że zaszło coś pokrewnego z te-  
lepatją. Na to nie mogę panu nic ściśle odpowiedzieć.  
Ale mam prawie pewność, że tak nie jest. Przepro-  
wadźmy małą kontrolę. Czy pan np. myślał o pokoju,  
w którym jest nagromadzone dużo książek?

— Przyznaję się, że nie.

— A zatem kontrola wypadła na moją korzyść.

Strząchnął nad popielniczką papierosa i położył  
rękę na dłoni Zygmunta.

— Ponieważ mam do kolegi zaufanie, więc powiem, że z wypadkiem tego rodzaju stykam się drugi raz w życiu. Przed kilku laty spotkałem się z czemś podobnym. Bodajby jeszcze bardziej nie do wiary. Opowiem koledze.

Zaciągnął się papierosem.

— To jest, kolego, wielka prawda, że w życiu zdarzają się rzeczy o wiele bardziej fantastyczne, niżby to mogła wymyślić najbujniejsza fantazja powieściopisarza. Przyszło do mnie dwóch młodych ludzi, jak się okazało, będących zastępcami w sprawie honorowej. Ich mocodawca miał zakwestjonowaną honorowość wobec stwierdzenia przez świadków, że oszukiwał przy grze w baccarat. Wygrywał przez szereg wieczorów zrządu, wreszcie przekonano się z całą pewnością, że wpływał na kolejność kart. Obwiniony oświadczył jednak uroczyście swoim zastępcom, że nic nie wie, że zaręcza im, iż grał uczciwie i, że jest zdumiony, iż mu tak szalenie szła karta. Przyszli na rozmowę ze mną. Wraziłem im na piśmie swoją opinię, że mocodawca ich „oszukiwał” pod wpływem hipnozy, że zatem jest najuczciwszym człowiekiem. Sprezentowali moje pismo przed sądem honorowym, który mój dowód odrzucił, twierdząc, że w podobny sposób możnaby obronić każdego człowieka. Nie powiem, żeby mi było wówczas przyjemnie. W wypadku, który koledze opowiedziałem, w drodze hipnozy sprowadzono śmierć cywilną. W wypadku, z którym dzięki koledze się dzisiaj zetknąłem — śmierć fizyczną. Nato jednak, by prowadzić walkę z tego rodzajem zbrodni, brak jeszcze dostatecznych środków, brak mianowicie odpowiedniej ilości ekspertów i uznania przez praktykę sądową metod ich pracy, nie mówiąc o tem, że jest konieczne, żeby ci, co prowadzą śledztwo, chcieli wykryć przestępce.

Zygmunt pomyślał, że należy wątpić, czy wogóle będzie kiedykolwiek „odpowiednia ilość” tego rodzaju

ekspertów. Czyż można bowiem wpływać na ilość ludzi, posiadających tak szczególny i przedziwny dar Boży?

Podziękował mecenasowi Pszczołowskiemu za udzielony mu czas i bezpośrednio od niego pojechał do Sądu. Zameldował się do prokuratora Pawlickiego. Był przyjęty odrazu.

— Dzieńdobry koledze. Macie jakie nowiny?

Prokurator zdawał się oczekiwać od Zygmunta wiadomości dla śledztwa.

— Pan prokurator zechce mi wybaczyć, że jego pytanie uprzedzę pytaniem?

— O co koledze chodzi?

— Czy pan prokurator nie wpadł na ślad tego „przyjaciela”, o którym mówiłem?

— Niestety; moje poszukiwania nie dały żadnego rezultatu.

— Ja przychodzę do pana prokuratora z propozycją, która może pana zdziwi; czy nie zechciałby pan o tej sprawie porozmawiać z adwokatem Pszczołowskim?

— Z tym „jasnowidzem”?

W głosie prokuratora drżała ironja.

— Tak.

Prokurator Pawlicki pokiwał głową jak człowiek, który się spotyka z czemś niebywałem lub przekraczającym granicę zdrowego sensu.

— No, no, wiecie, kolego, niczego się podobnego od was nie spodziewałem. Zdawało się, że jesteście poważnym człowiekiem. Ja, prokurator, miałbym się zwracać do takiego, przepraszam, magika? Żartujecie, kolego. Przecież, gdyby się rozeszło, że chcę coś podobnego zrobić, to... nie warto mówić.

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

— Jeśliście, kolego, tylko z tem do mnie przyszli, to wybaczcie, ale naprawdę nie mam czasu.

Rozmowa była skończona.

Na drugi dzień Zygmunt przeczytał w dzienniku wzmiankę o zgonie ś. p. Żórawieckiego w dziale wiadomości policyjnych pod tytułem „Samobójstwo w Domu Akademickim”.

## XV.

Lokal „Bratniej Pomocy” był wypełniony, chociaż nie była to pora urzędowania. Zbliżała się godzina otwarcia sesji Sądu Koleżeńskiego, a wokanda, wisząca od kilku dni w szafce Sądu, na dziedzińcu Uniwersytetu, zapowiadała sprawę „o oskarżenie urzędującego prezesa „Bratniej Pomocy” Andrzeja Zaruckiego”. Sprawa prezesa „Bratniaka” przed Sądem Koleżeńskim to rzecz niezwykle rzadka, coś w rodzaju sensacji w studenckim sądownictwie. Największy pokój „Bratniaka”, gdzie miały się odbyć rozprawy, był zbyt szczupły, żeby zmieścić zebranych. Wielu stało pod ścianami. Wszystkie „miejsca” na framugach okiennych były również zajęte. Większość spośród obecnych stanowili ci, co odgrywali jakąś rolę w życiu akademickim lub... pragnęli odgrywać. Pierwszych sprowadzała życzliwość lub brak życzliwości dla Andrzeja Zaruckiego, drugich — chęć pokazania się w miejscu, gdzie obiecywali sobie zastać wszystkie „grube ryby” życia akademickiego.

Kierowane zarówno ciekawością jak i niepokojem przyszły Iza i Zocha. Korzystając z wolnego miejsca tuż za nimi, przysiadł się Zygmunt Błoński. Pochyliwszy się w stronę Izy, szepnął:

— Jeśli pani chce, to mogę udzielić kilku informacji o zebranych. Mamy tu w „skrócie” prawie cały nasz świat akademicki.

— No, to niech pan nie traci czasu, tylko mówi — uprzedziła odpowiedź Izy Zocha.

Spojrzał na nią przyjaźnie.

— Ten wysoki blondyn, który teraz wchodzi, to przywódca Związku Narodowców Reliński, zwany „papieżem”. Ten, z którym się „papież” wita, to leader „demokratów” Korski. Młodziutki student, który im się z boku przygląda, a teraz wyjmuje notes, to reporter demokratycznego pisma „Strumień”. Przyszedł na sprawę w poszukiwaniu sensacji. Gdyby zapadł nieprzyjemny dla Andrzeja wyrok, to zapewne wydaliby dodatek nadzwyczajny.

Zocha spojrzała na niego z niepokojem.

— ...niech się pani nie obawia — jestem pewny, że dodatku nadzwyczajnego nie będzie z braku materiału. Mówię dalej, bo zaraz może się zacząć rozprawa. Ten, co obok niego przeszedł, udając się do pokoju prezydium, gdzie się zbiera sąd, to jeden z socjalistycznych przywódców — Brunerski. Chociaż nie odgrywają żadnej roli, mają zgodnie ze zwyczajem miejsca w Sądzie Koleżeńskim. Zasiada w komplecie sędziącym.

— Czy niema tu innych, którzy będą sędzić? — spytała Iza.

— Są już w pokoju sędziów. Ten, który będzie wzrostem wyższy, to korporant Zbyszewski z „Sokolji”, drugi, niższy to członek kanapowej organizacji „Pożoga”. Jest to organizacja, w której są tylko leaderzy. Mogą w każdej chwili dostarczyć pięciu wytwornych młodzieńców we frakach.

— Nie wiedziałam, że potrafi pan być taki złośliwy — rzuciła Zocha.

— Niema w tem żadnej złośliwości, bo powtórzyłem tylko oświadczenie jednego z członków tej organizacji. Przeważnie należy tam plutokracja. No, ale spieszymy się z przeglądem. Członków „Gdynji” to paniom nie potrzebują przedstawiać. Wyjątek należy się jednemu. Ten dystyngowany młodzieniec, z uśmiechem patrzący w naszą stronę, to Gudułt — autentyczny książę. Przywódca monarchistów. Jednym sło-

wem: niech żyje król! Niedługo Andrzej będzie mógł paniom o nim wygłosić ciekawy referat.

— Jak dotąd, to prawie każdemu przypiął pan jakąś łatkę — rzekła Iza.

— To tak czasami na mnie nachodzi. Mógłbym o sobie powiedzieć słowami poety: „jeśli gryzę, to sercem”.

Roześmiał się. Cieszył się bliskością Izy i możliwością mówienia do niej. Poczem dodał:

— Na zakończenie muszę paniom powiedzieć, co zacz są ci dwaj, siedzący w pierwszym rzędzie. To dwaj bracia Kalejdowie. Zawsze przyjeżdżają do Uniwersytetu powozem i starają się jechać najbliżej chodnika, żeby ich wszyscy widzieli, i co chwila się kłaniają głośnym „uszanowanie koledze”. Są zbliżeni do tak zwanych „bezpartyjnych fachowców”.

W tym momencie jeden z Kalejdów wstał ze swego miejsca i obrzucił wzrokiem zebranych. Zobaczywszy Błońskiego, ukłonił się.

— Uszanowanie koledze — rzekł na tyle głośno, żeby wszyscy zwrócili uwagę.

Iza nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Tym razem charakterystyka się panu udała.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł Andrzej. Przechodząc rzucił w ich stronę:

— Zaraz się zacznie sprawa.

Stał koło balustrady, rozdzielającej pokój. Doświadczal w tej chwili szczególnego uczucia. Jakby zupełnie dotykalnie odczuwał, jak na jego osobie „krzyżują się” dobre i złe życzenia obecnych; jedne — osób pragnących, aby Sąd uwolnił go z bolesnego zarzutu, i drugie tych, którzyby go „utopili w tyżce wody”. Przypomniała mu się rozmowa z ojcem... Po chwili rozległ się dzwonek i uchylity się drzwi pokoju prezydium. Weszli sędziowie. Wszyscy wstali. Zocha patrzyła z niepokojem w stronę stołu sędziowskiego. Miejsce przewodniczącego zajął Brunerski. Z opisu



Zygmunta domyśliła się, kim byli pozostali dwaj członkowie kompletu.

Przewodniczący zapowiedział:

— Będzie rozpoznawana sprawa z oskarżenia kolegi Rajczy przeciwko koledze Zaruckiemu, prezesowi „Bratniej Pomocy”.

Do balustrady zbliżył się szybkim krokiem szczupły student w rozpiętym palcie.

— Jestem Rajcza — rzekł, składając ukłon przed Sądem.

— Zostanie odczytane oskarżenie.

Oskarżenie formowało w konkluzji zarzut niekoleżeńkiego postępowania powodu zakwalifikowania ujemnie przez Zaruckiego podania, kierowanego do władz wojskowych. Na zapytanie przewodniczącego Rajcza oświadczył, że nie ma nic do dodania. Skolei otrzymał głos Zarucki.

— Po wysłuchaniu oskarżenia uważam, że takich spraw jak dzisiejsza mógłbym mieć wytaczanych codziennie kilkanaście.

Szereg osób spojrzął na niego ze zdziwieniem.

— ...codziennie bowiem załatwiam szereg spraw i w wyniku mojej decyzji jest zawsze ktoś zadowolony lub nie. To, że kolega Rajcza jest z mojej oceny niezadowolony, jest aż nadto zrozumiałe, ale nie jest dla mnie zrozumiałe, dlaczego przyszedł ze swą sprawą przed Sąd Koleżeński. Nie mogłem wnieść sprzeciwu przeciw oskarżeniu, gdyż sprzeciwu nie przewidują nasze zwyczaje akademickie. Działalem w zakresie mojej władzy dyskrecjonalnej. Oczywiście nie poczuwam się do żadnej winy i proszę o wydanie wyroku, któryby przeciwdziałał wytaczaniu tego rodzaju spraw kierownikom organizacyj akademickich.

Sąd udał się na naradę. Sala wypełniła się szmerem rozmów. Na twarzach wielu obecnych malowało się rozczarowanie. Oczekiwali dreszczyku sensacji,

tymczasem cała rozprawa trwała parę minut i żadnego „dreszczyku” nie przyniosła.

Koło miejsc, zajmowanych przez Zochę i Izę, zebrała się gromadka znajomych. Andrzej zwrócił się do Kazika Szreniawity, który się witał z paniami:

— Słuchaj, Kazik, masz tu na piśmie ten wniosek, o którym mówiliśmy. Dziś właśnie minął tydzień od naszej rozmowy.

— Ano, trudno.

— Nie wiesz, czy na dzisiejszy dancing wybiera się dużo naszych? Chciałbym mieć wszystkich przy stole mojej matki.

— Będę ja, poza tem wiem, że wybiera się Pliszka i Likowski, który od wczoraj chodzi bez temblaka.

— Szkoda, że ty, chłopie, nie tańczysz — zwrócił się Andrzej do Zygmunta. — Ale możebyś i tak przyszedł.

— Niech pan przyjdzie na pogawędkę — zaprosiła Zocha. — Będzie bardzo miło.

Zygmunt się uśmiechnął:

— Na obustronne zaproszenie „państwa Zaruckich” może się zdobędę na odwagę i przyjdę.

„Nie może, ale napewno”, pomyślała Zocha, rzucając dyskretne spojrzenie w stronę Izy.

Rozległ się dzwonek i sędziowie wyszli z pokoju obrad. Gdy usiedli, wstał przewodniczący:

— Ogłaszam wyrok: W imieniu honoru akademickiego Sąd Koleżeński postanawia kolegę Andrzeja Zaruckiego uniewinnić.

Poczem dodał:

— Przed rozpoczęciem następnej sprawy zarządzam przerwę pięciominutową.

Ponieważ kolejna sprawa nie budziła zainteresowania, sala rozpraw prędko opustoszała. Po wyjściu na dziedziniec „tak się złożyło”, że Zygmunt szedł obok Izy.

— Dzięki Bogu — rzekła, odgarniając włosy, które jak zwykle niesforne spadały na czoło — że już po tej sprawie. Byłam niespokojna.

— A ja ani troszkę.

— Jak na tak wielkiego przyjaciela, to niezbyt pięknie.

— Właśnie dlatego, że taki przyjaciel. Byłam najspokojniejszy, bo „wierzę” w Andrzeja.

Gdyby starał się wymyślić, co zrobić, aby się jej wydać bliższym, nie znalazłby nic lepszego. Spojrzała na niego przyjaźnie.

— Jeśli się pan zdobędzie na odwagę i przyjdzie na dancing, to nie trzeba zaznaczać, że będzie pan przy naszym stoliku. Prawda?

— Będę napewno.

Gdy wyszli na ulicę, zapytał:

— Pozwoli się pani odprowadzić?

— Będzie mi bardzo miło.

Po chwili szli sami, ponieważ Andrzej odprowadzał Zochę, a reszta towarzystwa również się odłączyła. Był pochmurny dzień. Prószył drobny śnieg i na chodnikach formowały się grudki błota. Zygmunt miał jednak wrażenie, że jest najwspanialsza pogoda. Marzyło mu się, że oto na jego szarym, smutnym horyzoncie wschodzi słoneczna jutrenka, wywołana przyjaznym uśmiechem Izy.

— Tam w „Bratniaku” w swoich objaśnieniach użył pan bardzo zabawnego określenia: „bezpartyjni fachowcy”. Co to znaczy?

— Najkrócej mógłbym pani wyjaśnić tak: to coś zupełnie innego niż np. Andrzej i ja, co nie oznacza, abyśmy byli „niefachowymi partyjnikami”. Dziś na terenie akademickim „bezpartyjnych fachowców” spotyka się bardzo rzadko, ale przed kilku laty prosperowali. Ich cechą wyróżniającą było to, że uważali, iż wygodniej i praktyczniej jest nie wypowiadać swoich przekonań, bo w ten sposób niema się politycznych

przeciwników. Byli to stuprocentowi oportuniści. We mnie budzili zawsze odrazę. Na to samo stanowisko potrafili kandydować raz z ramienia lewicy, drugi raz z ramienia prawicy. Ich „ideologją” było za wszelką cenę pływać po wierzchu. Związek Narodowców, objąwszy niepodzielnie rządy w życiu akademickim, stworzył „klimat”, uniemożliwiający egzystencję „bezpартyjnym fachowcom”.

— W jaki sposób?

— Stanąwszy na stanowisku, że kto nie jest narodowcem, ten jest przeciwnikiem naszej ideologii, że niema czegoś pośredniego, że w czasach, które idą, niema miejsca na zajmowanie połowicznego stanowiska. Kto nie jest wyraźnie z nami, ten jest przeciwko nam.

Iza słuchając nie mogła się oprzeć wrażeniu, że z jego słów idzie powiew jakiejś potężnej siły, siły, dla której niema przeszkód. Równocześnie pomyślała, że oto odkrywają się przed nią istotne podstawy przyjaźni Andrzeja z Zygmuntem Błońskim.

Gdy znaleźli się przed jej domem, uściśnęła mu dłoń jak dobremu koledze:

— Dowidzenia, panie Zyguncie. Było bardzo miło.

— Dowidzenia, do wieczora, panno Izo.

## XVI.

Na dancingu „ostatnim przed Adwentem” było tłumnio; tradycyjnym zwyczajem stawia się „śmietanka” towarzyska. Na wielkiej balowej sali Resursy pod ścianami porozstawiano stoliki, gdzie królowały honorowe gospodynie. Niedaleko przejścia, wiodącego do sąsiednich sal klubowych, był stolik doktorowej Zaruckiej. Pani Amelja promieniowała z zadowolenia: według ogólnej opinji „sali” przy jej stoliku był jakby główny centr zabawy, najpiękniejsze panny i rój mło-

dzieży. Wolnym krokiem zbliża się do pani Amelji żona wydawcy wielkiego dziennika. Ubrana w suknię z materjału, pochodzącego z wyprawy ślubnej przed trzydziestu laty, z „lorgnon” w ręku, cedzi przez zęby:

— Dobry wieczór pani doktorowej. Domyślam się, że ta piękna panna — wskazała niedbałym gestem w stronę Zochy — to narzeczona pani syna. Bardzo pragnęłabym ją poznać.

Po dokonanej prezentacji pani Amelja uważała za właściwe zapytać:

— Cóż pan redaktor? Czy był łaskaw przyjść?

— Ach, mój mąż? Taki zajęty. Zbliża się międzynarodowy zjazd dziennikarzy, który go zupełnie absorbuje.

Poczem „redaktorowa” wolnym krokiem oddaliła się do sąsiedniego stolika, niczem monarchini odbywająca „cercle”.

Andrzej przysłuchiwał się z uśmiechem rozmowie. Było tajemnicą poliszynela, że „redaktor” nie ma zwyczaju asystować swej prawowitej małżonce, jak również, jaki gatunek spraw go „absorbuje”. Toteż w pytaniu pani Amelji, chociaż pozornie „comme il faut”, kryła się zwykła złośliwość.

Z korporacyjnej „paczki” byli przy stoliku obecni: Szreniawita, Likowski i Pliszka. Kolejno chwytały do tańca Zochę i Izę. W jednej z przerw Zocha zwróciła się do Andrzeja:

— Pan Zygmunt, choć zaprosiliśmy go oboje, nie przyszedł.

Poczem uśmiechając się dodała:

— W pewnym stopniu sprawił mi zawód.

— Tobie, zawód? Nic nie rozumiem.

— Potem ci powiem; narazie ograniczam się do rozbudzenia twojej ciekawości.

Rozległ się gong; zaczynały się solowe popisy tancerne. Muzyka zagrała menuęta. Na środku sali w świetle reflektorów pojawiła się para w kostjumach

z czasów króla „Stasia”. Wyglądała jak zjawa z pięknej bajki. W tancerce Iza poznała Madę Zańską. Nie widziała jej od pamiętnej rozmowy. Tak się składało, że się nie spotykały.

— Słuchaj, Iza — spytał Andrzej — jeśli się nie mylę, to panna Mada?

— Tak.

— A nie wiesz, kto z nią tańczy?

— Nie wiem.

— Robi to tak, jakby się niczem innym w życiu nie zajmował.

— Oboje tańczą bardzo ładnie.

Tańcząca para „szła” wokół sali, odprowadzana światłem reflektora. Na chwilę znikła z pola widzenia siedzących przy stoliku doktorowej Zaruckiej. Zocha spojrzała na przeciwległą stronę sali, gdzie witało się kilka osób świeżo przybyłych. Zatrzymała swój wzrok na znajomej sylwetce. Nie, nie myli się. To Rajnerowa. Trąciła w ramię Andrzeja:

— Popatrz na vis à vis. Czy widzisz?

Andrzej nie mógł nic dojrzeć, ponieważ przeciwległy stolik zastoniła tańcząca para.

Po chwili zauważył Rajnerową.

— Ach, widzę: pani R. Nigdybym się nie spodziewał jej tutaj zobaczyć.

— Nie da się zaprzeczyć, że dobrze wygląda, ma swój beau jour.

— Ciekawym, czy się przypadkiem z nami nie przywita...

Zocha wyczuła w jego głosie tylko dla niej dostrzegalny niepokój.

— Przywita?... Co ci przychodzi do głowy? Upewniam cię, że to nie nastąpi.

Przyszedł jej na myśl list, który wysłała „wtedy” do Rajnerowej. To prawda, że Andrzej nigdy się o to nie pytał.

Rozległy się oklaski, nagradzające tancerzy. Równocześnie na sali zapłonęła część przygaszonych uprzednio świateł.

— Być może, że sprawa Rajnerów skończyła się niczem: ale mam wielką ochotę sprawdzić, kto tutaj Rajnerową wprowadził.

To mówiąc, Andrzej udał się w głąb sali. Gdy wrócił, zastał Zygmunta Błońskiego, witającego się z całym towarzystwem.

— No i cóż? — spytała Zocha.

Na twarzy Andrzeja igrał uśmiech.

— Mam dosyć interesujące wiadomości. Otóż pani R. jest tutaj w towarzystwie swego... narzeczonego, jednego majora. Dowodzi to, że jej samej udało się wyjść ze sprawy obronną ręką, no i tego oczywiście, że się rozwodzi z Rajnerem. W tej chwili zastanawiam się tylko nad jedną rzeczą...

— Nad czym?

— Czy jeszcze potem zdąży wyjść zamąż za generała.

— Daj spokój...

— Zatańczmy.

Przez salę płynęły rozlewne dźwięki walca. Zocha tańcząc szukała na sali Rajnerowej. Po chwili ją odnalazła, walczącą z wojskowym lat około czterdziestu. Domyśliła się, że to... narzeczonego. Przypomniała sobie, że ta jej dawna przyjaciółka nazywała swego poprzedniego męża „Rajnerem”. Ciekawe, czy też w podobny sposób będzie się wyrażać o majorze?

I dziwna rzecz, że gdy teraz wśród par przewija się jej sylwetka Mary, to patrząc na nią, odczuwa coś graniczącego ze współczuciem, odczuwa, jakby w porównaniu z Mary była szczerze obdarzona przez los.

Wszystko przez Andrzeja, który wtargnął w jej życie jak orzeźwiająca burza wiosenna. Przynęła się do niego bliżej, tak, że musiał ją mocniej objąć ra-

mieniem, i przez chwilę musnęły się ich włosy i skronie.

Gdy tańczyli koło swego stolika, zobaczyła siedzącą Izę i obok niej Zygmunta Błońskiego. Wskazując ich Andrzejowi, spytała:

— Czy nie przychodzi ci nic na myśl, gdy patrzysz na nich?

— Coś bardzo podobnego do tego, o czym ty myślisz. Dochodzę do wniosku, że Zygmunt jest na drodze do zadurzenia się.

— Jabym powiedziała, że w tej chwili poza Izą nikt dla niego nie istnieje na tej sali. Ale wiesz, odnoszę wrażenie, że Iza zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Możliwe.

— A co się tyczy twego przyjaciela, to mi się wydaje z typu tych, których kobieta musi prosić o „rękę”.

— Brzmi to zabawnie, ale być może, że jest niepozbawione prawdy.

— I dlatego przypuszczam, że z tego będą nici. Pod tym względem twój przyjaciel niczem nie przypomina ciebie...

I pomyślała sobie o uczynionem przed chwilą w myślach porównaniu do „burzy wiosennej”.

Muzyka przestała grać. Skierowali się do swego stolika. Nim doszli, przez salę zaczęły płynąć dźwięki bostona.

Andrzej spostrzegł ze zdziwieniem, że Zygmunt składa ukłon przed jego siostrą.

Usłyszał głos Izy:

— Pan mnie prosi? przecież pan nie tańczy?

— Trzeba zawsze spróbować po raz pierwszy.

Wstała. Po chwili obejmował ją ramieniem. Patrzyła z zaciekawieniem na jego pierwsze „pas”.

— Robi pan to wcale nieźle. Bardzo miła niespodzianka.

— Czy naprawdę dla pani miła?



— Ależ tak. Jak to się stało, że pan tańczy? Przecież do dzisiaj nikt o tem nie wiedział.

— Doszło do tego, że zacząłem brać lekcje. Mówię „doszło do tego”, bo się dość długo zastanawiałem, czy to będzie... do mnie pasować. O, proszę spojrzeć, jak się nam przygląda Likowski. Patrzy na mnie tak, jakby widział tańczącego niedźwiedzia.

„Historyk” stał na środku sali i nie spuszczał ich z oka. Jego dość wydatne usta drżały od uśmiechu, który Zygmuntowi zdawał się mówić:

— Ach, to tak... Tędy cię wiedli, bratku...

— A propos niedźwiedzi — mówiła Iza — to raczej pan Wyrwidąb, jak go panowie nazywają, robi na mnie takie wrażenie. Taki obłaskawiony „Miś”.

Zdawało mu się, że z tego rodzaju określenia przebija sympatja dla „historyka”.

— Czy lubi go pani? — zapytał.

— Ani tak, ani nie.

Iza spostrzegła, że prowadzi za nimi swoim „lorgnon” redaktorowa, ta sama, która na początku wieczora podeszła do ich stolika. Odwróciła z niechęcią głowę i spojrzała w oczy swemu tancerzowi. Dojrzała u niego gdzieś, jakby w głębi źrenic maleńkie światełko, które na sekundę zadrgało i zgasło — dziwna rzecz, jakby opadając gdzieś na dno jej duszy.

Coś podobnego zdarzyło jej się raczej może „wiedzieć” niż odczuć na pierwszym w jej życiu wieczorku tanecznym z chłopcami. Było to dawno: „przed wiekami”.

Spytała z uśmiechem:

— Coś mi się zdaje, że ma pan wielką ochotę przypiąć jakąś łatkę panu „historykowi”...?

— Już o nim zapomniałem...

Cóż go obchodzili w tej chwili wszyscy historycy? Pierwszy raz miał Izę tak blisko siebie. Równocześnie był zadowolony, że się posuwa dość pewnie po sali. W pewnej chwili przyjaźnie skinął ręką Andrzejowi,

tańczącemu z Zochą. Doskonale rozumiał przyjaciela, że tańczy niemal wyłącznie z narzeczoną.

Pochłaniała go melodyjna muzyka i taniec z Izą. Jej pytanie o „historyka” sprowadziło go w pewnym stopniu na „ziemię”.

Iza była w doskonałym humorze. Myślała o tem, że Zygmunt szalenie zyskiwał w stroju balowym. Widziała go tak pierwszy raz. Pomyślała przez chwilę, że prawdopodobnie nieznaną jej obiekt tęsknoty Zygmunta Błońskiego przyczynił się w pewnym stopniu do „narodzin” nowego tancerza.

Bo jakżeż inaczej to wszystko tłumaczyć?

I na chwilę przygasało jej zadowolenie z dzisiejszego wieczoru.

— Wie pan — spytała — gdy dzisiaj w „Bratniaku” wygłaszał pan swoje uwagi o kolegach, to pomyślałam, jakby się pan o mnie wyraził, gdyby pana o to zapytano?...

Miał już na ustach, żeby powiedzieć: „w sposób najmiłszy na świecie”, ale w tymże momencie muzyka przestała grać. Odprowadzając ją na miejsce, rzekł głosem przyciszonym:

— Czy wolno będzie jeszcze z panią zatańczyć?

— Tak, wtedy odpowie mi pan na moje pytanie...  
Dobrze?

Skłonił się i odszedł w stronę sali, gdzie była urządzona palarnia.

A ona uświadomiła sobie, że pierwszy raz patrzyła na niego nie jak na „przyjaciela” Andrzeja, ale jak na... chłopca.

Bardzo im się miło ze sobą rozmawiało.

Postanowiła się zlustrować w pokoju dla pań. Gdy się tam znalazła i ujrzała swoje odbicie w lustrze, przeszło jej przez myśl:

— Dobrze, że jestem taka, jak jestem...

I niemal z wdzięcznością spojrzała na lustro za to, że głosiło jej pięknosć.

Gdy wychodziła z pokoju, wzrok jej padł na grupę starszych panów, witających się z młodym człowiekiem w nieskazitelnie skrojonym fraku.

Ogarnęło ją dziwne, trudne do określenia uczucie. Tym młodym człowiekiem był Jerzy Lando.

Nie mogła nie patrzeć w jego stronę.

---

Zygmunt nie zastał w palarni żadnego ze swoich kolegów. W kłębach dymu tytoniowego spacerowało kilkunastu nieznanych mu panów. Był zadowolony, że może być wśród nich sam. Gdyby tu znaleźli się Likowski lub Pliszka, niewątpliwie wyraziliby zdziwienie, że „sensat” tańczy...

Tańczy, bo tańczy...

Zaciągnął się głęboko papierosem. Czy to mu się tylko zdaje, czy też to prawda, że jakby się stawał dla Izy bliższym?

Dla Izy, która byłaby dla niego bezcennym darem...

A może mu się tylko śni nieziszczalny sen i zdaje mu się, że widzi wszystko tak, jakby chciał widzieć?

Jak ma jej odpowiedzieć na postawione pytanie? Czy wprost, że to właśnie ona jedna, jedyna...? Czy też tak, żeby jej tylko nasunąć podobną możliwość...?

A może na to wszystko za wcześnie?

— Szczęście... Czy możliwe, żeby zawitał do jego życia tak dawno niewidziany i tęsknie oczekiwany gość?

Zapalał, zdaje się, trzeciego papierosa, gdy jeden z wychodzących panów pozostawił niedomknięte drzwi i do palarni wbiegły dźwięki muzyki.

Dźwięki rzewne, jakby ze szczęścia rozetkane...

Cisnął świeżo zapalonego papierosa i skierował się w stronę sali balowej. Melodja za serce chwytająca. Skąd ją zna?

Napewno już ją słyszał.

Gdyby mógł teraz zatańczyć z Izą... Rzekłby jej wprost, że jest najmilszą na świecie...

Stał na progu i zaczął jej szukać wzrokiem po sali. Od strony muzyki dobiegł go równocześnie tenorowy głos.

Nieznany mu śpiewak, stojąc przy orkiestrze, śpiewał:

Twój blues, twój blues przestonił mi ten świat.

Twój blues, twój blues do serca mi się wkradł...

A jemu się zdawało, że się doń zbliża jakaś czarowana, cudna bajka i że to sam zwiastun szczęścia śpiewa.

Szukał Izy... Wreszcie zobaczył ją tańczącą. Zbliżała się powoli w jego stronę.

Nagle odniósł wrażenie, jakby kto zimny lód kładł mu na skronie. Przecież go wzrok nie myli. To Jerzy Lando z nią tańczy. Oparł się ciężarem całego ciała o framugę drzwi. Czy to możliwe?

Lando... Zjawił się teraz, jakby zamówiony przez jakąś siłę fatalną, by zburzyć wszystkie jego sny. Nie mógł oderwać od niego oczu. Tańczy z Izą... wtedy, kiedy on zdawał się być coraz bliższym swego celu.

Jest w jego uścisku...

Wolno oddalali się od niego. Czy mu się zdaje, że oto głowa Jerzego zbliża się do skroni Izy... Chyba zwarjuje.

Cofnął się poza próg sali, z twarzą, jakby przed chwilą zajrzało mu w oczy straszliwe widmo.

Nie wiedział, jak doszedł do szatni.

Po chwili owiął go chłód ulicy.

Poszedł chwiejnym krokiem, nie zdając sobie sprawy z kierunku.

## XVII.

Ulica była pogrążona w pełnym wilgoci, listopadowym mroku nocy, na którego tle rzadko się zarysowywała sylwetka przechodnia.

Uderzenie pięścią między oczy, jakie zgotował los Błońskiemu, było dla niego dawką zbyt silną. Czuł się jak więzień, który po długim pobycie w ciemnym lochu został wyprowadzony na słońce i nim je zdążył powitać, został ponownie ciśnięty do ciemnicy. Szedł przed siebie, jak w jakimś koszmarnym śnie. Jakgdyby był oczadziaty. Łomotały mu skronie. Pomimo oczyszczającej go ciszy ulicznej, co chwila przesywającym wspomnieniem wdzieraty mu się do mózgu dźwięki muzyki.

Tak doszedł do placu Zamkowego. Wokół było pusto. Tylko w dali niknął zarys elektrowozu nocnego.

Powiał wiatr... Jego tchnienie zdaje się zapraszało szalejące nerwy do skierowania się naprzeciw jego prądowi.

Skierował się w stronę Nowego Zjazdu.

W mózgu miał bezład, zamęt.

A więc poto go tak zapraszano... by wkońcu zobaczył taki spektakl...

Tak, durny Zygmysiu! Śniły ci się złote sny...

Nie dla ciebie, kochanieńki... nie dla ciebie...

Co innego taki lalusz, bałwan jak Lando.

Pan hrabia...

A ty, cóż mogłeś dać? Tylko swoje głupie serce...

Głupie serce.

Co innego Andrzej... Wódz... bogaty...

A ty, durny Zygmysiu, jesteś na życiowej giełdzie... śmieć.

Śmieć.

To nie dla ciebie, kochanieńki, uśmiechy tego świata...

Śniły ci się złote sny...

Śniła ci się zaczarowana księżniczka...

To dobre dla takiego „orlego” umysłu jak Lando.

Pan hrabia...

Jaśnie pan hrabia Lando...

Tu dziewczynka, tam dziewczynka. A teraz...

Skroń do skroni... czółko do czółka...

— Ha... ha...

Z piersi wyrwał mu się zduszony głos pomieszany z jękiem.

Równocześnie potknął się. Omal nie upadł.

Wchodził na most. Pod nim szumiąca ciemna, otchłanna rzeka.

Wiała...

„Poco tu przyszedł? Przecież mieszka zupełnie gdzieindziej”, szepnęła iskra jego jaźni i zgasła.

Kto go tu przywiódł?

Też pytanie bez sensu. Przecież Iza, jego ukochana dziewczyna w blondwłosej aureoli...

Jego zaczarowana księżniczka, do której mówiło jego głupie serce: „wolę cię niżli scepter, niżli zdrowie, niżli długi wiek i życie”.

I życie... I życie...

Oparł się całym ciężarem o balustradę mostu.

Hen przed nim, nad brzegami rzeki, płonęły równym rzędem światła lamp. Ich odbicia w wodzie tworzyły długi świetlny szereg. Nie widział ich. Pod nim w mroku zarysowywał się potężny maszyn filaru mostowego. Kłębiła się wokół ciemna otchłań wody. Jej miarowy, rytmiczny szum zdawał się wtórować jego myśli:

— ...niżli zdrowie, niżli długi wiek i życie...

I życie... I życie...

Jak urzeczony patrzył się w kłębiącą wodę.

— Nie dla ciebie ta jasna dziewczyna — szumiąca woda.

— Twoje życie, takie czarne jak ja...

— Twoja dola, twój los, to ja... to ja...

Szum wody drążył mu się w mózgu. Zda się, że przewiercał go nawyłość.

— Tu jestem ja... twój los... twój los...

Wtem doszedł go zdaleka inny ton... Najpierw słabiutko zakołatał w jego świadomości... Potem rósł, stawał się coraz silniejszy.

Twardy, równy, rytmiczny. Zbliżał się...

Na zawsze utkwiała mu ta chwila w pamięci.

Jakaś nieznana, nieznosząca oporu siła wzięła go za kark i odwróciła jego głowę od szumiącej rzeki; odwróciła w stronę, skąd dochodził rytmiczny odgłos Rozszerzonymi źrenicami patrzył przed siebie...

Przed nim środkiem mostu w zwartych szeregach szli żołnierze. Na karabinach mieli osadzone ostrza bagnetów. W mroku nocy robili wrażenie posuwającej się miarowo szarej masy.

— Raz dwa, raz dwa.

— Raz dwa, raz dwa.

Miał uczucie, że się budzi z odrętwienia. Już go nie dobiegał szum rzeki... Gdzieś znikł...

— Raz dwa, raz dwa — wybijały miarowy krok kolumny.

— Żołnierze — zrozumiał.

I za tą myślą pojawiła się zaraz druga, od której zdrzątało coś w jego jaźni. Jakby wielki blask rozświetlił wszystkie zakamarki jego umysłu.

— ...Ojczyzna...

Wszak Ona, Ona to jest droższą niż życie i ma prawo do życia naszego.

I o Niej wolno powiedzieć: „Wolę cię niżli życie”.

Oddział żołnierzy oddalał się. Odprowadzał go spojrzeniem, dopóki ostatnia sylwetka z karabinem nie zginęła w mroku nocy.

Wtedy rozejrzał się dokoła. Odczuwał przestrach i zdziwienie. A mózg jego oświetliła nowa błyskawica świadomości. Oto przed chwilą, gdy patrzył na szumiącą wodę, był myślą tak blisko... najwyższego z niego w a ż e n i a swego Stwórcy.

— Wybacz mi, Chryste — wyszeptał.

Wolnym krokiem zawrócić...

Wstydził się sam siebie... swojej krótkiej chwili słabości i zamroczenia z bólu.

Trudno. Wszak sam kiedyś pisał, „że choć każdy szczęśliwym być może, być nim nie musi”.

Postara się zatracić w pracy publicznej i zawodowej. Będzie orać od rana do wieczora... od rana do wieczora.

Tak... Andrzej mu w tem dopomoże...

Praca... praca... To będzie jego lekarz.

Lekarz?

Kto to i kiedy mu mówił, że on potrzebuje lekarza?

Mógłby zaręczyć, że mu to kiedyś ktoś mówił...

Poczuł, że mu gorąco, i rozpiął palto.

Wróciwszy do domu, rzucił się w ubraniu na łóżko.

## XVIII.

Na drugi dzień przed pójściem do Uniwersytetu Andrzej zastukał do pokoju siostry. Było po godzinie jedenastej, lecz Iza jeszcze leżała, odpoczywając po wczorajszym wieczorze tanecznym. Piła właśnie ranną kawę, gdy wszedł do jej pokoju.

— Można do ciebie, Izuchna?

— Siadaj — wskazała mu krawędź łóżka.

Zauważyła zmianę w jego twarzy. Andrzej tak zawsze wyglądał, gdy nurtowała go jakaś przykreść.

— Masz taką minę, jakby cię spotkało coś niemiłego.

Uśmiechnął się kwaśno.

— Chcę cię o coś spytać, kochanie...

— Co się stało? Mów bez wstępów.

Odłożyła niedokończzone śniadanie i spojrzała wyczekująco. Na czole Andrzeja ponad łukiem brwi zarysowała się długa brózdka.

— Powiedz mi — spytał wolno — ...czyś przypadkiem..., czy nie wiesz, dlaczego wczoraj Zygmunt



— tak zniknął nagle? Dlatego cię pytam, ponieważ ostatni raz go widziałem, gdy tańczył z tobą, nawiasem mówiąc, pierwszy raz go widziałem tańczącego...

— Sama nie wiem, Andrzejku. Czyżby się co stało?...

Poczuła niepokój...

— Tak, Iza. Coś się stało. Przed kwadransem miałem telefon od kolegi Skrzyckiego, u którego Zygmunt mieszka...

Wstał i zbliżył się do okna, poza którym sywał śnieg.

— Zygmunt jest chory, a on wogóle jest dość twardego zdrowia. Za jakąś godzinę będzie u niego ojciec.

— Czy to coś poważnego?

— Ma w każdym razie wysoką gorączkę...

Patrzył przez chwilę na pyłki śniegu, goniące się w szybkim pędzie jeden za drugim...

— ...a mnie przyszło do głowy, że może ty wyrządziłaś mu jaką przykrość.

— Skąd ci to przyszło, Andrzejku? Rozmawialiśmy bardzo miło. To wygląda na absurd, żeby mógł istnieć związek pomiędzy naszą rozmową a jego chorobą.

— Licho was wie, kobiety; moja droga... jesteście nieodgadnięte...

Spojrzała zdziwiona na Andrzeja, który nigdy tak do niej nie mówił. Równocześnie zarysowała się jej w myśli przez chwilę sylwetka Błońskiego, stojącego na progu sali. Tańczyła wtedy z Jerzym Lando.

— Tak, kochanie... Ty wczoraj byłaś dla mnie niezrozumiała, a zdawało mi się dotąd, że ciebie zawsze rozumiem.

Iza siedziała na łóżku po turecku z głową opartą na rękę. Prowadziła wzrokiem za Andrzejem, który chodził po pokoju. Stanowczo nigdy w ten sposób z nią nie rozmawiał. Ale nie miała do niego za to żalu...

— Domyślam się, o co ci chodzi, Andrzejku... O to, że raz przetańczyłam z panem Lando...?

— Tak, Izo...

Odczuł zadowolenie, że nie potrzebował mówić wyraźniej. To dobrze.

— To nie było zbyt skomplikowane. Gdybyś mnie nie spytał, to prawdopodobnie wcześniej czy później powiedziałabym ci to sama.

Wzięta do ręki filiżankę z kawą i ułamała kawałek ciasta.

— Słucham cię, Izuchna...

Jakby chcąc przedłużyć jego czekanie, odgarnęła włosy.

— Pan Jerzy poprosił mnie do tańca. Stało się to dla mnie zupełnie niespodziewanie. Prosto jakoś się nagle znalazł przede mną. Automatycznie wstałam, jak na ukłon każdego innego tancerza. I wiesz co? Zrobiłam bardzo dobrze. Przekonałam się, że literalnie mnie nic nie obchodzi, a jak wiesz, przed pół rokiem było inaczej. Nic więcej nie mam do dodania.

— A zatem coś w rodzaju metody eksperymentalnej. Summa summarum sprowadza się do tego, co ci powiedziałem.

Poczem dorzucił:

— ...że kobieta i zagadka to są dwie zagadki...

Przyszło jej na myśl, że coś podobnego możnaby powiedzieć i o chłopcach. Np. pan Zygmunt? Nie powiedziała tego jednak, bo wiadomość o jego chorobie nie usposabiła jej do żartów.

— Czy nie będziesz dzisiaj u pana Zygmunta?

— W każdym bądź razie dołożę starań, żeby być. Jeśli mnie nie przetrzymają w „Bratniaku”, to napewno do niego zajdę.

— To nie zapomnij życzyć mu ode mnie zdrowia.

— Dobrze, Iza.

Nie wiedział dlaczego, ale wychodząc ucałował jej rękę.

Był przekonany, że gdy Błońskiemu powtórzy życzenie zdrowia od Izy, to pomoże to lepiej niż każde lekarstwo.

Wyszedłszy na ulicę, po przejściu kilkunastu kroków Andrzej spotkał ojca. Doktor stał nieopodal przystanku tramwajowego i czytał gazetę. Zauważywszy Andrzeja, skinął nań ręką.

— Coś dla ciebie. Przeczytaj.

Na pierwszej stronie dziennika, rzuciły się w oczy Andrzejowi wydrukowane grubymi czcionkami nagłówki: „Niedoszły zamach bombowy na Spółdzielnię Akademicką. Aresztowani zamachowcy komunistyczni staną niedługo przed Sądem Okręgowym. Są wśród nich dwaj studenci. Większość oskarżonych stanowią żydzi.” Czytanie dalsze przerwał mu doktor.

— Jeśli masz teraz trochę czasu, to możebyś pojechał ze mną do Błońskiego. Napewno się ucieszysz, jak ciebie zobaczy.

Andrzej spojrział na zegarek.

— Dobrze, ale wpadnę tylko na chwilę.

Gdy zajęli miejsca w tramwaju, otworzył gazetę na stronie, na której znajdował się sensacyjny artykuł.

Czytał:

„Dziś jesteśmy wreszcie w możności poinformować naszych czytelników o sprawie, która dla dobra śledztwa nie była ujawniona. W połowie października policja polityczna wpadła na ślad ściśle zakonspirowanej grupy komunistycznej, mającej za zadanie operowanie terrorem. Dzięki sprawności kierownictwa wywiadu śledztwo doprowadziło w krótkim czasie do realnych wyników i, jak się okazało, uchroniło przed zagładą jedną z pożytecznych placówek gospodarczych naszej młodzieży akademickiej. Zostało stwierdzone, że wczesnym rankiem 23 października był planowany zamach, mający na celu zniszczenie budynku, w którym mieści się znana ogółowi studentów Spółdzielnia Akademicka. Dokonane wporę aresztowania stanęły na

przeszkodzie zamachowcom. Ogółem aresztowano sześć osób, w tem pięciu żydów. Dwaj z oskarżonych są studentami. Jak się dowiadujemy, urząd prokuratorowski wykończył już akt oskarżenia i winni usiłowania zamachu staną w najbliższym czasie przed Sądem Okręgowym. Niepозzbawioną sensacji okoliczność stanowi wiadomość, że jedynym oskarżonym nie żydem jest wybitny sportowiec Sulnik, znany w szerokich kołach sportowych pod pseudonimem „Janka”. W razie otrzymania nowych szczegółów o sprawie nie omieszkamy podać ich do wiadomości naszych czytelników”.

— Cóż ty na to? — spytał doktor.

— To, że idzie podziemna akcja, to się w tem dokładnie orientujemy. Najciekawsze będzie dla mnie dowiedzieć się, co to za studenci.

Wkrótce musieli wysiadać. Od przystanku tramwajowego do domu, w którym zajmowała mieszkanie pani Skrzycka, było kilkanaście kroków. Drzwi otworzył im Janek.

— Cóż tam nasz chory? — zagadnęli go obaj.

— Nie wiem. Nie wchodziłem od dwóch godzin do niego, bo zauważyłem rano, że męczy go rozmowa.

Gdy zastukali do drzwi, usłyszeli trochę schrypnięty głos:

— Proszę wejść.

Zygmunt na powitanie doktora usiadł na łóżku. Uczynił to jednak z widocznym trudem.

— Bardzo jestem wdzięczny panu doktorowi za tak rychłe odwiedziny. Czuję się marnie. Dawno się tak nie czułem.

Doktor gestem dał poznać, że chce sam pozostać z chorym. Rozgrzawszy sobie ręce koło pieca, zbliżył się do łóżka. Ujął Zygmunta za rękę i, wyczuwszy puls, spojrział na zegarek. Na czole zarysowała mu się lekka zmarszczka. Naliczył sto dwadzieścia uderzeń na minutę. Odpowiadało to temperaturze 38<sup>o</sup>5. Po krótkiej konsultacji miał ustaloną opinię. Była to „hiszpanka”,

ciężka odmiana grypy; obecnie dość rzadka. Poza przeziębieniem musiał zdaniem jego współdziałać inny czynnik. Domyślał się, że przepracowanie nie było tu bez wpływu.

— Ma pan grypę — rzekł po chwili. — Trzeba będzie się trochę wyleżeć. Wiem od moich, że pan dzisiejszej nocy tańczył. Prawdopodobnie wyszedł pan zgrzany na balkon i t. d. Tak było?

— Tak, panie doktorze.

Doktor zapisał lekarstwa. Na uczynioną mu wzmiankę o honorarium zachnął się:

— Co feż pan opowiada! Zrewanżuje mi się pan w przyszłości jako adwokat.

Na korytarzu zastał czekającego Andrzeja.

— Grypa. Siedź jaknajkrócej.

Andrzej ściśle zastosował się do tego polecenia. Rozmawiając o sprawach potocznych, myślał, w jaki sposób zaaplikować Zygmuntowi swoje „lekarstwo”.

Na wychodnym, ściskając mu dłoń, powiedział:

— Mam dla ciebie życzenia zdrowia od Izy. Ale à propos niej, wiesz prawdopodobnie, bo tego się wszyscy domyślali, że dawniej miał się trochę do niej Lando. Potem po sprawie z Ciołkiem urwało się jego bywanie u nas. Wystaw sobie moje zdziwienie, gdy ją zobaczyłem wczoraj z nim tańczącą. Powiedziała mi dziś, że się dobrze stało, iż ją poprosił do tańca, bo już wie, że ją nic nie obchodzi...

I będąc już w drzwiach, dorzucił:

— ...tyle, co zesztoroczna zima.

---

Tegoż dnia wieczorem Iza w swoim pamiętniku pisała: „Dziś dowiedziałam się, że pan Zygmunt B. jest chory. Bardzo poruszyła mnie ta wiadomość. To naprawdę najbliższy, najbardziej oddany Andrzejowi przyjaciel.

Wczoraj ku memu największemu zdziwieniu poprosiłam mnie do tańca. Tańczyliśmy bostona. Nie wyobrażałam sobie, że ten człowiek może... tańczyć. Zawsze go widziałam w nastroju poważnym, ostatnio nawet z odcieniem „tragicznym”, tak jak owego wieczoru u nas, gdy mówił mi, że kocha się bez powodzenia. Tymczasem tańcząc ze mną, zdawał się być w dobrym humorze. Dziwny człowiek. Inna rzecz, że ten jego humor miał w sobie również coś „poważnego”. Przyszła mi totrowska chęćka wypróbowania go, czy byłby w stanie zdobyć się na flirt. Na pytanie, które do tego zmierzało, nie dostałam jednak odpowiedzi. Wyszedł bez pożegnania. Prawdopodobnie poczuł się chory. Słyszałam, jak mama mówiła do Andrzeja, że wsadzi mu kiedy do kieszeni pałta podręcznik „savoir vivre’u”. Wiem, że mama go niezbyt lubi, tymczasem on może jest trochę niezrozumiały, ale jest niewątpliwie dobrym chłopcem. Rozpisałam się o nim, choć otworzyłam mój pamiętnik po długiej przerwie z innego powodu. Wczoraj, niemal po półrocznym niewidzeniu, zobaczyłam Jerzego L.

Pomyśleć, że ostatnio pisałam o nim na tych kartkach jako o „Jurku”. W pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam, poczułam coś w rodzaju niepokoju. Potem przyszła jednak chwila przypomnienia sobie tego wszystkiego, co nas rozdzieliło, i uspokoiłam się. Przeszedł na zabawę tak jak każdy inny młody człowiek. Starałam się myśleć o nim obojętnie, o ile można myśleć obojętnie o tym, który był dla nas... „kimś”. Złożył mi ukłon i poprosił do tańca. Uprzednio widziałam, jak się zbliżał. Czy miałam mu odmówić? Może tak... Niewątpliwie tak byłoby bardziej prostolinijnie. Pomyślałam sobie jednak, że gdy mu nie odmówię, będzie w tem coś ze swoistej brawury. Teraz, gdy to piszę, nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga. Przecież większość tych młodych ludzi, tańczących na wytwornych balach z „dobrze ułożonymi pannami” pod

okiem ich mam lub ciotek, ma swoje bardzo prywatne życie... Przekonałam się, że mi jest gruntownie obojętny. Tańczył dobrze jak zwykle. Dziś na tle porównania z innymi widzę jak słusznie, może bez specjalnej myśli, określał go Andrzej, mówiąc „twój tancerz”.

Istotnie „tancerz” i tylko tancerz...

W pewnym momencie uznałam za właściwe lekko go odsunąć od siebie. To była moja... „odpowiedź”. Myślę, że jeśli mnie kiedy spotka, na jakim balu, to się już więcej nie zgłosi do swojej dawnej „piosenki”. Dawnej i przebrzmiałej.

Iza zamyśliła się nad tem wszystkim, co napisała, i zaczęła odczytywać świeżo napisane zdania. Wracała myślą równocześnie do wczorajszego wieczoru w Re-sursie... Na chwilę przypomniała się jej stara redaktorka, wiodąca za nią swoim Iorgnon, gdy tańczyła z panem Zygmuntem, a potem na ekranie pamięci za-drżał jej ten dziwny blask, jaki zobaczyła w oczach swego tancerza.

I przypomniała sobie coś bardzo dawnego.

Wzięła do ręki jeden z poprzednich zeszytów pamiętnika. Zniszczone kartki wskazywały na to, że minęło już kilka lat conajmniej od faktów na nich opisanych. Przerzucała kartki, zapisane gęstem pismem. Wreszcie znalazła to, czego szukała.

Czytała:

„Piszę o godzinie drugiej w nocy. Przed chwilą wróciłam do domu z zabawy u Madzi Zańskiej. Mama myśli, że ja już śpię, ale ja muszę przedtem napisać choć kilka zdań w moim dzienniczku. Bawiliśmy się cudnie. Były wszystkie najmiłsze z naszej czwartej klasy, no i paczka sztubaków bardzo sympatycznych. Bardzo mi się podobali, zwłaszcza jeden. Syn naszej przełożonej Henio K., cały czas ze mną tańczył. Po kolacji siedzieliśmy obok siebie. Tak dziwnie na mnie patrzył i długo. Chyba to światła lamp odbijały mu

się w oczach: takie w nich były blaski. Dzisiaj zrozumiałam, że można kochać nie tylko przyjaciółki”.

Iza, czytając, uśmiechała się do tych przyjacielskich kartek, takich naiwniutkich, napisanych dawno, zda się „przed wiekami”.

## XIX.

Była niedziela grudniowa, zimna, z sypiącym bez przerwy śniegiem. W kościele akademickim dobiegała do końca ranna Msza św. Kościół był szczelnie wypełniony młodzieżą, której gromadki, nie mogąc się pomieścić wewnątrz, stały przed murami świątyni. Boczna nawą pomiędzy rzędami studentów przesuwawała się sylwetka księdza w komży. Był średniego wzrostu, dość otyły. Szedł z tacą w rękę, na którą sypały się datki. Był to przewodnik duchowy tej wielotysięcznej gromady młodych. Miał dobre oczy i szły za nim tylko dobre spojrzenia. Andrzej, patrząc na niego, odnosił zawsze wrażenie, że oto widzi czujnego, skrzętnego gospodarza, który raduje się, idąc wśród łanów zbożowych. A gdy go widział na kazalnicy, przychodziło mu na myśl porównanie, że ten niepozorny z wyglądu kapłan wśród mas akademickich odgrywa taką rolę, jaką w życiu organizmu pojedynczego odgrywają... witaminy.

Po nabożeństwie tłum szeroką falą zaczął płynąć przez wyjście. Andrzej, wydostawszy się na ulicę, skierował się w stronę Uniwersytetu. Chociaż była niedziela, musiał zejść do „Bratniaka”. Lokal był oczywiście zamknięty. Otworzył drzwi zapasowym kluczem, który nosił zawsze przy sobie. Spowodu dnia świątecznego nie napalono w piecach, toteż pozostał w palcie. Z pustej, obszernej siedziby wiał chłód. Pomimo przedpołudniowej pory w pokoju było ciemno. Przekręciwszy kontakt elektryczny, zbliżył się do okna. Na



dziedzińcu uniwersyteckim było pusto. Co chwila, gnany wiatrem, uderzał o szyby śnieg. Tumany jego kłębiły się po ziemi. Zanosiło się na zadymkę.

— Psaby nie wypuścić — pomyślał.

Czy też Pliszce zechce się przyjść? Powinien lada chwila przyjść. Może wogóle ta rozmowa jest zbyt zbyteczna? Wszystko przecież przewidział. Guduł zostanie postawiony wobec alternatywy: „Gdynja” lub „Korona”. Albo — albo. Jeśli jest narzędziem do wywołania dywersji — niema wątpliwości, co wybierze, a zatem wogóle niema... wątpliwości. Tylko nic nieorientujący się mogą mieć złudzenia. Jedyną okolicznością, przemawiającą za rozmową z Pliszką, jest jego popularność wśród najmłodszych członków. Ale czy można przypuścić, że w tego typu sprawie zajmie ktośkolwiek stanowisko podyktowane względami sympatji; wystawiłby sobie „testimonium paupertatis”. Musi jednak polegać na zdaniu Błońskiego, który lepiej niż on wyczuwa wszelkie możliwości. A Zygmunt powiedział: „lepiej wszystko przewidzieć; trzeba się liczyć, że i Guduł nie zasypiał gruszek w popiele”. Tak czy inaczej zebranie stanowić będzie moment zwrotny dla „Gdynji”. Wczoraj na Uniwersytecie Lenta udał, że go nie widzi. Wstrętna sytuacja dla każdej organizacji, a cóż dopiero dla korporacji. Jest jasne, że Lenta i Guduł czują w nim głównego przeciwnika, zdają sobie sprawę, że jak oni, tak i on w i e, c z e g o c h c e.

Potamię sobie na nim zęby.

Ciekawe, kto też z profesorów współdziała w tej akcji i co się dzieje w Warszawie poza „Gdynją” i co w innych środowiskach akademickich? Pewnego rodzaju egzamin sprawności dla „życziwych”. Miał przecież pewność, że w stolicy główna uwaga zwrócona jest na „Gdynję”.

Z dalszych pokojów dobiegły go czyjeś kroki. Rozległy się wyraźnie w pustym lokalu. Wszedł Pliszka.

— Jak się masz, Andrzej. Chciałeś, żebym przyszedł — rzekł, siadając na otomanie. — Trochę mnie zaintrygowałeś...

Zapalił papierosa.

— ...Byłoby bardziej zajmujące pogadać w jakiej kawiarni. Myślę, że wielu naszych jest teraz w „Rolniczej”. Ale chciałeś, więc jestem. Czuję, że masz coś do mnie na... wątróbce.

— Poprostu jestem ciekaw, jak się ustosunkujesz do mojego wniosku, który od dziś za trzy dni będzie głosowany.

— I dlatego mnie tu ściągnęłeś? Na taki psi czas?

— Tylko i jedynie dlatego.

— No wiesz... Chodź gdziekolwiek na dobrą kawę. Chyba kawa nie przeszkodzi ci w rozmowie...

— Być może, że to rzecz dla ciebie nie do wiary, ale przeszkodzi. Wydaje mi się, że można sprawę nazwać poważną, jeśli będzie miała wpływ na skład organizacji nam obu drogiej. Powiem ci krótko: dla mnie jest w grze mój stosunek osobisty do „Gdyni”.

— Niebardzo cię rozumiem. To, że Guduł może się znaleźć w trudnej sytuacji, to jest dla mnie jasne. Ale ty? Tu ci dodam, że mojem zdaniem Guduł, to bardzo miły chłopak, świetnie wychowany. Mnie to naprzykład nic nie przeszkadza, że jemu chodzą po głowie królowie. Co komu do tego? Król, nie król, to wszystko razem bujanie słońia w karafce. Ty jesteś miły chłop, on także; powinniście wspólnie napić się. Zarówno u ciebie jak u niego ludzie chętnie bywają. Na diabła wprowadzać dysonanse. Chyba po to, żeby zrobić ucieszny widok przeciwnikom ruchu korporacyjnego. Przez Gudułta możemy mieć doływ młodych chłopców z rodzin wielkoszlacheckich. Słyszałem, jak raz Pokojski psioczył na arystokrację, że nie znać jej w życiu społecznym, że u nas na terenie akademickim wcale ich nie widać. Taki Guduł garnie się u nas do roboty, a wzamian za to może dostać kopniaka.

Za co? Za monarchistycznego fiołka. Ale on, mój drogi, do tego fiołka jest predestynowany z urodzenia. Pozwól mu na to. Niech się bawi.

Andrzej oparty o ścianę słuchał długiej tyrady Leszka. Poraził go swoją rozpacziwą pływizną. Jak z nim dyskutować? Może rzeczywiście byłoby najrozsądniej pójść na kawę? Ale co będzie, jeśli na zebraniu pojawi się i u innych tendencja do potraktowania sprawy na wesolo i zlekceważenia jej? Przyszło mu na myśl, że gdyby Gudułt był przewidującym, to postarałby się o taki nastrój zebrania. Na początku zniósłby trochę drwiących uśmieszków, a w rezultacie przeprowadziłby swój plan, plan, mający na celu rozwodnienie ideologii korporacyjnej.

— Słuchaj, Andrzej; czy ty znasz siostrę Gudułtę? z takim piegowatym nosem. Wyobraź ją sobie w roli damy taboretowej Jej Królewskiej Mości. Cha... cha... cha...

Leszek się śmiał, jak to on tylko potrafił. Andrzejowi narzucała się myśl, że z Leszkiem rozmowa byłaby bardziej na miejscu o rzeczach błahych wśród rozba-wionego towarzystwa. Przez chwilę odczuł zakłopotanie. Czy znajdzie sposób na poprowadzenie rozmowy tak, żeby osiągnąć swój cel. Czy to jest wogóle możliwe? Leszkowi drżała jeszcze twarz w skurczach śmiechu. Gdy się uspokoił, zapytał:

— Ty mnie poprosiłeś o rozmowę, tymczasem ja wciąż gadam. Słucham ciebie.

— Ty, mój drogi, traktujesz całą sprawę w sposób pocieszny. Odpowiedz mi poważnie na jedno pytanie. Czy według ciebie propagowanie systemu federacyjnego, to jest też „bujanie słonia w karafce”?

— A co ma jedno do drugiego?

— Dam ci do przeczytania programową ulotkę organizacji Gudułta. Przeczytaj, bez tego nasza rozmowa chybia celu. Oto ona.

Leszek zaczął czytać. Andrzej obserwował jego twarz charakterystyczną, jakby przedwcześnie poraną

zmarszczkami. Gdyby nie młode rozbiegane oczy, każdyby mógł go uważać za „weterana” na terenie akademickim.

Leszek odłożył przeczytaną odezwę.

— Dla mnie to jest wszystko nieżyciowe i nierealne. Jeden z tych niewątpliwych wypadków, kiedy papier przez zadrukowanie stracił na wartości. Nie mogę ci zaprzeczyć, że budzi we mnie pewnego rodzaju zdumienie fakt, że istnieje organizacja studencka, która coś podobnego drukuje.

— Odpowiedz mi teraz na takie pytanie: czy zdaniem twojem Guduł jest inteligentny?

— Niewątpliwie tak.

— No, to postaraj sobie powiązać tę opinię o nim, którą nawiasem mówiąc, ja podzielam także, z tem, co powiedziałeś uprzednio. Może cię to doprowadzi do wniosku, że trzeba być... czujnym.

Pliszka zamyślił się.

— Powiedzmy, że tak.

— Użyłeś, mój drogi, wyrażenia, że to, co przeczytałeś, jest wszystko nieżyciowe i nierealne. Czy ty uważasz możliwość wprowadzenia ustroju federacyjnego za chimere?

— Uważam za dawno pogrzebane poronione pomysły.

— Zwróć uwagę na taką okoliczność, którą ci teraz postaram się uwydatnić. Jakbyś nazwał koncepcję takiego ustroju państwa, w którym powiedzmy: na południowym wschodzie wykrojonyby duże województwo, określono jako obejmujące rzekomo znakomitą większość Rusinów i na któremby starano się rozwiązać to wszystko, co możnaby nazwać problemem rusińskim. Dalej na północo-wschodzie odpowiednich rozmiarów województwo, gdzieby się starano objąć znakomitą większość Litwinów. W stronie zachodniej i północo-zachodniej województwo, gdzieby Niemcy znaleźli największe skupienie i t. d. Podział państwa z tak wykro-

jonemi województwami stanowiłby pewnego rodzaju namiastek „federacyjności”. Czy tego rodzaju koncepcja też byłaby według twego zdania chimerą?

Pliszka milczał.

— Czy nie uważasz, że tego rodzaju koncepcja stanowiłaby znakomitą podstawę dla działania wszelkich sił odśrodkowych Rzeczypospolitej? Upewniam cię, mój drogi, że to nie jest z dziedziny bajek. Można by to potraktować jako jeden z tematów, któreby dało się objąć tytułem: „Co zrobić dla osłabienia spoiwości wewnętrznej Polski?” Jeden z tematów, który napewno chodzi po głowie tym wszystkim, którzyby chcieli, żeby Polska była państwem słabem, na glinianych nogach.

Twarz Leszka wykrzywił grymas.

— Stawiając kropkę nad „i”, ty imputujesz tem samemu Gudułtowi, że należy właśnie do tego typu ludzi. Idziesz bardzo daleko...

— Odpowiem ci ściśle, ważąc każde słowo: imputuję mu, że jest narzędziem w ręku tych, którzy do tego dążą. Wierzę, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Na chwilę zapanowała w pokoju cisza... Andrzej, zapalając papierosa, nie spuszczał oczu ze swego rozmówcy, jakby chcąc wyczuć, jakie myśli wywołuje pod jego korą mózgową.

— Na początku użyłeś słów, z których wnioskuję, że bodajby ci najbardziej odpowiadało, żebym wycofał swój wniosek, bo to wprowadza dysonanse?

— Jesteś, mój drogi, bliski prawdy. Chcę ci powiedzieć, co jest moim zdaniem wadą w twoim rozumowaniu...

— Bardzo jestem ciekaw usłyszeć.

— Otóż ty uważasz, że tylko ty i ci, co tak myślą ściśle jak ty, jesteście w posiadaniu jedynej i niezawodnej recepty na potęgę Polski. Tymczasem, jestem o tem najgłębiej przekonany, że taki Gudułt myśli o sobie w podobny sposób.

Skrzyżowały się ich spojrzenia.

— I ja wierzę, że Gudułt tak o sobie myśli. A co się tyczy tej „recepty”, o której mówiliśmy, to muszę ci zwrócić uwagę, że taką samą jak ja receptę wyznaje dotychczas w swych statutach „Gdynja”. Punktem jej wyjścia jest, że w Polsce jest jeden naród gospodarz. Każdy kto wysuwa program, pomnażający trudności w realizowaniu tej zasady, znaczy, chce poddać rewizji dotychczasowe wyznaczenie „wiary” „Gdynji”. Otóż mój wniosek zmierza do tego, żeby tej rewizji nie było, a ty, jeśli nie będziesz chciał, żeby się „Gdynja” zamieniła w pospolity klub towarzyski, a potem w rezultacie rozleciała, będziesz musiał uznać *nolens volens*, że albo korporacja podtrzymuje swoje dotychczasowe „credo” ideowe, a zatem głosujesz za moim wnioskiem, albo swoje „credo” zmienia. Dla mnie mój pobyt w niej będzie wtedy niemożliwy. I takich jak ja byłoby dużo.

— Z tego widzę, że się zanosi na prawdziwą burzę.

— Ja, mój drogi, w wyniku naszej rozmowy, chciałbym, żebyś uznał, że po ogłoszeniu przez stowarzyszenie „Korona” jego zasad programowych dotychczasowe status quo w „Gdynji” nie może się utrzymać. Oznaczałoby to bowiem, że w tej samej organizacji mogą być jedni ludzie, którzy w najważniejszych sprawach ideowych idą „do Sasa”, i drudzy, którzy idą „do lasa”. W praktyce oznaczałoby to, że organizacja nie posiada kośćca ideowego. A co się dzieje bez takiego kośćca, to nie jest dla ciebie tajemnicą. Wiesz, że nawet po czterdziestu latach istnienia zdarzają się rozłamy, które podcinają byłą organizację. A zatem, jeśli moje argumenty cię przekonały, nie próbuj i nie działaj w kierunku utrzymania status quo.

Leszek Pliszka poczuł się zakłopotany. Rozumiał jasno, że celem Andrzeja jest odciążenie go od zajęcia stanowiska, któreby szło po linii życzeń Gudułta.

Być przeciw utrzymaniu wytworzonego stanu rzeczy w korporacji oznaczało w praktyce głosować za wnioskiem Andrzeja, a zatem oznaczało to — zająć wogóle zdecydowane stanowisko. Nie lubił takich sytuacji. Zanosił się na to, że będzie musiał zająć stanowisko bądź przeciw wnioskowi Andrzeja, bądź się narazi Gudułtowi. Na jakiego diabła Andrzej musi ze wszystkiego robić dramat? Też usposobienie. Czuł, że musi coś odpowiedzieć.

— Pomyślę nad tem wszystkim, coś mi mówił. Wydaje mi się tylko pewne, że wyolbrzymiasz znacznie pewnych rzeczy. To, co dotyczy głównie „Gdynji”, bo przecież jest zbiegiem okoliczności, że Gudułt jest u nas, nabiera u ciebie znaczenia czegoś, co powinno interesować niemal całe społeczeństwo.

— Jesteś w błędzie, mój drogi, to dotyczy wszystkich korporacji, w których, powiedzmy, są ludzie Gudułta. Wszystkie one stoją wobec groźby mniejszego lub większego zamętu ideowego. Podkreślam ci to słowo: z a m ę t u. A co się tyczy tego, czy to zasługuje na uwagę szczerłego grona ludzi, czy też winno interesować całe społeczeństwo, to ci powiem jedno, co musisz uznać, jeśli masz oczy otwarte, na to, co się w świecie dzieje. U nas na terenie studenckim jest jedno zagadnienie wielkie...

— ...to jest?

— To jest zagadnienie oblicza duchowego młodego pokolenia, i wszystkie sprawy, które się z tem łączą, choćby pozornie najdrobniejsze, są wielkiej wagi. Dlatego widzisz, najbliższe zebranie „Gdynji” ma mojem zdaniem takie znaczenie. Ja, mój drogi, czuwam nad nurtem ideowym, jakim płynie akademicka „rzeka”. Teraz chyba rozumiesz, że jakikolwiek kompromis jest dla mnie niemożliwy...

Zapanowało krótkie milczenie. Przerwał je Andrzej.

— Czyś ty się, Leszek, kiedy zastanawiał nad tem, jaki jest cel twego życia?

Powiedziawszy te słowa, żałował zadanego pytania. Czy rejon, na które prowadził swego rozmówcę, były dlań dostępne? Miał co do tego wątpliwości. Zresztą słowa już padły i nie można było ich cofnąć a poza-tem przyszłość „Gdyni” była warta... każdej rozmowy.

Leszek nie odpowiedział odrazu. Zaskoczyło go to pytanie.

— Jeśli mam być zupełnie szczery, to przyznam się, że o tem wogóle nie myślałem. Bo i poco?...

Spojrzał pytająco na Andrzeja. Zauważył na jego twarzy uśmiech, jakiś dziwny, nito ironiczny, nito...

Co mu ten uśmiech przypomina?

Aha... Już wie... Tydzień temu, otrzymawszy „kartkę”, był na koncercie wielkiego skrzypka. Sala była prawie pusta... I gdy artysta wszedł na estradę i powlókł spojrzeniem po pustych miejscach, na jego twarzy pojawił się uśmiech... Taki sam uśmiech, jak teraz u Andrzeja...

Leszkowi zrobiło się nieprzyjemnie. Postanowił coś powiedzieć.

— Skoro mnie o to pytasz, to prawdopodobnie odpowiedziałeś sobie sam na to pytanie. Jaki jest twój cel?...

— Chcesz wiedzieć? Interesuje cię to?

— Tłumaczy mnie twoje poprzednie pytanie.

— Więc ci powiem, Leszku... Mój cel... Jakby ci to powiedzieć... Moim celem jest, że, gdy kiedyś będę umierał i w świetle gromnicy zobaczę całe swoje ubiegłe życie, żebym mógł sobie powiedzieć, że mój Naród jest wspanialszy i potężniejszy i..., że ja chociaż o odrobinę maleńką się do tego przyczyniłem. Teraz już wiesz. Bardzo daleko zaprowadziła nas nasza rozmowa.

Spojrzał na Leszka, jakby wyczekując, czy też to wszystko, co powiedział, da jaki wynik, czy też zastugiwał na to, żeby o tem do niego mówić.



— Dziękuję ci, żeś ze mną tak szczerze rozmawiał.  
— Cenię to sobie.

Pliszka starał się być dobrze wychowanym. Spojrzał na zegarek.

— Ale już najwyższy czas wyjść, jeśli mamy kogo zastać w „Rolniczej”.

Gdy byli na ulicy, zapytał:

— Czy nie wiesz przypadkiem, co to za studenci są oskarżeni o usiłowanie zamachu na Spółdzielnię Akademicką?

— Wiem tylko tyle, że nie są z Uniwersytetu.

Gdy przechodzili koło bramy domu, w którym mieściła się redakcja pisma „Strumień”, Andrzej zauważył szybko wchodzącego Gudułta. Odniósł wrażenie, że Gudułt go spostrzegł, tylko udał, że nie widzi.

## XX.

Gdułt szedł szybko po schodach. Spóźnił się. Redakcja „Strumienia” mieściła się na drugim piętrze. Zastukał trzykrotnie w równych odstępach do drzwi, które się szybko otworzyły. Młody chłopak odebrał od niego palto.

Skierował się do drzwi, zaopatrzonych w tabliczkę z napisem „redaktor”. Po chwili znalazł się w niewielkim podłużnym pokoju, pełnym dymu tytoniowego. Za długim stołem siedzieli kilkunastu młodych ludzi. Miejsce przewodniczącego zajmował Korski.

— Siadajcie, kolego — zwrócił się do Gudułta. — Spóźniliście się, a spodziewamy się od was dzisiaj wiadomości. Za chwilę udzielę wam głosu.

Gdułt rozejrzał się po pokoju. Sami znajomi. Zdało mu się, że niektórzy witają go ironicznym uśmiechem. Poza to podrażnił go sposób powitania przez Korskiego. Czuł podenerwowanie i postanowił nie dać się w żadnym razie sprowokować. Przewidywał możliwość czegoś podobnego. Miał pewność, że najbliższe

dni wywrą wpływ na to wszystko, co zwykły był określać jako „życiowy interes”. Pomyślał, że stanowiłoby już dla niego przyjemność, gdyby np. zajął przewodnictwo tego grona po Korskim. Korski na stanowisku jego... zwierzchnika był dla niego czemś anormalnym; czuł przecież, że jest zdolnym do wykonania niebywałych zadań. Udział w tem gronie uważał dopiero za początek realizowania swych aspiracyj. Przeczuwał, że zajęcie miejsca po Korskim jest warunkiem do pójścia wyżej. Wyżej... Wyżej...

Co to za satysfakcja stać za kulisami rozwijających się wydarzeń i być tym, który „pociąga za sznurek”, powodując, że w różnych miejscach zachodzą fakty, pozornie niemające ze sobą związku, ale kierowane tym samym centralnym mózgiem i mające ten sam cel...

Wzrok jego skierował się na chwilę w stronę ściany, przy której stało biurko redaktora. Był tu szereg fotografii różnych osobistości, odgrywających rolę w świecie literackim. Wiadomo... redakcja. Fotografje wisiały w dwóch rzędach. W dolnym — mniejsze; wśród nich przeważały podobizny prasowych znakomitości zagranicznych. Dedykacją z wielkim zakreśleniem wyróżniało się spore zdjęcie, przedstawiające wybitnego przywódcę żydostwa. W rzędzie górnym dominował wielki portret pisarza o siewających włosach z bujną, zaczesaną do góry czupryną. Może to z myślą o uczczeniu go, ze względu na jego styl, rwący jak potok, nazwano pismo... „Strumieniem”... Choć chyba nie... Przecież w „Strumieniu” jest raczej coś, co drąży, drąży...

Rozmyślenia Gudulła przerwał jakby silniejszy głos Korskiego:

— Przechodzimy do następnego punktu. Kolega Gudulł zechce nam powiedzieć, jak się przedstawia sytuacja na powierzonym mu odcinku.

Poczuł lekką treść, choć dokładnie ułożył sobie to wszystko, co ma powiedzieć. Spojrzenia skier-

rowały się w jego stronę. W tym momencie był tutaj niewątpliwie ważną figurą. Chrząknął.

— Rozgrywka nastąpi za trzy dni. Doskonale rozumiem, że wszystkich kolegów interesuje, jak się ona zapowiada. Uważam, że w naszym gronie wszystko powinno być traktowane z maksymalnym obiektywizmem. Otóż według mnie niema w tej chwili w „Gdyni” ani jednej osoby, któraby mogła przewidzieć, jak się sprawy zakończą. Mogę bez przesady powiedzieć, że ze swej strony zrobiłem wszystko, żeby zapewnić sukces.

Z przyległego końca stołu obrad wtrącił się głos:

— Zadziwiające, jak identycznie brzmią sprawozdania ze wszystkich ośrodków.

— Nie wiem, jakie są inne sprawozdania, bo się spóźniłem i ich nie słyszałem. Oczywiście, jak się to koledzy domyślają, głównym przeciwnikiem jest Zarucki...

— To było wiadome od początku — wtrącił ten sam głos.

— Kolega, który mi już drugi raz przerywa, jak się okazuje, jest o wiele lepiej ode mnie poinformowany, wobec tego może zechce mnie zastąpić w sprawozdaniu.

— Proszę nie przerywać koledze Gudułtowi — odezwał się szorstko Korski. — Sprawa jest poważna i nie jest pora na dowcipy.

Gdułt był z siebie zadowolony. Jego odezwanie się było stanowczo godne przyszłego przewodniczącego tego grona. Zdawało mu się, że w oczach Lenty dostrzega błysk podziwu.

— Zechce kolega kontynuować swoje wywody — powiedział Korski.

— Co się tyczy Zaruckiego, to zrozumiałe, że przy swoim stanowisku ma duży autorytet. To, że powiedziałem, iż jeden z kolegów jest lepiej poinformowany, nie było ironją. Mianowicie ja i myślę, że także ko-

lega Lenta, przypuszczaliśmy, że nawet pracy, jaki ma Zarucki w „Bratniaku” — poprostu odwróci jego uwagę. Tu się częściowo omyliliśmy, bo okazało się, że „oczami” Zaruckiego był Błoński. Dziś, co do tego mam pewność. Nie mogę powiedzieć, żeby los nam sprzyjał. Mianowicie na grypę zachorował Błoński; gdyby tak zacna „hiszpanka” wybrała sobie Andrzeja Zaruckiego, sprawyby się kompletnie uprościła.

— Proszę o głos w sprawie formalnej.

Z końca stołu wstał młody człowiek, ten sam, który uprzednio przerywał.

— Proszę.

— Poprzednio zostałem poniekąd przywołany przez kolegę przewodniczącego do porządku, za rzekomy dowcip. Otóż zwracam się obecnie z prośbą, by kolega za to samo zechciał przywołać do porządku kolegę Gudułta. Pretensja do grypy, że zachorował nie Zarucki, tylko kto inny, jest przecież bądź dowcipem, bądź kpinami z nas tu obecnych.

— Słusznie — rozległ się głos jednego z obecnych.

— Dodam jeszcze, że mojem zdaniem, to co nam tu opowiada kolega Gudułt, jest niczem innym, jak tylko przygotowywaniem nas do kompletnej klapy w najważniejszym punkcie.

Gdułt spojrział przez zmrużone powieki na mówiącego. Był to jego cichy antagonistą, reprezentujący najbardziej radykalne skrzydło. Pierwszy raz pozwalał sobie na podobny ton. Poniosło chłopa. Gorzej, że zaczyna znajdować poparcie u innych. Słowo „słusznie” odczuł Gudułt jak pchnięcie piką w bok. Z udanym spokojem zaczął mówić, wolno cedząc słowa:

— Najkategoryczniej oponuję przeciwko przypisywaniu mi tych intencji, których nie mam. Z przykrością muszę zauważyć, że do naszych obrad wkrada się dzisiaj nastrój nerwowy, choć co do mnie nie widzę do tego powodów.

„Flegma”, z jaką to powiedział, odniosła swój efekt.

— Incydent uważam za wyczerpany — rzekł Korski.

— Wobec tego mówię dalej. Nasze przygotowania były na zupełnie dobrej drodze, przez „nasze” rozumiejąc swoje i kolegi Lenty, gdy zaszedł fakt, pozostający poza sferą naszych wpływów, fakt, który moim zdaniem powinien zwrócić uwagę wszystkich kolegów. Mianowicie dwaj świeżo pozyskani przeze mnie ludzie zgłosili się do siedziby organizacji monarchistycznej z zapytaniem o stosunek do kwestji żydowskiej. Pomijam to, że odpowiedziano im w sposób niesłychanie niezręczny. Nie miałem na to wpływu. Ludzie ci się wydostali spod mojego wpływu, a mogli być mi bardzo pomocni w powierzonych mi akcjach. Przez nich mogłem uzyskać wpływ na innych. Jeśli się uwzględnimy, że dwaj inni, których zamierzałem wprowadzić do „Gdynji”, załamali się i cofnęli się przed złożeniem podań, to dojdą koledzy do wniosku, że materiał ludzki, jaki dostałem do dyspozycji, nie był szczególny. W tych warunkach spadło wszystko na mnie i na kolegę Lentę. Nie mówię tego, żeby się usprawiedliwiać. Chodzi mi o rzecz znacznie ważniejszą. Nigdy nie uwierzę w to, by dwaj członkowie „Gdynji”, bardzo jeszcze młodzi, zgłosili się z zapytaniem o stosunek do kwestji żydowskiej z własnej inicjatywy. Oni to zrobili z czyjejs inspiracji. Nie tak dawno, w związku z uchwałami powziętymi w tym gronie, został rozestany okólnik w szeregu organizacyj nam podległych, by w nadchodzących wyborach akademickich unikać poruszania sprawy żydowskiej. Okólnik ten miał być traktowany jako najbardziej poufny. Otóż twierdzą, że okólnik ten w nieznanym sposobie dostał się w ręce naszych przeciwników. Gdyby ten okólnik był sprezentowany na zebraniu „Gdynji”, czego niestety nie wyłączałem, to sytuacja moja i kolegi Lenty byłaby nie do pozazdroszczenia.

Guduł na chwilę przestał mówić. Sięgnął po papierosnicę. W pokoju panowała cisza. Przeżywał uczucie triumfu, choć zdawało się, że był już bliski klęski. To, co powiedział, zrobiło niewątpliwie wrażenie. Nikt nie zabierał głosu. Milczał również elokwentny do tej pory radykał. Ten moment psychiczny głęboko utkwiał Gudułowi w pamięci.

Pierwszy odezwał się Korski:

— Sprawa jest niestychanie poważna. Powiem, że inne kwestje tracą przy niej na znaczeniu. Nie potrzebuję dodawać, że zrobię wszystko, żeby zbadać sprawę tego okólnika, choć jasne jest, że sprawdzenie tego, co mówił kolega Guduł, z całą ścisłością, sprawdzenie — jest niezwykle trudne. Czy kto ma jakie zapytanie?

— Proszę.

Wstał antagonistą Guduła.

— Jeśli to, co mówił kolega Guduł, okaże się prawdziwe, choć niebardzo w to wierzę, to wydaje mi się, że nie będziemy mogli obarczać kolegi Guduła jakąkolwiek moralną odpowiedzialnością w razie niepowodzenia jego akcji. Co do mnie to uważam, że sprawdzianem w pewnym stopniu będzie, czy na zebraniu „Gdynji” będzie treść okólnika ogłoszona. Jest to bardzo dziwna sytuacja, bo niewiadomo, czego życzyć koledze Gudułowi. Nie chciałbym być źle rozumiany. Oczywiście życzę jaknajlepszych wyników w akcji. I dlatego uważam, że na miejscu będzie tu zapytanie, czy nie można wyperswadować Zaruckiemu w jaki sposób, by wycofał swój wniosek. Czasami się zapomina o rzeczach najprostszych...

Poprosił o głos Lenta.

— To zapytanie, moim zdaniem, prowadzi jedynie do teoretycznych rozważań. Dla mnie Zarucki jest z pewnego punktu widzenia daltonistą. Wogóle czemś zupełnie niezrozumiałem. Jest to człowiek, dla którego nie istnieje pojęcie osobistego interesu. A jak wpłynąć

na człowieka, dla którego nie istnieje pojęcie osobistego interesu? To takie samo zagadnienie jak kwadratura koła.

— W dodatku materialnie niezależny — ktoś za-uważył.

— Nie taka piszcząca bida jak Żórawiecki — do-rzucił Lenta.

— Przerывam dyskusję, jako nieprowadzącą do celu — rzekł Korski. — Mam jeszcze jedną sprawę do kolegi Gudułta. Na drugi dzień po zebraniu w „Gdynji” zgłosi się kolega ze sprawozdaniem do doktora, jak zwykle w bibliotece...

Gdy po skończonem zebraniu Gudułt wracał do domu, był przepojony uczuciem zadowolenia z siebie. Dokonał prawdziwego majstersztyku. Czyż mógł zrobić więcej, aby nie ponieść odpowiedzialności za ewentualne niepowodzenie w „Gdynji”? Odpowiedzialność przerzucił na innych. Najważniejsze być takim kotem, który pada na cztery łapy. Wolalby co-prawda uniknąć tej konferencji z doktorem. Nie znosi jego świdrującego spojrzenia. Zdaje się, że w rozmowie przewierca człowieka nawylot.

Ale dlaczego za trzy dni ma ponieść porażkę? To jeszcze nie powiedziane. Przypomniało mu się, jak mi-nął się na ulicy z Zaruckim i Pliszką...

Pliszka... Czyż nie należałoby użyć na niego swego wpływu? Świetny przykład na asocjacje idei.

Świat mu się przedstawiał w sposób o wiele różowszy niż w momencie, gdy szedł na zebranie do redakcji „Strumienia”. Był w tej chwili gotów się za-łożyć, że zrobi kiedyś karierę w dyplomacji.

## XXI.

Głośny, absorbujący uwagę opinii publicznej, proces komunistyczny dobiegał końca. Wielka sala Sądu Okręgowego z trudem mieściła zebranych. Na twa-

rzach sędziów malowało się znużenie. Zeznawał ostatni świadek. Był nim świadek oskarżenia, policjant, który przeprowadzał rewizję w mieszkaniach oskarżonych. Spowodu choroby nie mógł składać zeznań według właściwej kolejności. Prężył się w postawie na baczność przed stołem sędziowskim.

— Czy pan prokurator ma jeszcze zapytania do świadka? — zapytał przewodniczący.

— Jeszcze jedno, ostatnie. Na 84-ej stronie akt śledztwa znajduje się egzemplarz ulotki pod tytułem „Dekalog komunistycznego przywódcy”; ulotka ta została znaleziona przez świadka w czasie rewizji w mieszkaniu oskarżonego Sulnika. Mam zaszczyt prosić sąd o okazanie jej świadkowi dla stwierdzenia, czy to jest ta sama, którą znalazł.

Przewodniczący znalazł właściwą kartkę i pokazał świadkowi.

— Jest to ta sama ulotka — rzekł świadek.

— Nie mam więcej pytań — oświadczył prokurator.

— Świadek jest wolny — ogłosił przewodniczący. — Czy strony mają jakie wnioski, dotyczące uzupełnienia przewodu sądowego?

Prokurator i ława obrończa odpowiedzieli przecząco.

— Wobec tego przewod sądowy ogłaszam za zamknięty. Przed przemówieniami stron zarządzam przerwę dziesięciominutową.

Rozległ się rumor odsuwanych krzesel. Wszyscy wstali. Sędziowie wyszli. Również zabrawszy swą teczkę, wyszedł prokurator. Przy stole sędziowskim pozostał tylko sekretarzujący aplikant. Był nim Zygmunt Błoński. Z ulgą odłożył pióro i rozprostował zmęczone palce. Miał przed sobą plikę arkuszy prowadzonego protokołu. Proces trwał pełne trzy dni. Zygmunt pomyślał z zadowoleniem, że nie ma obowiązku notować krasomówczych wywodów prokura-



torą i obrońców. Właściwie mógłby zgóry napisać: „prokurator popierał oskarżenie, obrońcy wnosili o niewinność oskarżonych i t. d.”

Nie da się zaprzeczyć, że wpadł z tym procesem...

Pierwszego dnia, kiedy po chorobie zgłosił się do Sądu, wezwał go do siebie prezes i powiedział, że pragnąc go wyróżnić, powierza mu protokół w jednej z najważniejszych spraw. Ładne wyróżnienie. W dodatku składa się tak fatalnie... Spojrzał na zegarek i na czole zarysowała mu się wyraźna troska. Zegarek wskazywał godzinę siódmą trzydzieści. Bóg wie jak długo będzie mówić prokurator, a na godzinę ósmą jest naznaczone posiedzenie koła korporacyjnego, takie dla niego ważne. Jest jasne, że nie zdąży.

— Widzę, że pan sekretarz martwi się powodu roboty, która go czeka z przepisywaniem — usłyszał głos obok siebie.

Był to ogólnie znany „król Władysław V”.

— Dzieńdobry panu — rzekł Zygmunt — ma pan jak zwykle dobre miejsce na sali sądowej.

— Cóż pan chciał...

„Król” nachylił się blisko do Zygmunta i szepnął:

— Szanuję mnie. Czasy mogą się zmienić... Ale chcę panu coś powiedzieć. Czy pana nie dziwi, że najgorszą minę z oskarżonych ma jedyny wśród nich chrześcijanin?...

Zygmunt spojrział w stronę ławy oskarżonych. Z obu jej stron stali policjanci w czapkach, z karabinami. Pięciu oskarżonych o rysach semickich żywo ze sobą rozprawiało, chwilami rzucając niespokojne spojrzenia na salę. Wyraźnie się od nich odcinał zachowaniem oskarżony, siedzący w rogu ławy, najbliżej publiczności. Obie ręce miał łokciami oparte na poręczach ławki i był wciśnięty w sam kąt, jakby się starał odgrodzić od możliwych spojrzeń. Miał głowę opartą na dłoni w ten sposób, że mógł być łatwo widziany jedynie przez pozostałych oskarżonych.

— Istotnie — odpowiedział Zygmunt. — A nie grozi mu nic więcej niż każdemu z pozostałych oskarżonych. Minimum cztery lata każdy.

— No to sport strzelniczy straci wspaniałego zawodnika na długo — mówił „król”. — Żeby pan sekretarz wiedział, jak on strzela: cudo... Byłem na ostatnich zawodach. Jaki to był krzyk, gdy ogłoszono: pierwsza nagroda „Janek”, możliwe maximum punktów.

— Widzę, że pan wszędzie bywa?

— Przecież muszę się wszystkim interesować... Cóż pan chciał...

„Król” odszedł na swoje miejsce. Miał krzesło pod ścianą, tuż za plecami woźnego a najbliżej miejsca prokuratora.

Zygmunt rozejrzał się po sali. Była pełna. W najbliższych rzędach krzesel, za miejscami zajmowanymi zwykle przez adwokatów, zauważył szereg znajomych studentów. Mignęła mu zdaleka sylwetka Zbyszewskiego z „Sokolji”.

Przy stoliku prasowym nie było ani jednego miejsca. Siadano, bo zbliżał się koniec przerwy... Nagle gwar rozmów przerwał długi, ostry dzwonek i rozległ się głos woźnego:

— Proszę wstać!

Weszli trzej sędziowie. Gdy zajęli miejsca, przewodniczący wśród ciszy oznajmił:

— Głos ma pan prokurator.

Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę wysokiej postaci, surowej w swym stroju oskarżyciela publicznego. Zygmunt Błoński rzucił okiem w stronę obrońców i oskarżonych. Odniósł wrażenie, jakby zastygli spojrzeniem na ustach prokuratora. Ołówki dziennikarzy dotykały, gotowe, kartek papieru. Poszły w ruch...

— Panowie sędziowie! — zaczął prokurator. — Na ławie oskarżonych zasiada sześciu ludzi obwinionych o usiłowanie zniszczenia jednej z najpożyteczniejszych placówek gospodarczych naszej młodzieży akademick-

kiej — budynku „Spółdzielni”. Kto są ci oskarżeni? Przez pytanie to nie rozumiem kwestji ich personalij, ich imion i nazwisk. Interesuje mnie psychika oskarżonych. Gdy ją zrozumiemy, znajdziemy właściwe podejście do ich zbrodni, a wy, panowie sędziowie, znajdziecie w swoim sumieniu odpowiedź, jaką im wymierzyć karę. Kto oni są? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w dokumencie, o którym mówiłem w ostatniej chwili przewodu sądowego. W aktach sprawy mamy ulotkę, zaopatrzoną tytułem „Dekalog komunistycznego przywódcy”. Znajdujemy w nim klucz do zrozumienia duszy tych, co znajdują się teraz przed obliczem Sądu. Po stwierdzeniu, że celem, do którego dążą, jest polska republika sowiecka, znajdujemy wyjaśnienie, jakich dążenie do tego celu widzi przed sobą głównych wrogów i jacy są jego sojusznicy. Cytuje dosłownie z „Dekalogu komunistycznego przywódcy”...

Prokurator obrzucił spojrzeniem całą salę, poczem czytał z kartki:

— ...Powiedziane jest tu: „Przeszkodą największą do osiągnięcia twego celu jest religja. Jesteś areligijny. Twój dogmat, który masz wpajać innym, w pierwszym rzędzie upośledzonym przez los — brzmi: wszelka religja jest wymysłem świata kapitalistycznego, służącym do łagodzenia i łatwiejszego znoszenia ciężarów nakładanych przez międzynarodowy kapitał”. A dalej proszę Wysokiego Sądu znajdujemy „wyjaśnienie”, co to jest honor, innemi słowy, co to jest to, co dla każdego z nas jest jednym z największych dóbr osobistych człowieka. Znowu cytuję dosłownie z „Dekalogu”: „Tak zwany „honor” podobnie jak religja jest burżuazyjnym wymysłem. Jest to najlepszy środek do ochrony wszelkich zdobyczy burżuazji. Postępować zgodnie z tym „honorem”, to znaczy wyrzec się zgóry świata komunistycznego. Dla ciebie człowieka — kręgowca, honorowem jest to wszystko, co cię zbliża do komunizmu.” A potem jest powiedziane, jacy są

główni sojusznicy w dążeniu do republiki sowieców. Czytam z ulotki: „Pamiętaj, że twoimi głównymi sojusznikami w walce o świat komunistyczny są nędza i głód. Im więcej nędzy i głodu, im więcej niezadowolenia, tem bliżsi jesteśmy swego celu — załamania się kapitalizmu. Posiadając sam dostateczne środki, — dzięki kasie partyjnej, szerz naokół siebie niezadowolenie i niechęć do pracy. Korzystaj z głupoty kapitalistycznej, która daje bezrobotnym zasiłki, nie wymagając od nich pracy. Wszelkie strajki mają w tobie pierwszego rzecznika.” Jeszcze tylko jedną dam cytata, proszę Wysokiego Sądu.

Prokurator na chwilę przerwał, jakby chciał zaczerpnąć siły do tego, co miał powiedzieć.

— Ostatnia cytata dotyczyć będzie, proszę Sądu, Tej, dla której krwawili nasi dziadowie w powstaniach i dla której naszym obowiązkiem jest w każdej chwili oddać życie. Czytam dosłownie: „Słowem, które jest wykreślone z twojego słownika, jest „ojczyzna”. „Ojczyzna” to tylko suma własności prywatnych.”

Prokurator oderwał oczy od kartki, z której czytał... Zygmunt Błoński, mając spojrzenie w niego utkwione, odniósł wrażenie, że jeszcze chwila a stanie się coś strasznego na sali sądowej. Zdawało się, że z każdym słowem prokuratora zwiększał się ładunek elektryczności wśród obecnych i jeszcze sekunda, a wyładuje się w stronę ławy oskarżonych.

Obrońcy, znani z większych procesów komunistycznych, kręcili się niespokojnie na swoich miejscach. Nawet oskarżony sportowiec opuścił swą rolę posągu i jakby przez zapomnienie odsunął na chwilę ręce od twarzy. Był blady. Rzucił krótkie spojrzenie w stronę publiczności i skrzyżował się spojrzeniem ze Zbyszewskim. Przez twarz jego przebiegł skurcz. Trwało to tylko sekundę. Po chwili znów był ukryty w rogu ławy.

A prokurator mówił:

— Po zacytowaniu przeze mnie tych ustępów ulotki, rozumiemy, proszę Wysokiego Sądu, oskarżonych i rozumiemy podłoże ich zbrodni. To był tylko etap na drodze do ich celu głównego. Zbrodnia ich zmierzająca do powiększenia głodu i nędzy, jak powiedziano w ich ulotce, głodu i nędzy wśród rzesz akademickich. I w świetle tego, co odczytałem, zdaje mi się, że jedynym słowem na zapytanie, kto zasiada w tym procesie na ławie oskarżonych, jest odpowiedź: ohyda, od której jak od trądu winno się odciąć społeczeństwo, jeśli chce być zdrowe. Teraz przechodzę do zsumowania materiału dowodowego, jaki dostarczył przewód sądowy w stosunku do każdego z oskarżonych...

---

Zbyszewski stracił spokój wewnętrzny od chwili, gdy ujrzał na mgnienie oka oblicze oskarżonego Sulnika. Czekał z niecierpliwością na zakończenie wywodów prokuratora. To, co on wie, ma niewątpliwie poważne znaczenie dla sprawy. Cały proces może ulec odroczeniu...

Wywody prokuratora trwały długo. Wnikliwie analizował wszystkie momenty sprawy. Z niecierpliwością oczekiwał na koniec jego mowy — również Zygmunt Błoński. Dyskretnie spojrzął na zegarek... Niema najmniejszej szansy, żeby zdążyć na posiedzenie koła. Zegarek wskazywał godzinę ósmą minut dziesięć. Prawdopodobnie Szreniawita otwiera teraz posiedzenie.

Prokurator skończył wreszcie przemówienie, domagając się w ramach artykułu oskarżenia najsurowszego wymiaru kary dla wszystkich oskarżonych. Przewodniczący Sądu uczynił gest w stronę ławy obrończej.

— Udzielam głosu...

Nie skończył zdania, bo spośród publiczności szybkim krokiem wyszedł młody człowiek z czapką korporacyjną w ręku i stanął przed stołem sędziowskim. Był to Zbyszewski.

— Proszę Wysokiego Sądu — rzekł. — Pragnę złożyć zeznanie o dużym znaczeniu dla sprawy. Oskarżony Sulnik nosi właściwie inne nazwisko.

Nastąpiła krótka konsternacja. obrońcy spojrzeli z niechęcią... „Co ten intruz tu chce?”...

— Dlaczego pan nie zgłosił się wcześniej? — zapytał przewodniczący.

— Dopiero w czasie przemówienia pana prokuratora mogłem zobaczyć twarz oskarżonego. Przedtem siedział w ten sposób, że było to niemożliwe.

Przewodniczący Sądu nachylił się kolejno w stronę pozostałych sędziów. Na sali panowała absolutna cisza... Spojrzenia kierowały się naprzemian w stronę sędziów i w stronę oskarżonego Sulnika. Siedział teraz w sposób zwykły, nie zastaniając się ręką od strony publiczności. Po chwili przewodniczący ogłosił:

— Sąd postanawia wznowić przewód sądowy.

Na sali rozszedł się szmer. Dziennikarze, siedzący najbliżej stołu sędziowskiego, przysłonili ucho ręką, by nie uronić ani jednego słowa... Sensacja... Niebylejaka sensacja...

— Nazwisko świadka?

— Jerzy Zbyszewski, student Uniwersytetu, lat dwadzieścia trzy.

— Świadek zostanie zaprzysiężony...

Gdy przebrzmiały słowa przysięgi i Zbyszewski ucałował krucyfik, przewodniczący zapytał:

— Co świadek ma do zeznania?

— Proszę Wysokiego Sądu. Z oskarżonym Sulnikiem zetknąłem się raz jeden. Byłem sekundantem przy pojedynku, w którym oskarżony był jedną ze stron. Oskarżony występował wtedy pod nazwiskiem Jana Smutnika.

— Niech świadek się dobrze przyjrzy oskarżonemu. Czy świadek może to zeznać z całą pewnością?

— Z całą pewnością, proszę Sądu.

— Oskarżony Sulnik proszę wstać — rzekł przewodniczący. — Czy oskarżony nie neguje zeznań świadka, które przed chwilą usłyszał?

Wśród ciszy padły słowa oskarżonego:

— Jest to prawda, proszę Sądu. Okoliczność, o której mówi świadek, chciałem dopiero powołać w ewentualnej rozprawie apelacyjnej, traktując to jako ostatnią deskę ratunku, gdybym stanął wobec możliwości zbyt wielkiej kary. Czy mogę zadać pytanie świadkowi?

— Proszę...

— Czy świadek może ustalić ścisłą datę pojedynku?

— Nietylko datę, ale i godzinę. Było to 23 października o godzinie szóstej minut trzydzieści. Oskarżony spóźnił się o 10 minut a zatem ściśle: godzina szósta minut czterdzieści.

Z ławy obrończej poderwał się jeden z adwokatów.

— Jest to, proszę Sądu, wystarczające alibi dla mojego klienta w niniejszym procesie... Data i godzina ściśle się zgadzają.

Zygmunt Błoński szybko notował z osłupieniem... A zatem to był „przeciwnik” Likowskiego... „Godny przeciwnik”.

— Jaki to był pojedynek? — zapytał przewodniczący Zbyszewskiego.

— Na pistolety. Przeciwnik oskarżonego był ranny.

Przewodniczący zwrócił się do oskarżonego:

— I oskarżony, mistrz w strzelaniu, nagrodzony wieloma nagrodami, nie wahał się mieć pojedynku na pistolety?

Na sali powiało grozą... Oskarżony milczał.

— Jakie jest ostatecznie prawdziwe nazwisko oskarżonego?

— Takie jak w tym procesie: Jan Sulnik.

— Jaki jest wniosek pana prokuratora? — zapytał przewodniczący.

Prokurator podniósł się ze swego miejsca.

— Sprawa, proszę Sądu, jest jasna. Oskarżony, wybitny działacz komunistyczny, chciał zabezpieczyć swoje studia naukowe na wypadek odpowiedzialności karnej za działalność przeciw Państwu. I dlatego w albumie uniwersyteckim figurował pod innym nazwiskiem. Ponieważ z działalności sportowej znały go tłumy, więc bojąc się z tej strony zdemaskowania, używał tam prawdziwego nazwiska. Zresztą występował tam głównie jako „Janek”. Jego pojedynek, o którym tu usłyszeliśmy, stanowi z jednej strony alibi w bieżącym procesie; z drugiej strony przy kwalifikacjach strzeleckich oskarżonego był popolitą zbrodnią.

Słowa prokuratora przerwał ciężki stук, który rozległ się przy ławie oskarżonych. To oskarżony Sulnik runął zemdlony. Ujęli go pod rękę dwaj policjanci i wynieśli z sali. Gdzieś wśród publiczności rozległ się szloch. Nie pierwszy tego rodzaju widok na sali sądowej...

Po chwilowem zamieszaniu — prokurator mówił:

— Stawiam wniosek o wyodrębnienie sprawy oskarżonego Sulnika i o przestanie odpisu protokołu urzędowi prokuratorskiemu dla uzupełnienia śledztwa.

Przewodniczący ogłosił decyzję zgodnie z wnioskiem prokuratora, poczem nachylił się w stronę pozostałych sędziów.

Po chwili dodał:

— Sąd postanawia odroczyć dalszy ciąg rozprawy do jutra do godziny dziewiątej rano. Zamykam rozprawę.

Na sali zapanował rumor. Wszyscy byli pod silnem wrażeniem zaszłych wydarzeń. Zygmunt Błoński zabrał papiery do teczki. Spojrzał na zegarek: była godzina ósma minut trzydzieści. Szybkim krokiem opuścił salę sądową. Biegł za nim hałas tłumy, wylewającego się z sali na korytarze.



Na ulicy Zygmunt wsiadł do pierwszej napotkanej taksówki. Nieprzewidziana przerwa w rozprawie sądowej była mu wyjątkowo na rękę. Wszystko było niespodziewane. Zdawało się, że już jest dość otrząskany ze wszystkimi wstrząsami, których może dostarczyć nerwom słuchacza proces sądowy... Tymczasem końcowy moment rozprawy był dla niego silnym przeżyciem. Najpierw przemówienie prokuratora, a potem to rewelacyjne oświadczenie Zbyszewskiego. Gdyby nie był na sali sądowej, to pomyślałby, że to jakaś koszmarna opowieść. Szatańsko-ironiczny epilog pojedynku... Pomyśleć: wrażenie, jakie ta wiadomość zrobi w korporacji... W szczególności na Likowskim. Dopiero teraz w świetle rozprawy sądowej stawało się dla Zygmunta jasne, dlaczego pojedynek Likowskiego mógł się odbyć w takim niezwykłym tempie, na drugi dzień po zebraniu zastępców. Z jednej strony występował Zbyszewski, znany „pojedynkowicz”, bez którego nie mogła się odbyć niemal żadna sprawa honorowa; chciał zaimponować „tempem”; z drugiej strony fachowiec, zamiłowany w strzelaniu, dla którego było to jednym więcej „wyczynem” sportowym. Wzięt człowieka na cel jak kartę na strzelnicy... Likowski był o włos od śmierci... Jakaż wyrazista ilustracja słów prokuratora... Ohyda... „od której jak od trądu winno się odciąć społeczeństwo, jeśli chce być zdrowe”.

Ohyda...

A są ludzie, którzy komunizm nazywają „idea”, — gdy przez samo słowo „idea” rozumie się coś promiennego, słonecznego...

I jakgdyby mogła istnieć „idea”, mająca być regulatorem życia ludzi, — bez Boga?!

Cóż za pomieszanie pojęć!

Trzebaby ludzi zamienić na stado zwierząt...

Gdy Zygmunt wszedł do jednej z sal Resursy Sportowej, gdzie odbywało się posiedzenie koła „Gdynji”, od razu odczuł nerwami, że jest to zebranie inne niż zazwyczaj. Przemawiał Lenta. Szreniawita na widok Błońskiego, nie mówiąc słowa, zrobił gest ręką, zapraszający do zajęcia miejsca. Wśród zupełnej ciszy padały ostre słowa Lenty. Wszyscy na swoich miejscach siedzieli jakby jacyś znieruchomiali. Czuć było nastrój naprężony, zupełnie odbiegający od tego, jaki zazwyczaj towarzyszył posiedzeniom. Zygmunt pomyślał, że jest to atmosfera pokrewna tej, jaka była na sali sądowej. Rozejrzał się wśród obecnych. Był niemal komplet. Zwrócił uwagę na brak Leszka Pliszki. Na twarzy pojawił mu się ironiczny uśmiech. Jego supozycje co do Pliszki potwierdzały się teraz w sposób zupełny. „Bezpartyjny fachowiec” — tout court. Byłoby dla niego czemś nieznośnem być na obecnem posiedzeniu i wypowiedzieć się w jedną lub drugą stronę. Prostu był do tego niezdolny psychicznie. Okazywało się, że pod tym względem szczęśliwie stanowił w „Gdynji” wyjątek.

Poza nim byli wszyscy.

Zygmunt pochylił się w stronę Andrzeja Zaruckiego, koło którego zajmował miejsce.

— No jakże, czy już zabierałeś głos?

— Wszystko w porządku... właściwie to jeszcze nie mówiłem.

Tak było w istocie. Na początku, gdy na porządek obrad wszedł jego wniosek, poparł go w kilku słowach. Miał swój plan. Kiedyś, będąc obecny na dużej sprawie sądowej, był świadkiem następującego zdarzenia. Na ławie obrończej zasiadał głośny adwokat ze swym aplikantem. Gdy po przemówieniu prokuratora prezes Sądu udzielił głosu obronie, ku zdziwieniu Andrzeja przemówił... aplikant. Nic z tego nie rozumiał. Zauważył, że również oskarżony poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. Później stało się wszystko aż

nadto rozumiałe. Na przemówienie obrończe aplikanta replikował prokurator, a gdy skończył przemawiać, podniósł się ze swego miejsca znakomity adwokat, by zabrać głos ostatni. Podobny system postanowił zastosować teraz Andrzej i przemawiać w końcowym momencie dyskusji — przed głosowaniem. Było dlań oczywiste, że nikt takich argumentów jak on nie potrafi wysunąć. Na swem stanowisku prezesa „Bratniaka” więcej widział i rozumiał niż inni. Po jego krótkim uzasadnieniu wniosku przemawiali Gudułt, Pokojski, Likowski i teraz Lenta.

Przemówienie Lenty dobiegało końca:

— Reasumując, uważam, proszę kolegów, że wniosek kolegi Zaruckiego powinien być odrzucony, gdyż przyjęcie go stworzy pewnego rodzaju ciasnotę myślową. Jego przyjęcie to to samo, co powiedzenie, że myśl nie może wybiegać w korporacji poza ściśle określone ramy. Dotąd i dotąd. Ani kroku dalej... Czy to będzie z korzyścią dla korporacji — śmiem wątpić. Wydaje mi się, że my, młodzi, powinniśmy mieć szersze horyzonty. Z tych względów wypowiadam się przeciwko wnioskowi. Jest jeszcze w tej sprawie strona druga. Nie wiem, czy kolega Zarucki, zgłaszając ten wniosek, zdawał sobie sprawę, że wniosek ten grozi nam postawieniem nas wobec alternatywy: korporacja, czy stowarzyszenie „Korona”; grozi nam koniecznością wyboru pomiędzy temi organizacjami...

— Właśnie dlatego ten wniosek postawiłem — odezwał się z miejsca Zarucki.

— Dziękuję koledze za wyjaśnienie. Niema więc w tym punkcie wątpliwości. Muszę teraz powiedzieć, proszę kolegów, rzecz, która mi nie przychodzi z łatwością, ale zmusza mnie i upoważnia do tego to, co powiedział przed chwilą kolega Zarucki. Nie wiem, czy można powiedzieć, żeby wniosek kolegi Zaruckiego był nacechowany koleżeńskością w stosunku do członków „Gdynji”, będących równocześnie członkami

„Korony”, a przecież zdawałoby się, że dość długi czas spędziliśmy w jednej, jak to się zwykło u nas mówić, bratniej organizacji. Nie mam nic więcej do dodania. Skończyłem.

Zygmunt Błoński starał się zrozumieć, jakie wrażenie wywołują wśród zebranych słowa Lenty. Na twarzach niektórych osób wyczytał jakby aprobatę dla końcowych jego wywodów.

— Kto z kolegów pragnie zabrać głos? — zapytał Szreniawita.

Jego głos, zazwyczaj rzeński, brzmiał w tej chwili matowo.

Przynajmniej takim wydał się Zygmuntowi.

Zabrał głos Brodzki:

— Mnie się wydaje, że po tych przemówieniach, które były, należałoby już zamknąć listę mówców. Zgłaszam wniosek w tym kierunku.

— Ja pozwałam sobie postawić wniosek jeszcze dalej idący — rzekł Szreniawita — mianowicie, żeby jeszcze jeden mówca przemawiał „za” i jeden „przeciw” wnioskowi.

Wniosek formalny Szreniawity uzyskał w głosowaniu większość.

Jak ogólnie przewidywano, do końcowego zabrania głosu zgłosili się Zarucki — jako wnioskodawca i Guđuł jako ostateczny mówca przeciw wnioskowi.

Zygmunt Błoński spojrzał oczekująco na Andrzeja. „Zbliża się chwila decydująca”, pomyślał.

A Andrzejowi Zaruckiemu stało się oczywistym jedno...

— Trzeba powiedzieć wszystko do końca...

Skupił się w sobie...

Ciszę przerwały słowa Szreniawity:

— Za wnioskiem udzielam głosu wnioskodawcy, koledze Zaruckiemu.

Andrzej wstał i oparł się ręką o krzesło.

— W końcowej części swego przemówienia — zaczął — kolega Lenta dotknął materji, której mam wrażenie, zarówno on jak i kolega Gudułt winni byli unikać, a dlaczego, to za chwilę wszystkim się stanie jasne. Kolega Lenta powiedział, że mój wniosek, zabraniający członkom korporacji należenia do akademickiego stowarzyszenia „Korona“, ma charakter niekoleżeński. Jest to zarzut bardzo bolesny. Toteż muszę najpierw nań odpowiedzieć. Tu jeszcze jedna uwaga. Zarzut kolegi Lenty, gdyby był słuszny, podciąłby tę silną więź, która mnie łączy z kolegami którą się szczycę. Po tem, co powiem, każdy z kolegów, sam w swoim sumieniu, rozstrzygnie, czy zasługuję nadal na ten kredyt zaufania, jakim mnie koledzy obdarzali. Sytuacja była taka, że musiałem wybierać między tem, czem ma być w przyszłości „Gdynja“, a koleżeńskością dla kolegów, należących do „Korony“, mówiąc ściśle dla kolegów Gudułta i Lenty, bo nikogo więcej mój wniosek nie dotyka. I jak kolegom nietrudno się domyślić, wybrałem „Gdynję“. A teraz dlaczego musiałem wybierać? Niektórzy z kolegów, mających sympatje monarchistyczne, gotowi może przypuścić, że przemawia przede mnie zajadły republikanin...

— Ja to twierdzę z całą pewnością — odezwał się z miejsca Gudułt.

— ...Otóż tak nie jest. A co się tyczy kolegi Gudułta, to jest dla mnie jasne, że absolutnie w to nie wierzy, co przed chwilą powiedział pod moim adresem... Zresztą koledzy będą mogli za chwilę to sami ocenić... Gdyby mi dano do wyboru, co wolę, czy służącą interesom naszego Narodu monarchję, czy zaprzeczającą interesy narodowe republikę, odpowiedziałbym bez wahania: monarchję. Myślę, że tak odpowiedzieliby koledzy niemal bez wyjątku. Mam tylko wątpliwości, czy w tym wypadku odpowiedzieli-

by bez zająknięcia koledzy Gudułt i Lenta, chociaż w naszym gronie są patentowanymi monarchistami.

— Niestychane przemówienie — rozległ się głos Lenty. — Dlaczego kolega nas obraża?

— Ja się nie obrażem, gdy mi postawiono zarzut niekoleżeńskości, tylko odpieram go argumentami. Mam prawo wymagać, by koledzy się również nie obrażali. Kolega Gudułt w swem przemówieniu, po mnie, będzie mógł przytaczać dowody, że nie mam racji, a ogół kolegów w głosowaniu powie ostatnie słowo. Jeśli w odpowiedzi na swe przemówienie usłyszę jedynie, że koledzy Gudułt i Lenta są... obrażeni, będzie to dla mnie dowodem, że nie mają żadnych argumentów „contra”.

Mówię dalej... Nie jest dla mnie rzeczą istotną, że koledzy Gudułt i Lenta należą do organizacji, wyznającej zasady monarchistyczne, ale jest dla mnie rzeczą istotną, jaka jest wewnętrzna treść ich monarchizmu. Otóż z tem, jaka jest treść, zaznajamia nas niedawno wydana ulotka tej organizacji. I tu muszę oddać sprawiedliwość koledze Gudułtowi, że dokładnie się orjentował w założeniach tej organizacji. O tem, co najważniejsze, był dokładnie od początku poinformowany. Że tak było, dowodem jego referat, który wygłosił u nas w semestrze letnim ubiegłego roku akademickiego. Tytuł referatu był „Republika czy monarchja”. Jeśli się nie mylę, to kolega Pokojski powiedział wtedy w dyskusji, że referat ten w zasadzie nie powinien być u nas wygłoszony, bo jego myśli podstawowe godzą w wyznanie ideowe „Gdynji”. Ten referat kolegi Gudułta, jak się dzisiaj okazuje, był frontowym atakiem na podstawową naszą ideę, był próbą jej zachwiania, był próbą pozyskania w naszym gronie zwolenników dla koncepcji sprzecznej z naszą podstawową zasadą, że gospodarzem w Polsce jest Naród polski. W ulotce stowarzyszenia „Korona” jest ogłoszone hasło: federacyjna rzeczpospolita królewska.

Nas w tem haśle interesuje jedno słowo: federacyjna. Oznacza ono nie Polskę Narodu Polskiego, lecz Polskę narodowości; nie państwo, które ma służyć jako narzędzie dla potęgi jednego Narodu-gospodarza, lecz państwo narodowościowe. Jeśli mój wniosek, który zgłosiłem, zostanie odrzucony, jeśli zatem zostanie uznane, że będąc członkiem „Gdynji”, można równocześnie należeć do stowarzyszenia „Korona”, będzie to stwierdzeniem, że nasza podstawowa idea, idea Polski, Narodu polskiego, przestanie u nas obowiązywać. W obronie tej idei zgłosiłem mój wniosek; w obronie tej idei, mówiąc językiem kolegi Lenty, byłem niekoleżeński względem niego i kolegi Gudułta. A teraz, proszę kolegów, w związku z moim wnioskiem uważam za właściwe zająć się czemś, co możnaby nazwać „koleżeńskością” kolegów Gudułta i Lenty...

Gudułt odniósł w tym momencie wrażenie, że niewątpliwie na sali robi się coraz bardziej duszno. Poczł, że na twarz występują mu wypieki. Przemawia Zarucki, ale wszystkie spojrzenia są skierowane na niego... Gudułta. Ciekawe, czy też Zarucki wie o... okólniku.

— Zaczyna się na całego — pomyślał Zygmunt Błoński, stwierdzając z triumfem, że Andrzej już panuje nad salą.

— ...Uważam — mówił Zarucki — że jest jedna sprawa, która powinna być wyjaśniona. Oczekuję, że powie o niej cośnieceś kolega Gudułt...

Gudułt i Lenta utkwili spojrzenia w jego twarzy.

— ...Chodzi mi o to mianowicie: dlaczego kole-dzy Gudułt i Lenta, wiedząc, jakim ideałem służy nasza organizacja, wiedząc, że są one „żrenicą oka” „Gdyn-nji”, pomimo to znaleźli się w naszej organizacji? Czy nie było prościej, czy nie było bardziej narzucającem się dla nich wytworzyć sobie środowisko organizacyjne zupełnie nowe, któreby bardziej odpowiadało ich za-

łożeniom? Moja odpowiedź jest w tej kwestji następująca...

Andrzej rozejrzał się po sali, jakby chciał sprawdzić, czy słuchacze są do tego przygotowani, co ma im powiedzieć...

— ...Stało się tak, jak się stało, bo nie chodziło o zakładanie nowej organizacji, chodziło o to, by zmienić to, co jest, by z n i s z c z y ć istniejącą jednolitość ideologiczną; jednym słowem, by stworzyć sytuację rozłamową. Aby osiągnąć ten cel, potrzeba było skupić więcej ludzi. Przewidując postanowiono sięgnąć do najmłodszych. Był moment, że pozyskany był kolega Karol Szczerbski, że miał składać podanie o przyjęcie do monarchistów kolega Skrzycki, tylko wtedy stała się rzecz nieoczekiwana... Kolega Skrzycki przyszedł do lokalu monarchistów zapytać się, jaki jest ich program w sprawie żydowskiej. Wtedy usłyszał odpowiedź, która napewno wszystkich kolegów zainteresuje, bo pomoże im zrozumieć istotną treść „monarchizmu” kolegów Gudułta i Lenty. Koledze Skrzyckiemu powiedziano, żeby się zgłosił za kilka dni, bo muszą w tej sprawie zwrócić się z zapytaniem do zarządu głównego organizacji. Rezultat był taki, że kolega Szczerbski wysłał pismo, zawiadamiające o wystąpieniu, a kolega Skrzycki zaniechał wstąpienia do „Korony”, pomimo że jest monarchistą z najgłębszego przekonania...

Zygmunt Błoński obrzucił spojrzeniem Gudułta i Lentę. Robili teraz wrażenie delinkwentów: Lenta blady, zdawało się, że lada chwila rzuci się na Zaruckiego; Gudułt mienił się na twarzy, siląc się na spokój.

— Stawiam głośno tu zarzut — mówił Zarucki — że kolegom Gudułtowi i Lencie chodziło o stworzenie sytuacji rozłamowej. Żeby zrozumieć znaczenie ich akcji, należy uwzględnić, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie tylko „Gdynja” jest terenem tego rodzaju usiłowań. Pozostaje mi do poruszenia jeszcze



jedno... Moje wywody nie byłyby kompletne, gdybym nie powiedział tu wyraźnie, w czyim interesie są podejmowane usiłowania, zmierzające do, jak się wyraziłem, zniszczenia jednolitości ideologicznej „Gdyni” i pokrewnych organizacji, i gdzie, mówiąc językiem ulotki monarchistów, lęgną się wszelkie „federalizmy”...

— „Życzliwi bracia” — rzekł Pokojski.

— Kolega Pokojski mnie uprzedził. To jest organizacja, która wydała wszędzie dyspozycje, by przez „federalizmy”, przez rozdmuchiwanie nacjonalizmów mniejszości narodowych podważać i osłabiać stanowisko narodu panującego; to jest organizacja, gdzie kwestja żydowska jest nietykalnym „tabu”. To, co koledzy Lenta i Guduł chcieli u nas zrobić można, wydaje mi się, z całym spokojem sumienia, określić jako wodę na młyn „życzliwych braci”. W tym określeniu będzie raczej niedosolenie niż przesolenie. Starłem się wyczerpująco uzasadnić swój wniosek. Wydaje mi się, że powiedziałem wszystko do końca. Skończyłem.

Andrzej Zarucki usiadł. Był zmęczony. Przemówienie było dla niego niewątpliwie przeżyciem nerwowym.

Rozległ się głos Szreniawity:

— Przeciwko wnioskowi głos ma kolega Guduł.

Gduł podniósł się ze swego miejsca. Andrzej, patrząc na niego, doznawał dziwnego uczucia: oto nie znajdował w sobie nic złości do Gudułta — raczej współczucie, jakie się ma dla przeciwnika, który jest zmiążdżony.

— Proszę kolegów — zaczął Guduł. — Odpowiedzieć na wywody kolegi Zaruckiego jest mi trudno. Trudno mi jest dlatego, że to, co mówił kolega Zarucki, jest wytworem jego fantazji. Przeciwko fantazji trudno jest wysuwać jakiegokolwiek kontrargumenty. Odpowiem tylko na tę część jego przemówienia, która ma podłoże faktyczne: chodzi mi o bytność kolegi Skrzyckiego w siedzibie stowarzyszenia „Korona”. Ko-

lega Skrzycki trafił przypadkowo na płatnego urzędnika, który, rzecz jasna, nie umiał go poinformować. Z tego faktu kolega Zarucki wysnuł wnioski tak daleko idące, że właściwie już dalej dojść nie mógł. Nie mam zamiaru zaprzeczać, że w pewnych kwestjach różnimy się z kolegą Zaruckim, ale jeśli chodzi o mnie, to nie widzę przeszkód, uniemożliwiających nam bytność w jednej organizacji. Tyle, jeśli chodzi o przemówienie kolegi Zaruckiego. Poza to podtrzymuję tu wszystko, co powiedział kolega Lenta. Gdybym chciał snuć fantazję, to oczywiście mógłbym przemawiać jeszcze bardzo długo. Trudno mi jednak wychodzić poza bezsporne fakty, nie mówiąc o tem, że nie mam takich zdolności oratorskich jak kolega Zarucki. Nie mam nic więcej do dodania.

Guduł z trudem starał się zachować spokój. Pojojski, siedzący obok niego, zauważył, że dygotał.

— Przystępujemy do głosowania — zapowiedział Szreniawita.

— Proszę o głos w sprawie formalnej — rzekł Lenta.

— Proszę.

— Wnoszę o głosowanie tajne kartkami.

— Zgodnie z naszym zwyczajem — mówił Szreniawita — wystarcza żądanie jednej osoby dla tajności. Będziemy głosować kartkami.

Rozdano kartki. Sekretarz z listy zaczął wywoływać wszystkich według alfabetycznej kolejności. Wśród denerwującej ciszy rozlegał się co chwila jego głos.

Kartki złożyli wszyscy — bez wyjątku.

Sekretarz obliczał kartki. Ich ilość zgadzała się z ilością uczestników zebrania.

Szreniawita otworzył pierwszy z brzegu zwitek papieru.

— Za — ogłosił.

— Za.

— Za.

Tylko dwa razy ogłosił: „przeciw”. Było jasnym, że tylko Gudułt i Lenta głosowali przeciw wnioskowi. Wśród ciszy padły słowa Szreniawity:

— Ogłaszam wynik głosowania. Za wnioskiem głosowali wszyscy z wyjątkiem dwóch osób. Zatem wniosek kolegi Zaruckiego przeszedł.

Ze swego miejsca podniósł się Gudułt. Twarz jego razita przeraźliwą bladością.

— W związku z wynikiem głosowania oświadczam, że występuję z korporacji „Gdynja”.

— Ja również — odezwał się Lenta.

Wszystkich uczestników zebrania owiał dramatyczny nastrój...

Oto Gudułt i Lenta odpinają swe trójbarwne ciemnobłękitne biało-czerwone wstążeczki. Po chwili wraz z deklami złożyli je na stole przed miejscem przewodniczącego.

Gudułtowi drżały ręce. Lenta był zimny.

Wolnym krokiem skierowali się do wyjścia, nie odwracając się w stronę uczestników zebrania. Cicho zamknęli za sobą drzwi.

Ciszę przerwał Szreniawita:

— Czy ma kto z kolegów jaką sprawę?

Jego zapytanie wydało się dziwne.

— Proszę o głos — rzekł Błoński. — Chcę zakomunikować fakt, dotyczący całej korporacji.

— Proszę.

— Wracam bezpośrednio z rozprawy sądowej o zamach na Spółdzielnię Akademicką. Mam przykrą wiadomość. Nasz przeciwnik w sprawie honorowej Smutnik to...

### XXIII.

Gdy Zygmunt Błoński po dniu pełnym wrażeń wrócił do domu, choć czuł się zmęczonym — daleki był od możliwości zaśnięcia. Wiadomość o tem, kim jest

Smutnik, która całą korporację poruszyła do głębi — miała dla niego swoją dodatkową... wymowę. Spędzała mu ona sen z powiek. Ich przeciwnikiem okazał się człowiek, dla którego honor był „burżujskim występem”, człowiek, który w m o m e n c i e pojedynku sam się honorowo dyskwalifikował przez użycie broni, w której był zawodowcem. W dodatku był to człowiek, który pluł na to wszystko, co było dla członków „Gdynji” świętością.

A w protokole napisano, że sprawa zakończyła się... „honorowo”.

Dziwnego uczucia doznawał Zygmunt, gdy położywszy się do łóżka, myślał o tem wszystkim. Oto przedstawiał sobie, że Smutnik jeszcze raz „napluł” na korporację w momencie pojedynku.

Przez okno wpadał do pokoju wąski strumień światła od pobliskiej lampy ulicznej, drżącej w podmuchach wiatru. Wiatr w pewnej chwili mocniej zatargał lampą, do pokoju wpadł większy snop światła i jakby wraz z tą jasną smugą, która zalała pokój, — stawiało się przed Zygmuntem pytanie: czy ten ironiczny epilog pojedynku nie stanowi dla korporacji rodzaju „kary” za to, że okazała zbytnią dbałość o to, co o niej mówią?

Czy w tej dbałości, co o niej mówią, był tylko wzgląd na honor?

Czy nie było w tem ani odrobiny p y c h y?

Czy Smutnik, stając na mecie, zmieniał swój stosunek ideowy do „Gdynji”?

Nacóż więc był potrzebny pojedynek?

Jego psychologiczną wartością miało być to, że korporacja, czując się poniżoną przez słowa Smutnika, — miała się poczuć rozprostowaną moralnie przez fakt, że jej przedstawiciel okazał się zdolnym do narażenia się. Miał to być dla korporacji — rodzaj prysznicu duchowego. Ale czy wolno — dla wewnętrznej „h i g j e n y” zabijać, usiłować zabić?...

Jest zaszczytnem powołaniem bronić honoru.

Ale czy jest zaszczytem — stać się zabójcą?

I przed Zygmuntem stało pytanie: czyż niema wartości, dla których wolno zabijać?

Myślał:

— Jeśli mój Naród zostanie znieważony, zagrożony, to państwo musi wypowiedzieć wojnę. Jest to obowiązkiem rządu i w spełnieniu tego obowiązku — z katolickiego punktu widzenia — niema g r z e c h u. Gdybym spotkał Smutnika we wrogich szeregach, w czasie bolszewickiego najazdu na Warszawę, wziąłbym go spokojnie na muszkę karabinu...

Z a b i j a ł b y m... I nie byłoby w tem grzechu, bo nie jest grzechem udział w wojnie za wolność i honor Narodu.

Ale czy wolno na tym samym szczeblu, co wolność i honor Narodu — sfawiać godność jednostki lub ugrupowania?

Moralność katolicka mówi: nie wolno.

Innemi słowy ta moralność mówi: człowiek ma prawo zadawać śmierć tylko w obronie najwyższych dóbr swego Narodu.

— A zatem? — myślał Zygmunt.

— ...Zatem obowiązkiem społeczeństwa katolickiego jest stworzyć takie warunki, by człowiek w obronie własnej nie uciekał się do godynia na życie bliźniego, by nie istniał dla niego ten problem.

Z przedpokojem dobiegły Zygmunta uderzenia zegara. Była druga w nocy. Gdy zasypiał, ostatnią myślą, którą zanotował jego mózg, była: czy z konkluzją, do której doszedł, nie pozostaje w bezpośrednim związku okoliczność, że z katolickiego punktu widzenia wielu ludziom można zarzucić tylko to, że się... pojedynkowali. Nic więcej. Potem przed Zygmuntem zarysowała się sylwetka Andrzeja Zaruckiego...

Śniło mu się posiedzenie koła i że przemawia ich „książę niezłomny”...

---

Długo nie spał tej nocy również Gudułt. Pomimo teorii o „kocie, który pada na cztery łapy” — było dlań jasne, że wynik jest klęskowy. I że on przegrał na najważniejszym odcinku.

Rankiem, następnego dnia, gdy wyszedł na ulicę — była wyjątkowo piękna pogoda. Po wielu dniach szarugi wyrzało zza chmur słońce, toteż ruch na ulicach był ożywiony. Gudułt zatrzymał się przed okazałym domem. Wszedł do bramy. Nad wejściem do klatki schodowej widniał duży napis: Biblioteka Rolnicza. Skierował się w tę stronę.

— Czy jest pan doktor? — zapytał woźnego, który mu otworzył drzwi.

— Pan doktor czeka u siebie na księcia pana.

Woźny poszedł naprzód. Po chwili szerokim gestem otworzył drzwi, gnąc się w ukłonie przeznaczonym dla wielkich panów.

Gudułt, wchodząc do wielkiego gabinetu, zatrzymał się w progu i skłonił się. Spoza biurka wstał mężczyzna średniego wzrostu o bystrem, przejmującym wejrzem.

— A więc pan już nie jest w korporacji... — rzekł na powitanie.

## XXIV.

### ZAKOŃCZENIE.

Krynica była pokryta białym całunem śniegu. Kioski drzew z trudem unosiły nadmiar białego puchu i zwieszały się ociężale ku ziemi. Śnieżna pokrywa na gałęziach rysowała girlandy jakby wyczarowane z bajki.

Na drogach śnieg chrząścił pod stopami przechodniów. Było mroźno. Nagle zza chmur wyrzało na mgnienie oka słońce i rzuciło jasny blask. Po chwili dumnie zabłyśło i całym swoim przepychem ogarnęło świat... I śnieg dokoła robił teraz wrażenie rozedrganych potoków srebra. Trudno było patrzeć...

Andrzej Zarucki, stojąc na balkonie, przestonił ręką oczy. Nie żałował w tej chwili, że uległ namowom ojca i na dwa tygodnie wyrwał się z Warszawy. Był już tydzień w Krynicy, ale dotąd było pochmurno i dopiero dzisiaj mógł ją oglądać w całej zimowej krasie...

— Pięknie jest — myślał.

Choć był początek stycznia — było przedziwnie ciepło. Wracając do pokoju, pozostawił drzwi balkonowe narozcież otwarte, i słońce triumfalnie zalało jasnością wnętrze.

Wzrok jego padł na list, który leżał na stole. Choć go już czytał wielokrotnie, jeszcze raz go wziął do ręki.

Był od Izy. Pisała:

„Ukochany mój braciszku.

Piszę do Ciebie, a właściwie piszemy do Ciebie, bo do moich słów dopisuje się jeszcze ktoś Tobie bliski, a piszemy do Ciebie razem, bo Ci pozazdrościliśmy szczęścia, Andrzejku. Wyobrażam sobie, z jakim zdumieniem będziesz czytał te słowa, ale wierz mi, że ja również jestem tem, co się stało, zdumiona. Zdumiona i oszołomiona. To pewne jak dwa razy dwa, że Twoja siostra będzie się w przyszłości nazywać Iza Zygmunтова Błońska. Życie jest piękne, Andrzejku. Jesteś pierwszym, który jest dopuszczony do tej naszej tajemnicy. Gdy wrócisz do Warszawy, to pomożesz nam to ujawnić, wogóle będziesz musiał zrobić tak, żeby było dobrze. W południe noworoczne przeglądałam swój album i znalazłam jedno urwane niepodpisane zdanie. Przez porównanie go z notatkami

Zygmunta, które leżały u Ciebie na biurku — dowiedziałam się, że to pisał on. A potem... Potem to właściwie niewiadomo, kto się komu oświadczył. Tak się zaczął mój „Nowy Rok”, Andrzejku. Pewnie czytając odnosisz wrażenie, że list ten niebardzo mi się kleci, ale mi go pisać równocześnie trudno i łatwo. Tak dziwnie.

Wiem, jaki dostanę pierścionek od Zygmunta. Pokazywał mi go. To pierścionek zaręczynowy jego matki. Pomyśl, czy można dostać piękniejszy?

Całuje Cię setki razy Iza"

Pod listem był dopisek:

„Najserdeczniejszy uścisk przesyła Ci Twój sercem oddany druh

Zygmunt".

— A zatem Zocha się pomyliła; nie będę z tego „nici”.

Nakładając palto, Andrzej myślał o dziwnym zbiegu okoliczności. Drugi raz go dochodzi wiadomość, dotycząca Izy, wtedy kiedy go niema przy niej. Wtedy w... Zakopanem i teraz.

Wyszedł na ulicę na swoją ranną przechadzkę. Szkoda, że niema tu z nim Zochy. Niestety nie mogła pojechać. „Nie wypadło”. Jak to szczęśliwie, że po ślubie już wszystko „wypada”.

Kiedyż to będzie mogło się stać? Obliczał... Teraz jest styczeń. Uniwersytet skończy w czerwcu... A zatem najwcześniej w lipcu. Stąd wniosek, że Iza może go wyprzedzić.

Iza... Niby to nic... Niby nie zdawała sobie sprawy i nagle trach! W domu będzie bomba...

Chociaż liczył się z możliwością takiego obrotu rzeczy, chociaż nieraz mówił o tem z Zochą, teraz, gdy wyczytał to czarno na białem, był wzruszony.

Iza... jego ukochana siostrzyczka...



Musi być szczęśliwa... Chyba najważniejsze w małżeństwie jest znaleźć... „człowieka”. Znalazła go... Znaleźli się oboje.

— Dzieńdobry panu prezesowi. Cóż pan taki zamysłony? — usłyszał głos przed sobą.

Był to prorektor Czesławowicz.

— Sługa pana rektora.

— Pan tu na długo?

— Będę jeszcze jakiś tydzień...

— To może pan do mnie zajdzie. Teraz się śpieszę. Mieszkam w „Zdrojowym”.

— Napewno skorzystam z zaproszenia.

— No, to dowidzenia.

Profesor, uściskawszy mu dłoń, oddalił się szybko swoim zwykłym drobnym krokiem.

Miło wspominał z nim swoją pracę... Nie zdarzyło mu się nigdy tracić czas na wyczekiwanie w poczekalni. Gabinet rektora-przyjaciela stał dla niego otworem. Nie to, co Sękowski.

Andrzej wchodził na górę Parkową. Miał tu ulubioną aleję. Kierował ku niej swe kroki. Zdaleka pomiędzy konarami drzew mignęła mu jeszcze raz sylwetka rektora Czesławowicza.

Jak to on kiedyś do niego powiedział? „Chciałem początkowo dać panom jedną rzecz do zrobienia, ale gdy sobie pomyślałem, jak panowie są zapracowani, ile musicie dokładać wysiłków, by zorganizować pomoc szerokim rzeszom akademickim, to zaniechałem tego. Załatwił mi to Sekretarjat Uniwersytetu”.

Kochany rektor. Podziękuję mu na walnem zebraniu.

Walne zebranie... To już za dwa miesiące...

Czeka go napisanie obszernego sprawozdania. Będzie tego spory zeszyt. Odczytanie zajmie najmniej półtorej godziny. I o ironjo, wtedy, kiedy on będzie czytał, to ogromna ilość słuchaczy nie będzie zwracać

uwagi na jego sprawozdanie. Ich myśl będzie od początku walnego zebrania zaprzętnięta czem innym... Osobą jego następcy.

Taka to już zwykła kolej każdego prezesa „Bratniaka”...

Andrzej rozejrzył się dookoła. Obok niego piętrzyło się w górę rozległe sklepienie góry Parkowej. Dochodził do miejsca, gdzie w jej tonie odkrywał się długi, wąski wąwóz. Po obu jego stronach rozchodziły się drzewa, otwierając wolną przestrzeń od ziemi aż po obłoki. W głębi na postumencie wznosił się posąg Matki Boskiej. Był ośnieżony jak wszystko wokół. Szerokie konary drzew rzucały nań smugi ciemne, a w przerwach między nimi słońce w pokrywie śnieżnej zapalało brylanty.

Andrzej zatrzymał się. Po chwili uchylił kapelusza przed wyobrażeniem Tej, która jest wspomogieniem wiernych.

Myślał o pracy, którą miał za sobą, i o pracy, która go czekała, o walkach, które należało staczać i w których nie wolno było ustawać ani na chwilę, by w ustawicznym wysiłku zbliżać się do wielkiego celu wbrew wszelkim siłom wrogim.

I myśli jego zamieniły się w modlitwę o wielkość i chwałę Tej, która była celem jego życia, celem, który mu można było wyrwać tylko wraz z sercem.

K O N I E C .



W Szwajcarji, w lutym 1935 r.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

<http://rcin.org.pl> Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42











F

2823